

JAN NIŻNIKIEWICZ



OCZY
BESTII

NOVAE RES

Jan Niznikiewicz

O C Z Y
B E S T I I



NOVAE RES

W OPRACOWANIU I WYDANIU TEJ KSIĄŻKI ISTOTNĄ POMOC WYKAZAŁY:

Wydział Kultury Urzędu Miejskiego w Gdańsku i Departament Kultury Pomorskiego Urzędu Marszałkowskiego w Gdańsku, przyznając autorowi stypendia twórcze.

*Jesteś wart tylko tyle, ile po sobie pozostawisz.
Na pewno dużo mniej, niż sobie wyobrażasz.*

Oczy bestii

Wydanie pierwsze, ISBN: 978-83-8147-195-4

© Jan Niżnikiewicz i Wydawnictwo Novae Res 2018

REDAKCJA: Monika Turała

KOREKTA: Emilia Kapłań

OKŁADKA: Artur Rostocki

KONWERSJA DO EPUB/MOBI: Inkpad.pl

WYDAWNICTWO NOVAE RES

ul. Świętojańska 9/4, 81-368 Gdynia

tel.: 58 698 2519, e-mail: sekretariat@novaeres.pl, <http://novaeres.pl>

Publikacja dostępna jest w księgarni internetowej zaczytani.pl.

Zrealizowano przy pomocy finansowej Województwa Pomorskiego



Zrealizowano ze środków Miasta Gdańska w ramach Stypendium Kulturalnego
Miasta Gdańska



Więcej ebooków i audiobooków na chomiku JamaNiamy

Spis treści

[Od autora](#)

[ROZDZIAŁ 1](#)

[ROZDZIAŁ 2](#)

[ROZDZIAŁ 3](#)

[ROZDZIAŁ 4](#)

[ROZDZIAŁ 5](#)

[ROZDZIAŁ 6](#)

[ROZDZIAŁ 7](#)

[ROZDZIAŁ 8](#)

[ROZDZIAŁ 9](#)

[ROZDZIAŁ 10](#)

[ROZDZIAŁ 11](#)

[ROZDZIAŁ 12](#)

[ROZDZIAŁ 13](#)

[ROZDZIAŁ 14](#)

[ROZDZIAŁ 15](#)

[ROZDZIAŁ 16](#)

[ROZDZIAŁ 17](#)

[ROZDZIAŁ 18](#)

[ROZDZIAŁ 19](#)

[ROZDZIAŁ 20](#)

[ROZDZIAŁ 21](#)

[ROZDZIAŁ 22](#)

[ROZDZIAŁ 23](#)

[ROZDZIAŁ 24](#)

[EPILOG](#)

Od autora

Kilkoro moich przyjaciół, którzy przeczytali ostateczną wersję powieści *Oczy Bestii*, zdecydowanie odradzało mi jej publikację. Przytaczali całkiem sensowne argumenty. Twierdzili, że ciężko narażę się wielu środowiskom, i pewnie mieli rację. Po dłuższym zastanowieniu postanowiłem jednak wydać swoją książkę. Tak się składa, że od dawna mało czego się obawiam.

Na moją decyzję wpłynęły głównie głosy dawnych czytelników. Po tym, jak ukazał się mój zbiór esejów *Zakazana historia bogów i ludzi*, wiele osób i wydawnictw zainteresowanych tematem zwracało się do mnie z namowami, abym napisał książkę niejako spinającą i podsumowującą opisane tam zagadnienia. Doszedłem do wniosku, że najbardziej odpowiednią formą służącą przedstawieniu relacji między różnymi cywilizacjami oraz między nauką a wiarą, szczególnie w sytuacjach, gdy rzeczywistość bardziej je dzieli, niż łączy, będzie w pełni współczesny thriller polityczny.

Wydarzenia opisane w niniejszej książce są wyobrażeniem autorskim, lecz w przeważającej części opierają się na wydarzeniach historycznych. Wszelkie podobieństwo postaci do osób żyjących współcześnie jest całkowicie przypadkowe i nie zostało zamierzone przez autora.

ROZDZIAŁ 1

w którym poznajemy kulisy powstania wielkich światowych fortun i dowiadujemy się, jaką rolę w życiu politycznym na różnych kontynentach odegrał Juan Diego Rodriquez oraz co łączy jego syna, Ernesta, z papieżem Franciszkiem.

Naprawdę wielkie pieniądze nigdy nie są dziełem przypadku. Do ich zdobycia konieczne jest zaistnienie genialnego człowieka wyposażonego jednocześnie w talent zdobywczy, siłę intelektu, konsekwencję w postępowaniu i umiejętność podejmowania wysokiego ryzyka oraz całkowicie pozbawionego litości i skrupułów. Ale by osiągnąć tak wymierny sukces, musi się pojawić dodatkowy czynnik sprawczy, pewna unikalna okoliczność, niekiedy występująca raz na jedno lub kilka stuleci. W historii współistnienie takowych umożliwiło rozkwit fortun królewskich, a później imperiów finansowych Rothschildów, Rockefellerów, Morganów, Sorosów, Vanderbiltów i kilku innych światowych krezusów dziewiętnastego i dwudziestego wieku. Częstokroć ubicie pierwszego wielkiego interesu dającego początek późniejszemu kapitałowi było wynikiem doskonale zaplanowanego oszustwa. Tak właśnie było z ogromną fortuną Rothschildów.

W południowych dodatkach londyńskich gazet pojawiła się ważna wiadomość o klęsce armii Wellingtona w starciu z wojskami napoleońskimi pod Waterloo. Do dziś nie wiadomo, kto rozpuścił tę pogłoskę. Spowodowała ona lawinową wyprzedaż akcji wszystkich spółek handlowych zajmujących się importem i eksportem towarów drogą morską, co stanowiło główny biznes Anglików. Z minuty na minutę spadały one do wartości groszowych. Właściciele statków jeden za drugim popełniali samobójstwa. Tymczasem w ukryciu

działała chmara podstawionych pośredników, którzy za bezcen skupowali wyprzedawane walory. Następnego dnia po największym w dziejach Anglii kryzysie do City dotarła potwierdzona wiadomość o zwycięstwie wojsk sprzymierzonych i uwięzieniu cesarza Napoleona. Akcje błyskawicznie odrobiły straty i z dnia na dzień nabierały rekordowej wartości. Spowodowało to oczywiście kolejną falę samobójstw wśród tych, którzy niepotrzebnie się ich pozbyli. Flota francuska, dotychczas stanowiąca śmiertelne zagrożenie, została uwięziona w portach. Brytyjskie statki handlowe mogły bez najmniejszych problemów prowadzić ekspansję i sprzedaż towarów na cały świat.

Po długim czasie do publicznej wiadomości przeniknęła informacja, że nabywcą większości akcji w dniu kryzysu był żydowski kupiec Rothschild. Zbił on ogromny majątek i stał się tak nieprzyzwoicie bogaty, że wkrótce powołano go na stanowisko głównego bankiera Zjednoczonego Królestwa. Za niskie kredyty, których udzielał panującej dynastii, bez problemu uzyskał tytuł szlachecki. Jego wpływy w Europie wkrótce stały się tak znaczne, że w 1824 roku jego bank został jedynym agentem fiskalnym dla całego imperium watykańskiego. Taki stan trwa do chwili obecnej. A kto kontroluje przepływ pieniądza, pełni rzeczywistą władzę. Majątek rodziny Rothschildów w chwili obecnej szacuje się na 350 miliardów dolarów. Gdyby tylko chcieli, mogą rozpocząć każdą inicjatywę, a nawet wywołać i przeprowadzić wojnę światową.

Prawie sto lat później od tych wydarzeń historia powtórzyła się w innej odsłonie.

W 1907 roku bogaty bankier Morgan wywołał pierwszy światowy kryzys, rozpowszechniając nieprawdziwe pogłoski o niewypłacalności trzech tysięcy amerykańskich banków. Ludzie pospiesznie zaczęli domagać się zwrotu depozytów, a banki, borykając się z niespłaconymi kredytami, nie były w stanie zaspokoić ich żądań. Zaczęły naglić dłużników do spłaty należności, czego efektem była kolejna spirala

bankructw.

Dolar to waluta światowa, toteż niemożliwe jest wyzwolenie się z pętli samogenerującego się długu. Dzięki temu konsorcjum prywatnych banków – tak zwany Fed – kontrolując podaż, emisję oraz kredyt, w latach dwudziestych ubiegłego wieku doprowadziło w Stanach Zjednoczonych do upadku aż pięć tysięcy czterysta średnich banków. Mechanizm był prosty. Banki te kredytowały szaleństwo ówczesnej gry na giełdzie. Dla zachęty lewarowały dziewięćdziesiąt procent wkładu własnego, jednakże pod warunkiem spłaty zadłużenia w ciągu dwudziestu czterech godzin. Do czasu hossy wydawało się, że wszystko jest w porządku. Powoli dwanaście głównych, sprzymierzonych ze sobą banków w całkowitej tajemnicy wycofało się z giełdy. Wtedy Fed nagle ograniczył kredyty i z hukiem upadło kolejnych tysiąc sześćset banków. Za grosze mogli je kupić ci, którzy wymyślili sposób na grabież majątków i ruinę tysięcy ludzi. Był to największy rabunek w dziejach. Idąc za ciosem, Rezerwa Federalna przepchnęła zniesienie wymiany papierowego pieniądza na ekwiwalent w złocie. Z dekretu Nixona każdy obywatel Stanów pod groźbą konfiskaty miał obowiązek w 1971 roku oddać posiadany kruszec do banków. I to nie byle jakich, tylko oczywiście międzynarodowej bankowej dwunastki. Z chwilą zakończenia uczciwej wymiany pieniądza na złoto rozpoczęła się niewola człowieka. Jeszcze większa trwa obecnie, gdyż kontrolę nad światowymi zasobami pieniądza sprawuje szwajcarski Bank Rozrachunków Międzynarodowych, będący w istocie bankiem centralnym wszystkich światowych banków centralnych, z wyjątkiem Kuby i Korei Północnej. Oczywiście jest pod kontrolą Rothschildów, podobnie jak Bank Światowy czy Międzynarodowy Fundusz Walutowy.

Kolejny wielki interes ubito, uzyskując ogromne pieniądze, na obrzeżu głównych wydarzeń drugiej wojny światowej, w Argentynie.

Szefowie tajnej policji, szczególnie w Ameryce Południowej, przeważnie umierają młodo i w niejasnych okolicznościach. Juan Diego

Rodriguez był wyjątkiem potwierdzającym regułę. Jego rodzina pochodziła z Hiszpanii i szczyła się piętnastopokoleniową służbą u królów Kastylii. Od blisko stu lat przebywała w Argentynie, zamieszkując luksusowy dom w najbardziej eleganckiej dzielnicy Buenos Aires.

W wieku trzydziestu lat, po ukończeniu prawa na miejscowym uniwersytecie, Juan Diego Rodriguez jawił się jako jednostka wybitna. Równie istotne jak pochodzenie i wykształcenie były jego niepoahamowane ambicje i nieprzeciętna uroda. Na widok jego wdzięków płci pięknej podobno równocześnie opadały powieki i niektóre części garderoby. Szeroko komentowany wśród przedstawicielek miejscowych elit był również rozmiar męskości Juana i jego nieposkromiona, zwierzęca wręcz energia seksualna. Na ten temat w stolicy opowiadano legendy. Walory Rodrigueza zapewniły mu stały dostęp do pięknej i popularnej Evity Perón, żony ówczesnego prezydenta Argentyny, której niewątpliwa charyzma oraz siła decyzyjna i sprawcza pozwalały jej zupełnie nie liczyć się z prawem. Plotki z pałacu prezydenckiego donosiły, że do zbliżeń pomiędzy Juanem a Evitą, podczas których bywała zarówno ubrana, jak i naga, dochodziło o każdej porze dnia i nocy. Kochali się nawet w trakcie krótkich przerw między posiedzeniami rządu.

Oczywiście para starannie dbała o to, aby dokładnie wyciszać liczne pogłoski o życiu seksualnym osób na najwyższych piętrach władzy. W tym celu Juana mianowano szefem tajnej policji. Zawistnicy szybko dowiedzieli się, co im wolno. Za przestrożę posłużyło im nagłe kalectwo kilku dziennikarzy i polityków oraz seria tajemniczych zaginięć. Wszystkie te wydarzenia potoczyły się w pozornie banalnych okolicznościach. Poza rodzinami nikomu nie zależało na tym, aby wyjaśniać istotne szczegóły. A już najmniej policji.

W tym też okresie w życiu Juana Rodrigueza zdarzyły się dwie inne sprawy, które zasadniczo wpłynęły na jego przyszłość. W wypadku samochodowym zmarła jego żona, osierocając jedyne

syna, Ernesta. Po krótkim okresie żałoby pozwoliło to owdowiałemu mężowi oddać się swobodnym polowaniom erotycznym wśród elit stolicy. Szanując tradycje rodzinne, Juan umieścił chłopca w kolejnych internatach dobrych państwowych szkół, aby zrozumiał, na czym polega odwieczna walka klas. Następnie wysłał go na studia do Anglii, do London School of Economics, wówczas najlepszego uniwersytetu zajmującego się światowym biznesem.

Niektórym rodzinom los naturalnie sprzyja, innym skąpi szczęścia. Ernest Rodriquez najbliższego przyjaciela na całe życie zyskał w osobie Jorgego Maria Bergoglia. W jednej ławce przeszli całą szkołę podstawową i technikum chemiczne. Połączyły ich tajemnice młodości i wspólne zainteresowania. Po upływie lat jednemu dane zostało zawiadywać majątkiem równym budżetowi małego kraju, a drugiemu zostać suwerenem państwa watykańskiego. W obu wypadkach pomniejszy bóg - Przypadek - pozwolił im więc osiągnąć szczyt możliwości, dowodząc, że w sposób zupełnie nieoczekiwany potrafi zmienić wszystko.

W 1943 roku, na początku rządów Peróna, w spokojnej i sytej Argentynie, jakże odległej od frontu walk drugiej wojny światowej, kolejnym źródłem korzyści stali się dla wybrańców wysłannicy elit hitlerowskich.

Niemcy już wtedy doskonale wiedzieli, że los Wehrmachtu jest przesądzony. Ponadto uświadomili sobie, że o ile nie znajdą dla siebie bezpiecznego, odległego przyczółku, za śmierć wielu milionów ludzi będą musieli zapłacić życiem. Argentyna wydawała się miejscem najbardziej spokojnym i stabilnym politycznie. Wcześniej należało jednak zapewnić sobie przychylność policji i rządu w osobach Juana Rodriqueza i Evity Perón. Różniło ich jedynie to, że jego interesowało zdobywanie majątku, a ją polityka - pomijając zwykłą kobiecą słabość do kilkukaratowych brylantów czystej wody. Tak oto interes własny obu stron pozwolił na przeprowadzenie prostych i jednoznacznych rozmów o tym, co komu się należy i za ile, lecz nie dlaczego.

Najistotniejszy moment w skomplikowanej operacji ucieczki hitlerowców z Niemiec miał miejsce, gdy w maju 1945 roku z pokładu niemieckiej łodzi podwodnej na nadbrzeże portu wojennego w Mar del Plata wychodziło kilka zamaskowanych osób, w tym jedna kobieta. Ewakuacja odbyła się w asyście argentyńskich policjantów, między innymi barczystego Juana Rodriqueza, znającego dobrze język niemiecki. Usłyszał on wówczas siedem najważniejszych w jego życiu słów, które kapitan U-242 wypowiedział po cichu do jednej z osób: „Panie Schicklgruber, pomogę panu zejść po trapie”.

Na długo przed przybyciem Niemców ustalono, że zasadniczym warunkiem transakcji będzie zachowanie pełnej anonimowości przybyszy, zapewnienie transportu do uprzednio przygotowanych kwater w głębi kraju i oddanie w ręce depozytariuszy ich własnego wywiadu działającego od lat w Argentynie. Wszystkie okoliczności przyjazdu i konspiracji pasażerów były zastanawiające i niewątpliwie należało je zbadać.

Nie było to specjalnie trudne. Przez argentyńskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych Rodriquez sprawdził, kim może być ów Schicklgruber. Odpowiedź nieoczekiwanie nadeszła nie z Berlina, a z Wiednia – to rzadkie nazwisko nosił niejaki Gerhard, kupiec korzenny, którego syn w okresie panowania cesarza Franciszka Józefa zmienił nazwisko na Hitler¹. Wiadomość ta, choć nigdy niepotwierdzona przez żadnego z uciekinierów, była warta fortunę. Juan dał im do zrozumienia, że wie o wszystkim. Ponadto doskonale się zabezpieczył na wypadek, gdyby chcieli go uciszyć. Gdyby coś mu się stało, wiadomość o pobycie szefa NSDAP w Argentynie natychmiast dostałaby się do gazet i ambasad państw sprzymierzonych. Wtedy nie będzie zmiłuj. Argentynę zaleją łowcy głów i siatki wywiadów, w tym izraelskiego Mosadu, które zwietrzą swoją szansę. Warunki zrozumiano i przyjęto, nie wdając się w żadne dyskusje. Dowodem był fakt, że wszelkie żądania finansowe

Rodriqueza natychmiast spełniano.

Inne wiadomości, jakie w tym czasie spływały z Niemiec, były publicznie znane, ale Juan Rodriquez zyskał pewność, że spalone zwłoki mężczyzny i kobiety, które Sowietnicy znaleźli w jamie wykopanej na wewnętrznym dziedzińcu Kancelarii Rzeszy w Berlinie, należały do sobowtórów Hitlera i jego żony, on zaś sam wraz z Ewą Braun uciekli do Ameryki Południowej. Jeśli na taką maskaradę nabrali się wszystkie zwycięskie mocarstwa, znaleźne i premia za zachowanie prawdy dla siebie musiały być odpowiednio wysokie. I były. Wielkie fortuny nigdy nie powstają z niczego, a ich jądro na ogół stanowi nieznana tajemnica. Gdy tylko okazało się, o kogo idzie gra i jaka jest jej stawka, Rodriquez zrozumiał, że może stawiać żądania, o jakich mu się nie śniło – a Niemcy będą musieli je jeszcze bardzo długo spełniać.

Wywiązywali się ze zobowiązań regularnie i stało się jasne, że złotymi monetami można będzie bez trudu wypełnić wszystkie pomieszczenia rodzinnej posiadłości Rodriqueza w Buenos Aires. Ponadto uciekinierów z Niemiec trzeba było otoczyć długoterminową opieką i chronić przed kilkoma wywiadami, które latami ich poszukiwały, a cena rosła proporcjonalnie do zagrożenia. U niektórych najwyższej postawionych przybyszy z Niemiec dokonano operacji plastycznych, część mniej ważnych przekazano do Paragwaju. Wreszcie, jak mówią nie do końca sprawdzone pogłoski, ścisłą elitę przeniesiono do przygotowanych wcześniej kwater pod lodami Antarktydy. Licznych poszukiwaczy zbrodniarzy hitlerowskich spotkał marny los. Większość zginęła w nieznanym okolicznościach, a ich ciała nigdy nie odnaleziono. Inni latami błakali się po labiryncie plotek, pogłosek i zmyślonych faktów. Wszystkim uczestniczącym w tej grze Juan Rodriquez tak samo pomagał, jak przeszkadzał, dbając, aby niczego nie można mu było zarzucić ani niczego znaleźć. Chociażby po to, aby móc nadal drenować hitlerowski worek ze złotem, który sprawiał wrażenie bezdennego.

Agentom wysłanym przez Izrael podrzucano kilka ofiar, w tym

Eichmanna. Innym w lasach tropikalnych ktoś – nie wiadomo, czy Indianie, czy Niemcy – poucinał głowy. W ten sposób zatarto wszystkie ślady i wydawało się, że Juan Rodriquez może być spokojny o swój los. Aż do dnia ulewnego deszczu w Buenos Aires tak też było.

Szef policji tak dużego państwa jak Argentyna musiał dobrze wiedzieć, jak skończy się populistyczna polityka peronistów. Udało mu się przewidzieć krach gospodarczy. Z tego powodu ani jeden gram hitlerowskiego złota nie pozostał więc w Ameryce Południowej. Stopniowo wszystko przetransferowano za granicę, w Szwajcarii wymieniono na franki i dolary amerykańskie, a następnie część zupełnie legalnie przekazano do Stanów, gdzie przeznaczono je na otwarcie fabryk i stworzenie nowych miejsc pracy w najuboższych stanach. Juan miał nosa do interesów.

Z jego inicjatywy po zakończeniu drugiej wojny światowej powstała najstarsza sieć drogeryjno-farmaceutyczna produkująca witaminy i mikroelementy pod nazwą Mineralvit. Na logo firmy widniał wizerunek Minerwy, taki sam jak na francuskich wyrobach ze srebra. Po latach pod względem obrotów zajmowała już miejsce w światowej czołówce. Aby uniknąć niepotrzebnych i głupich pytań o podatki, płacono tym i tyle, co trzeba, a prawdziwe sprawozdania finansowe doręczano na pełnomorskim jachcie wyłącznie do rąk własnych Juana Rodriqueza. Oczywiście księgowych dowożono na pokład, gdy niebo było zasnuwane chmurami i nie można było dokonać obserwacji z pokładów okolicznych statków. Ostateczną wartość obrotów oraz globalny zysk znał jedynie sam właściciel firmy. Rady nadzorcze funkcjonujące w różnych państwach o zróżnicowanych systemach podatkowo-rozliczeniowych wiedziały tylko tyle, ile musiały. Wielkiemu biznesowi zapewniało to spokój i rozwój.

Dla przyszłości rodu Rodriquez dokonał jeszcze trzech ważnych inwestycji. Z nieprawdopodobnym powodzeniem wykorzystał polityczne koneksje, aby całkowicie wygłuszyć informacje o zrzuconiu w 1950 roku przez Stany bomby atomowej na Antarktydę. Wiadomość

ta kwalifikowała się na pierwsze strony gazet, a zatajenie jej nie było proste i miało swoją cenę. Juan stanął na wysokości zadania, kupując milczenie tych, którzy dysponowali dowodami. Innych zastraszył na tyle skutecznie, że w obawie o los własny i swoich bliskich do końca życia siedzieli cicho. Wywiad amerykański docenił jego starania i nie pozostał mu dłużny. Chodziło wszak o bezpieczeństwo Ameryki i sprawy najwyższej wagi. Od tego czasu pozycji Rodriqueza w instytucjach wojskowych i wywiadzie amerykańskim nic nie mogło zagrozić. Wydarzenia te miały zresztą miejsce kilka tysięcy kilometrów od Stanów, których uwagę zajmowała wówczas nie tyle Antarktyda, ile rosyjska bomba atomowa i histeria antykomunistyczna. Z braku zainteresowania mediów wydarzeniami w Ameryce Południowej wywiad wszystkie końce sprawy zapętlili wyjątkowo starannie. Prawdziwe okoliczności przez długie lata nie wyszły na jaw, a Juan zyskał status przyjaciela Stanów Zjednoczonych. Został nawet dyskretnie uhonorowany wysokim odznaczeniem przez prezydenta Ameryki. Oficjalne uzasadnienie nie miało oczywiście nic wspólnego z rzeczywistymi powodami jego przyznania.

Druga inwestycja miała charakter ściśle prestiżowy. Fortuna uzyskana od hitlerowców w latach 1945–1950 pozwoliła Juanowi na poniesienie stosunkowo niewielkich kosztów zasiłku dla zepchniętego na margines hiszpańskiego rodu Burbonów – dynastii w tym czasie odsuniętej od władzy, stanowisk i pieniędzy przez wojskowy reżim generała Franco.

Późniejszy król Hiszpanii, Juan Carlos, od najwcześniejszych lat miał dwie niewinne słabości. Pierwszą było myślistwo, drugą młode dziewczęta. Jeśli szło o te ostatnie, mógł śmiało konkurować z premierem Włoch, Berlusconim. Problem leżał w tym, że Burbon cenił sobie wyłącznie polowania w Afryce, co rodziło astronomiczne koszty, a dziewczęta, którym nudziła się siermiężność erotyczna króla, żądały diamentów i innych wielce kosztownych akcesoriów. W tradycyjnym układzie małżeńskim taki ciężar niekiedy da się

udźwignąć, lecz starzejącego się samca nieustannie zmieniającego partnerki doprowadza on do ruiny.

Z pomocą w rozwiązaniu tego powszechnie znanego problemu pospieszył Juan Rodriquez, roztropnie przeznaczając na comiesięczny zasiłek dla dynastii Burbonów dwadzieścia tysięcy dolarów. Oczywiście nie za piękne oczy. W zamian zażądał tytułu granda Hiszpanii. Sam fakt, że mógł w każdej chwili zahamować przepływ subsydiów, a piętnaście generacji Rodriquezów zapewniało mu stosowną proweniencję, uzyskał pożądany tytuł. Sprawa została załatwiona w szybkim tempie i bez zbędnych komentarzy. W rezultacie król Juan Carlos, dowodząc prawdziwości starego rzymskiego porzekadła, że „pieniądz nie śmierdzi”, przez kilka lat miał na zbytki, a Rodriquez formalnie uzyskał cenną protezę pochodzenia arystokratycznego. Prócz niego do arystokracji zewnętrznej monarchia hiszpańska przyjęła wcześniej Czartoryskich i księcia Wellingtona.

W 1975 roku Juan Carlos został królem Hiszpanii i środki, jakie na polowania i panienki otrzymywał z budżetu, zaczęły przewyższać subsydia prywatne. Jednakże na dworze hiszpańskim długo pamiętano, kto przysłużył się dynastii w chudych latach.

Tytuł granda pozwalał Rodriquezowi bywać wśród arystokratycznej śmietanki towarzyskiej i koronowanych głów oraz prowadzić poważne rozmowy biznesowe w najwyższych kręgach. Nadto w samej Argentynie uważano go za najmocniejszego agenta wpływu. Sam nigdy nic na ten temat nie mówił, ale dokładnie znał swoją wartość.

Bożek Przypadek w dalszym ciągu otaczał opieką swojego podopiecznego, umożliwiając mu dokonanie trzeciej inwestycji w przyszłość. W okresie panowania junty argentyńskiej pojawiły się doniesienia, jakoby Jorge Mario Bergoglio, wówczas profesor teologii i biskup Buenos Aires, miał niezbyt czyste papiery. Komuś ponoć nie pomógł, choć mógł, coś niepotrzebnie o kimś powiedział, podobno nie

spełnił jakichś oczekiwań, czegoś nie zrobił, a powinien. Tego typu epizody utrwalone w sposób formalny wykluczały awans kardynalski. Mając nadal spore wpływy, Juan usunął z akt niewłaściwe dokumenty i kłamliwe doniesienia, zastępując je nowymi, przeciwnymi zeznaniami, a sam hierarcha otrzymał od niego dobrą radę, aby nic w tej sprawie nie mówić i nie robić, a wszystko ucichnie samo. Tak też się stało. Potem kariera duchownego ruszyła z kopyta. W 2005 roku Bergoglio został głównym kontrkandydatem kardynała Ratzingera przy wyborze papieża. O jego porażce zdecydował zapewne głos tych, którzy nie otrzymali wsparcia finansowego od Opus Dei i masonerii – a może był to błysk Opatrzności Bożej. Do dzisiaj na ten temat są podzielone zdania.

Pewnego deszczowego dnia tego samego roku Juan Diego Rodriguez zmarł nagle, wysiadając z samochodu. Przyczyny nie ustalono. Mówiło się, że przechodzący obok mężczyzna ukłuł go w nogę zatrutym parasolem. Śmierć nastąpiła natychmiast. Ucieszono się z niej wyłącznie w Izraelu. Jakiś agent Mosadu wypełnił zlecenie. Złoto odebrane Żydom w Europie powinno było chociaż w części wrócić do Izraela, a tymczasem jego argentyński posiadacz kluczył, wszystkiemu zaprzeczał i gorliwie wzbraniał się przed redystrybucją. Plotki głosiły, że w niektórych jego firmach pracują już księgowi z Tel Awiwu, tak że transfer całości lub części walorów był kwestią czasu. Wbrew temu, co głoszą rabini, Żydzi lubią czekać.

Nie wiadomo, co wpłynęło na wynik konklawe w 2013 roku. Może miała w tym udział Opatrzność. W piątym głosowaniu Jorge Mario Bergoglio został wybrany głową państwa watykańskiego i przyjął imię Franciszek. W natłoku informacji nie pojawiły się poważniejsze wątpliwości co do tego wyboru. Ten oto dość skomplikowany splot wypadków sprawił, że w 2017 roku do gry o najważniejsze dla ludzkości sprawy zasiedli między innymi przyjaciele z dzieciństwa – Ernesto, syn Juana Rodriguez, i jego kolega z lat szkolnych, obecny papież Franciszek.

ROZDZIAŁ 2

w którym poznajemy Michaiła Wołkowa i wraz z nim udajemy się na Kreml, gdzie dowiadujemy się, na czym będzie polegać jego zadanie i jaką rolę w historii Rosji odegrały obce siły.

Oczy Bestii mają tysiące odmian i barw - raz zamglone, nieodgadnione i nieprzeniknione, innym razem stają się jarzące, bezlitosne i okrutne. W większość z nich wielokrotnie z bliska spoglądał generał Wiaczesław Rogozin, szef Federalnej Służby Bezpieczeństwa Federacji Rosyjskiej.

Z wizyty na Kremlu wracał w zdecydowanie złym nastroju. Okazało się, że ten spryciarz Putin ma dobre i niezależne od FSB źródło informacji. A teraz wydał mu polecenie - mówiąc prawdę, był to rozkaz - znalezienia kogoś, kto potrafi rozwiązywać najtrudniejsze problemy koncepcyjno-logiczne. Chodzi o bezpośrednie zagrożenie bezpieczeństwa Rosji. Powiedziano mu tylko tyle. W FSB oznaczało to sprawy najgorsze i najbardziej ryzykowne. Ale do rozwiązywania takich problemów był gotowy od dawna. Bił się z myślami, próbując się domyślić, o co toczy się gra. Bezskutecznie. W dodatku w rozmowie z Putinem dowiedział się, że człowiek, o którego mu chodzi, będzie otoczony dożywotnią opieką przez konkurencyjny wywiad wojskowy, czyli GRU - innymi słowy, zadanie, które zacznie rozwiązywać FSB, do końca doprowadzi ktoś inny. Ale na początek rozdania Putin wybrał starą, dobrze mu znaną czerezwyczajkę, obecnie noszącą nazwę Federalnej Służby Bezpieczeństwa.

Kontrolę nad całym światem zewnętrznym sprawowało GRU. Ta potężna instytucja ma wiele wydziałów. Pierwszy zajmuje się Europą, drugi - Stanami, siódmy - NATO, ósmy - Specnazem, a dziewiąty - technikami wojskowymi. W ramach ostatnich dwu działają jeszcze

bardziej wyspecjalizowane tajne służby, które Korobow, szef GRU, będzie zapewne musiał uruchomić w zleczonej przez Putina sprawie.

Rogozin zastanawiał się, czy Korobow uruchomi wydział dziewiąty czy trzeci, dokonujący operacji wywiadowczych wewnątrz Rosji. To tutaj najczęściej następowały kolizje z FSB. Generalnie różnica między FSB a GRU historycznie odpowiadała różnicy pomiędzy podobnymi strukturami, takimi jak niemieckie Gestapo i Abwehra.

Nie ulegało żadnej wątpliwości, że ktoś zdecydowanie naruszył autonomię Rogozina i jego monopol informacyjny. Ale kto? Było to równie zagadkowe, jak cały ten problem.

Wszystkie jego ostatnie zlecenia, jakie otrzymywał od prezydenta Rosji, odbywały się bez zwyczajowych konsultacji, komisji i udziału ekspertów. To było coś więcej niż szczyt tajności. Putin był wyraźnie przejęty. Znał go dobrze i widać było, że czegoś się bał. Tylko, na miłość boską, czego? Zagrożenia nie znał ani nie wyczuwał nawet sam Rogozin. W dodatku po znalezieniu odpowiedniego kandydata do zajęcia się tą sprawą jego kompletną teczkę personalną miał przekazać osobiście Putinowi. Do ostatecznej decyzji.

Pewnym tropem było drugie polecenie Putina, mówiące o przygotowaniu do wglądu wszystkich tajnych dokumentów dotyczących lotów kosmicznych oraz wypowiedzi astronautów krajowych i zagranicznych, w tym relacji pisemnych i zapisów audiowizualnych.

Rogozin zastanawiał się, czy obie sprawy mają ze sobą coś wspólnego. W każdym razie nie ulegało wątpliwości, że ktoś mu gruntownie nasrał do interesu. Po wykryciu sprawcy trzeba będzie sprawić, by sam zeżarł to gówno. Na szczytach władzy nie uprawia się gry w pokemony ani jo-jo. Przynajmniej nie z Rogozinem.

Co ten Putin w ogóle myślał, zlecając mu znalezienie specjalisty do rozwiązywania problemów, do których nie wystarczali eksperci, maszyny cyfrowe, algorytmy i inna niezrozumiała wyższa matematyka? Widać chodziło mu o znalezienie geniusza

przewyższającego sztuczną inteligencję. Czysta abstrakcja. W dodatku kandydat z nieznanymi względów musiał być zwerbowany spoza rezerwy kadrowej FSB. Czy również spoza wojska? Nie ulegało wątpliwości, że przerażony i niezadowolony Putin z braku rezultatu usunie Rogozina ze stanowiska równie łatwo, jak wycieraczkę spod drzwi - kopniakiem prosto na chodnik. A więc nie tylko jest o czym mówić, ale i jest co robić. I to szybko.

Po miesiącu udało mu się określić czynniki mogące naprowadzić go na odpowiedniego kandydata - iloraz inteligencji powyżej dwustu, znajomość wyższej matematyki i geniusz szachowy. Wybraniec, którego miał na oku, wygrywał mecze nawet z komputerami szachowymi. Zmogły go dopiero maszyny cyfrowe, które potrafiły analizować możliwości matematyczne z niewiarygodną szybkością, większą niż najbardziej wyćwiczony mózg ludzki. Ostatecznych kandydatów było trzech. Dwóch Rogozin zdyskwalifikował za nałogi i homoseksualizm. Na placu boju pozostał Michaił Wołkow, któremu jeszcze przed pierwszym spotkaniem nadał kryptonim WW. Nieskomplikowany.

W jego aktach znajdowała się adnotacja, że był doktorem neurofizjologii w jednej z moskiewskich klinik i najwyższej klasy specjalistą od badań elektroencefalograficznych. Nie brał udziału w żadnych aferach finansowych ani personalnych. Dwukrotnie werbowano go do FSB. Za każdym razem odmawiał, tłumacząc się prześladowaniami rodziny w okresie ZSRR. Potwierdziła to analiza akt. W końcu dano mu spokój. Wyjazdy zagraniczne Wołkowa do pewnego czasu obserwowała agentura i niczego podejrzanego w nich nie stwierdzono.

Jego teczkę od kilku dni nieustannie wypełniało kilka ogniw FSB. Sprawdzano wykazy jego wiadomości SMS-owych i maile z ostatnich dziesięciu lat, przy zmianie licznika energii elektrycznej w domu i pracy założono podsłuch. Prześwietlono przyjaciół, znajomych i wszystkie wyjazdy zagraniczne, jakie odbył w ostatnich latach.

Z zebranych danych wynikało, że WW prowadzi w pełni ustabilizowane życie zawodowe, rodzinne i towarzyskie. I, prawdę mówiąc, jest w tym wszystkim szczęśliwy, czy to w czasie pracy na uczelni, czy na turniejach szachowych. Ostatnio na ogół krajowych, w których odnosił regularne zwycięstwa. Ludzie, w zależności od tego, czy go lubili, czy nie, nazywali go nowym Kasparowem lub Karpowem. Kwoty, jakie wygrywał na turniejach szachowych, były publicznie znane.

Zdumiewające, że zawsze żądał odprowadzenia podatków do skarbu państwa przed otrzymaniem przelewu na konto. Rogozin nie lubił takich ludzi. Albo święty, albo głupi. Nie chce dać sobą kierować, a przecież ma żonę i dwoje dzieci, w które jest zapatrzony. Tylko naiwny dureń może domniemywać, że nie ma na niego haka. Na tego WW też się znajdzie. Tyle że zrządzenie losu na ten moment lokuje go między Putinem a Rogozinem. Nie będzie przecież kopał się z koniem.

Dwa dni później do instytutu, w którym pracował Michaił Wołkow, z zabezpieczonej przed podsłuchem sieci zatelefonowała osobista sekretarka Rogozina. Rozmowa była krótka:

- Czy połączono mnie z panem Wołkowem?

- Tak, słucham.

- Mam panu przekazać polecenie od mojego szefa, generała FSB Wiaczesława Rogozina, który uprzejmie prosi, aby jutro o trzynastej zgłosił się pan do jego biura na Łubiance.

W słuchawce przez dłuższy czas panowała cisza. Po chwili Michaił nieco drżącym głosem spytał:

- Co mam ze sobą zabrać?

- Nic. Samochód będzie na pana czekał przed budynkiem, w którym pan pracuje, i zawiezie do wejścia numer siedem. Tam odbierze pan przepustkę i dyżurny oficer odprowadzi pana do gabinetu generała. Proszę się nie obawiać. Nie trzeba zabierać ręcznika ani szczoteczki do zębów, te czasy już się skończyły. Ale proszę potraktować tę rozmowę jako tajną, szczególnego znaczenia.

Nie może o niej wiedzieć nikt. Nie rozmawia się z generałem FSB prywatnie. Czy to jest jasne?

- Tak. O wpół do dwunastej będę przed wejściem. Czy to wystarczy?

- W pełni.

Połączenie zostało przerwane.

Następnego dnia Michaił został przyjęty przez Rogozina. Rozmowa zasadniczo sprowadzała się do monologu.

- Mam polecenie, aby pojutrze w południe dowieźć pana na Kreml i osobiście przedstawić prezydentowi Putinowi. Nie wiem, jakie dostanie pan zadanie. Pełnię funkcję, że tak powiem, licencjonowanego pośrednika. Pana kandydatura została przetestowana, zaopiniowana i zatwierdzona na najwyższym szczeblu władzy państwowej. Przywilej ten przysługuje wyłącznie panu. W rozmowie z prezydentem może pan odmówić odegrania roli, jaką dla pana przewidziano. Bez żadnych sankcji. Tyle że głowie państwa z zasady się nie odmawia. Ale, jak zawsze, są wyjątki od reguły.

Michaił kątem oka dostrzegł na biurku Rogozina niewielki posążek Dzierżyńskiego. Tradycje w tej firmie - jak się okazuje - były kontynuowane od czasów rewolucji październikowej. Był pewny, że ich rozmowa została nagrana, a każdy element jego mimiki i mowy ciała już od chwili wejścia analizowali odpowiedni specjaliści.

Wychodząc z gabinetu szefa FSB, czuł smród, jaki przenikał zaprawę, cegły i stropy całej instytucji na Łubiance. Odór tysięcy zmaltretowanych ofiar, strachu i przerażenia uciemżonych ludzi, który wbił się w każdą molekułę tego gmachu powszechnego udręczenia. O tej zwierzęcej woni mówiono w Moskwie z przerażeniem od kilkadziesiąt lat. Całymi pokoleniami. Nie pomagały odwaniacze, zbijanie tynków, wymiana stropów i podłóg. „*Soir de Łubianka*” miał być tak samo wieczny, jak wieczna była Rosja. Dla przestrogi. I pamięci.

Wychodząc, minął kilkadziesiąt sal, w których wnętrzach błyskały

setki ekranów laptopów i telewizorów. Niekończący się paroksyzm cieni i błysków żywcem przypominał mu projekcję starego filmu *Tysiąc oczu doktora Mabuse*. Jednakże gra światła na Łubiance znacznie bardziej przywodziła na myśl nieustająco czujne, świdrujące, lecz obojętne oczy wielogłowej Bestii.

Michaił był pod wrażeniem. Nie chodziło o okoliczności czy cel spotkania. W równym stopniu, jak kryteria weryfikacji, interesowała go rozmowa z prezydentem Rosji. Jeśli dobrze zrozumiał, odbędzie się ona w cztery oczy i należy sądzić, że dotyczyć będzie spraw najważniejszych dla Rosji. Oby tak było, pomyślał, bo szowinizm narodowy nie był mu obcy. Co więcej, od czasu sankcji nałożonych kilka lat temu przez Europę i Stany z różnych przyczyn nie dochodziło do jego wyjazdów na turnieje szachowe. Dotychczasowe źródło dochodów wyschło i nie pozwalało już spełniać wymagań dość rozpuszczonej dwójki dzieci i żony, która już kilkakrotnie mówiła mu, by znalazł dodatkową pracę, zamiast uciekać do biblioteki uniwersyteckiej. A nieoczekiwana rozmowa z Putinem musiała nieść za sobą pewne gratyfikacje. I to spore, bo nie można porównywać funduszy przeznaczanych na nagrody w turniejach szachowych z budżetem Rosji. Ropa naftowa i gaz nadal nieźle się sprzedają, a łapę na nich trzymają Putin i jego koledzy. Od razu można więc żądać od zleceniodawcy więcej, niż marzył w najśmielszych snach. Wrodzona inteligencja pozwoliła mu cały problem przemyśleć, jeszcze zanim wyszedł z Łubianki na ulicę.

O wpół do dwunastej następnego dnia samochód FSB zawiózł Michaiła do najstarszej, nieudostępnianej do zwiedzania części Kremla. Pochodzący jeszcze z czasów carskich wystrój, co jakiś czas lepiej lub gorzej odnawiany, zachował się właściwie w oryginale. Dyskretna nowoczesność uwidaczniała się w systemie drzwi elektronicznych, zapewne zabezpieczonych kamerami, oraz urządzeń kontrolnych monitorowanych przez ochronę. Na przecięciach wszystkich korytarzy stali trójkami gwardziści pałacowi w służbowych

uniformach z okresu panowania cara Aleksandra. Droga do Putina prowadziła przez komnatę audiencyjną carów z figurą Chrystusa Wszechmocnego i zawieszonym na ścianie ponurym portretem okrutnego Iwana Groźnego, a następnie obok amfilady czterech gabinetów prezydenckich, z których jeden należał kiedyś do Stalina. W końcu stanęli przed dużymi, dębowymi, nieoznakowanymi drzwiami. Obok stał stolik, przy którym siedział dyżurny oficer.

Na widok gości wstał i zapytał:

- Pan Michaił Wołkow, jak sądzę?

- Tak.

- Proszę chwilę poczekać, zawiadomię prezydenta o pańskim przybyciu - powiedział, po czym ujął słuchawkę telefonu i zameldował o sytuacji.

Po uzyskaniu odpowiedzi wstał, otworzył drzwi i zakomunikował Michaiłowi, że może wejść. Jednocześnie głosem nieznoszącym sprzeciwu oznajmił Rogozinowi, że na niego oczekuje fotel na korytarzu, a nie w gabinecie prywatnym głowy państwa. Szefowi FSB taka manifestacja przypadła do gustu jak świni cegły do jedzenia, ale nie dał po sobie niczego poznać. Zarówno oficer, jak i on sam nie mieli zwyczaju komentowania rozkazów.

Michaił wszedł do pokoju Putina, stąpając po dużym, dość zniszczonym kobiercu. Jego wzrok przykuł wzór w duże romby i bogate bordiury. Usłyszał metaliczny głos gospodarza.

- Widzę, że zainteresował pana dywan, co się tu praktycznie nie zdarza. Dostała go caryca Katarzyna od rodów kazachskich. Podobno dwadzieścia tkaczek wykonywało go przez pięć lat. Te postarzałe ikony w narożnikach są dziełem Rublowa. Wiszą tu od trzech stuleci. Dodam jeszcze, że uwagę moich gości skupiam na ogół ja sam, co, jak sądzę, dowodzi, że brak im podzielności uwagi. Rogozin zapewnił, że czymś się pan wyróżni.

Proszę usiąść naprzeciwko. Mam dla pana całe dziesięć minut. Na wstępie rozmowy zawsze ostrzegam swoich gości przed lizusostwem

i pustostłowie. W tym gabinecie czas płynie bardzo szybko. W podobnym wyścigu z przemijaniem bierze udział Trump, papież i kilku innych szefów państw. Dla interesów Rosji i losów planety znaczenie ma każda sekunda. Kto tego nie rozumie, jest dla mnie niepotrzebnym balastem. Dlatego nasza rozmowa będzie krótka. Proszę niczemu się nie dziwić i jedynie odpowiadać na pytania. Na wyjaśnienia czas będzie później.

Sprowadziłem tu pana, panie Wołkow, z prostego powodu. Narendra Modi, premier Indii, w przedmowie do swej ostatniej książki napisał, że w przeszłości bóg Rama odbywał loty kosmiczne. Potwierdza to jeden z ostatnich numerów „Nature”, należącego do czołowych pism naukowych. Równie dobrze ja mógłbym powiedzieć, że w rosyjskich lotach kosmicznych pomagali nam święty Fiodor ze świętą Praksedą. Modi pokazał, że nie boi się konsekwencji i ośmieszenia. To, co dodał o zagrożeniach kosmicznych, jest albo prawdą, albo postprawdą. Ja jego wypowiedź traktuję całkowicie poważnie. Mówi to premier miliardowego kraju, w którym połowa ludności nie skończyła dwudziestu pięciu lat, mocarstwa atomowego i kosmicznego. To nie jest bajdurzenie. W tak ważnej sprawie nic mi jednak nie doniosły służby państwa. Dlatego muszę mieć niezależne źródło informacji. I tu wkracza pan, panie Wołkow, jako osoba obdarzona wybitną inteligencją, dalece przewyższającą poziom naszych ekspertów. Długo już jestem na tym stanowisku i wiem, że pewne jest tylko to, co wydaje się absolutnie niemożliwe. Czy szef FSB mówił coś panu o celu i znaczeniu naszego pierwszego spotkania?

- Nie - odparł Michaił. - O wszystkim mam się dowiedzieć od pana prezydenta.

- To dobrze. Wszystko, o czym od tej chwili będzie mowa, objęte jest największą tajemnicą nie tylko w samej Rosji, ale i na świecie. Dalsza wymiana informacji między nami będzie się odbywała głównie w formie pisemnej. Mam do podjęcia strategiczne decyzje dotyczące losów naszej planety i nie mam żadnych wątpliwości, że jestem

kontrolowany z zewnątrz – nie przez wywiad mój czy innych państw, lecz pozaziemski. Nie mogę powiedzieć nic więcej. Jak pan widzi, prezydent Rosji również ma swoje ograniczenia. Dalszą rozmowę odbędziemy innym razem. Teraz ochrona zaprowadzi pana do pomieszczenia, w którym wszelka kontrola umysłu jest wykluczona. Tak przynajmniej twierdzą moi specjaliści. Nie wiem, czy mają rację.

Pokój ten, otoczony dziesięcioma warstwami ołowiu na przemian z odgromnikami, jest dźwiękoszczelny, klimatyzowany i ma własne zasilanie. Jedynie tam może pan otworzyć tę teczkę i przeczytać o powodach i celu zadania, jakie zamierzam panu powierzyć, a także przyczynach, dla których do jego wykonania wybrano właśnie pana. Tekst ten sporządziłem osobiście, pisząc atramentem na papierze, w tym samym pomieszczeniu. Tam też odbędzie się nasze następne spotkanie. Oczywiście Rogozin powiedział wam, że macie prawo mi odmówić. Znacznie lepiej dla losów pana i pańskiej rodziny będzie jednak przyjąć moją propozycję.

Znajdzie się pan, panie Wołkow, pod moją wyłączną opieką i zostanie objęty immunitetem. Może to nie mieć większego znaczenia, ale jest niewątpliwie praktyczne. Oto karta bankowa na pańskie nazwisko. W kopercie znajdzie pan PIN. Jest Nielimitowana, proszę z niej jednak korzystać w rozsądnych granicach. To numer mojego osobistego telefonu. Niech go pan zapamięta! Może pan dzwonić o każdej porze, by umówić wizytę.

Teraz ostatnia sprawa. Zależy mi na pana opinii na temat nieznannej historii naszej planety. Chodzi o losy zamierzchłych, zaginionych cywilizacji, a szczególnie o ślady prowadzenia na naszym globie w przeszłości działań nuklearnych. Z przekazów moich poprzedników wiem, że obawiali się istnienia na naszej planecie istot innej rasy. Udało im się zebrać różne artefakty nieznanego pochodzenia, do konkretów jednak nie doszli. Rozważając to zagadnienie, będzie pan musiał uwzględnić wszelkie źródła informacji, jakie są w naszym posiadaniu. Z tym nie będzie problemu. Są nowe

techniki, o których pan, jako neurolog, zapewne wie. Całkowicie bezpieczną metodą podprogową konieczne wiadomości zostaną panu implantowane do mózgu w specjalnym instytucie profesora Szablewa. Mógłby pan spytać, dlaczego sam nie poddałem się temu zabiegowi. Otóż na to potrzeba czasu, a ja go praktycznie nie posiadam. Mam też znacznie niższy iloraz inteligencji, nie jestem szachistą, nie mam umiejętności krytycznej oceny zbiorów, a matematykę znam jedynie w zakresie podstawowym. Został pan uznany za jedyne go człowieka zdolnego do wykonania tego zadania i w tym celu przez trzy miesiące będzie pan dysponował całą wiedzą, jaką zgromadziła Rosja przez ostatnie sto lat.

Otrzyma pan nieograniczony dostęp zarówno do archiwów uniwersytetów i wszystkich innych instytucji w Rosji, jak i zasobów wywiadowczo-operacyjnych. Od roku są skompresowane na płytkach pamięci. Po zakończeniu zadania raport proszę wysłać na skrzynkę mailową mojego sekretarza. Hasło znajduje się na tej wizytówce. Jest absolutnie bezpieczna i dostęp do niej podlega nieustannemu szyfrowaniu. On mi wszystko przekaże. Gdyby pan jednak uznał, że sprawa jest zbyt wielkiej wagi, by zawierzyć takiej drodze komunikacji, natychmiast spotkamy się w celu jej omówienia. A teraz żegnam.

Michaił uważnie wysłuchał Putina. Nie miał wątpliwości, że jego obawy są zasadne, a skutek będzie zależał od jego własnej decyzji. Wstał i uklonił się prezydentowi Rosji, stwierdzając zasadnicze różnice między nim a kilkoma sobowtórami, które polowały na tygrysy, jeździły na niedźwiedziach, nurkowały w głębinach i dokonywały różnych innych brewerii. Osoba, z którą rozmawiał, była zmizerowana, ale wielce doświadczona, o ilorazie inteligencji kwalifikującym do Mensy.

Przeprowadzono go do pomieszczenia o powierzchni około pięciu metrów kwadratowych, wyposażonego w biurko i wygodny fotel. Zamknął za sobą ciężkie ołowiane drzwi, usiadł i otworzył teczkę,

którą wręczył mu Putin.

Wyrażną cyrylicą prezydent pisał:

Pańskim zadaniem jest udzielić ostatecznej odpowiedzi na następujące pytania:

Co znajduje się na satelitach Marsa, Fobosie i Dejmosie? Czy mogą to być bazy Obcych? Czy dziwne obiekty tam wybudowane dowodzą, że na obu planetoidach funkcjonują inteligentne cywilizacje? Taki pogląd reprezentują eksperci z Roskosmosu.

Czy Ziemi zagraża obecnie agresja z kosmosu? Jeśli tak, przez jaki rodzaj istot pozaziemskich? Jaki może być ich cel? Czy i jak możemy jej przeciwdziałać?

W grudniu 2016 roku otrzymałem w powyższych kwestiach opinie od grona oficjalnych konsultantów. Mniejsza o nie. Dobrze wiem, że wśród nich znajdują się nie tylko eksperci futurologicy, ale i schizofrenicy, nawiedzeni ufolodzy i dewianci. Jest ich sporo. Każdy z nich na mocy przepisów obowiązujących w Federacji Rosyjskiej zna jedynie swój wąski wycinek problemów. W ich całościowe rozwiązanie od wielu lat zaangażowane jest siedemdziesiąt instytutów badawczych, w tym trzydzieści pięć zajmujących się kontrolą umysłu. W tym oto pomieszczeniu na podstawie ich sprawozdań sporządzano zbiorcze raporty, nie pozwoliły one jednak na wyciągnięcie żadnych wniosków końcowych. Jednej pięcioosobowej komisji nie udało się osiągnąć porozumienia, inna w większym składzie przedstawiła osiem zasadniczo różnych opinii. W tej sytuacji byłem zmuszony znaleźć kogoś, kto będzie w stanie udzielić wiążącej odpowiedzi na powyższe pytania. Jediną taką osobą, o jakiej mi wiadomo, jest Pan.

Obecnie nieznaną materią, które najpierw przez blisko trzy lata opracowywano w wojskowych instytutach badawczych, a potem oddano do półrocznej konsultacji aparatowi wywiadu, stanowić będzie dla Pańskiego umysłu niebawem jedynie problem techniczny. Zbiorczy pakiet tych informacji podzielono na pliki

i skompresowano, a zostanie on Panu wtłoczony do mózgu podprogowo przez sen. Zajmie to około czternastu dni. W ten sposób stanie się Pan jedynym na świecie człowiekiem posiadającym wszystkie dane wywiadowcze i kosmiczne ZSRR, a obecnie Federacji Rosyjskiej. Gwarantuję, że technologia ta nie spowoduje u Pana zaburzeń umysłowych ani problemów zdrowotnych. Sam poddawałem się tego typu procedurom.

Ważne są okoliczności, które zmuszają mnie i Pana do podjęcia się tego zadania. Temat nie jest nowy. O ewentualności natarcia z kosmosu mówił w czasie kampanii w Korei generał MacArthur. Temat ten wkrótce podjął amerykański admirał Byrd, dowódca wyprawy wojennej na Antarktydę, a następnie prezydent Reagan. Rządowi Stanów Byrd dostarczył film, z którego wynikało, że w 1947 roku doszło do natarcia pozaziemskich statków powietrznych na amerykańską armadę.

Reagan wspominał o siłach kosmicznych i ich stosunku do spraw ziemskich w swoich prywatnych pamiętnikach. O problemie tym mówił również Gorbaczow, który wstrzymał eksplorację Księżyca. Ostatnio o zagrożeniu z kosmosu wspominał mi patriarcha Cyryl, który ma na ten temat takie samo zdanie jak papież Franciszek. Obydwaj są przerażeni. Dla hierarchów obu Kościołów sprawa okazała się daleko ważniejsza niż ponadtysiącletni rozłam. Wszyscy oni głoszą, że interwencja sił pozaziemskich na Ziemię nastąpi niebawem.

Podobnie sądził Obama. W sprawach najwyższej rangi komunikujemy się z prezydentami Stanów od kilku lat jedynie w gabinetach takich jak ten. Piszemy ręcznie na kartkach grubego papieru, odpowiednimi atramentami, z zachowaniem określonych środków bezpieczeństwa. Numerowane kartki zostały wcześniej wprawione do odpowiednich okładek. Nadesłana kartka porównywana jest przez odbiorcę do obrzeża okładki, z której została wyrwana. Dwie papierowe części muszą do siebie idealnie pasować. Taka prosta procedura wyklucza podróbki, podsłuch i szpiegostwo elektroniczne.

Na nic nie zda się tu inteligencja hakerów, którzy są w stanie złamać każdy szyfr. Piętnastowieczny system okazał się skuteczniejszy i bezpieczniejszy niż algorytmy matematyczne, liczby pierwsze i elektronika. Korespondencję z rąk do rąk przewożą wytypowani posłańcy. Obecnie trwają rozmowy na ten temat z prezydentem Trumpem, ale obawiam się, że ten człowiek, bez doświadczenia w problemach w skali makro, może nie docenić powagi problemu, póki nie przejdzie wielomiesięcznego treningu, jaki na pewno zafundują mu służby specjalne Stanów Zjednoczonych. Jeśli szybko nie pojmie warunków gry, spotka go los Kennedy'ego. Nie proszę o ponowne przeczytanie tego tekstu. Ufam, że już go Pan przeanalizował. Teczkę proszę pozostawić w tym pomieszczeniu, a po wyjściu powiedzieć oficerowi, czy zgadza się Pan podjąć rozwiązania tych problemów. Jeśli nie, proszę oddać kartę kredytową i PIN. Oszczędzi nam to zbytecznych słów. Oczywiście służby Kremla odwiozą Pana bezpiecznie do domu.

Putin

Wychodząc z Kremla, doznał wstrząsającego odczucia, że cały obiekt, w którym urzędowała głowa państwa, jest przesycony wielusetletnią esencją czystego zła i penetrowany przez siły wrogie człowiekowi. Czegoś podobnego doświadczył tylko na Łubiance. Praktyka zawodowa i inteligencja nauczyły go zawierzać swoim reakcjom.

Dostrzegł, że wszystkie, nawet najbardziej przygodne nowe znajomości Putin klasyfikował do jednej z dwóch grup - nawiedzonych lub naznaczonych. Innych wariantów po prostu nie było. Głównym czynnikiem różnicującym była ich potencjalna przydatność.

Nawiedzeni, najczęściej schizofrenicy ogarnięci monoideą, usiłowali przedstawiać mu rozmaite fantastyczne projekty, od nowego

perpetuum mobile po kolejną metodę przeprowadzania zimnej syntezy jądrowej. Wśród nich zdarzali się skończeni wariaci funkcjonujący na granicy normalności, ogarnięci pasją tworzenia pseudonaukowej fikcji. Potrafił ich odróżniać od wizjonerów obdarzonych rzeczywistym talentem twórczym. Dzięki wyczuciu i łutowi szczęścia udało mu się z otchłani biurokracji wyłowić kilku wynalazców, którzy mieli ogromne zasługi we wdrażaniu ultranowoczesnego uzbrojenia, co od czasu rewolucji październikowej było w Rosji priorytetem. Drugim było budzenie lęku we wszystkich państwach granicznych. Imperium rosyjskie od zawsze traktowało wszystkich sąsiadów, niezależnie od ich położenia geograficznego, jako wrogów. Ich terytoria sukcesywnie zajmowano, mianowano nowych władców lub gubernatorów, a ludność uciskano podatkami - po czym historia się powtarzała, bo tereny graniczące z zaanektowanymi krainami automatycznie stawały się wrogami. Dla Rosji granice po prostu nie istnieją. Jedynym wyjściem z sytuacji i niespełnionym dotąd marzeniem było jej wyłączne panowanie pomiędzy Atlantykiem a Pacyfikiem.

Do naznaczonych należeli natomiast byli zakonnicy, strażnicy więzienni, policjanci, agenci GRU i FSB, łagrownicy i tym podobni. Wszyscy oni roztaczali wokół zapach złamanego ducha i zakodowanego lęku przed karą. Tę diabelską woń Putin wyczuwał z daleka. Był to odór Bestii. Aby czuć jej stałą obecność, nie musiał widzieć jej oczu. Naznaczeni działali w obszarze czystego zła. Dobra nie rozumieli, potrafili jedynie je niszczyć. Wszelkie działania przeciwne uważali za nieracjonalne, szkodliwe i bezrozumne - a także całkowicie bezskuteczne. W ich spojrzeniu było coś, co odróżniało ich od zwykłych ludzi. Cechował ich głęboki, wewnętrzny smutek. Putin wśród naznaczonych czuł się niezwykle pewnie. Bezbłędnie wyczuwał ich oczekiwania i problemy. Byli dla niego całkowicie zrozumiali. Niekiedy brał ich w obronę lub roztaczał nad nimi parasol bezkarności. O ile nie zawiązywali spisków mających na celu pozbawienie go prezydentury, ich działania go nie interesowały. Bez

znaczenia były również wyroki za przestępstwa i defraudacje. Istotna była jedynie ich wartość dla imperium rosyjskiego.

Od czasu objęcia prezydentury Putin dokonywał zapisu każdej nowej znajomości według specjalnego własnego klucza i szyfru. Były to notatki sporządzane na maszynie do pisania, najwyżej kilkudzaniowe. Do przechowywania służył specjalnie zrobiony segregator. Jednak przypomnienie stamtąd szczegółów rozmowy i wizyty sprzed lat wywoływało na rozmówcach piorunujące wrażenie. Dowiedział się o skuteczności tej metody w trakcie jednej z wizyt zagranicznych. Stosowali ją m.in. Kissinger i D. Rockefeller. Nawet po upływie wielu lat mogli w ten sposób zweryfikować nie tylko dane osobowe, ale również wrażenie, jakie określiła osoba na nich wywarła. A co ważniejsze, do czego mogła być przydatna.

Putin zastanawiał się, jak zakwalifikować Wołkova. Przed spotkaniem dokładnie przewertował jego dossier, akta i opinie ekspertów. Musiał przyznać, że z kimś takim dotąd się nie zetknął. Po latach pełnienia urzędu wiedział jednak, że upływ czasu określi przynależność WW do jednej z grup. W najwyższych kręgach władzy nie ma miejsca na precedensy. Było jednak jasne, że Rogozin dokonał doskonałego wyboru.

Oczywiście szef FSB nie mógł się domyślać, że Putin już na początku swojej prezydentury stworzył ściśle tajny think tank złożony wyłącznie z najwybitniejszych naznaczonych, jakich poznał w trakcie służby w wywiadzie. Wszystkich uzależnił od siebie, zapewniając im warunki, o jakich wcześniej mogli jedynie marzyć. Tworzyli zgrany zespół mafijno-wywiadowczy i mieli liczne kontakty zarówno w kraju, jak i za granicą. Ponieważ umiejętność posługiwania się złem opanowali do perfekcji, ich wartość praktyczna była nieoceniona. Powołanie Wołkova miało jednak znaczenie czysto prewencyjne.

Od jednego z naznaczonych Putin otrzymał informację o narastającej fali porwań na terenie całej Rosji. Ofiarami były młode kobiety w wieku od szesnastu do dwudziestu pięciu lat. Do porwań

dochodziło najczęściej nocą, nie tylko na otwartych terenach, ale nawet w zamkniętych domach. Kobiety, które wracały na Ziemię, w stanie całkowitego załamania nerwowego opowiadały o przeprowadzanych na nich badaniach i sztucznych zapłodnieniach. Niektóre porywano wielokrotnie. Te mówiły o dzieciach, jakie rodziły w ogromnych, niezidentyfikowanych obiektach kosmicznych. Inne ginęły bez śladu. Pojedyncze odnajdywano zdeorientowane nawet kilkaset kilometrów od miejsca zamieszkania.

Niektóre z odnalezionych kobiet poddano regresji hipnotycznej w instytutach kontroli umysłu w Petersburgu, Moskwie i Omsku. Przeprowadzone badania medyczne wykazały, że mówiły prawdę. W ich ciałach wykryto obecność wszczepów dokonanych przy użyciu nieznannej nanotechnologii. Służyły one identyfikacji i działały skutecznie w środowisku wewnętrznym człowieka.

W 2016 i 2017 roku porwania zaczęły się nasilać. Ich łączna liczba przekroczyła dwa tysiące i nie można tego było tłumaczyć powiastką o zorganizowanej działalności mafii, szukającej dziewczyn do burdeli i na sekswyjazdy do krajów azjatyckich. Think tank Putina zbadał sytuację i określił ją jako skrajnie niebezpieczną dla prezydentury i wyniku najbliższych wyborów. Uznano, że sprawa jest najwyższej wagi, co oznaczało, że wszelkie dane i raporty na ten temat dostarczać należało wyłącznie do rąk własnych prezydenta, z pominięciem wszelkich innych urzędów. Zastanawiający był wzajemny brak komunikacji mailowej, listowej i telefonicznej. Zrozpaczeni krewni szturmowali urzędy, chcąc uzyskać informacje o losach porwanych. Traktowano ich wyrozumiale, przypominając, że wiele młodych kobiet w końcu się odnajduje. Łudzono nadzieją.

Putin wiedział jednak, że prędzej czy później sprawa zostanie nagłośniona, co pozbawi go szans na kolejną kadencję. Nikt w Rosji nie wybaczy najwyższemu urzędowi w państwie, że nie potrafił obronić swoich kobiet. Wicher historii zmiecie każdego nieudolnego prezydenta, który mając do dyspozycji cały aparat władzy, nie był

w stanie uchronić swoich obywateli przed porwaniami, gwałtami i eksperymentami medycznymi. Taka osoba nie może pełnić funkcji przywódcy światowego mocarstwa, a za nieudolność powinna ponieść karę. Putin wiedział, że do tego dopuścić nie może. Ministerstwo Obrony wydało więc rozkaz niszczenia bez ostrzeżenia każdego niezidentyfikowanego pojazdu latającego, jaki znajdzie się nad obszarem Rosji. Liczba porwań znacznie spadła.

Putin, który swój urząd sprawował już od wielu lat, wiedział, że historia lubi się powtarzać. Szczególnie na bezmiarze terytoriów rosyjskich. W jego gabinecie na Kremlu znajdował się stalowy sejf o wadze kilku ton. To niezwykle skomplikowane urządzenie wykonali najlepsi mistrzowie holenderscy na polecenie cara Piotra I. Posiadało kilka pokręteł liczbowych i dwa klucze. Kod znany był jedynie carom. Ostatnim, który z niego korzystał, był Mikołaj II Romanow. W zawierusze rewolucji październikowej klucze zaginęły, a Kreml znalazł się pod nadzorem funkcjonariuszy CzK. Cara z rodziną pospiesznie rozstrzelano, lecz sejf nieprzerwanie strzegł powierzonych mu tajemnic. Wielokrotnie bez powodzenia usiłowano go otworzyć. Przypuszczano, że wewnątrz znajdują się precjoza najwyższej klasy. Udało się to dopiero w 1945 roku przy użyciu nowej technologii soni i radiograficznej, w obecności Stalina, Berii i Mierkułowa.

We wnętrzu nie znaleziono żadnych klejnotów, jedynie szereg osobistych diariuszy carów i tajne raporty dotyczące spraw szczególnego znaczenia. Większość z nich, z uwagi na dezaktualizację, przekazano do instytutów historycznych. Dwa mogły mieć jednak wartość w chwili obecnej.

Pierwszym była relacja cara Mikołaja II z 1907 roku dotycząca próby szantażu ze strony istot pozaziemskich, zapewne pochodzących z Księżyca. Cara poinformowano, że w ciągu trzech lat kosmici dla osiągnięcia wyższych celów cywilizacyjnych porwą trzy tysiące młodych rosyjskich kobiet. Większość z nich nigdy nie wróci na Ziemię. Odpowiedź władcy była krótka: „Cesarstwo Rosyjskie nie

poddaje się szantażowi”. Wydano polecenie, by wojsko i policja pozostawały w nieustannym pogotowiu i strzegły ludności, rozplakatowano też obwieszczenie o hordach bandytów porywających młode kobiety. Porwania jednak trwały, szczególnie na mało zaludnionych syberyjskich obszarach. Dwukrotnie na terenie Omska ostrzelano z armat obcy obiekt, który rozpadł się, jeszcze zanim opadł na ziemię. Riposta kosmitów, która nastąpiła 30 czerwca 1908 roku, do dziś nosi nazwę katastrofy tunguskiej. Wybuch o potężnej sile zniszczył całkowicie ekosferę na obszarze tysięcy kilometrów kwadratowych. Prawie doszczętnie wyginęło wówczas plemię Ewenków. Oficjalnie powodu gigantycznej eksplozji nigdy nie wyjaśniono. Było jednak jasne, że stanowił on ostrzeżenie i pokaz mocy. Gdyby wybuch o podobnej sile nastąpił w okolicach Petersburga, z niego, Moskwy, Sztokholmu i Oslo nie pozostałby kamień na kamieniu.

Niemal równolegle uwagę w Rosji zwróciła słynna postać Rasputina. Określano go przeróżnie, w tym jako istotę o pozaziemskim pochodzeniu i niezwykłych talentach uzdrowicielskich i proroczych. Wkrótce jego usługi stały się nieodzowne dla rodziny cesarskiej, gdyż on jeden potrafił tamować krwotoki, jakie z powodu hemofilii trapiły jedyne go następcę tronu, carewicza Aleksego. Wiadomo było, że krwawienia do mózgu są w tej chorobie śmiertelne, problem rodzinny stał się więc również problemem imperialnym. Rasputin postawił carowi jeden tylko warunek – by wstrzymał działania przeciw istotom pozaziemskim. Wydano odpowiednie polecenia. Kosmici robili, co chcieli, a uzdrowiciel uzależnił od siebie całkowicie rodzinę cesarską, co przesądziło o jej tragicznych losach.

Powołanie Wołkowa miało na celu uzupełnienie brakujących elementów układanki. W polityce, tak jak w skomplikowanym rozdaniu brydżowym, pełnię informacji może mieć jedynie osoba, która z wysokości spogląda na układ kart wszystkich grających. A takimi wiadomościami Putin z nikim nie zamierzał się dzielić. Zanim zamknął

sejf, jeszcze raz spojrział do środka. Tam w osobnych kartotekach były informacje o mordach popełnionych w czasie wojny na Ukrainie, egzekucjach polskich żołnierzy w Starobielsku, Katyniu, sprawa Wallenberga. Na samym wierzchu w osobnym pudełku znajdowały się zapisy o ostatnim locie prezydenta Kaczyńskiego i o losach malezyjskiego samolotu zestrzelonego nad Ukrainą. Zamykając sejf, Putin głęboko spojrział w zielone oczy Bestii, która od lat tam mieszkała.

ROZDZIAŁ 3

w którym papież Franciszek ogląda tajne zbiory Biblioteki Watykańskiej, kustosz Carlotti opowiada o podejrzaniach Piusa XII i poznajemy prawdziwe powody abdykacji Benedykta XVI.

Kilka dni po konklawe papież Franciszek odwiedził Bibliotekę Watykańską. Obejrzał pomieszczenia i poprosił kustosza, by zaprowadził go do tajnego zbioru Secretum Omega. Tam dostrzegł siedzącego za biurkiem siwego mężczyznę, który widząc nadchodzącą postać w białych szatach i piusce na głowie, zerwał się na równe nogi.

- Wasza Świątobliwość, czym mogę służyć?

- Chciałbym zobaczyć papieski zbiór zastrzeżony.

- Dokumenty czy artefakty?

- Jedno i drugie. Czy zasoby są skatalogowane?

- Oczywiście. Moi przodkowie, rodzina Carlottich, od dwustu lat pilnowali tych zbiorów i samodzielnie je ewidencjonowali. Jan Paweł II wydał polecenie, aby w archiwaliach szczególnego znaczenia niczego nie zmieniać ani pod żadnym pozorem nie kopiować ich elektronicznie.

- Gdzie znajduje się ten spis?

- W archiwum. Ja mogę jedynie oddać klucze i wskazać, w jakiej kolejności trzeba otwierać zamki, ale główne zabezpieczenie może otworzyć jedynie Wasza Świątobliwość.

- Jak mogę tego dokonać?

- W drzwiach jest sekretna, niewidoczna zasuwka. Trzeba ją przepchnąć na bok. Wówczas odkryje się płytką z zagłębieniami. Pasuje do niej wyłącznie Pierścień Rybaka, ten, który Wasza Świątobliwość ma na ręku. Skomplikowany system zamykający Secretum Omega wykonali w okresie pontyfikatu Pawła V najlepsi

mistrzowie francuscy.

- Kto ostatnio odwiedzał zbiór zastrzeżony?

- Mój ojciec mówił, że w 1947 roku był tu kilka razy papież Pius XII, a potem wszyscy jego następcy. Najczęściej Jan Paweł II. Do końca życia, nawet jak był już stary i schorowany, kazał się tu zawozić i zabierał pisma do czytania w swoim gabinecie lub sypialni. Pamiętam, jak w 1995 roku coś nim tam do głębi wstrząsnęło. Wszedł z wnętrza blady i długo siedział przy moim biurku, dochodząc do siebie. Chciałem zawołać lekarza, ale gestem dał mi znak, abym tego nie robił. Oczywiście przychodził tu również Benedykt XVI. Ostatnim razem pozostawił dokumenty, które właśnie inwentaryzuję.

Franciszek bez trudu uporał się z zabezpieczeniami i wszedł do środka. Przez trzy miesiące codziennie zaznajamiał się z ważniejszymi pismami. Niektóre dotyczyły wydarzeń z okresu panowania dawnych władców Watykanu. Były wśród nich listy nieślubnych dzieci, tajemnice spowiedzi królów i książąt, skandale finansowe i obyczajowe, a także obfite protokoły inkwizycji. Na tych sensacjach teraz lawinowo narastał kurz zmieszany ze smutkiem minionych czasów.

Kilka spraw, szczególnie dotyczących Fatimy, miało wartość aktualną. Według załączonych akt i zeznań wiarygodnych świadków, wśród nich lokalnego biskupa, wydarzenie, które sto lat temu oglądało kilkadziesiąt tysięcy osób, miało charakter spotkania pierwszego stopnia z istotami pozaziemskimi. Niepojmowalne wówczas zjawisko, brane w powszechnym odczuciu za nadprzyrodzone, widziane współczesnymi oczyma wyczerpywało znamiona pokazu holograficznego połączonego z bliżej niewyjaśnionym fenomenem fizycznym. Ale w tamtym okresie o takiej technice nikt na Ziemi nie wiedział.

W archiwach watykańskich znajdowały się nie dziesiątki, a setki sprawozdań biskupów i kardynałów z ostatnich kilkuset lat mówiących o bezgłośnych pojazdach przemierzających niebo w dzień i w nocy.

Niekiedy toczyły one ze sobą walki i rozbijały się na Ziemi, innym razem lądowały, a z wnętrza wychodziły istoty o humanoidalnym wyglądem. Niektóre bez powodzenia usiłowały nawiązać łączność z ludźmi. Na ogół brano je za świętych pańskich. Większość sprawozdań z Kurii brzmiała racjonalnie, a w wielu wypadkach dołączano do nich szkice pojazdów i istot. Zawsze wnioskowano o stanowisko Stolicy Apostolskiej, odpowiedzi nigdy jednak nie udzielono. Temat otaczała cisza. Otrzymane pisma słowem „widziałem” parafowali liczni papieże. Z uwagi na znaczenie, jakiego mogłyby nabrać w przyszłości, kolejni kustosze włączali je do zbioru zastrzeżonego.

W Secretum Omega znajdowały się również pomieszczenia z artefaktami, które z całego świata przekazywano do Watykanu z powodu ich tajemniczości i niejednoznaczności. Niektóre pochodziły ze zbiorów osobliwości możnowładców. Wśród nich były czaszki prehistorycznych stworów oraz czerepy gigantów, kosmitów i istot z rogami i naroślami, które w żadnym razie nie pochodziły z Ziemi. Zbiór ten wzbudziłby sensację w każdym muzeum, gdyby nie zasadnicza przeszkoda – wszelkie sensowne wyjaśnienia zburzyłyby podstawy obowiązującej religii. W skrzyniach i na półkach widniały ponadto fragmenty urządzeń i szczątki rozbitych niezidentyfikowanych pojazdów wykonane z nieznanymi materiałami. W osobnym pomieszczeniu stał przypominający wrzeciono pojazd wielkości kapsuły Apollo. Był nienaruszony, jakby przed chwilą zjechał z taśmy montażowej. Opis głosił: *To urządzenie znaleziono niespodziewanie w ogrodach papieskich w okresie pontyfikatu papieża Benedykta XIII w 1725 roku i wielkim staraniem oraz w głębokiej tajemnicy przeniesiono do tego pomieszczenia, zrywając w tym celu część ściany i strop, aby ukryć je przed ciekawskimi. Następnie przywrócono budowli wygląd pierwotny, zaprzysięgając wszystkich, którzy przy tym pracowali, aby nigdy nikomu o tym nie mówili.*

Franciszek zajrzał do wnętrza. Nie było tam kabli, cięgieł, rur ani

innych technicznych elementów wyposażenia, poza trzema ergonomicznymi fotelami, przed którymi widniały monitory. Nie miał wątpliwości - był to pojazd pozaziemski, w idealnym stanie technicznym i obecnie z pewnością możliwy do zrekonstruowania. Znakomita karta przetargowa względem każdego rządu. Ale skoro stoi tu od blisko trzystu lat, niech tak zostanie. Jeśli tajemnica się rozejdzie, marines choćby podkopem wywiozą go do Stanów.

Wrócił do działu dokumentów. Interesowało go ostatnie pięćdziesięciolecie. Znalazł kopię paktu Greata Tready, podpisanego w 1947 roku z kosmitami przez prezydenta Trumana, oraz relację z tego spotkania, w którym uczestniczył biskup koadiutor Nowego Jorku, McIntyre. Zdumiewające doniesienie o podobnym kontakcie z obcą cywilizacją przesłał również do Watykanu król Szwecji Gustaw oraz kilka innych znanych osób, między innymi Einstein i Tesla.

Franciszek wrócił do Carlottiego, usiadł na fotelu na wprost jego biurka i spytał:

- Jak długo tu pracujesz?

- Prawie czterdzieści lat.

- Wspominałeś, że za twojej kadencji Secretum Omega najczęściej odwiedzał Jan Paweł II. Czy wiesz, czym się tu zajmował?

- Polski papież był tu stałym gościem i pod koniec pontyfikatu znał te zbiory jak mało kto. Badał głównie dokumenty poświęcone demonologii oraz władaniu Lucyfera w historii Kościoła. Wiele razy rozmawiał ze mną na te tematy, bo wiedział, że zagadnienie to opracowywał również mój ojciec, który był tu kustoszem w okresie pontyfikatu papieża Piusa XII. Do papieża dotarły ponoć wieści o ruchach satanistycznych wśród elit hitlerowskich i głębokim nawiedzeniu lucyferycznym prominentów NSDAP, w szczególności Hitlera, Himmlera, Hessa, Bormanna i innych. Niektórzy kardynałowie niemieccy w okresie drugiej wojny światowej informowali o tym strasznym zjawisku Rzym, ale nawet za to groziła śmierć. Szpieczy Gestapo byli wszędzie, w Watykanie również.

- Pius XII uważał dostojników hitlerowskich za opętanych przez demony?

- Dla papieża sprawa była bardziej złożona. Na końcu pontyfikatu doszedł do wniosku, że na całe Niemcy dokonano zmasowanej inwazji lucyferycznej, w wyniku której naród chrześcijański ewidentnie dostał się we władanie Szatana. Najsilniejsze złe duchy opętały elity, a słabsze zwykłych ludzi. Poddając się ich władzy i postępując zgodnie z ich nakazami, nie odróżniali oni dobra od zła, choć na własne oczy widzieli, jak dotyka ono ich bliskich. W diabelskim amoku rodzili dla Hitlera, umierali dla Hitlera i dla niego znosili kalectwo.

- To ciekawe, Carlotti. Taki pogląd stawia stanowisko kanoniczne Kurii Rzymskiej względem hitleryzmu wprost jako zrzęczenie Opatrzności. Co więcej, upatrywałoby powstanie faszyzmu w ekspansji sił zła, które na Ziemi działają od tysiącleci.

Kustosz pokiwał głową i po chwili dodał:

- Jan Paweł II poszukiwał także średniowiecznych traktatów poświęconych przyrządzaniu leku zwanego ormus - dodał. - Twierdził, że muszą się one znajdować w Secretum Omega. Owo panaceum na wszystkie choroby papież chciał opatentować i wdrożyć do produkcji. Miał to być rewelacyjny sposób na uzdrowienie obecnych trudności finansowych Kościoła. Jeśli mogę sobie pozwolić na osobistą uwagę, to uważam, że ten papież z Polski miał coś w rodzaju genetycznie uwarunkowanej obsesji na temat Rosji. Uważał, że jest to imperium ułożone na wzorcach mongolsko-mandżurskich, odgródzone rzeką krwi katolików od Zachodu. Panuje tam zupełnie inna etyka, odmienne normy, inna jest wartość słów i przyrzeczeń. Do końca życia względem Rosjan wykazywał zasadniczą powściągliwość i nieufność. Ponieważ zmiany mentalności tamtejszych władców i poddanych od kilkuset lat nie postępują, oddał ten kraj w opiekę Matki Bożej. Kiedyś widząc, że mnie nie przekonuje - w końcu jestem Włochem i Rosja jest daleko - przyniósł mi w podarunku książkę markiza de Custine Listy z Rosji. Powiedział: „Przeczytaj, Carlotti, i zobaczysz, że w Rosji od cara

Mikołaja do cara Putina nic się nie zmieniło”. Przeczytałem i wiem teraz, że zarówno autor, jak i papież mieli rację.

- Nie czytałem tej książki. Może czas na nią kiedyś nadejdzie. Ale wiem, kto ją ma. Mówiłeś wcześniej, że bywał tu również mój poprzednik, Benedykt.

- Tak. Był zainteresowany korespondencją kardynałów niemieckich z okresu wojny z Watykanem oraz aktami operacji Odessa.

- Czego dotyczą te dokumenty?

- Akcji SS, w którą, niestety, zaangażował się Watykan. Chodziło o pomoc w ucieczce elit tej formacji do innych części świata. Wydawano dziesiątki paszportów, pomagano przedostać się na statki. Mój ojciec dziwił się temu, gdyż hitlerowcy zamierzali zabić Piusa XII, a Watykan zniszczyć. Światową stolicą wiary miała zostać Ratyżbona, a bogiem nowej religii – Hitler. Z opowieści wiem, że stanowisko Kurii względem hitleryzmu rozpatrywano na jednym ze spotkań kardynalskich. Jak zwykle, na rozważaniach się skończyło. Zwyciężyło chrześcijańskie miłosierdzie. Nie mnie jednak o tym sądzić. W 1944 roku Pius XII powiedział, że Niemcy nie są w stanie zagrozić Watykanowi. Jedyne, co mogą zrobić, to zastraszyć, porwać i zabić jego samego. Z historycznego punktu widzenia będzie to tylko drobny epizod, papieństwo zaś, jako dzieło Boże, jest wieczne. Bóg niewątpliwie nie opuścił Piusa w tych bardzo trudnych dla Watykanu czasach.

Papież Franciszek skierował się do działu manuskryptów i odszukał wskazane przez Carlottiego pozycje. Postanowił zabrać je ze sobą i spokojnie przeczytać wieczorem w łóżku.

Jego uwagę przykuło leżące na stoliku Carlottiego opracowanie oprawione w nową koszulkę z sygnaturą, herbem papieża Benedykta XVI i jego inicjałami na okładce. Widocznie czekało na ostateczne oznakowanie przed umieszczeniem w segregatorze. W środku znajdowały się dwie kartki zapisane zielonym atramentem, jakiego

stale używał jego poprzednik na stolcu Piotrowym.

Przeczytał preambułę:

Ja, Benedykt XVI, jako były prefekt Kongregacji Nauki Wiary zawiadamiam, że moja decyzja o ustąpieniu ze stanowiska papieża wynika z oporu części hierarchii wobec organizacji soboru poświęconego najważniejszym zagadnieniom naukowym dwudziestego i dwudziestego pierwszego wieku, których zgodność z prawdami wiary Kościół katolicki zobowiązany jest rozpatrzyć. W epoce komputerów dalsze trzymanie się koncepcji ukształtowanych w wieku dziewiętnastym i wcześniej staje się kuriozalne. Drogą elektroniczną każdego dnia docierają do nas z całego świata wieści o odkryciach, których prawdziwość nie może być kwestionowana. Wśród nich są informacje dotyczące inteligentnego życia w kosmosie.

Najbliższy sobór musi rozważyć i podać do powszechnej wiadomości stanowisko Watykanu względem istot pozaziemskich, także w aspekcie demonologicznym. Należy również rozważyć zagadnienia związane z minioną historią Ziemi i zamieszkującymi ją wcześniej cywilizacjami. Najważniejsze pytania, przed jakimi stoi Kongregacja, zawarłem poniżej w dziesięciu punktach. Udzielenie na nie odpowiedzi twierdzących oznaczać będzie konieczność napisania historii cywilizacji, w tym chrześcijaństwa, na nowo.

Franciszkowi zrobiło się duszno, gdy czytał sformułowane przez Benedykta XVI pytania, stanowiące zapewne wynik jego wieloletnich obrad i rozmów z noblistami i naukowcami różnych dyscyplin. Skoro owe fundamentalne kwestie rozważał najwyższy organ Watykanu, musiał działać za wiedzą i zgodą – chociażby milczącą – poprzednich papieży.

Czy będące w naszym posiadaniu szczątki biologiczne istot różniących się od człowieka współczesnego są z nimi genetycznie

powiązane?

Czy teoria Darwina dotyczy również człowieka współczesnego, czy w naszym wypadku jest jedynie jedną z hipotez?

Czy aktów stworzenia dokonywano wcześniej wielokrotnie z różnych materiałów ziemskich? Jeśli tak, kiedy się to odbyło?

Czy w naszym DNA można znaleźć ślady wykonywania zbiegów zamykania i otwierania sekwencji?

Jak wytłumaczyć fakt niestęchanie szybkiego rozwoju języka, wiedzy, techniki oraz norm moralnych i religijnych w różnych częściach świata po kataklizmach ziemskich?

Dalsze pytania miały mniejszą wagę. Na końcu pisma znajdował się ważny akapit:

Udzielenie odpowiedzi na powyżej sformułowane pytania wymaga stworzenia nowego paradygmatu prawdziwych dziejów Układu Słonecznego, planety Ziemi i powstania człowieka. Jako były prefekt Kongregacji i jako papież uważam, że od odpowiedzialności tej Kościół nie będzie mógł uciec. Brak stanowiska odwróci od nas wiernych, a rząd dusz obejmą masoni i Nowy Porządek Świata. Jeśli tak się stanie, mój następca będzie ostatnim ojcem Kościoła katolickiego w historii. Dlatego wybieram abdykację.

Benedykt XVI, papież

Wiadomości zgromadzone w tajnym archiwum przytłaczały nawet tak wytrawnego jezuitę, jak Franciszek, którego nauczano, że słuszne i prawdziwe jest to, co służy Towarzystwu Jezusowemu. Taka jest natura tego zgromadzenia, w zależności od położenia wahadła dziejów oscylującego pomiędzy gnozą chrystusową i lucyferyczną.

W tym momencie Opatrzność mrugnęła do Franciszka z niebios

równie przewrotnie, jak to czyni z trójkąta na banknocie jednodolarowym.

Największy teleskop na świecie, zwany Wielkim Teleskopem Lornetkowym, jest własnością Watykanu i znajduje się na górze Mount Graham położonej w pobliżu Tucson we wschodniej części stanu Arizona. Ten ogromny obiekt, wyposażony w dwa lustra o średnicy niemal ośmiu i pół metra oraz zielone lasery o mocy osiemnastu watów, wzniesiono w 2005 roku kosztem stu osiemdziesięciu milionów dolarów. Nowoczesne obserwatorium umożliwiające badanie przestrzeni kosmicznej w podczerwieni obsługuje sześćdziesięcioosobowy personel. Sporadycznie udostępnia się je naukowcom z kilku uniwersytetów. Tylko po to, żeby obiekt mógł mieć status międzynarodowego.

Nie wiadomo, czy za zgodą papieża Jana Pawła II, czy też bez niej, urządzenie ochrzczono imieniem Lucyfera, patrona masonów. Zarząd nad obiektem od samego początku sprawują wyłącznie jezuici, a dyrektorem jest Guy Consolmagno. Wyniki badań spływają wprost do centrum astronomicznego w Castel Gandolfo. Oczywiście są tajne. Zdumiewająca jest jedna z ostatnich wypowiedzi Consolmagny, który wprost ogłosił, że „niedługo narody zwrócą się ku Obcym w sprawie swojego zbawienia”. Watykański profesor Tanzella-Nitti niczym echo odpowiedział, że „w momencie, gdy Obcy ujawnią się ludziom, dotychczasowa Ewangelia będzie wymagała reinterpretacji”. Wszystko to wyglądało na próbę dokonania istotnych zmian, a może wręcz przewrotu wewnątrz Kościoła.

Wypowiedzi te były niczym wybuch serii granatów pod brzuchem chrześcijaństwa. Jakby mniej ważne były inne napomnienia płynące z Watykanu. Pojawiały się głosy, że albo oni – ci gwiazdni – będą chrzcić nas, albo my ich.

Co jak co, ale właśnie Watykan stanął na wysokości zadania po tym, jak biskup McIntyre był świadkiem spotkania prezydenta Trumana z kosmitami. Wywołało ono w Stolicy Piotrowej prawdziwe

trzęsienie ziemi. Zdecydowano, że aby pojąć cele obcych sił, należy dysponować niezależnym źródłem informacji o wszystkim, co dzieje się w kosmosie. Sześciu kolejnych papieży borykało się z tym problemem. Najbardziej pragmatyczny okazał się Jan Paweł II. To właśnie mocą jego decyzji przystąpiono do budowy największego teleskopu na kuli ziemskiej, trzysta sześćdziesiąt razy silniejszego niż wszystkie inne będące w powszechnym użytkowaniu. Z tą samą sprawą zmierzyć się teraz musiał papież Franciszek. Dane uzyskane z obserwacji kosmicznych od jezuickiego wywiadu watykańskiego SIV i z innych źródeł pozwoliły urzędującemu papieżowi wysnuć kilka ponurych wniosków. Po pierwsze, istoty pozaziemskie niewątpliwie istnieją. Ich intencje wobec Ziemi są różne. Pochodzą z różnych wymiarów równoległych i różnoczasowych, ale nie sprzęgających się. Nie liczą się z ziemską fizyką i stosują inne prawa. Nasze możliwości intelektualne i percepcyjne nie pozwalają nam z nimi obecnie współistnieć. Fenomen ten po prostu wykracza poza nasze zrozumienie.

Franciszek był przygnębiony. Wnioski badaczy były jednoznaczne. Zastanawiał się, jaki cel mają powszechne dziś niemal naloty sił pozaziemskich, utrwalone na tysiącach zdjęć, filmów i w relacjach naocznych świadków, osób o nieposzlakowanej uczciwości i przy zdrowych zmysłach. O serce i umysł papieża dobry, znany Bóg toczył walkę z nowym, z roku na rok oddziałującym ze zwiększającą się siłą.

Władcą Watykanu i przedstawicielem Boga na Ziemi nie zostaje się przez przypadek. Współdziałają tu czynnik boski i ludzki. Takie okoliczności oraz objęte stanowisko odmieniają świadomość każdego papieża. Franciszek doszedł do wniosku, że manifestacje sił pozaziemskich nie muszą mieć charakteru inwazji. Równie prawdopodobne było, że dążą one do tego, by zaprowadzić na Ziemi system, który pozwoli im kontrolować i dla własnych celów przewrotnie wykorzystywać ludzi. A warunkiem koniecznym powodzenia ich planu będzie wyparcie Boga w tej postaci, w jaką

wierzą miliardy ludzi.

Franciszek, głęboko zamyślony, krążył po alejkach papieskich ogrodów w Watykanie, usiłując pogodzić to, w co wierzył jako kapłan, z tym, co narzucała mu rzeczywistość. Zrobiło mu się żal siebie samego. Nie mógł liczyć na ulgę, jakiej doznają chociażby lekarze, którzy analizują własne wyniki badań. Znał słabość natury ludzkiej i wiedział, że jeśli problem Obcych będzie nadal narastał równie gwałtownie, stary Bóg będzie szkalowany i ośmieszany. Będą go winić za całe zło. Siły pozaziemskie ukążą się jako posiadające prawdziwie boskie możliwości, a ludzkość z ich pomocą zapragnie urzeczywistnić kolejną utopię.

Podobno każdy umiera w samotności. W równej samotności latami żyją papieże.

Benedykt XVI, znakomity teolog, był jedynym papieżem w historii, który dobrowolnie abdykował. Przyczyną nie był ani wiek, ani stan zdrowia. Nie chciał on być zwierzchnikiem Kościoła, który wiernym zakomunikuje o konieczności dokonania przewartościowania w chrześcijaństwie i nauce. Ustąpił, a straszliwą spuściznę złożył na barki następcy, dołączając listę kilku pytań podstawowych. Franciszek, gdyby znał chociaż część tego ciężaru, jaki na nim spoczął, nigdy by się nie ruszył ze spokojnej Argentyny.

Teraz po raz pierwszy w historii spotykać się mogli stary i nowy papież. Benedykt XVI znał stan wiedzy dotyczącej kosmitów z okresu swojego pontyfikatu, oszczędzono mu jednak nowinek z ostatnich kilku lat. Mimo to Franciszek chciał zadać mu kilka pytań kanonicznych.

Spotkali się w ustronnym zakątku Ogrodów Watykańskich. Zaczął Franciszek:

- Znasz problem istot pozaziemskich, miałeś wiele lat, aby go przemyśleć. Jak sądzisz, co nas czeka?

Benedykt odpowiedział bez zastanowienia:

- Myślę, że obecne wydarzenia stanowią zapowiedź nadejścia

Antychrysta. Wiara ludzi jest na ogół powierzchowna i łatwo ulegają oni wpływowi. Istnienie potężnych Obcych uznają za dowód, że Boga nie ma. Przybysze z kosmosu będą chcieli im wpoić jedną uniwersalną religię, wmawiając, że to oni są naszymi stwórcami i dla naszego dobra tysiącletniami modyfikowali nas genetycznie, oczywiście na swoje podobieństwo. Mówi o tym zresztą już Apokalipsa i listy do Tesaloniczan. Moim zdaniem szybkim krokiem nadchodzi Bestia.

- Wiara powinna być nieprzejednana. Umierajmy pospołu - jak mówi powiedzenie, Bóg rozpozna swoich.

- Oczywiście, że rozpozna - odpowiedział Benedykt. - Jezus umarł na krzyżu tak samo za niewierzących, masonów, iluminatów, satanistów i heretyków, jak za ciebie i za mnie. Uważam, że nie mamy wyboru. Trzeba czekać.

- Jeśli nic nie zrobimy, o niczym nie zdecydujemy, Antychryst opanuje Ziemię.

- On już tu jest, ale jego spektakularne nadejście nie nastąpi w chwale. Moim zdaniem dojdzie do kolejnej kosmicznej bitwy. Jej echo dźwięczy w historii ludzkiej.

- A więc nadchodzi konflikt?

- Tak. Dotknie przede wszystkim nas samych, ale i naszych popleczników, bo podobno wśród istot pozaziemskich mamy i takich. Jak widzisz, wydarzenia toczą się szybko. Według proroctwa końcowi świata towarzyszyć będą wydarzenia przerażające. Zacznie się od wielkiego nadejścia Antychrysta, a zakończy Sądem Ostatecznym po zniszczeniu ziemi w takiej postaci, jaką znamy obecnie, co nastąpi po trzech dniach ciemności. Wszystko to zostało przewidziane. Przecież wiesz. Taki jest sens Apokalipsy.

- A więc koniec świata i eksterminacja rodzaju ludzkiego? - spytał Franciszek.

- Nie wiadomo. Wiele lat temu w poprzedniej rozgrywce w naszym Układzie Słonecznym wojska Archaniola Michała przegrały starcie z Lucyferem. W wyniku walk całkowitemu zniszczeniu uległa planeta

Faeton, po której pozostał jedynie pas planetoid. Z uwagi na utratę atmosfery i niekończące się walki wewnętrzne wyludnienie dotknęło Marsa. Nieliczni uciekinierzy dotarli na Ziemię i są tu nadal. Dawno temu miałem z nimi kontakt, ale nie chcę o nim mówić. Na pewno wiedzą o tym więcej. Ich dziełem są drążące Ziemię korytarze umożliwiające komunikację między kontynentami. Znali wagę problemu i opracowali metody obrony przed atakiem z kosmosu.

- Kim właściwie jest Lucyfer? Co o nim wiemy?

- Niesłychanie mało, a i to może mieć charakter mitu bądź legendy. Wiedzę o nim celowo utrzymuje się w głębokiej tajemnicy, a jej źródła sięgają odległego okresu jeszcze przed stworzeniem człowieka.

- Musiała być przekazywana całymi pokoleniami. Czy wiadomo, przez kogo?

- Nie lubię tego mówić, ale nie pochodzi ona ze źródeł watykańskich. Poznałem niedawno tekst *Księgi Urantii*, osobliwego dzieła opublikowanego w 1955 roku. Nie narusza ono podstaw chrześcijaństwa, ale wykazuje odmienności. Są tam wzmianki o buncie Lucyfera, jak również szokujące zapisy o Chrystusie i jego losach w czasie trzyletniej wędrówki po różnych częściach świata, jaką odbył z hinduskimi joginami. Takich informacji nie ma w żadnych innych źródłach. Nie mówią o tym dostępne Ewangelie.

- Jeśli dobrze rozumiem, w dziełach kanonicznych nie ma prawie żadnych zapisów o samym Lucyferze. Jedynie lakoniczna wzmianka o tym, że Lucyfer jest zwierzchnikiem Szatana. Benedykcje! Chciałbym tę Księgę przeczytać. Pożycz mi ją na kilka dni.

- Przyniosę ci ją przy najbliższej okazji. A właściwie lepiej będzie, jak każę moim klerykom złożyć ją w twoim sekretariacie. Zastrzegam, że to blisko dwa tysiące stron w czterech rozdziałach. Nie wiem, czy znajdziesz czas, aby ze wszystkim się zapoznać. Jest tam wiele zapisów mogących szokować, szczególnie tych, którzy nie mają wiedzy i doświadczenia w interpretacji takich problemów.

- Będę musiał.

- Też tak sędzę. Wszystko, co się z nim łączy, dotyczy Urantii, jak niegdyś nazywano Ziemię. Lucyfer jest tam przedstawiony jako jeden z Synów Bożych. Stał on najwyżej w niebiańskiej hierarchii i uzyskał prawo do przebywania obok tronu bożego. Uważano go za osobowość genialną, duchowo i intelektualnie przewyższającą wszystkie inne byty. Przewodził systemowi gwiazdnemu o nazwie Satania, w którego skład wchodził również nasz Układ Słoneczny. Uległszy samouwieleniu i pysze, Lucyfer ogłosił się równym Bogu. Zadeklarował niepodległość i mianował się suwerennym władcą swojego imperium, poddanym przyznając prawo do samostanowienia. Innymi słowy, wszczął rewolucję w skali galaktycznej. Wśród buntowników znalazł się stronnik Lucyfera, Caligastia, władca przedpotopowej Urantii. Doszło do wojennego starcia przeciwstawnych sobie sił. W wyniku strasznych walk wojska niebiańskie pod dowództwem Archanioła Michała były bliskie porażki. W tej dramatycznej sytuacji osobiście interweniował Bóg. Za karę wszystkich rokoszan skazano na banicję na Ziemi. Caligastię - utożsamianego z Szatanem - władzy nad Ziemią pozbawił Chrystus w słynnej scenie kuszenia na pustyni.

- Czy wiesz coś więcej na temat powstania *Księgi Urantii*? - spytał Franciszek.

- Spisano ją w niezwykłych okolicznościach, jakby żywcem starotestamentowych.

- Co masz na myśli? Dziwnie to brzmi w ustach byłego prefekta papieskiej Kongregacji Nauki Wiary, eksperta badającego obszary najtrudniej definiowalne, częstokroć dwuznaczne i zagadkowe.

- Przekaz odbywał się w stanie snu lub letargu, tak jak w wypadku Mahometa i Koranu. Treść podyktowano słowo w słowo człowiekowi, którego nazwiska nie znamy. Nie ma żadnej wątpliwości, że nie był on prorokiem, i nigdy go tak nie przedstawiano. Po obudzeniu, podobnie jak amerykański wizjoner Cayce, nie pamiętał niczego. Nie miał

również żadnej wiedzy o zagadnieniach, które swobodnie poruszał we śnie, a była to problematyka najwyższych lotów uniwersyteckich, trudna do zrozumienia nawet dla ówczesnych akademików, którym zapis ten ujawniono w najdrobniejszych szczegółach. Nie wiemy, kto nadawał ów przekaz, ale jednoznacznie polecił ujawnić wszystkie treści społeczeństwu.

- Czy dotyczyły tylko wiary?

- Skądże. Były tam również bardzo precyzyjne wiadomości z wielu dziedzin akademickich, niektóre w tamtym okresie zupełnie niezrozumiałe. Część potwierdzono po dwudziestu latach, wiele nadal stanowi zagadkę dla nauki i niewątpliwie ją wyprzedza. Możliwość zrozumienia przekazu została zatem celowo uzależniona od stanu naszej wiedzy w przyszłości.

- Czy ty to rozumiesz?

- Moim zdaniem zamysł był boski i boska była jego realizacja. Innego wytłumaczenia nie mam. Inaczej musiałbym złożyć akt apostazji.

- Ale bliższych informacji na temat Lucyfera w *Księdze Urantii*, jak rozumiem, nie ma?

- Niestety. To tajemnicza postać ukryta za szeregiem zasłon. Więcej mówi o nim gnoza lucyferyczna, będąca zaprzeczeniem i odwrotnością dziesięciu przykazań. Mam powody sądzić, że chce on odzyskać panowanie nad Ziemią. Aby tego dokonać, musi zwieść ludzi i sprawić, by odrzucili religię objawioną przez Chrystusa. Wówczas odkupi swoje winy, a my za zdradę boskich praw poniesiemy zasłużoną karę. Jak widzisz, to front walki, na którym Lucyfer wykonuje jedynie powierzone mu zadania. Nie musimy tego rozumieć. Odległy cel takich wydarzeń znany jest jedynie Bogu.

- Wiedza o przeszłości Lucyfera przekazywana jest wybranym od ponad dwóch tysięcy lat, lecz potrafi być bardzo zwodnicza. Któż może wiedzieć coś pewniejszego?

- Lucyfer objawia się ponoć czasem najwyższym mistrzom

masońskim. Oprócz Boga tylko oni mogą wiedzieć coś więcej - powiedział Benedykt. - Nie wiem jednak, czy takiej właśnie wiedzy się spodziewasz - dodał z naciskiem. - Chyba że kiedyś w przyszłości zostanie nam objawiona cała prawda. A tego wykluczyć nie można.

ROZDZIAŁ 4

w którym nowo wybrany prezydent Stanów Zjednoczonych dowiaduje się, z jakim problemem przyjdzie mu się zmierzyć.

W pierwszym dniu urzędowania nowo wybranego prezydenta Stanów Zjednoczonych odwiedziło w Gabinetcie Owalnym dwóch mężczyzn. Starszy, w mundurze generalskim, reprezentował połączone siły zbrojne. Młodszy, ubrany w dobrze skrojony garnitur, był głównym szefem agencji wywiadu. Na ich widok prezydent zrobił minę, jakby przeżuwał nieświeży kebab. Przełykając ślinę, spytał krótko:

- Z czym przyszłście?

- Panie prezydencie, czy znalazł pan list od poprzedniego gospodarza tego gabinetu? - odpowiedział pytaniem młodszy z mężczyzn, Anderson.

- Nie, nic o nim nie wiem!

- Czy nie otwierał pan w ogóle głównej szuflady prezydenckiego biurka?

- O co wam, do cholery, chodzi? - zirytował się prezydent.

- Proszę to zrobić - odezwał się generał O'Hara.

Trump gwałtownie otworzył szufladę, niemal wyszarpując ozdobny uchwyt. Wewnątrz leżał zapieczętowany list opatrzony nagłówkiem *Od 44 do 45*, a obok klucz o wymyślnej formie. Chciał otworzyć kopertę, lecz usłyszał ostry głos szefa wywiadu:

- Nie może pan tego czytać tutaj!

- Czy wyście obaj powariowali?

- Panie prezydencie, musi się pan poddać procedurom tajności. Jesteśmy tu chronieni przed podsłuchem elektronicznym, ale w sprawach najwyższej wagi tym zabezpieczeniom nie można ufać.

- Co wy mi tu pieprzycie? - zagrzmiał Trump. - Jeśli Gabinet

Owalny nie jest bezpieczny, Obama powinien był was dawno wyrzucić na zbity pysk!

- Panie prezydencie, nie ma potrzeby się unosić. Wszyscy służymy jednemu państwu. Za chwilę zjedziemy do innego pomieszczenia, dwadzieścia pięter niżej, gdzie odbywają się najważniejsze narady. Znajduje się tam też pokój prezydencki, a w nim sejf. O szczegółach jego otwarcia mówi list. Jest przeznaczony jedynie dla pańskich oczu. Od czasów Waszyngtona każdy prezydent zostawia taki swojemu następcy.

- Po waszych minach widzę, że się od tego nie wywinę. Poza tym jestem ciekaw, co mój poprzednik ma mi do przekazania. Jeśli w ogóle cokolwiek, w co mogę uwierzyć. Cały czas miałem i mam wątpliwości, kim ten człowiek jest naprawdę. Przecież prawie nikt go nie znał przed 2008 rokiem. I nagle z niczego dokonał skoku na sam szczyt. Chodzi mi o jego tajemniczą proweniencję, niezrozumiały brak aktu urodzenia, publiczne przyznanie się do wyznawania mahometanizmu w okresie walki z islamistami, tajemnicze powiązania z Saudami. Jednakże jego elekcja na stanowisko prezydenta USA to dowód na skoordynowany wpływ potężnych sił o nieprzebranych mocach finansowych. Takie ma tylko światowa masoneria. Ale to inna sprawa. Chodźmy zatem do tych piwnic. Jak nazywacie to pomieszczenie?

- Pokojem mrocznych tajemnic - odparł Anderson. - Jest wyłożony ołowianymi płytami i chroni przed wszelkimi znanymi metodami podsłuchu. Sposób jego wykonania podpowiedział prezydentowi Reaganowi papież Jan Paweł II.

Gdy jechali windą, Trump powiedział cicho:

- Jedziemy długo i powoli. Dlaczego?

- Pokój mrocznych tajemnic mieści się sto osiemdziesiąt metrów pod ziemią. Na wypadek ataku na Biały Dom prowadzą z niego korytarze do ośrodków ewakuacyjnych. Na każdym piętrze osoby jadące windą weryfikowane są elektronicznie pod kątem posiadania certyfikatu bezpieczeństwa Rhyolite, koniecznego, aby zostać

wtajemniczonym w najważniejsze sprawy państwa. Takich zabezpieczeń jest zresztą więcej.

Pomieszczenie było chronione zarówno przez warty, jak i różne wymyślne urządzenia. Gdy weszli do środka, O'Hara powiedział:

- Tutaj może pan bezpiecznie otworzyć list.

Trump rozerwał kopertę. List był krótki:

Wejść do pokoju prezydenckiego i stań przed okienkiem sejfu, który zeskanuje twoją tęczówkę i linie papilarne dłoni. Oficerowie, którzy tu z Tobą przyszli, posiadają po jednym kluczu do sejfu. Jeśli weryfikacja biometryczna zakończy się powodzeniem, otworzą się w nim szczeliny, w które będzie można włożyć klucze. Po przekręceniu zamków oficerowie wyjdą z pomieszczenia prezydenckiego, a Ty będziesz mógł otworzyć ostatni zamek.

Postąpił zgodnie z instrukcją. W sejfie w porządku chronologicznym jedne na drugich spoczywały listy, które swym następcom zostawiali wszyscy prezydenci Stanów Zjednoczonych. Trump wziął leżący na wierzchu list do ręki. Liczył kilka stron. Na pierwszej stronie dużymi literami napisano:

Radzę Ci przeczytać wszystkie listy, od pierwszego do ostatniego. Jest w nich mowa o sposobach rozwiązywania najgroźniejszych konfliktów oraz o tajemnicach, których korzenie giną w mrokach dziejów i które trwać będą długo po tym, jak Ciebie zabraknie. Uważam, że najważniejszym zagrożeniem, z jakim przyjdzie Ci się zmierzyć podczas prezydentury, będzie inwazja istot pozaziemskich na naszą planetę. Jeśli to nastąpi, będziemy świadkami zagłady rasy ludzkiej. Musisz w tej sprawie utrzymywać stały kontakt z prezydentem Putinem. Jest dobrze zorientowany i posiada aparat wojskowy, który chce współdziałać. Porozumiewaj się z nim wyłącznie osobiście, w pomieszczeniach chronionych tak jak to, lub pisemnie,

przez wybranych posłańców. Obok tego listu w czerwonej kopercie znajduje się szczegółowa instrukcja postępowania, którą również zna prezydent Rosji.

Nie wierz, że FBI, CIA albo wojsko ochronią ludzkość dzięki wywiadowi elektronicznemu, wyższej matematyce, algorytmom czy liczbom pierwszym. To kłamstwo. Dawno już oglądaliśmy filmy, w których tajne wojny przeistaczały się w publiczne katastrofy. One z urzędu zmiatają każdego. Powinieneś wiedzieć, że ogromna większość prezydentów Stanów Zjednoczonych była masonami, na ogół najwyższych stopni, a od Eisenhowera przemożny wpływ na ten urząd wywiera także przemysł zbrojeniowo-obronny.

O szczegółach dotyczących podsłuchu prowadzonego przez istoty pozaziemskie powiedzą Ci oficerowie, z którymi przyszedłeś do tego oto pomieszczenia – pokoju naprawdę mrocznych tajemnic. Wiedz, że nad naszą administracją znajduje się wyższy rząd, który ma sprawdzone sposoby na kontrolę amerykańskiej państwowości i ONZ-etu również. Mówię to z całym przekonaniem, ponieważ uważam, że na wstępie swojej prezydentury powinieneś poznać sytuację, w której się znalazłeś. Nie zazdroszczę Ci jej, a nawet współczuję! Teraz porozmawiaj o tych problemach z oficerami, a potem – dla ochrony własnej prezydentury – przeczytaj wszystkie listy. W ten sposób wypełnisz swą misję i uzyskasz wiedzę swoich poprzedników o wielu zagadnieniach kluczowych dla pełnienia władzy. Po zamknięciu sejfu odbierz oficerom klucze i dobrze je zabezpiecz. Oddasz je ostatniego dnia prezydentury następnym szefom wywiadu i armii.

List podpisany był odręcznie przez poprzedniego prezydenta.

Nie da się ukryć, że wstrząsnął on Trumpem. Do tej pory na ten temat docierały do niego tylko bajeczki o niezidentyfikowanych obiektach latających i dziwacznym ruchu Disclosure prowadzonym przez obszarpańców w przyciasnych sweterkach. Ale na tym poziomie utajnienia i w tym pomieszczeniu możliwość inwazji istot

pozaziemskich trafiła go jak grom. W jego życiu pojawił się obszar, w którym nie miał żadnego rozeznania. Nie był do tego przygotowany. I nie mógł przed tym uciec.

Obama, choć popapraniec, nie był idiotą i przez dwie kadencje posiwiiał i schudł. Odwrotnie niż jego żona. Jeśli następcy tak przedstawia sprawę istot pozaziemskich, daje mu tym samym do zrozumienia, że jego najważniejszym problemem nie będą Chiny, Izrael, Syria, Korea Północna czy stosunki z Unią Europejską. Wielu speców musiało nad tym łamać głowę dniami i nocami. Co to może oznaczać dla nowego prezydenta? Ano to, że trzeba zapomnieć o obietnicach wyborczych i zająć się tym pieprzonym problemem. Żaden mur graniczny z Meksykiem, żadne rozmowy z Europą. Trzeba zamieść problem chiński pod dywan i po prostu ratować dupę. On, Trump, ma jaja, ale zanim to pokaże, musi zrozumieć, na czym polega główny problem.

Wrócił do oficerów i po chwili dość spokojnie powiedział:

- Mój poprzednik zdaje się uważać, że najważniejszym zadaniem mojej prezydentury będzie kwestia inwazji z kosmosu na Ziemię. Wiecie coś o tym?

Pokiwali głowami. Generał wyjaśnił:

- Kosmici od stuleci prowadzą obserwację Ziemi. Twierdzą, że są jej właścicielami, a my tylko kolejnym gatunkiem, którym ją zasiedlili. Uważają, że ten eksperyment genetyczny ma się ku końcowi.

- Czym się im naraziliśmy? - spytał Trump.

- Do końca nie wiadomo. Teorii jest wiele. Jest nas zbyt dużo, toczymy wojny z użyciem energii jądrowej, zwiększa się zanieczyszczenie gruntu, wody i powietrza, a my nic nie robimy, aby zatrzymać dewastację planety. Nie powołaliśmy rządu światowego i każde państwo robi, co chce, z niczym się nie licząc. Nie wdraża się uchwał ONZ-etu ani porozumień klimatycznych i ekologicznych.

- To prawda. Każdy żre, ile może, wydała, gdzie chce, potrzebuje energii elektrycznej i paliwa do samochodu. Jak sądzicie, co będą

próbować z tym zrobić?

- Mogą dążyć do tego, by zredukować liczbę ludności. Według naszych szacunków nawet o osiemdziesiąt procent, do jakichś finalnych trzystu lub czterystu milionów.

- Jaką drogą?

- Pandemią. Jakiś nowy AIDS, SARS czy ptasia grypa. Sądzymy, że wypuszczali już na nas różne choroby, chociażby hiszpankę, która w czasie kilku tygodni zebrała w Europie więcej ofiar niż pierwsza i druga wojna światowa razem. Wcześniej była też czarna ospa, wcale nie mniej skuteczna.

- Okay, rozumiem. Jak ochronić naszych? - spytał rzeczowo prezydent.

- Póki nie poznamy patogenu, nie będziemy tego wiedzieć. Z naszych symulacji wynika, że szanse na ocalenie będą mieli jedynie mieszkańcy małych wysp i wysokogórscy pasterze w Tybecie i Andach.

- Kto może mieć bliższe informacje o zamierzeniach tych istot?

- Chyba tylko papież i Dalajlama, a może i mnisi z góry Athos. Od dziesiątków lat utrzymują oni kontakty z kosmitami, czasem nawet goszczą ich w swoich rezydencjach.

- Nie mieści mi się to w głowie - oburzył się Trump. - Przecież jeśli kosmici zdecydują się wprowadzić w życie plan wyludnienia Ziemi, ofiarami mogą paść również oni sami!

- Wszystko to są tylko przypuszczenia. Nie wiemy, czy zdecydowali już o naszym losie ani jaki dokładnie mają do nas stosunek - czy traktują nas bardziej po rodzicielsku, czy raczej tak jak my bydlę gospodarskie. Wśród nich także znajdują się jednostki nastawione bardziej lub mniej przyjaźnie, znacznie różniące się między sobą intelektem, wiedzą i pod wieloma innymi względami.

- Co wiemy o ich wyglądzie? - zainteresował się Trump.

- Niestety, niewiele. Mają umiejętność przyjmowania ludzkiej postaci. Większość z nich jest humanoidalna i pozornie niczym się od nas nie różni, z wyjątkiem odmienności w budowie czaszki, oczu bez

żrenic, składu krwi oraz budowy serca i płuc. Niektórzy u rąk mają po sześć palców, spiętych szczątkową błoną pławną. Różnią się od nas przede wszystkim sposobem komunikacji i odżywiania. Między sobą porozumiewają się wyłącznie telepatycznie. Większość zapewne ma wszczepione elektroniczne czipy. Ciało uważają za tymczasowe opakowanie. Niektórzy wierzą w Boga i reinkarnację. Z tego względu nie boją się śmierci.

- Wiecie, gdzie mają swoje bazy?

- Naziemnych jest kilka, między innymi na Alasce i w Australii, ale istnieją również bazy podziemne i podwodne o nieznanych lokalizacjach. No i te na Księżycu i satelitach Marsa.

- Przed chwilą mówiliście, że te istoty znacznie się między sobą różnią. Czy mam przez to rozumieć, że dzielą się na różne gatunki lub rasy?

- Tak, wiemy o ponad trzydziestu rasach pochodzących zarówno z naszej Galaktyki, jak i innych. Otrzyma pan pełny raport na ten temat.

- Czy możemy im przywalić tak, że się od nas odpieprzą? - chciał wiedzieć Trump.

- Robiliśmy takie próby, ale ofiarami padały tylko bioroboty Szaraki i pojazdy zwiadowcze. Statki, w których na stałe przebywają Obcy, mają wielkość ziemskich miast i są poza naszym zasięgiem. Niedawno w pobliżu Słońca zaobserwowaliśmy czerpiący z niego energię obiekt o średnicy około dwóch tysięcy kilometrów. Gdy skończył tankować, ruszył, zmieniając kierunek w sposób świadczący o tym, że nim inteligentnie sterowano. Był większy od Francji i schronił się za Słońcem.

- Mówicie, że kosmici są też na Księżycu?

- Zgadza się, panie prezydencie. Mają tam ogromne bazy, stacje naprawcze i inne obiekty, w większości po stronie niewidocznej z Ziemi.

- Oczekuję kompletnego raportu na ten temat. Zwięzłego

i zrozumiałego - zażądał Trump.

- Oczywiście, raport jest już od dawna gotowy. Niestety, liczy około dziesięciu tysięcy stron. Prezydent Obama go przeczytał, lecz lepiej by było, gdyby przeszkolił się pan w technikach psi. Pozwoli to panu wszystko bardzo szybko i bez wysiłku pojąć i zapamiętać, w dodatku podczas snu.

- Na czym to dokładnie polega?

- Na podprogowym przekazywaniu i zapamiętywaniu danych. Umiejętność tę ćwiczył z powodzeniem pański poprzednik. Teraz, jak pan wie, jest na urlopie na Hawajach. Nie tylko zdrow, ale i w świetnej kondycji.

- Okay. Potem wytłumaczycie mi całą procedurę. A teraz o sprawie zasadniczej. Powiedzcie mi o tym podsłuchu.

- Na ten temat również otrzyma pan raport. W skrócie, zjawiska psi, czyli paranormalne, obejmują między innymi postrzeganie pozazmysłowe, takie jak telepatia, jasnowidzenie i prekognicja, czyli wiedza o przyszłych wydarzeniach. Praktykuje się je od tysiącleci, poczynając od starożytnych centrów wróżbiarskich, etruskich wieszczków, przez wyrocznię delficką i Pytię, po ojca Pio. Pewnie pan o nich słyszał.

- Nie słyszałem. I nie rozumiem, co to ma wspólnego z podsłuchem - zirytował się Trump.

- Posiadając współrzędne geograficzne, w dowolne miejsce, również do Gabinetu Owalnego, można wysłać wywiadowcę, który drogą telepatii podsłucha prowadzone tam rozmowy i z fotograficzną dokładnością obejrzy każdy szczegół - wyjaśni generał. - Na kuli ziemskiej istnieją jedynie trzy miejsca, gdzie telepatia zawodzi. Niniejszy pokój mrocznych tajemnic, ołowiany gabinet Putina i Zamek Świętego Anioła w pobliżu Watykanu. Nie wiemy, co chroni go przed podsłuchem telepatycznym, ale jest skuteczne. Coś podobnego mają Chińczycy, ale nie mamy o tym bliższych danych. Podobno jest to pomieszczenie w Lhasie w Pałacu Potala. Coś kiedyś o tym wspomniał

Dalajlama.

- Teraz rozumiem. W tym pokoju możemy rozmawiać swobodnie. Nikt nie jest w stanie złamać naszych zabezpieczeń.

- Tak, panie prezydencie. Według naszej wiedzy o technikach psi oraz pozyskiwanych stale danych wywiadowczych dotyczących bezpieczeństwa to miejsce jest idealnie chronione.

- Okay - rzucił prezydent, wracając z oficerami do Białego Domu.
- Chcę dostać też raport o Księżycu, szczegółowy, ale taki, abym mógł go zrozumieć i zapamiętać. Nie dłuższy niż dwie, trzy strony.

- Oczywiście - odparł O'Hara. - Będzie do wglądu jutro w pokoju mrocznych tajemnic. Mam jeszcze obowiązek powiedzieć panu przy pierwszym naszym spotkaniu, że są jedynie dwie zasady prawidłowego funkcjonowania wywiadu wojskowego.

- To znaczy?

- Pierwsza to pieniądze.

- A druga?

- Tak się składa, że dotąd nigdy nie musiałem o niej pamiętać.

- Ale ja będę musiał myśleć o obu. Znam reguły biznesu i nie zapominam o sprawach zasadniczych. Jak mówi stara kurewska dewiza, *no money, no honey*. Powiedzcie mi jeszcze, kto narobił tego bałaganu z kosmitami?

- Zdaje się, że prezydent Roosevelt. Z racji nieuleczalnego kalectwa spowodowanego postępującym niedowładem obu kończyn dolnych rozwinęły się u niego zainteresowania mediumistyczne. Ówczesna medycyna nie знаła sposobu na powstrzymanie jego choroby, szukał więc ratunku w metodach alternatywnych. Pomagał mu w tym przyjaciel, fizyk Tesla, który w 1942 roku umożliwił mu nawiązanie kontaktu z Plejadianami. Zdrowotnie w niczym mu nie pomogli, ale wystąpili z szeregiem propozycji militarnych. Roosevelt był nimi zainteresowany, ale nieoczekiwanie konkurencyjną ofertę przedstawiła inna rasa kosmiczna. Chodziło o program budowy bomby atomowej. Tak na arenę zdarzeń wkroczyły Szaraki Wysokie.

Nawiązano z nimi stosunki dyplomatyczne, które Amerykanie jednostronnie zerwali. Odnowienie ich nastąpiło kilka lat później, za kadencji Trumana, poprzez podpisanie paktu o współpracy o nazwie Great Tready. W zamian za technologię zbrojeniową udzielono kosmitom prawa do przebywania w kilku podziemnych bazach na terenie Stanów. Był to niewątpliwie ciężki polityczny błąd. W chwili obecnej jest tam ich około miliona. Monitorujemy ich działania, ale mają znaczną autonomię i wobec ich najwyższego dowództwa nie mamy właściwie nic do powiedzenia. Doszło tam do kilku śmiertelnych starć z naszymi ludźmi. Zaczęto powtarzać opowieści o dzieciach porywanych i wykorzystywanych do hodowli i badań genetycznych, które na szczęście się nie rozpowszechniły. Jednym z postanowień paktu wzajemnego porozumienia był wymóg ujawnienia obecności Obcych na Ziemi. Mamy na to czas do końca 2018 roku. Inaczej zrobią to sami, manifestując ogrom swoich możliwości. Dla ludzkości może to być szok.

- Jak widzę, moi skretyniali poprzednicy nałożyli Stanom Zjednoczonym kaganiec i narazili autonomię naszego państwa na ogromne ryzyko, pozwalając na osiedlenie się tu obcych ras. A teraz to nie uchodźcy z Meksyku, islamiści i Korea Północna, a właśnie kosmici są moim głównym zmartwieniem.

- Tak jest, panie prezydencie. Bush senior, jak się o tym dowiedział, był przerażony. Powiedział, że gdyby zwykli ludzie wiedzieli, co narobił ich własny rząd, zatłukliby kijami na śmierć wszystkich polityków.

- Na dzisiaj to wszystko. Termin, w którym będziemy musieli wszystko ujawnić, gwałtownie się zbliża i trzeba będzie szybko podjąć jakieś decyzje. Ale najpierw muszę sobie to wszystko poukładać. Możecie odejść. Powiedzcie mojemu sekretarzowi, żeby sprowadził tu tego nowego szefa ochrony. Chcę go poznać.

Wyszedłszy z gabinetu, oficerowie doszli do wniosku, że obecny prezydent szybciej, niż można się było tego spodziewać, dojrzeła do

sprawowanego urzędu. Dla jednego z nich – katolika, do czego się nie przyznawał – był to dowód na to, że czuwa nad nim Opatrzność. Brał jednak również w rachubę niewiarygodny zamęt, jaki w społeczności ludzkiej od początku dziejów czynił złośliwy bożek Przypadek. Choć po latach pracy w wywiadzie doskonale wiedział, że prowadzona polityka nie może być wyłącznie owocem ignorancji, miał poczucie, że jeśli chodzi o tego całego Trumpa, jedynie upływ czasu pokaże, ile prawdy jest w powiedzeniu, że jedyną kompletną rzeczą na tym świecie jest kompletny idiota.

Po kilku minutach do Gabinetu Ovalnego wszedł mężczyzna o wyglądzie byłego komandosa. Przyjął postawę zasadniczą i czekał.

– Jak się nazywasz? – zapytał ostro prezydent.

– Abraham Swenson. Osiem lat służby w Delta Force, osiem lat w ochronie szefa wywiadu, dwa lata jako szef ochrony sędziego Sądu Najwyższego. Żadnej wpadki. Dlatego wybrano mnie na to stanowisko. To ja zorganizowałem zespół mający zapewnić bezpieczeństwo panu i pańskiej rodzinie.

– Czyli, jak rozumiem, ochrona Białego Domu jest nowa i sprawdzona. Czy pozostał ktoś po Obamie?

– Nie. Ochronę zmienia się zawsze wraz z objęciem urzędu przez nowego prezydenta.

– Jak widzisz swoje zadania?

– Nie inaczej, panie prezydencie, niż względem osób, które ochraniałem dotychczas. Po pierwsze, chronić pańskie życie i zdrowie. Po drugie, nie dopuścić do porwania kogokolwiek z pańskiej rodziny. Najmniejsza nawet wpadka na tym stanowisku to kataklizm dla państwa, a dla ochroniarza zawodowy wyrok śmierci. Nie mówiąc o wyrzutach sumienia, jakie nękałyby mnie do końca życia.

– Jakiej rady możesz mi udzielić już teraz?

– Muszę być stale w pobliżu i zawsze mieć do pana nieograniczony dostęp. Nie będę tego nadużywał, znam swoje miejsce i procedury. Ale znam również zasady swojej pracy. Umieję wyczuwać zagrożenie.

W wielu wypadkach działam instynktownie i nikt nie może mi w tym przeszkadzać.

- Rozumiem. Jesteś jednym z nielicznych ludzi, których będę słuchał. Co jeszcze chciałbyś mi przekazać?

- Proszę unikać publicznych spotkań na świeżym powietrzu, szczególnie w terenie. Obecnie dobrze wyszkolony snajper z odpowiednią bronią może oddać śmiertelny strzał z odległości trzech tysięcy pięciuset metrów. Korzysta przy tym z programu komputerowego uwzględniającego szereg parametrów, w tym ruch obrotowy Ziemi. To wyższa szkoła jazdy. Złapanie sprawcy staje się prawie niemożliwe. Jak pan widzi, dla bezpieczeństwa głowy państwa najważniejsza jest więc prewencja.

- Będę o tym pamiętał. Jesteś wolny.

Po wyjściu Swensona Trump zauważył na swoim biurku „Washington Post” z tego dnia. Na pierwszej stronie widniał kolorowy napis: *Test dla wyborców Trumpa*. Postanowił go rozwiązać. Test zawierał dwadzieścia zadań. Pierwsze brzmiało: *Na jakim kontynencie leżą Paragwaj, Pendżab, Portoryko, Portugalia i Pakistan? Dopasuj do państw stolice*. Kolejne: *Skreśl osoby niepasujące do reszty: Narendra Modi, Kim Dzong Un, Hồ Chí Minh, Mao Zedong*. Test zamykało pytanie, które z wymienionych agencji - NSA, NASA, Fed, Bank Światowy, FDA i kilka innych - są prywatne, a które państwowe. Sprawdził wynik. Ocena niedostateczna. Był to dla niego przekonujący dowód, że nie należy odpowiadać na żadne pytania, a jedynie tweetować. W tym pomagał mu zięć.

Nowo wybrany prezydent miał świadomość, że dotychczas grał wyłącznie blotkami. Nie znał kompetencji i siły głównych figur, nawet tych, które go obecnie otaczały. Musiał zawierzyć intuicji i szczęściu, a te jak dotąd go nie opuszczały. Mimo to zdawał sobie sprawę, że brak przygotowania i niekompetencja administracji mogą doprowadzić do katastrofy. Choć nadrabiał wrodzoną pewnością siebie i przekonaniem, że jest stuprocentowym samcem alfa, któremu jak

dotąd zawsze udawało się uniknąć całkowitej porażki. Jednakże w tyle głowy nieustannie pobrzmiewały mu słowa jednej z byłych żon: „Wiesz, co Amerykanie robią z niewygodnymi prezydentami? Po prostu ich zabijają, jak Lincolna czy Kennedy’ego. A ty przed elekcją wygłosiłeś przemówienie o tym, że naród amerykański musi po latach zastoju odzyskać władzę nad rządem. Takie słowa to przepustka do historii albo na cmentarz”.

ROZDZIAŁ 5

w którym poznajemy bliżej syna Juana Rodriqueza, dowiadujemy się, dlaczego zawieszono program księżycowy i jaką rolę odegrało w nim pewne ogólnoswiatowe stowarzyszenie, a Ernesto w drodze do Rzymu nawiązuje znajomość.

Ernesto Rodriquez miał już tylko jeden cel – posprzątać po sobie, doprowadzając do końca wszystkie otwarte jeszcze sprawy. Siedemdziesiąt lat minęło nie wiadomo kiedy. Właściwie samodzielnie zarządzał gigantyczną, ogólnoswiatową firmą Mineralvit, przewodząc radzie nadzorczej złożonej z najlepszych fachowców, dzięki czemu jej roczne obroty sięgały pięćdziesięciu miliardów dolarów. Biznes rozkręcił jego ojciec, ale tryumfy mógł przypisać jedynie sobie. To właśnie on, Ernesto, zauważył, że ludzie pragną być stale młodzi, piękni i zdrowi, i na tym spostrzeżeniu oparł produkcję naturalnych środków przeciwstarzeniowych. W każdym kraju, w którym postawił fabryki witamin i minerałów, wykupił przynajmniej dwa poczytne kolorowe tygodniki. Wynajęci specjaliści od reklamy co tydzień polecali nowy rewelacyjny środek, który miał stanowić odpowiedź na wszelkie dręczące ludzkość problemy, poczynając od piegów, przez cellulit, a kończąc na szorstkich piętach, matowych paznokciach i zmarszczkach. Większość preparatów likwidowała niedobory równie skutecznie jak żelazne gwoździe anemię, kruszone cegły zaparcia, a peruki łysienie. Wobec wiecznie niezaspokojonych pragnień nie miało to jednak żadnego znaczenia.

Kiedyś w przyływie dobrego humoru Ernesto przedstawił radzie nadzorczej futurystyczny program: „Zdrowe szczanie, trawienie, spanie i ciupcianie jest możliwe jedynie, gdy regularnie zażywasz

preparaty Mineralvitu”. Taki stan świadomości w miarę upływu czasu osiągnięto nie tylko w firmie, ale również poza nią. Produkcja szła w tysiącach ton i milionach opakowań. W dodatku żadna komisja nadzoru farmaceutycznego nie mogła się do niczego przyczepić. Jego korporacja produkowała wyłącznie środki naturalne. Nie wymagały one prowadzenia badań klinicznych, nie powodowały efektów ubocznych, nie mogły być przedmiotem oskarżeń o utratę zdrowia. A oferta była nieskończona. Wystarczyło byle jaką, produkowaną od lat tabletkę wzbogacić o bliżej nieznane ziele rosnące w Andach lub Tybecie, aby reklamować ją w mediach i Internecie jako zwiększającą libido czy sprawność intelektualną.

Na wszelki wypadek na podorędziu było kilka uznanych korporacji adwokackich, o których od dawna było wiadomo, że jeśli trzeba z białego zrobić czarne, zrobią to jak należy i to szybko. Wszyscy zorientowani w wielkim biznesie wiedzieli zresztą, że piekło wybrukowane jest prawnikami. Nie tylko podłogi, ale również wszystkie ściany. Trochę miejsca zostało podobno jeszcze na suficie. W niektórych kancelariach mawiano, że Belzebub rozważał stworzenie osobnego poziomu wyłącznie dla adwokatów. W czeluściach było ich tylu, że mękom piekielnym trzeba ich było poddawać nie indywidualnie, lecz grupowo.

Ernesto nosił w sercu zasady postępowania, które za życia wpoił mu ojciec. Najpewniej wyrok na niego wydano w Izraelu, a wykonała go jakaś komórka Mosadu lub komando żydowskiej loży masońskiej B'nai B'rith. Ernesto nie szczędził wydatków, by znaleźć bezpośrednich sprawców, ale wszystkie jego starania spełzły na niczym. Pamiętał, jak po śmierci ojca otworzył sekretną szufladę biurka, gdzie znalazł spisy posiadania, wykazy finansowe i sporo tajnych raportów. Najważniejsza była jednak notatka przeznaczona dla niego samego, napisana przez ojca w przededniu śmierci. Pamiętał jej treść, ale chciał jeszcze raz, chyba ostatni, zobaczyć pismo taty, który równymi, mocnymi pociągnięciami pióra spisał dla syna dziesięć

przykazań:

Dekalog jest niekompletnym zbiorem praw podstawowych, lecz posiada – szczególnie przykazanie pierwsze – wartość nieprzemijającą.

Uważam, że powinieneś również zrozumieć i wyjaśnić dla swojego widzenia świata wartość przykazania obecnie pominiętego przez Watykan, a znajdującego się wcześniej w Biblii. Było pierwotnie umieszczone między przykazaniem pierwszym i trzecim. Brzmi ono: Nie będziesz czynił żadnej rzeźby ani żadnego obrazu tego, co jest na niebie wysoko, ani tego, co jest na ziemi nisko, ani tego, co jest w wodach pod ziemią! Nie będziesz oddawał im pokłonu i nie będziesz im służył, ponieważ Ja Pan, twój Bóg, jestem Bogiem zazdrosnym, który karze występki ojców na synach do trzeciego i czwartego pokolenia względem tych, którzy Mnie nienawidzą². Proponuję ci wyznawanie tych wartości, jakie sam kontynuowałem w swoim życiu.

Brzmiały następująco:

- 1. Nie musisz być szczególnie religijny. Bogu wystarczy, jeśli będziesz mądry.*
- 2. Zdobywaj przyjaciół i troszcz się o ich przyjaźń.*
- 3. Pamiętaj, że intelekt nie zastępuje wiedzy.*
- 4. Jak zarazy unikaj głupców. Sprowadzają nieszczęścia.*
- 5. Folguj swoim pragnieniom i namiętnościom, ale zawsze trzymaj je pod kontrolą.*
- 6. Nie ma nic gorszego niż drogo kupić, tanio sprzedać i źle się ożenić.*
- 7. Nie wierz w nieomylność jakichkolwiek służb i stowarzyszeń. Zawsze działają po omacku.*
- 8. Nie warto mieć wroga w Żydach. To się po prostu nie opłaca.*
- 9. Jesteś wart tylko tyle, ile pozostawisz po sobie w pamięci innych.*
- 10. Na świecie były i będą większe fortuny niż Twoja. Tak jak*

powstają z przypadku, tak i z przypadku giną.

Złożył kartkę na czworo i schował ją na miejsce. Minęło czterdzieści lat, lecz żadne z przykazań się nie zdezaktualizowało. Ernesto od wielu lat był wdowcem, co mu specjalnie nie dokuczało. Jego małżeństwo nie było udane. Żona była chorowita, ześrodkowana na własnej rodzinie. Wychowała mu dwóch synów, z którymi nie czuł się blisko związany. Nie interesowali się firmą, prowadzili hulaszcze życie wśród elit całego świata, ulegając zachciankom i pragnieniom. Raz po raz wpadali w tarapaty, z których musiał ich wyciągać. Nic nie wpływało na zmianę ich zachowania i stylu życia. Musiał przyznać, że dla firmy, którą stworzył wraz z ojcem, nie ma naturalnych następców. Z tego powodu w wielu krajach ufundował anonimowo stypendia dla zdolnej, biednej młodzieży.

Był już stary, a sprzątanemu po sobie nie było końca. Góra pieniędzy, jaką nieustająco przynosił Mineralvit, wymagała obsługi. Gdyby nie popełnił fundamentalnego błędu, mógłby wszystko po prostu rozdać biednym. Lecz dał się zniewolić, ulegając pokusie przynależności nie do jednej, a kilku łóż masońskich. Dopiero gdy uzyskał w nich wysokie stopnie, dotarły do niego fakty, o których wcześniej nie miał pojęcia.

Ruchy masońskie wywołały rewolucję francuską, meksykańską, rosyjską i hiszpańską oraz obie wojny światowe. Odpowiedzialne były za hitleryzm, bolszewizm i powstanie Unii Europejskiej.

Przynajmniej siedemnastu, a najpewniej większość prezydentów Stanów Zjednoczonych była masonami różnych stopni - Truman, Roosevelt, Ford, Johnson, obaj Bushowie, Clinton... Teraz, gdy przytłaczał go wiek, Ernesto rozumiał, że dał się zwieść iluzjom. Niegdyś wydawało mu się, że rozumie cele, jakie stawiały sobie poszczególne loże. Obecnie wiedział, że główny zamiar masonerii od ponad dwóch tysięcy lat stanowi jej największy sekret, przekazywany z pokolenia na pokolenie jedynie w najwyższych kręgach. Wiedział, że jest nim zaprowadzenie na świecie lucyferyzmu w czystej postaci -

porządku, w którym można wierzyć we wszystko z wyjątkiem Chrystusa.

Przez ostatnie dwadzieścia lat wydawało mu się, że z racji statusu wielkiego mistrza loży argentyńskiej, gigantycznego zaplecza finansowego i arystokratycznego pochodzenia ujawniono mu wszystkie cele masonerii. Zrozumiał jednak, że w tym hierarchicznym świecie iluzji istnieją wyższe loże, o których poczynaniach niższe nie mają żadnej wiedzy. Informacje o ich składzie osobowym i dążeniach są ściśle tajne. Członków na wyższe stopnie mianuje się odgórnie, a cała organizacja od zarania jest niejawną i wymusza pełne posłuszeństwo. Podobnie jak z tajnych służb, nie można z niej wystąpić. Piętno masońskie nosi się do końca życia. Na niższych szczeblach na wielką skalę wykorzystuje się magię, okultyzm, satanizm, wróżbiarstwo i tajemne rytuały. Piramida masońska, pozornie rozbita na poszczególne loże, w istocie stanowi jeden ogólnoswiatowy, centralnie zawiadywany organizm. Oczywiście zdarzają się pomyłki, jak chociażby upublicznienie Internetu lub wyspa włoskiej loży P2. Ale to normalne. Tam, gdzie jest działanie, muszą być i błędy.

Z racji swojej pozycji Ernesto wiedział oczywiście wiele więcej o mechanizmach rządzących światem niż zwykły mason, nie mówiąc o przeciętnych zjadaczach chleba, którzy kupowali jego witaminy. Wiedział, że wolna energia, którą za darmo można by ogrzewać domy biedaków, oświetlać slumsy, nawadniać pola oraz likwidować smog i zanieczyszczenia ziemi, wody i powietrza, jest na wyciągnięcie ręki. Od czasów Tesli można by ją było pobierać w każdym miejscu kuli ziemskiej, gdyby nie lobby masońskie, zarządzające zasobami ropy i gazu na całym świecie.

Wiedział o corocznych spotkaniach Grupy Bilderberg, na których we własnym, zaufanym gronie omawiano globalne poczynania gospodarcze i finansowe. Uczestniczyli w nich masoni i władarze mocarstw - w ogromnej większości ludzie, którzy sloganami rewolucji

francuskiej zadrukowywali nie tylko gazety, ale także papier toaletowy. Pospólstwo masońskie zabawiało się na orgiach w Bohemian Grove, gdzie inscenizowano satanistyczny spektakl Kremacja troski. Na oczach zebranych deptano papieską tiarę, palono kukłę przedstawiającą Chrystusa, oddawano cześć postaci gigantycznej sowy, będącej symbolem pradawnego boga Molocha. Ernesto nigdy nie uczestniczył w tego typu spotkaniach. Od dawna podejrzewał, że rzeczywistym celem masonerii może być umożliwienie jak najszybszego nadejścia obcej cywilizacji i jej władania nad ludźmi. Wpadł na to przez przypadek.

Pewien człowiek - oczywiście również mason - który dzięki jego staraniom uzyskał jedno z najwyższych stanowisk w NASA, zdradził mu okoliczności towarzyszące pierwszemu lądowaniu Apollo na Księżycu. Wydarzenia zarejestrowały kamery zamontowane na lądowniku. Jednakże kilka istotnych ukrytych faktów znali tylko wybrani.

- Neil Armstrong wraz z dwoma pozostałymi astronautami, również masonami wysokich stopni, przed lądowaniem odprawił wewnątrz kapsuły rytualną mszę poświęconą Lucyferowi. Słowa, jakie wypowiedział po zejściu na powierzchnię Księżyca - „Orzeł wylądował” - nie dotyczyły, jak się powszechnie uważa, lądownika o tej samej nazwie. W istocie chodziło o flagę z orłem o jednej głowie czarnej, a drugiej białej. To stary symbol loży masońskiej. Wbił ją w grunt księżycowy jako pierwszą, przed amerykańską. Wróciła na Ziemię i jest relikwią w jednej z największych łóż Stanów Zjednoczonych. Na niewielkim stoliku na Księżycu astronauta pozostawili też dary - złotą gałązkę oliwną, symbol uległości, i plakietkę z przesłaniem pokoju z podpisami kilkudziesięciu prezydentów. Oddzielnie załączono imienny wykaz dwunastu astronautów, którzy stracili życie w wyprawach Gemini.

Rodriguez wiedział również, że Armstrong raportował do Cape Canaveral, iż lądowaniu kapsuły towarzyszyły ogromne pojazdy

Obcych, którzy obserwowali astronautów z okolicznych wzgórz. Sprawa stała się dla niego jasna. Tajny plan masonerii przez kilka szczegółów wymknął się spod kontroli. Gałązka oliwna, symbol przyjaźni, dosadnie ukazała uległość i poddaństwo ludzi. W tej sytuacji było mało ważne, kto obecnie włada światem, dolarem i zasobami Rezerwy Federalnej – bo to było jasne i oczywiste – lecz kto i kiedy przejmie tę władzę, wykorzystując ją dla własnych celów.

Waga wiadomości, jaką otrzymał od człowieka z NASA, dotarła do niego z całą mocą z chwilą, gdy wstrzymano loty Apollo na Księżyc. Na Ziemi pozostały rakiety gotowe do lotu, jednostki badawcze i diagnostyczne, nowe lądowiki, przeszkoleni astronauta i czterysta pięćdziesiąt tysięcy ludzi związanych z programem kosmicznym, nagle zwolnionych z pracy. Największy i najkosztowniejszy projekt w historii ludzkości, większy niż wyprawy krzyżowe i budowa bomby atomowej, całkowicie zlikwidowano. Pół biliona dolarów bezpowrotnie uleciało w kosmos. Badania Księżyca wstrzymano, a fundusze dla NASA obcięto tak, że brakuje tam teraz środków, by chronić zasoby przed hakerami. Taka sama zapaść spotkała rosyjski program kosmiczny. Oficjalnie powodem miało być zmniejszenie zainteresowania kosmosem i brak środków w budżecie. Co było oczywistą nieprawdą.

Wszystko to wzburzyło Ernesta i wzbudziło jego ciekawość. Nagła decyzja rządów Stanów i Rosji o zakończeniu programów księżycowych musiała być odpowiedzią na rozkaz, który spłynął z nieba na Ziemię. Jego wymowa była oczywista: „Nie życzymy tu sobie waszej obecności”. Formalne i nieformalne wnioski o wyjaśnienia, jakie składał Ernesto, nie spotkały się z żadnym odzewem. Wyższy krąg masonerii nie zamierzał niczego nikomu ujawniać. Ernesto postanowił wziąć sprawy w swoje ręce i na tyle, na ile było to możliwe, z pomocą hakerów spenetrował zasoby NASA. Uzyskał wgląd w setki zdjęć ukazujących w wysokiej rozdzielczości gigantyczne obiekty księżycowe – budowle, mosty, rampy, piramidy, miasta, obeliski, pomniki oraz statki kosmiczne, mogące spokojnie

pomieścić największy lotniskowiec i wieżę Eiffla. Liczne nagrania wideo ukazywały obiekty okrążające Księżyc i lądujące w hangarach pod powierzchnią. Czasami całe ich roje formowały geometryczne szyki i skomplikowane linie, poruszające się w sposób wyraźnie celowy. Zdjęcia i nagrania wykonano również na niewidocznej części Księżyca, na żadnym nie utrwalono jednak samych istot.

Ernesto miał pewność, że dokumentacja jest autentyczna. Co jak co, ale błona filmowa nie posiada świadomości, którą u ludzi można zakłócić, tworząc obrazy nierzeczywiste. Ponieważ informacji tych nie zapisywał w formie elektronicznej, a jedynie przechowywał w oryginale w jednym ze swoich banków, mógł być spokojny, że nie dobierze się do nich żaden wywiad. Gdyby masoni zorientowali się, ile wie, na niego też wydano by wyrok.

Nie bał się śmierci, ale chciał posprzątać po sobie do końca. Miał taką samą potrzebę, jaką przed nim odczuwało wiele osób zgłębiających tajemnice wywiadów, banków, rządów i alków dla korzyści osobistych, potomności czy spokoju ducha. Wielu głęboko zakonspirowanych ludzi uczestniczących w tajnych operacjach pod koniec życia doświadcza nagle momentu przełomowego i pragnie uwolnić się od ciężaru, który rzucił na ich barki los czy przypadek. Zdradzają wówczas niewygodne fakty, a do opinii publicznej docierają informacje wcześniej owiane tajemnicą. I nie są to tak zwane fake news, a rzetelna prawda ujawniana przez osoby, które nie mają już nic do stracenia - z wyjątkiem życia, które w pewnych sytuacjach, na przykład zaawansowanej choroby nowotworowej, ma niewielką wartość. Wtedy przed desperatami staje niepowtarzalna szansa, by zapisać się w pamięci innych. A przecież każdy pragnie po sobie coś pozostawić.

To samo czuł teraz Ernesto. Raptowne zawieszenie programu kosmicznego uderzało wprost w podstawowe interesy człowieka. Na to nie mógł się zgodzić. Chodziło przecież o sprawę dla ludzkości najważniejszą - przetrwanie gatunku oraz pamięci o jego istnieniu.

Nie miało znaczenia, kto podjął tę decyzję, ale kto i jak go do tego zmusił.

Postanowił spotkać się i porozmawiać o tym z Jorgem, swoim przyjacielem z dzieciństwa, a obecnym papieżem Franciszkiem. Nie widzieli się od kilku lat, ale już dawno ustalili awaryjne formy kontaktu. Ernesto miał numer do zakonnicy prowadzącej Dom Świętej Marty, gdzie papież zajmował dwa pokoje. Zadzwoił i poprosił, aby przekazała Ojcu Świętemu, że za trzy dni z Buenos Aires przyjedzie do Rzymu pielgrzymka wiernych z dzielnicy Buena Vista pod kierownictwem Raula Pintoro. Tego samego dnia otrzymał wiadomość, iż imienna przepustka będzie do odbioru u gwardzistów przy Porta San Giovanni. W Rzymie miał do załatwienia jeszcze jedną ważną sprawę. Benito Ciano, potomek włoskiej arystokratycznej rodziny, zaoferował Mineralvitowi zakup rękopisów zawierających tajemnice alchemiczne, wśród których miały być również stare receptury leków tybetańskich. Jeśli to oryginały, były warte każdej ceny.

Ernesto podszedł do biurka ojca, otworzył sekretne drzwiczki i z pliku argentyńskich paszportów wybrał jeden z własną fotografią, wystawiony na nazwisko Raula Pintoro. Następnego dnia na lotnisku kupił bilet do Rzymu. W klasie biznesowej jak zwykle były wolne miejsca.

Siedząc w VIP-owskim saloniku lotniskowym i oczekując na samolot, zastanawiał się, czy wypić kieliszek koniaku, czy po prostu przejść się wzdłuż galerii, z ciekawości sprawdzając, czy preparaty jego firmy są w ofercie sklepów bezcłowych. Zdecydował się na koniak, uznając, że pomoże mu zasnąć w samolocie. Między pierwszym a drugim kieliszkiem zrobiło mu się duszno. Do półki z alkoholami podeszła kobieta w średnim wieku. Ogromne cycki musiały utrudniać jej utrzymanie pionu, a na wysklepionym i nabitym estrogenami tyłku można było zbudować pagodę lub postawić w pionie wyścigowe porsche. Od niepamiętnych czasów nikt nie zrobił na nim takiego wrażenia. Nie sądził nawet, że to możliwe. Na chwilę zwątpił

w swoje plany. Może za szybko postanowił po sobie posprzątać? Nienagannie ubrana kobieta przeszła koło niego. Za takimi nogami bez mrugnięcia podążyłby na koniec świata. Nawet boso, po żużlu! Obserwował ją kątem oka, usiłując wygłuszyć w sobie to nagłe zainteresowanie.

Niespodziewanie dla siebie i niepostrzeżenie dla niej zrobił jej komórką kilka zdjęć i nagrał krótki filmik. Kobieta nie zwracała na niego uwagi. Podeszła do recepcjonistki i poprosiła, aby ta powiadomiła ochronę, że będzie tam oczekiwała na zagubiony bagaż. Mineralvit przeprowadził szeroko zakrojone badania nad feromonami i Ernesto wiedział, że kobiety intuicyjnie odbierają sygnał zainteresowania seksualnego ze strony mężczyzn. Zauważył, że nieznajoma również zamówiła dwa kieliszki koniaku. Pomyślał, że pewnie kogoś pożegnała i teraz musi odreagować. Ciekawiło go, kim jest i czym się zajmuje. Nie nosiła obrączki. Na palcu jej lewej ręki widniał złoty pierścionek z dużym szmaragdem. Niewątpliwie starej roboty. Może po matce?

Po chwili z głośników dobiegł komunikat wzywający pasażerów lecących do Rzymu do wejścia trzydziestego pierwszego. Ernesto wstał, zabrał bagaż podręczny i ostatnim spojrzeniem pożegnał nieznajomą. To tylko przypadkowy epizod, nic więcej. I chwała Bogu. Nie miał siły na żadne związki. A może? Żadne może, sam sobie odpowiedział. Szybko się odprawił i zajął miejsce w klasie biznesowej rejsowego jumbo jeta.

Pasażerów było wielu, przedział był prawie pełny. Jedynie miejsce obok niego pozostawało puste. Obawiał się, że trafi na jakiegoś nudziarza, który będzie chciał z nim rozmawiać o zdrowiu lub, nie daj Boże, wnukach - jak zwykle w klasie biznesowej, którą na ogół podróżują stare wyliniałe szczury i łysiejące żeńskie kaszaloty obficie obwieszane złotem oraz naszpikowane protezami, lecz dla mężczyzn równie przezroczyście jak ich sztuczne soczewki. Stewardessa przyprowadziła jednak do jego rzędu te same nogi, które wcześniej

podziwiał w saloniku. Nie miał wątpliwości, że nieznajoma go rozpoznała. Usiadła obok, mówiąc do niego i jakby nie do niego:

- Gdzieś zapodziałam bagaż podręczny. Łaska boska Marii Teresy, że paszport, kartę pokładową i pieniądze miałam w torebce. Zgłosiłam wszystko służbom. Może bagaż się znajdzie i odwiozą go do Rzymu tym lub innym rejssem.

Mogła mówić prawdę. Przecież każda kobieta musi mieć pod ręką całą kolekcję lusterek, szminek, kremów do rąk, smarowideł i puderniczek oraz co najmniej dwa grzebienie, nie mówiąc o rzeczach bardziej potrzebnych, a nieznajoma w saloniku poza torebką nie miała nic. Mimo to wyglądała ślicznie i to ona zrobiła pierwszy krok. Ernesto postanowił wykorzystać szansę i nie zdradzając się, że wcześniej ją obserwował, rzekł:

- To może poprosimy stewardessę o kieliszek czegoś mocniejszego? Dobrze pani robi przed startem.

- Ma pan rację. To mnie odpręży.

Gdy podano im po kieliszku Martella, zaczęli rozmowę - ot, o samej podróży, jej celu i tym podobnych banałach. Powiedziała, że jest historykiem sztuki i leci do Muzeum Narodowego na półroczną wymianę kustoszy z działu przedmiotów z metalu. Zainteresowało go to i postanowił ją sprawdzić. W jego rodzinie od stu pięćdziesięciu lat kolekcjonowano przedmioty wykonane z cyny. Zbiór liczył kilkaset naczyń przywiezionych przez Hiszpanów do Argentyny w szesnastym, siedemnastym i osiemnastym wieku. Wspomniał jej o tym i zorientował się, że zna obowiązujące ceny i istniejące katalogi. Specjalizowała się w rynku niemieckim. Niewątpliwie była tym, za kogo się podawała. Przedstawił się i zdradził jej nazwisko, które widniało w jego paszporcie. Powiedział, że leci na spotkanie biznesowe, a po wypełnieniu obowiązków chętnie zaprosi ją na kolację. Nie miała nic przeciwko temu i wręczyła mu swoją wizytówkę, zawierającą jedynie numer telefonu i personalia. Nazywała się Consuela Herrera Hernandez. Pomyślał, że pięknie.

ROZDZIAŁ 6

w którym poznajemy tajne cele nazistowskich organizacji i dowiadujemy się, jakie sekrety może skrywać skuta lodem Antarktyda.

Z lotniska Ernesto pojechał prosto do swoich zakładów na obrzeżach Tivoli, gdzie miał się zapoznać z dokumentami dostarczonymi przez Benita Ciano. Miał nadzieję znaleźć tam informacje o cudownym preparacie o nazwie ormus.

Wzmianki o jego działaniu pojawiały się w różnych średniowiecznych pismach alchemicznych, ale nikt tak naprawdę nie wiedział, czym jest i skąd pochodzi. Przypisywano mu zbawienną moc uleczenia wszelkich chorób i działanie odmładzające. Mieli go stosować średniowieczni papieże, królowie i cesarze. Ostatnim, o którym sądzono, że zażywał ormus, był słynny hrabia de Saint-Germain, po którym - zdaniem wielu osób - nie znać było biegu lat. Gdy inni umierali ze starości lub chorób, on zachowywał ten sam młody wygląd. Hrabia głosił, że swą kondycję zawdzięcza właśnie ormusowi, ale nikomu nie zdradził, jak wszedł w jego posiadanie i jak go stosuje. Wspominał, że sekret ten znają jedynie mieszkańcy Himalajów. Na dworach Europy widywano go przez ponad sto pięćdziesiąt lat, po raz ostatni w pałacu Ludwika XVI. Potem znikł na zawsze i nikt nie zna dalszych jego losów.

Pisma alchemiczne niekiedy utożsamiały ormus z kamieniem filozoficznym, który miał moc przemiany metali w złoto. Próby odszukania zarówno jednego, jak i drugiego trwały stuleciami, a wiara w ich istnienie była niemal odwieczna.

Ernesto wiedział, że dziadek sprzedawcy rękopisów, hrabia Ciano, minister Włoch w okresie faszyzmu, należał do kilku łóż masońskich

i niemieckiego Towarzystwa Thule. Będące w posiadaniu jego wnuka dawne dokumenty mogły pochodzić z zaginionego tajnego zbioru wywiadu włoskiego, który przed wojną i w jej okresie współpracował ręką w rękę z nazistowskimi Niemcami. Główną ambicją obu reżimów było stworzenie rasy panów.

W tym celu w 1918 roku powstało konspiracyjne Towarzystwo Thule, którego zadaniem było nawiązanie kontaktu z cywilizacjami pozaziemskimi oraz skonstruowanie pojazdu umożliwiającego loty międzyplanetarne. Korzenie tej loży sięgały przynajmniej 1221 roku i zakonu Die Herren von Schwarzen Stein, a może nawet pradawnej Pierwszej Świątyni Jerozolimskiej z okresu panowania króla Salomona. Do jej założycieli i aktywnych członków należało najwyższe kierownictwo nazistowskich Niemiec z Himmlerem, Göringiem, Bormannem, Hessem i Frankiem na czele. Dysponowali oni niemal nieograniczonymi możliwościami i równie Nielimitowanymi środkami i święcie wierzyli, że instrukcję budowy pojazdu międzygwiazdowego ukryto gdzieś na Ziemi, aby odnalazły ją następne pokolenia Niemców czystej krwi - Aryjczyków, potomków Atlantów.

Poszukiwania starodawnych źródeł informacji na terenie całego świata prowadziło Ahnenerbe, czyli Towarzystwo Badawcze nad Pradziejami Spuścizny Duchowej - Niemieckie Dziedzictwo Przodków. W 1945 roku uznane przez trybunał norymberski za organizację zbrodniczą. W okresie hitleryzmu dysponowało nieograniczonym budżetem, działając w pełni pragmatycznie. Wysłano ekspedycje w Andy, do Boliwii, Indii i Tybetu. Poszukiwano owianej mitami krainy Agartha. Dokonywano odkrywek archeologicznych i studiowano annały wielu starodawnych zakonów kapłańskich, a z bibliotek uniwersytetów Europy i Azji wypożyczono ogromną liczbę dokumentów. Zgromadzono sto pięćdziesiąt tysięcy starodruków. Do pracy zaprzęgnięto tłumaczy, lingwistów i specjalistów od starych języków. Poszukiwania zakończyły się sukcesem. Po przetestowaniu prototypów skonstruowano nowy typ pojazdu o napędzie

antygrawitacyjnym - Haunebu.

Tuż przed zakończeniem wojny osiem ściśle tajnych niemieckich ośrodków produkcyjnych pojazdów o napędzie antygrawitacyjnym przeniesiono w nieznane miejsca. Jeden wysadzono, niszcząc wszystko, co mogło się w nim znajdować. Ukończonych pojazdów do dziś nie odnaleziono, istnieją jednak ich fotografie i plany. Miały kształt latających talerzy lub spodków o wymiarach od jedenastu aż do stu dwudziestu metrów. Tak wyglądała część osiągnięć Ahnenerbe, działającej pod protektoratem NSDAP.

Jak daleko posunięto się w realizacji tak zakrojonych działań, nie wiadomo. W latach pięćdziesiątych Wernher von Braun, twórca niemieckiej rakiety V2, wyjawiał, że dzięki zdobyczom Ahnenerbe Niemcy dokonali znaczącego postępu w produkcji silników rakietowych. O szczegółach wzbraniał się jednak mówić.

O niemieckim przemyśle kosmicznym i nowej broni niewątpliwie wszystko wiedział Rudolf Hess, zastępca Hitlera. Wiedziony psychozą lub nakazem telepatycznym w 1944 roku wylądował własnym samolotem w Anglii z bliżej nieznanymi propozycjami. Skazano go na dożywotnie pozbawienie wolności i po zakończeniu wojny umieszczono w berlińskiej twierdzy Spandau, gdzie codziennie go rewidowano, a jego celę przeszukiwano. Na stałe pozwolono mu posiadać jedynie dużą fotografię Księżyca wykonaną przez silny teleskop, w którą wpatrywał się codziennie aż do śmierci. Nigdy nikomu nie zdradził powodów swojego zainteresowania naszym satelitą. Tajemnicę wziął do grobu.

W okresie hitlerowskim w konspiracji działało również ezoteryczno-satanistyczne Towarzystwo Vrill, stanowiące wewnętrzną lożę Towarzystwa Thule. Powstało ono w 1919 roku, a jego zadaniem było pozyskanie z kosmosu broni o niewyobrażalnej mocy, mogącej przesądzić losy wojny. W możliwość powodzenia tego przedsięwzięcia do samej śmierci wierzyli Hitler i Himmler. Zasadniczą funkcję w Towarzystwie Vrill pełniło pięć młodych kobiet o wyraźnych

talentach mediumistycznych i wszelkich cechach pełnokrwistych kontaktowców. Przewodziła im Maria Orsic, niezwykle utalentowana telepatka, której zdolności dorównywały jej nieprzeciętnej urodzie. Podobno była jedną z kilku kobiecych mediów, które nawiązały łączność z planetą Aldebaran. W transie mediumistycznym sporządzała raporty i rysunki techniczne, które natychmiast oddawano do oceny niemieckim inżynierom. W wyniku tej współpracy Niemcy skonstruowali pojazdy o niewyobrażalnych osiągnięciach. Jednym z zadań mediów było uzyskanie z Aldebarana szkiców konstrukcji zdolnych zmienić bieg czasu oraz odbywać loty w przestrzeń kosmiczną. Wiadomo, że kobiety z loży Vrill w celu nawiązania kontaktu z istotami pozaziemskimi stosowały magię seksualną, wykorzystując jeden z podstawowych rytuałów masońskich.

Uzyskana przez Orsic wiadomość o antycznych pojazdach międzyplanetarnych ukrytych tysiące lat temu pod lodami Antarktydy w najwyższych kręgach hitlerowskich decydentów wzbudziła istną euforię. Na taką wiadomość oczekiwano! Na kontynent wysłano konwoje ze sprzętem i wyposażeniem, w tym lotniskowce oraz statki. Powierzchnię sfotografowano w całości z powietrza. Na terenie porozrzucano co dwadzieścia pięć kilometrów metalowe niemieckie flagi. Oznakowaną tak przestrzeń nazwano Nową Szwabią. Po wojnie zaczęły krążyć pogłoski, że pod lodem grubości czterech kilometrów w ujściu rzek zbudowano bazy, do których mogły swobodnie wpływać łodzie podwodne. Głęboko we wnętrzu kontynentu odkryto nienaruszone pojazdy latające, urządzenia do holografii oraz broń laserową i plazmową.

Tak oto niemiecki przemysł naukowo-badawczy sprzęgnięto z mistycznym obszarem poznawczym, czystą myśl akademicką łącząc ze zdolnościami paranormalnymi. Takiej kombinacji nigdy wcześniej w historii cywilizacji ludzkiej nie było.

Niemcy wywieźli kompletne archiwa Towarzystwa Thule w nieznane dotąd miejsce, prawdopodobnie na Antarktydę. Pojawiły

się również pogłoski, że w podludowym świecie nawiązano osobiste kontakty z obcą rasą. Mówiono w zaufanych kręgach, że ten kontakt będzie miał swoją wagę dla przyszłych pokoleń. Dlatego podjęto takie starania. Pełną dokumentację loży Vrila w 1944 roku przeniesiono natomiast do Mediolanu, gdzie działa ona nieprzerwanie do dnia dzisiejszego. Rolę przewodnią nadal odgrywają tam kobiece media.

Ernesto wszystko to wiedział, gdyż na pewnym poziomie masonerii wtajemniczenia nie był to sekret. Tym bardziej, że zarówno Thule, jak i Vrila z boku pozostawiały wiarę chrześcijańską, odmalowując wizję Boga całkowicie odmienną od papieskiej. Niemniej wydarzenia drugiej wojny światowej z pewnością nie były wyłącznie spiskiem szalonych okultystów i ludzi pozbawionych rozsądku. Praktyczni z natury Niemcy porzuciliby projekty fantastyczne tym szybciej, im głębiej widmo klęski zaglądałoby im w oczy. Tymczasem im większymi krokami zbliżała się katastrofa, tym bardziej przyspieszano tajne badania i projekty. Na szczęście źródła niszczycielskiej mocy nie udało się odnaleźć.

Maria Orsic wraz z mężem, oficerem niemieckiej łodzi podwodnej, uzyskała denazyfikację i pozwolenie na stały pobyt w Stanach Zjednoczonych. Niewątpliwie zarówno ją, jak i kilkuset innych wybranych naukowców wnikliwie przesłuchali eksperci z wywiadu brytyjskiego i amerykańskiego. Nikomu nie przeszkadzało, że emigranci z Niemiec ponoszą odpowiedzialność za śmierć milionów ludzi. Po zakończeniu wojny mieli służyć nowemu panu. I służyli wiernie, do samego końca - jak chociażby wspomniany Wernher von Braun, rzeczywisty ojciec amerykańskiego programu kosmicznego. Przecież to fachowcy z III Rzeszy stworzyli w USA zarówno CIA oraz FBI, jak i NASA. Trzecia Rzesza nie przegrała drugiej wojny światowej, ona ją kontynuowała, tyle że na innym kontynencie.

Teraz istotne było poznanie treści dokumentów, które chciał sprzedać Mineralvitowi Benito Ciano. Jego dziadka, Galeazza, wprowadzono w najgłębsze sekrety wywiadu włoskiego i masonerii.

Przez wiele lat utrzymywał kontakt z prominentnymi członkami Vrili i Thule. Ani to, ani fakt, że był ministrem spraw zagranicznych i zięciem Mussoliniego, nie uratowało go jednak od śmierci za zdradę stanu.

Po Watykanie krążyły swego czasu pogłoski, że Galeazzo Ciano pewną niesłychanie ważną informację nieopatrznie zdradził papieżowi Piusowi XII. Ich echo dźwięczy po dziś dzień. Miała to być wiadomość od istot pozaziemskich, że po jego pontyfikacie nastaną jedynie antypapież, a panowanie nad Ziemią obejmie Lucyfer, niszcząc religię chrześcijańską. Podobno papież, gdy to usłyszał, zemdleł.

W zakładach Mineralvitu wręczono Ernestowi dokumenty dostarczone przez oferenta. Było tego sporo. Na szczęście spisane w obcych językach oryginały przetłumaczono na włoski i niemiecki, a ten drugi Ernesto znalazł znakomicie. Wśród tekstów znajdowały się również piętnasto- i szesnastowieczne mapy.

Jedna z nich wzbudziła jego zainteresowanie. Pochodziła z Turcji. Wykonano ją na skórze osła, a opisano w języku arabskim. Precyzyjną kreską zaznaczono na niej kontynent, którego Ernesto nie rozpoznał. Wrzucił mapę na skaner i jej odbitkę przesłał znajomemu, słynnemu kolekcjonerowi antycznych map i właścicielowi wielkiego browaru w Niemczech, Niewodniczańskiemu. Odpowiedź nadeszła niedługo potem:

To trzecia odbitka mapy słynnego żeglarza i pirata Piri Reisa. Dwie inne są nie do zdobycia, spoczywają w kolekcjach Muzeum Brytyjskiego i tureckim Topkapı. To kopie starożytnych map z okresu Aleksandra Wielkiego, które z kolei bazują na dokumentach jeszcze starszych, bo przedpotopowych. Ale nie to jest najważniejsze. Mapa, którą mi przesłałeś, pokazuje Antarktydę z czasów, zanim została skuta lodem, a więc sprzed dwunastu tysięcy lat. Musiała zostać sporządzona ze znacznej wysokości, moim zdaniem kosmicznej. Jest fascynująca, bo ukazuje wyspy wewnątrz kontynentu, o których

istnieniu wiemy dopiero od siedemdziesięciu lat. Wcześniej myśleliśmy, że Antarktyda jest lądem litym. To niesamowite, że udało Ci się zdobyć przypadkiem egzemplarz, na który poluję od wielu lat. Mógłbyś mi go sprzedać. Jako kolekcjoner zrozumiesz, czym się kieruję. Płacę każdą kwotę.

Ernesto niemal przysiadł z wrażenia. Dokumenty, jakie dostarczył Ciano, mogły wszak pochodzić z zaginionego archiwum Towarzystwa Thule lub Vril. Jeśli loże te weszły w posiadanie tak rzadkich egzemplarzy, jakie mogły być ich inne zdobycze i zawartość zbiorów?

Nieoczekiwanie przedstawiona na mapie Piri Reisa Antarktyda przypomniała mu o rodzinnej tajemnicy. Dobrze znał kulisy powstania fortuny Rodriquezów. Nagle wszystko, co na ten temat wiedział, zaczęło układać się w całość.

Na Antarktydzie, kontynencie odkrytym bardzo późno, bo dopiero w 1810 roku, i praktycznie niedostępnym z racji warunków geograficznych, dawno temu pozostawiono lub ukryto pod lodem coś ważnego. A co, jeśli przyjąć, że w przeszłości jakaś katastrofa zmieniła nagle oś magnetyczną Ziemi? Zmiana warunków byłaby momentalna. Kontynent uległby nagłemu przesunięciu w stronę bieguna południowego. Nastąpiłoby raptowne oziębienie, a ludzi spotkałby los mamutów. Aby przeżyć, byłiby zmuszeni natychmiast uciekać na południe, porzucając cały dorobek materialny i techniczny swojej cywilizacji. Jeśli tak się stało, pod lodami Antarktydy - lądu wielkości Australii - może znajdować się całe bogactwo wcześniejszych zdobyczy ludzkości. Właśnie na to polowały Towarzystwa Thule i Vril. W pełnym odkryciu tych zasobów przeszkodziły im działania aliantów, lecz było pewne, że Niemcy podczas wojny wysłały tam ludzi i sprzęt. Po kapitulacji, mimo starań, alianci nie mogli doliczyć się blisko tysiąca inżynierów pracujących w niemieckim przemyśle lotniczym i raketowym. Wielu z nich - podobnie jak licznych nazistowskich prominentów - latami poszukiwano i nie odnaleziono.

Pogłoski o jednych i drugich oraz o podejrzeniu istnienia tajnej bazy niemieckiej na Antarktydzie dotarły do amerykańskiego wywiadu dopiero po wojnie. Z Argentyny dokonano kilku ekspedycji lotniczych, które z dużej wysokości sfotografowały cały kontynent. Wykonane zdjęcia uwidoczniły podejrzane struktury. W celu ich identyfikacji w 1946 roku wysłano na Antarktydę wyprawę wojenną pod dowództwem słynnego polarnika, admirała Richarda Byrda. Nosiła kryptonim High Jump.

Przydzielono jej znaczne siły, w tym dwa lotniskowce, wiele niszczycieli, okręt podwodny, pięćdziesiąt samolotów i helikopterów, cztery tysiące ludzi, sześćdziesięciu naukowców oraz statki wiozące zapasy na sześć miesięcy. Taka armada mogła w okresie powojennym spacyfikować prawie każdy kraj. Jej zadanie polegało na znalezieniu i zajęciu niemieckich baz.

Samoloty zwiadowcze penetrujące teren Nowej Szwabii wróciły z prześwieconymi kliszami, a wskazania przyrządów, w tym magnetometru, okazały się nieprawdopodobne. W pobliżu naturalnych przystani zaobserwowano niezidentyfikowane obiekty w kształcie dysków, które wyłaniały się spod powierzchni wody i nie odpowiadały na żadne próby nawiązania łączności. Zjadłe atakowały amerykańskie siły, używając promienistej, nieznannej wcześniej broni. Przy jej użyciu zatopiły niszczyciele USS Maddox i USS Brownson. Bardzo szybko zniszczyły połowę amerykańskich samolotów. Myśliwce wysłane na kontynent przed walką nie wróciły. Inne, poszukujące wraków lub załóg, także zaginęły, podając wcześniej drogą radiową informację o istnieniu podziemnych tuneli. Mimo poszukiwań nie znaleziono żadnego z zaginionych żołnierzy. Zupełnie niezrozumiałym był fakt, że na śnieżnobiałych połaciach lodów Antarktydy nie odkryto najmniejszych szczątków wraków, które w niewytłumaczalny sposób znikły, jakby rozpuszczając się w powietrzu. Amerykańska armada poniosła absolutną i totalną klęskę. Straty były przerażające. Po miesiącu ekspedycja rozpoczęła odwrót do Stanów. Pozostałych przy

życiu uczestników walk rozproszono na terenie różnych baz, zaprzysięgając do dożywotniego zachowania pełnej tajemnicy.

W 1947 roku admirał Byrd złożył w Kongresie oficjalny, utajniony raport mówiący o istnieniu na Antarktydzie nowej broni i niezwykle szybkich pojazdów latających. Twierdził w nim, że kontynent jest obszarem priorytetowym dla badań naukowych. Uznano wówczas, że w innych słowach mówi o istnieniu obcej cywilizacji w okolicach bieguna południowego, i umieszczono go przymusowo w zakładzie psychiatrycznym.

Wywiad dokładnie zapamiętał jednak jego słowa. Odnotował jego nawoływanie do zorganizowania obrony przed samolotami mogącymi bez lądowania latać od bieguna do bieguna oraz relacje o istnieniu wśród lodów Antarktydy zielonych obszarów roślinności i obiektów nie z tego świata. Wszystko to postanowiono dokładnie sprawdzić.

Po zaledwie dwóch latach prezydent Eisenhower wydał zadziwiające oświadczenie. Publicznie orzekł, że admirał Byrd odzyskał w pełni zdrowie i obecnie spełnia wszelkie kryteria, aby ponownie zostać koordynatorem ekspedycji badawczej na Antarktydę.

Kolejnej wyprawie nadano kryptonim Deep Freeze. Tym razem rząd amerykański nie taił, że chodzi o przeprowadzenie w regionie podbiegunowym działań z użyciem najnowszych rodzajów broni. Dokumentacja z przebiegu tej wyprawy, mającej wyraźnie charakter wojenny, do dziś pozostaje tajna. Po latach okazało się, że Stany zrzuciły wówczas na Antarktydę bombę atomową. Na szczęście dla Amerykanów informację o tym zdarzeniu udało się zataić Juanowi Rodriquezowi. Tak skutecznie, że w owym czasie do opinii publicznej nie dotarły nawet pogłoski.

Admirał Byrd zmarł wkrótce potem w niejasnych okolicznościach. Ciało bardzo szybko pochowano. Przed śmiercią przyjacielom i dziennikarzom wyjawiał, że zamierza opublikować swoje pamiętniki. Niewątpliwie zawarte tam informacje były skrajnie niewygodne dla ówczesnych decydentów. Mogły spowodować przeprowadzenie

dochodzeń w Kongresie i wybuch paniki wśród obywateli. W owym czasie nic nie miało klauzuli tak wysokiej tajności, jak kwestia istot pozaziemskich i obecności obcych baz w pobliżu Ameryki.

Nie ulegało żadnej wątpliwości, że wkrótce po śmierci admirała w 1957 roku FBI dokonało ukradkiem przeszukania jego domu i maszynopisy z obu operacji na Antarktydzie znikły. Spadkobiercy szukali ich bezskutecznie, tym bardziej że usiłowały je odkupić najróżniejsze wydawnictwa prasowe oraz poszukiwacze sensacji, oferując duże gratyfikacje. Rodzina admirała po jego śmierci znalazła się w bardzo trudnej sytuacji finansowej, lecz zaprzeczała posiadaniu jakichkolwiek spisanych wspomnień admirała Byrda. Jednakże wśród jego przyjaciół wielokrotnie wspomniano o tych dokumentach. Byli nawet tacy, którzy te pamiętniki widzieli, gdyż dotyczyły również okresu daleko wcześniejszego niż operacja High Jump.

W tej sytuacji ster sprawy w swoje ręce wziął Ernesto, gdyż wszystko, co łączyło się z Antarktydą, było fundamentalnie ważne dla interesów jego rodziny. Wiedział o tym, że ambitny admirał za wszelką cenę chciał się znaleźć na kartach historii, i niewątpliwie znalazł sposób na ukrycie swoich pamiętników. Wydedukował, że najbardziej prawdopodobnym miejscem jest jego dom. Przez pośredników zaoferował kupno nieruchomości, dodając, że nabywca zamierza przeznaczyć obiekt na muzeum poświęcone pamięci admirała, stawiając spadkobiercom warunek, że wszystko, co się w nim znajduje, pozostawią w najdrobniejszych szczegółach w stanie niezmiennym, tak jak było za życia admirała. Proponowana kwota była znacznie wyższa od ceny rynkowej. Z tego względu z dnia na dzień dom został sprzedany, a jego poprzedni właściciele natychmiast wyprowadzili się do pobliskiego miasteczka. Ernesto sprowadził na miejsce swoich ludzi, którzy przeszukali dom centymetr po centymetrze. Wspomnień admirała nie znaleziono. Jednakże w jednym z pawlaczy odkryto skoroszyt z maszynowymi kalkami przebitkowymi. Zawierały całość tekstu pamiętników i technicy w Mineralvie bez

trudu je odczytali, słowo po słowie.

W pamiętnikach Byrda szczególnie istotne były trzy kartki zapisów z dnia 19 lutego 1947 roku. W tym dniu ekspedycja High Jump kontynuowała poszukiwania zaginionych samolotów. Jednym z nich leciał Byrd. Admirał pisał wprost o tym, że w czasie lotu wskaźniki busoli żyrokompasu i magnetometru nagle oszalały. W tym samym momencie jego samolot został przechwycony przez dwa obce obiekty powietrzne, które spowodowały wyłączenie silnika i wszelkich innych urządzeń. W chwilę później łagodnie posadowiono go na gruncie. On sam, jak i jego mechanik znaleźli się w tajemniczym świecie podziemnym, którego zasad nie rozumieli. Oglądali niezwykle miasta i urządzenia techniczne o budowie i konstrukcji im nieznanej. Eskorta przeprowadziła admirała do wspaniałej sali recepcyjnej, gdzie odbył krótką rozmowę z kimś o nordyckiej urodzie, kogo tytułowano Mistrzem. Otrzymał od niego zadanie opowiedzenia prezydentowi USA zarówno o swoich wrażeniach i szczegółach lotu, jak i o fakcie istnienia na Antarktydzie podziemnej cywilizacji Ariów. Rozmówca przestrzegał go przed skutkami stosowania energii nuklearnej.

Podobną techniką jak wcześniej został ze świata podziemnego dostarczony na powierzchnię Antarktydy i spokojnie odleciał do bazy. W pamiętnikach był też jego wpis mówiący o newowej, wręcz panicznej reakcji prezydenta USA na te wiadomości. W odpowiedzi na relację Byrda dwunastoosobowe kolegium zajmujące się cywilizacjami pozaziemskimi ostatecznie zdecydowało o przeprowadzeniu wnikliwych badań lodowego kontynentu. Efektem tych ustaleń była druga ściśle tajna wyprawa wojenna o kryptonimie Deep Freeze. W pamiętnikach Byrda - chociaż był również jej uczestnikiem - nie było na ten temat żadnej wzmianki. Do dziś operacja ta jest ściśle tajna i nie zostały ujawnione żadne jej szczegóły. Do opinii publicznej nie przeniknęły najmniejsze fakty dotyczące drugiej operacji na Antarktydzie. Nie wiadomo było, czy przeciwnik istniejący wcześniej nadal tam się znajdował, czy też zmienił miejsce pobytu. Sprawę

usiłował zweryfikować wywiad rosyjski, lecz procedury tajności wprowadzone przez Amerykanów były tak wysokie, że nie uzyskano żadnych informacji.

W 2000 roku w „New Scientist” opublikowano artykuł mówiący, że małże i ryby w regionie wykazują skażenie radioaktywnym plutonem 238, co dowodzić miało nieujawnionego użycia broni atomowej. Poza naukowcami tą informacją nikt się właściwie nie zainteresował. Było, minęło.

Wnioski z obu wypraw admirała Byrda były oczywiste. Podczas działań wojennych na Antarktydzie doszło do starcia z obcą cywilizacją. Skutkiem politycznym stało się umiędzynarodowienie kontynentu. Nową Szwabię przemianowano na Ziemię Królowej Maud. Mimo to od czasu do czasu pojawiają się wieści o dalszym funkcjonowaniu tam baz istot pozaziemskich, ukrytych pod parokilometrową warstwą lodu. Rząd amerykański do dziś milczy. Jeśli ktoś obecnie eksploruje ten teren, żadne informacje na ten temat nie przedostają się do opinii publicznej. Wiadomo jednak, że całe terytorium Antarktydy jest pod stałą obserwacją satelitarną Stanów. Nikt nie może tam wjechać, nie uzyskawszy wcześniej klauzuli CIA, mimo że z punktu widzenia prawnego jest to obszar międzynarodowy.

Dla Ernesto pamiętniki Byrda miały wartość autentycznego dokumentu. Chociażby dlatego, że admirał opisywał w nich działanie nieznanego urządzenia, które dopiero kilkadziesiąt lat później zostało określone jako wyposażenie UFO noszące nazwę promienia podnoszącego. Właśnie taką techniką sprowadzono i odesłano jego samolot. Ponadto dowodem świadczącym o powadze zagadnienia był sam fakt, że Kongres USA i prezydent stanęli w bardzo trudnej sytuacji wyboru między relacją niekwestionowanego autorytetu, jakim w opinii publicznej był światowej sławy polarnik, a jego formalnym sprawozdaniem jako wysokiej rangi oficera armii USA o funkcjonowaniu obcej cywilizacji żyjącej pod lodami Antarktydy. Po otrzymaniu jego sprawozdania James Forrestal, sekretarz obrony

Stanów Zjednoczonych, jeden z członków komisji prezydenckiej do spraw cywilizacji pozaziemskich, został zabity lub popełnił samobójstwo, wypadając z okna na siedemnastym piętrze szpitala psychiatrycznego w Bethesda.

W całej sprawie dotyczącej obu ekspedycji na Antarktydę było zbyt dużo dziwnych przypadków obejmujących osoby na najwyższych szczeblach decyzyjnych. Oczywiście zwróciło to uwagę tych, którzy umieli łączyć fakty i mieli dostęp do informacji. A takie umiejętności miał Ernesto. Całość pamiętników Byrda zdeponował w argentyńskiej siedzibie loży masońskiej. W ten sposób światowa masoneria weszła w posiadanie całości informacji dotyczących najbardziej tajnej operacji wojskowej USA w XX wieku. Nie było żadnych wątpliwości, że w ten sposób Ernesto uzyskał najszybszą drogę do awansu w hierarchii tego sprzysiężenia.

Tak było kilkadziesiąt lat temu, ale obecnie, w 2017 roku, wśród dokumentów dostarczonych do Mineralvitu przez Ciano Ernesto odkrył stenogramy sesji telepatycznych Orsic i Sigrun z mieszkańcami Aldebarana, sesji pisma automatycznego innych telepatek, opisy ich orgii seksualnych wraz ze zdjęciami, a także recepty i przepisy lecznicze ze świątyn buddyjskich i tybetańskich.

Najbardziej interesowały go te ostatnie. Podczas prywatnych wizyt w Indiach i Tybecie poznał tamtejsze doktryny lecznicze. Leki można było bez trudności nabyć na miejscu, nikt nie znał jednak sposobu ich przyrządzania ani składu, które zawsze trzymano tam w ścisłej tajemnicy. Zioła, korzenie oraz składniki mineralne i zwierzęce pozyskiwano o określonej porze roku, a ich dobór i proporcje były wynikiem wielusetletnich doświadczeń. W tak ludnych krajach jak Chiny i Indie musiały jednak być również skuteczne dla kobiet, mężczyzn i dzieci. W końcu w jednym z tybetańskich manuskryptów znalazł to, czego szukał. Ormus.

Nadszedł teraz czas na wizytę u Jorgego Bergoglia, dwieście sześćdziesiątego szóstego papieża, władcy państwa watykańskiego

i biskupa Rzymu. Gdy Ernesto odbierał przepustkę przy Porta San Giovanni, oficer spojrzał na niego bystro, mówiąc:

- Dam panu asystę, bo inaczej pan pobłądzi. Są tu drogi, po których chadzają tylko papieże.

ROZDZIAŁ 7

w którym Michaił przystępuje do wykonania zadania, daje się we znaki służbom bezpieczeństwa i dowiaduje się wszystkiego o prowadzonych w Rosji tajnych badaniach.

Po opuszczeniu Kremla i powrocie do centrum Moskwy Michaił niezwłocznie sprawdził działanie karty bankomatowej i sześciocyfrowego PIN-u. Z ciekawości sprawdził saldo i aż się zachłysnął. Wypłacił pięć tysięcy dolarów, ciesząc się z radości, jaką sprawi Nataszy. Ostatnimi miesiącami z kasą było naprawdę krucho i parę razy napominała, że będzie musiała wrócić do pracy. Teraz stan konta wskazywał, że może spokojnie myśleć o zakupie większego mieszkania w lepszej dzielnicy, chronionej przed menelami, Czeczenami, Gruzinami i inną hałastrą. Taka szansa nie będzie trwała wiecznie i trzeba ją wykorzystać. Nie obawiał się procesu zwiększenia pamięci. Znał ludzi, którzy posługiwali się tą techniką, ale i tych, którzy usiłowali ją zakłócić. Tak było chociażby w finale szachowym pomiędzy Karpowem a Korcznojem.

Dotarł do domu. Klatka schodowa od lat wyglądała tak samo. Ten sam urwany z zaczepu numer budynku zwisał bezwładnie na jednej z cegieł. Ci sami lokalni pijaczkowie powitali go bełkotliwym „Dorzuc się pan na flaszkę”. I dorzucił. Całe tysiąc rubli. Nie mogli uwierzyć własnym oczom. Nic dziwnego, taki nominał widzieli tylko na ulicznych ekranach stacji telewizyjnej Moscow Today. Gdy odzyskali mowę, spróbowali się grupowo spionizować. Jeden z nich, chyba najtrzeźwiejszy, spytał niepewnie:

- Szefie, jak nas przy zakupie policja zgarnie, czy pan potwierdzi, żeśmy tego tysiąca nie ukradli, tylko dostali za ochronę samochodu?

Michaił skinął głową.

- Moja łada jak stała, tak stoi.

Pijaczkowie w sześćoosobowym, ściśle zintegrowanym ruchowo zespole udali się do najbliższego punktu sprzedaży alkoholu. Metylowy, w stosownej proporcji, też im odpowiadał. Wychodziło taniej, starczało na dłużej, a efekt był porównywalny. Na ogół nie dożywali trzydziestki, ale w Rosji nikogo to nie obchodzi. Poza tym dzieci bez przerwy się rodzą, nawet w miastach.

Michaił mieszkał tu od dwudziestu lat. Od kiedy pamiętał, ten sam napis informował, że zabytkowa winda z lat pięćdziesiątych znajduje się „w naprawie”. Wszedł schodami na drugie piętro. Drzwi otworzyła mu Natasza, z tym samym łagodnym uśmiechem, jaki miała na twarzy, gdy po raz pierwszy, jeszcze jako studentkę, spotkał ją na uniwersytecie. Z kuchni dochodził miły zapach jedzenia.

- Kapuśniak czy solanka? - spytał.

- Barszcz ukraiński z wędzonką. I naleśniki z serem, takie jak lubisz - odparła Natasza.

- Mam coś dla ciebie - powiedział Michaił. - Kup sobie i dziewczynkom, co tylko chcesz.

- Dostałeś premię?

- Przyszła jakaś dawno wygrana nagroda. Przez te sankcje nie wpłynęła na czas.

Sięgnął do kieszeni, wyciągnął plik studolarowych banknotów, przeciągnął po nich palcem i włożył do kieszeni jej fartuszka.

- O matko! - wykrzyknęła. - Kupa szmalu! Naprawdę mogę z tym zrobić, co zechcę?

- To dla ciebie. Przecież wiem, że nie wydajesz pieniędzy na głupoty.

- Jak dziewczynki wrócą ze szkoły, pójdę z nimi do sklepu i kupię obu pikowane kurtki. A sobie ciepły płaszcz. I krem do twarzy, lepszy niż ten, co mi zrobiła koleżanka. Był do niczego, dostałam od niego wyprysków.

Była uszczęśliwiona i podekscytowana. Kilka naleśników spadło jej

na podłogę.

- Zaniosę je na podwórko i dam kotom - powiedziała, wcale nie zmartwiona.

- Kup sobie też buty, takie eleganckie, wyjściowe. Masz świetne nogi i w szpilkach wyglądasz zjawiskowo! - zawołał za nią Michaił.

Uśmiechnęła się, nic nie mówiąc, zadowolona, że docenia jej urodę.

Chwilę później przyszły Lena i Wiera. Po obiedzie Natasza zabrała je na zakupy, a Michaił położył się w pokoju, który dość umownie nazywał salonem. Przykrył nogi kocem i usiłował przemyśleć wydarzenia tego dnia. Wniosek był jeden. Wszyscy - Putin, Rogozin i on sam - znaleźli się w pułapce. Co o tej całej sprawie powinien powiedzieć Nataszy? Jeśli tak daleko posunięto procedury ochronne - myślał - nie ma wątpliwości, że w ich mieszkaniu, odzieży i pewnie kilku innych miejscach zamontowano podsłuch, urządzenia śledzące, a może i mikrokamery. Człowiek, który wykonuje polecenia prezydenta Rosji, musi być pod stałą obserwacją.

I był. Gdy tylko Rogozin zdecydował się zarekomendować go Putinowi, kilku agentów z FSB włamało się do jego mieszkania i zamontowało system śledzący, nie pozostawiając po sobie śladu. W ubraniach jego i Nataszy umieścili urządzenia umożliwiające geolokalizację w postaci czipów wielkości ziarnka ryżu. „Unowocześnili” również jego ładę.

W zamian za zastosowane procedury bezpieczeństwa zostaną mu jednak udostępnione wszelkie dane o kosmicznych i wywiadowczych działaniach Rosji i ZSRR. Dokumenty z licznych instytutów oraz tajnych i oficjalnych ośrodków, w tym zapewne Bajkonuru oraz Kapustin Jaru, raporty z lotów kosmicznych ze stacji Mir i programu Łuna, a także relacje astronautów, które w segregatorach zajmują kilometry półek, zostaną zgrane na kartę pamięci i wprowadzone mu podprogowo w czasie snu za pomocą specjalnych okularów oraz czytników i elektrod przylegających do skóry głowy. Dzięki tej wiedzy

i swojej zdolności logicznego rozumowania ma odpowiedzieć na pytania, które postawił mu prezydent. Znaleźć powiązania, które umknęły innym, i wyciągnąć z nich właściwe wnioski.

Ponieważ wyniki badań poszczególnych instytutów kosmicznych podlegały tajemnicy państwowej, wszystkie one dysponowały jedynie wiedzą fragmentaryczną. On, Michaił, jako jedyny człowiek w Rosji będzie o tych zagadnieniach wiedział wszystko. W ten sposób stanie się dla kraju nieodzowny. Dla budżetu było to rozwiązanie dużo korzystniejsze, bo zamiast pilnowania tysięcy ludzi, będzie trzeba pilnować tylko jego. Cudzoziemcom rosyjski szowinizm wydaje się równie niezrozumiały jak rosyjska dusza. Ale rodowitym Rosjanom pozwala on myśleć swobodnie, zupełnie inaczej niż w kapitalistycznych, liberalnych krajach, gdzie tłuści burżuje sprzedają im powróż, na którym sami zawisną. Dialektyka jest dialektyką – i już!

Następne dni Michaił spędził w z pozoru zwyczajnym instytucie, lecz zupełnie niezwykłym tajnym dziale biotelekomunikacji, zajmującym się zagadnieniami kontroli umysłu.

- Zanim przystąpię do wykonania zadania, jakie powierzył mi sam prezydent, chcę mieć pełne rozeznanie w tym, co tu robicie – powiedział dyrektorowi instytutu. Wiedział, że to on dyktuje warunki i może sobie pozwolić na stawianie żądań. - Kierownikiem projektu będzie profesor Szablew, czy tak?

- Zgadza się. To nasz najlepszy specjalista – potwierdził dyrektor.

- Muszę mieć pewność, że stosowana przez was metoda jest w pełni bezpieczna. Wiem, że wasz instytut zdobył duże doświadczenie w psychuszkach, ale ja chcę po tym eksperymencie być tym samym człowiekiem.

- Zapewniam pana, że tak będzie – odrzekł dyrektor.

- Chcę gwarancji na piśmie.

- Ode mnie, profesora Szablewa czy prezydenta?

- Was wszystkich. Na jutro. Papiery złożę w sobie tylko znanym

miejscu jako zabezpieczenie. Niech pan też przekazuje Rogozinowi, aby FSB zdjęła założone u mnie podsłuchy i wstrzymała śledzenie. Nie jestem naiwny. Dobrze wiecie, że nie mogę postąpić inaczej. W przeciwnym wypadku okazałbym się głupcem.

- Proszę poczekać. Muszę się porozumieć z właściwymi czynnikami.

Po około dwudziestu minutach dyrektor wrócił.

- Dokumenty będą gotowe jutro o dziesiątej rano - zapewnił Michaiła. - Uniwersytet, w którym pan pracuje, otrzymał polecenie udzielenia panu pełnopłatnego bezterminowego urlopu. Podsłuch i śledzenie zostaną wyłączone, ale tylko na jeden dzień. Proszę, to bezpośredni telefon do Rogozina. Z nim ustali pan termin. Z chwilą, gdy zaczniemy wgrywać panu dane, stanie się pan własnością Federacji, równie cenną jak lotniskowiec czy rakieta kosmiczna. A te, sami rozumiecie, wymagają stałej kontroli.

Następnego dnia Michaił odebrał pisma gwarancyjne, sporządzone na numerowanym papierze firmowym i podpisane. Wykonał telefon na numer, który podał mu Putin. Dyżurny oficer połączył go z biurkiem prezydenta. Rozmowa była krótka:

- Panie prezydencie, z tej strony Michaił Wołkow. Jutro przystępuję do rozpoczęcia programu. Mam nadzieję, że sprostam zadaniu. Mam jedno pytanie. Czy podpisany przez pana dokument, jaki mi przekazano, jest oryginalny?

- W pełni - odpowiedział Putin i przerwał rozmowę.

Michaił kilka kolejnych dni spędził w instytucie na przygotowaniach. Wprowadzano go w stan pełnej relaksacji, posługując się psychodeliczną muzyką, grą świateł i dyskretnym masażem ciała. Przeprowadzono kilka seansów próbnych, w trakcie których detalicznie pojął sens wykorzystywanych technik. Nie oszukano go - zdrowotnie czuł się nawet lepiej niż przedtem. Zawsze stosował jednak procedury ochronne, o których ani słowa nie mówił technikom.

Przed rozpoczęciem właściwych zabiegów Michaił polecił Rogozinowi, aby na dwadzieścia cztery godziny wstrzymał inwigilację. Otrzymał zapewnienie, że tak się stanie.

Wiedział, że do tej rozgrywki musi się dobrze przygotować. Przemyślał każdy szczegół. Wcześniej rano udał się autobusem, a potem metrem do centrum miasta, klucząc, aby mieć pewność, że nikt go nie śledzi. W toalecie na dworcu przebrał się w odzież, jaką zakupił po drodze w jednym ze sklepów. Dla pijaczków pozostawił na posadzce wszystko, w czym wyszedł z domu, łącznie z bielizną i butami. Do nowych ubrań schował jedynie plik świeżo wymienionych pieniędzy. Potem kilka razy pozmieniał perony. W ostatniej chwili wskoczył do ostatniego wagonu jednego z przejeżdżających pociągów i wysiadł na przystanku w pobliżu cerkwi świętego Pimena. Akurat trwało nabożeństwo. Wmieszał się w tłum wiernych i bocznymi drzwiami wszedł na dziedziniec wewnętrzny. Zapukał do trzecich drzwi po lewej. Wszedł z nich brodaty mnich o gorejących oczach. Był to Grigorij, wysoko postawiony pop w Cerkwi prawosławnej, a także ulubiony partner szachowy Michaiła i jego najlepszy przyjaciel.

- Michaił! - Z uśmiechem powitał gościa. - Wejdz, proszę.

- Ja tylko na minutkę.

W pomieszczeniu panował półmrok. Michaił przysiadł na jednym z dwóch krzeseł i pokrótce zrelacjonował swoją sytuację.

- Na twoim miejscu miałbym do Putina takie samo zaufanie, jak do wiadomości stacji RT - przestrzegł go przyjaciel. - Jego wizerunek w pocie czoła preparują specjaliści od marketingu i PR-u. Każda wiadomość o naszym prezydencie jest obliczana na wywieranie skutku społecznego. Teraz jego obraz utrwalany jest w muzyce młodzieżowej. A jak dalej tak pójdzie, to również w cerkiewnej. Pomijając żarty, to zdolny polityk i mistrz w rozgrywkach wewnętrznych, obecnie bardzo już doświadczony. Oddał Rosji niewątpliwą zasługę, odzyskując Krym, który przecież od zawsze był naszą pięścią wymierzoną przeciwko

Turcji. Ale jakim jest człowiekiem, naprawdę nie wie nikt. Ma, niestety, przywary typowe dla każdego aparatczyka. Metropolita moskiewski Cyryl całkiem poważnie uważa, że niebawem trzeba będzie Putina jako czwartego inkorporować do Trójcy Świętej. Problemu nie będzie, nawet gdy wcześniej zaczniesz dokonywać cudów i nadzwyczajnych uzdrowień. Cerkiew wszystko zatwierdzi. Oczywiście dla dobra Rosji.

- Z tym akurat twój pryncypał nie będzie miał kłopotu. Jak otrzyma zlecenie kanonizacji, to je wykona. Coś w tym jest, że nasi rodacy sakralizują gospodarzy Kremla - wcześniej carów, potem genseków, teraz Putina. Ale skończmy z żartami. Jak widzisz, mam problem, i dlatego do ciebie przyszedłem. Tu masz papiery, które gwarantują moje życie i spokój mojej rodziny. Czy możesz zdeponować je u patriarchy Konstantynopola? Wiem, że jutro tu przyjeżdża. Przynajmniej tak pisała prasa.

- Oczywiście, skoro sobie tego życzysz - odparł Grigorij.

Michaił wyciągnął z teczki papiery i wręczył je Grigorijowi. Wiedział, że może mu zaufać. Na tym ich spotkanie się zakończyło. Do domu wrócił inną drogą.

W tym samym dniu Rogozin odebrał kilka meldunków.

- Uciekł nam, skurwysyn, jak jakiś zawodowiec - skarżył się jeden z jego agentów. - Nie wiedzieliśmy, że jest taki cwany. Żeby go pilnować, potrzebowaliśmy nie przydziałowych dwunastu, a kilkudziesięciu ludzi. I nie trzy, a sześć samochodów. A i tak się nam wymknął.

- A czipy, jakimi oznakowaliście jego odzież i obuwie?

- Nosi je teraz kilku meneli na różnych dworcach moskiewskiego metra...

Nie dając po sobie nic poznać, Rogozin odetchnął z ulgą. Facet musiał mieć naprawdę wysoki iloraz inteligencji, skoro udało mu się wyruchać na perłowo służbę bezpieczeństwa Rosji. Jak wilk burą sukę. Albo jak Putin kanclerz Merkel.

Następnego dnia w instytucie Michaiłowi zaczęto implantować pakiety danych. Na głowę założono mu przypominające hełm urządzenie z ciasno przylegającymi do głowy elektrodami, a oczy szczelnie zasłonięto okularami. Chwilę później wprowadzono w stan uśpienia. Seanse każdorazowo trwały od sześciu do ośmiu godzin. Po przebudzeniu czuł się dobrze, był w całkiem pogodnym nastroju i nie odczuwał natłoku myśli. Któregoś dnia zauważył, że swobodnie posługuje się dialektem Czukczów i Ewenków. W zdumienie wprowadziła go jednak dopiero wiedza o rosyjskim programie wojennym prowadzonym przy użyciu fal radiowych i elektromagnetycznych. Informacje, jakie uzyskał, były oszałamiające.

W pamięci miał ostatni raport na ten temat, datowany na grudzień 2016 roku. Upoważnione do jego odbioru były jedynie dwie osoby, dowódcy aparatu bezpieczeństwa i wywiadu. Nie było wśród nich prezydenta Rosji, co Michaił uznał za niepokojące. Nie ulegało wątpliwości, że technik pomylił karty pamięci i implantował mu niewłaściwe dane. Być może w instytucie byli już świadomi pomyłki i będą usiłowali za wszelką cenę naprawić swój błąd. Rosjanie od niepamiętnych czasów praktykują te same sprawdzone rozwiązania, eksterminując carów, genseków, liderów opozycji, niepokornych dziennikarzy i nieudolną agenturę. Michaił wiedział, że nosi w mózgu bombę z opóźnionym zapłonem. Odtworzył w pamięci cały raport. Wiedział, że musi zapamiętać każdy, najdrobniejszy nawet szczegół.

Na badania fal radiowych i elektromagnetycznych w ciągu dziewięćdziesięciu lat Rosja wydała miliardy dolarów. W samym 1982 roku na ten cel przeznaczono pięćset milionów rubli. Mimo zapaści zapoczątkowanej w czasie *glasnosti* i sankcji nałożonych przez Zachód badania kontynuowano. Ich wyniki wskazywały, że rozum ludzki może odbierać i przekazywać określony rodzaj fal, wpływając na inne przedmioty. Prace w trzydziestu pięciu rosyjskich ośrodkach badawczych doprowadziły do wytworzenia broni psychotronicznej. Jej działanie polegało na pobieraniu informacji zgromadzonych w ludzkim

mózgu, przesyłaniu ich do komputera, przetwarzaniu do formatu umożliwiającego sterowanie nimi przez kontrolerów i ponownym wprowadzaniu ich do mózgu. Innymi słowy, co innego się pobiera, a co innego wprowadza. Ludzie poddani takiej procedurze mogą utracić wszelkie wcześniejsze zasoby pamięciowe i zyskać nowe, sporządzone w sposób sztuczny. Stwierdzono, że są wobec manipulacji elektromagnetycznej całkowicie bezbronni, gdyż nie posiadają żadnych wrodzonych mechanizmów obronnych.

W Moskwie i Leningradzie przez wiele lat stosowano impulsy radiowe o niskiej częstotliwości w połączeniu z muzyką oraz zmiennym oświetleniem i temperaturą do leczenia chorych psychicznie. Z różnym skutkiem. Najczęściej choroba pacjentów pogłębiała się lub zaczęli oni wykazywać zachowania automatyczne, jak haitańscy zombie. Ludzie poddani tym eksperymentalnym zabiegom, jeśli nie ginęli na zawał serca - jak powiadamiano oficjalnie rodziny - wychodzili z psychuszek radykalnie odmienieni. Zaimplantowani nową osobowością.

Przez okres czterdziestu lat prowadzono również eksperymentalne działania z użyciem broni psychotronicznej i energii elektromagnetycznej przeciwko ambasadzie amerykańskiej, powodując nagłą śmierć dwóch ambasadorów i choroby wśród personelu. W czasie wizyty prezydenta Nixona w Moskwie przeciw niemu i jego asyście także użyto silnego promieniowania. Nowa technologia umożliwiła między innymi pozyskanie bezpośrednio z umysłu jednego z amerykańskich ambasadorów, Roberta Straussa, informacji o umieszczeniu w zajmowanym przez niego budynku sprzętu psychotronicznego służącego wywieraniu wpływu na mieszkańców Moskwy. Szczegółowy raport o tych działaniach nie został udostępniony Michaiłowi. Sporządzono go w jednym tylko egzemplarzu przeznaczonym wyłącznie dla oczu sekretarza Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego, a następnie przekazano prezydentowi Rosji. Musiał być objęty najwyższą klauzulą tajności.

Kolejnym raportem, również przeznaczonym wyłącznie dla pierwszego sekretarza Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego Leonida Breżniewa, było opracowanie w jednym egzemplarzu zatytułowane *Relacja astronautów Sorokina i Leonowa z ich uczestnictwa w lotach Apollo*. Ta informacja była dla Wołkowa szokiem. Opinia publiczna w Rosji i na całym świecie była nieświadoma, że jej obywatele na obcym sprzęcie wylądowali na Księżycu w okresie jak najbardziej zimnowojennych relacji z USA. W archiwach nie było też żadnej wzmianki o celu tych lotów ani o wnioskach astronautów. Usiłował dowiedzieć się czegoś na ich temat. W dostępnych zapisach można było przeczytać, że obaj uczestniczyli w rutynowych programach dotyczących przygotowań do lotów kosmicznych zarówno wcześniej w ZSRR, jak i później w USA. Obaj po zakończeniu misji i lądowaniu na oceanie niezwłocznie powrócili do ZSRR i w chwili, gdy Wołkow zbierał o nich informacje, wiadomo było, że zmarli w Moskwie w podeszłym wieku z przyczyn naturalnych, jako emeryci wojskowi. Nigdy nikomu nie ujawnili swoich relacji. Szukając dalej, znalazł tylko jedną notatkę tak zwanego specznaczenia, która mówiła, że wszelkie zdjęcia oraz relacje wideo z obu wypraw wspólnych z Amerykanami przeprowadzonych w ramach programów Apollo 17 i 19 przekazano niezwłocznie w oryginale i całości do gabinetu pierwszego sekretarza partii. Czyli w GRU i KGB były osoby odpowiedzialne nie tylko za ten obszar działań wyjętych z nadzoru Roskosmosu, co dowodziło obecności w GRU ludzi odpowiedzialnych za dożywotnie zachowanie tajemnicy w sprawach prezydenckich. Jeśli tak, to tajemnica była najwyższej wagi. A więc sukcesor na Kremlu, czyli Putin, jako jedyny posiadał w swoim dossier komplet dokumentów o obu lotach. A o sejfie w pałacu prezydenckim od lat po Moskwie krążyły legendy.

Kolejne sesje implantacyjne na Wołkowie prowadzone w rosyjskich ośrodkach doświadczalnych pozwoliły mu na poznanie założeń i funkcji systemu Kula złożonego z horyzontalnych zespołów

radiolokacyjnych ze stopniowanymi antenami. Jak się okazało, wytwarzały one jednolite pole psychotroniczne, masowo wpływające na pracę ludzkiego mózgu. Skutecznie przetestowano je w Czarnobylu i Krasnojarsku.

Podobne działanie miał znacznie nowocześniejszy system Duga, zwany Okiem Moskwy. Zespół anten o wysokości stu trzydziestu pięciu metrów i łącznej szerokości pięciuset metrów emitował fale powodujące rozdrażnienie, apatię i silne bóle głowy, a także znaczne ocieplenie jonosfery. Amerykanie obwiniali również Rosjan o to, że spowodowali powstanie huraganu Katrina, który spustoszył wybrzeże Stanów Zjednoczonych.

Problemów zdrowotnych wywołanych przez fale radiowe i elektromagnetyczne nie umieją diagnozować zwykli lekarze, którzy napromieniowanym pacjentom zapisują leki uspokajające i przeciwdepresyjne. W wielu wypadkach emisje fal o niskiej częstotliwości istotnie wywoływały stany prowadzące do samobójstw. Mówiły o tym raporty kilku służb. GRU donosił, że podobny sygnał kierowano również na północne Stany Zjednoczone. Przenikał on do sieci energetycznych i tą drogą trafiał do domów mieszkańców, wpływając na ich stan umysłu oraz wywołując ataki paniki, frustracji i niezadowolenia z rządów. Powodowało to wymierne skutki społeczne, pozostawiając atakowane państwo całkowicie bezradne. Stwierdzono wprost, że wobec broni elektromagnetycznej wszelkie uzbrojenie oparte na elektronice jest nic niewarte. Stosując odpowiedni impuls, można całkowicie zakłócić system kontroli. Jak dowiedział się Michaił, Federacja Rosyjska dysponowała obecnie siecią urządzeń radiacyjnych o mocy czterdziestu milionów watów.

Rosyjscy szpiedzy donosili, że rząd amerykański na te same cele wydaje ponad trzydzieści sześć milionów dolarów rocznie. Kwota ta nie obejmowała ściśle tajnych projektów związanych z programem HAARP. Oficjalnie jest to wojskowy program badawczy mający na celu badanie jonosfery, w rzeczywistości zaś najpotężniejszy na świecie

zintegrowany system o mocy czterech miliardów watów, zdolny do nadawania fal elektromagnetycznych i obejmujący swym zasięgiem całą półkulę północną.

Według niepotwierdzonych pogłosek jednorazowa emisja pełnej mocy wywołała tsunami, które zniszczyło elektrownię jądrową Fukushima. System stworzony w ramach programu HAARP jest w stanie emitować fale o różnych częstotliwościach, w tym takie, które ludzki mózg wytwarza naturalnie w czasie czuwania, snu i medytacji. Ich emisja nie jest odczuwalna fizycznie, a jedynie psychicznie, co ma w sposób niepostrzeżony umożliwić kontrolę umysłu w skali masowej. Zdaniem rosyjskich ekspertów mocarstwo, które wygra wyścig w stosowaniu broni elektromagnetycznej, uzyska władzę nad światem.

Michaił dowiedział się również, że przez dwadzieścia lat powszechne stosowanie broni elektromagnetycznej i radiowej umożliwiło zestrzelenie nad terytorium Rosji wielu niezidentyfikowanych pojazdów. Wcześniej istotom pozaziemskim dano wyraźny sygnał, by nie zlatywały poniżej dwustu pięćdziesięciu kilometrów. Dla Michaiła stało się jasne, że w GRU musiała istnieć ściśle tajna jednostka do komunikacji z kosmitami. Czy o jej istnieniu wiedział prezydent Putin?

Pod koniec 2016 roku na rozkaz centrum operacyjnego osiemdziesiąt procent rosyjskich, amerykańskich i chińskich satelitów geostacjonarnych zwróciło się w głąb kosmosu. Musiało to oznaczać, że wojsko i wywiad uzyskały informacje o zagrożeniu z zewnątrz. Mimo to nad Rosją nieustannie pojawiały się statki zwiadowcze, które zestrzeliwano w ogromnej liczbie. Wraki złomowano we wschodniej Mongolii.

Wiele lat wcześniej, w 1986 roku, wywiad rosyjski odkrył na terenie pustyni Gobi bazę niezidentyfikowanych pojazdów, które patrolowały różne miejsca na Ziemi. Rozprawiono się z nimi radykalnie, zrzucając bombę atomową z samolotu, który nadleciał od strony Indii. Nikogo w Federacji nie interesowała obca technologia ani

materiały. Ani pasterska ludność Mongolii. W podziemiach poligonu kosmicznego w Kapustin Jarze od dawna magazynowano liczne pozaziemskie pojazdy, które poddano dokładnym badaniom inżynieryjnym. Wyprodukowanie wielu ich elementów w warunkach ziemskich okazało się niemożliwe.

Wszystko razem, o czym Wołkow się dowiedział, stanowiło stały wstęp do zagadnień, które nauka rosyjska ćwiczy nieprzerwanie od dziesiątków lat. Jej zadaniem jest uzyskanie przewagi militarnej i możliwości dokonania ataku wyprzedzającego z użyciem tajnych technologii. W końcu Rosjanie nie robią nic innego niż Chińczycy, Hindusi, Amerykanie. Głównym celem takich działań zawsze jest wywołanie strachu i przerażenia u przeciwnika. A taka technika jest ćwiczona w Rosji praktycznie od zawsze.

ROZDZIAŁ 8

w którym Benedykt wieszczuje nadejście czasów ostatecznych, Ernesto poznaje sekret Zamku Świętego Anioła i okazuje się, co łączy demony z istotami pozaziemskimi.

Dwóch papieży, poprzedni i obecny, kolejny raz rozmawiało ze sobą tak na tematy kanoniczne, jak i najbardziej palące.

- Jak przypuszczasz, Józefie - zwrócił się do swego poprzednika po imieniu Franciszek - kto nakręca tę spiralę iluzji i oczekiwań na nastanie epokowych zmian, która może spowodować ruinę nie tylko Kościoła, ale i całej cywilizacji ludzkiej?

- Nie mam najmniejszych wątpliwości, że to masoni, którym patronuje Lucyfer - odpowiedział zapytany. - Pierwszym papieżem, który zauważył niebezpieczeństwo płynące z tej strony dla Kościoła, był Klemens XII. W 1738 roku wydał konstytucję apostolską potępiającą masonerię jako antykościół i antypaństwo. Wiedział o tym również papież Leon XIII, który w encyklice *Humanum genus* z 1884 roku podzielił ludzi na sługi Boga i Szatana. Wiesz, Jorge, że w czasie ostatnich dwustu pięćdziesięciu lat ośmiu papieży wydało aż dziewięć konstytucji i osiem encyklik potępiających masonerię za próby wdrożenia Nowego Porządku Świata? Dopiero drugi Sobór Watykański zniósł zakaz przynależności katolików do łóż. Niestety, uważam, że popełniono wtedy fundamentalny błąd, z którego skutkami musimy zmierzyć się obecnie.

- Chcesz powiedzieć, że Kościół tak długo nie mógł sobie poradzić z tym problemem? I to w okresie swojej potęgi?

- Nie tylko Kościół. Monarchie europejskie też tępiły masonerię, bo zagrażała ich interesom, lecz skutki zawsze były dla nich opłakane. Imperia waliły się jedne po drugich, ocalała tylko Anglia, Dania

i Holandia. Trzy wydarzenia przesądziły o obecnej sytuacji. Pierwsze to tezy Lutera, które zabiły rozum kształtowany według tezy Świętego Tomasza, drugie to hitlerizm i stalinizm, które zdruzgotały wolę. Trzecia, ostatnia bitwa toczy się obecnie. Chodzi o likwidację ludzkich uczuć. Resztę do tych konstrukcji socjologicznych sam sobie dołożysz. Ale zauważ, że pod osłoną masonerii panowanie władców służyło głównie reprezentacji interesów grup finansowych. Tak jest do dzisiaj!

- Nie śledziłem bliżej tego tematu - powiedział Franciszek. - Zająłem się zgniłą Kurią Rzymską i pedofilią księży. Nie zapomniałem o odrzuconych przez Kościół ludziach orientacji homoseksualnej ani o rozwiedzionych. Chyba udało mi się całkowicie unicestwić mafię belgijskiego kardynała Danneelsa i jego klub gejowski. Doprowadziłem do tego, że nasza sytuacja finansowa jest w miarę stabilna. Stać nas na to, aby zabezpieczyć mikroparafie i proboszczów w Uzbekistanie, Tunezji, Algierii i w wielu krajach na całym świecie. Trwamy tam nadal na uzyskanych pozycjach, chociaż na msze niedzielne przychodzi niewiele osób, najczęściej garstka turystów. Ale powiedz mi, jakie jest stanowisko Kościoła wobec masonerii obecnie? Czy od czasów Leona XIII uległo ono zmianie?

- W zasadzie nie. Zasady masonerii są zupełnie nie do pogodzenia z nauką Kościoła. Z tego względu Kongregacja Nauki Wiary podjęła decyzję, by wiernym ponownie zabronić przystępowania do masonerii pod groźbą ekskomuniki. Dokument podpisał papież Jan Paweł II. Dla mnie sprawa jest jednoznaczna. Masoni pozostają w stanie grzechu śmiertelnego i nie mogą być członkami Kościoła.

- W Argentynie, tak jak chyba we wszystkich krajach na świecie, długo mówiono w mediach o liberalizacji stosunku papieżstwa do masonerii. Byłem tam wówczas i wiem, o czym mówię do ciebie.

- To oczywista nieprawda, ale sam wiesz, że media narodowe są w rękach ugrupowań masońskich zdecydowanie nam nieprzychylnych, a nawet wrogich. Chodzi o zdobywanie nowych członków. Ludzie nieświadomi struktury piramidy masońskiej wpierw przystępują do

z pozoru charytatywnych instytucji ogólnoswiatowych, takich jak Lions lub Rotary, a potem zasilają tajne sprzysiężenie. I nigdy nie są świadomi celu łoży stojącej ponad nimi.

- Czym skończy się atak masonerii?

- Mówi o tym Apokalipsa Świętego Jana, chyba w rozdziale dwunastym. Dokładnie pamiętam te szczególne słowa: *I nastąpiła walka na niebie: Michał i jego aniołowie mieli walczyć ze Smokiem. I wystąpił do walki Smok i jego aniołowie, ale nie przemógł, i już się miejsce dla nich w niebie nie znalazło. I został strącony wielki Smok, Wąż starodawny, który się zwie diabeł i szatan, zwodzący całą zamieszkałą ziemię, został strącony na ziemię, a z nim strąceni zostali jego aniołowie*³. Z czego jednoznacznie dla mnie wynika, że Lucyfer jest duchowo i fizycznie obecny na Ziemi.

- Daj spokój z Apokalipsą. Czytałem ją kilkakrotnie i zawsze na mnie wywierała wrażenie opisu bajecznych wizji chorego na epilepsję lub schizofrenię. Jak ją interpretować? Została objawiona dawno, lecz mówi o wydarzeniach przyszłych. Czy miały one już miejsce, czy dopiero nastąpią? Czy Szatan działa już zupełnie realnie, tu i teraz? Tego do końca nie wiemy.

- Jan Paweł II był przekonany, że tak właśnie jest, jak głosi to Apokalipsa. Mówił o jego stałej obecności w życiu ludzi. Spójrz na to, co dzieje się teraz, w dwudziestym pierwszym wieku. Mam więcej wolnego czasu niż ty, więc śledzę wiadomości telewizyjne. Dzieją się straszne rzeczy o niewyobrażalnych konsekwencjach. Czy słyszałeś o projektach czipowania ludzi?

- Słyszałem tylko o takim znakowaniu psów. Komu zależy na czipowaniu ludzi?

- To oczywiście jedna z nowinek światowej masonerii. Jeśli wejdzie do powszechnego użytku, będzie to rzecz straszna. Wszystkim ludziom zostanie wszczepiony pod skórę znacznik wielkości ziarnka ryżu, opatrzony indywidualnym kodem, stanowiącym osobisty numer

identyfikacyjny. Urządzenie to będzie śledzić nosiciela dwadzieścia cztery godziny na dobę, rejestrując, co robi i gdzie jest. Może służyć jako odbiornik i nadajnik fal radiowych, analizować podstawowe parametry czynności biologicznych, w tym fal mózgu. Ludzie zostaną ometkowani zupełnie jak bydło i trzymani pod stałym nadzorem. Jak widzisz, pospiesznie nadciąga Bestia. Elektroniczny znacznik w ciele człowieka to jedno z jej wielu oczu. Wyobraź sobie, że amerykańska firma z doliny krzemowej wyprodukowała ich ponad miliard i zapewne już je sprzedała do różnych krajów. Innymi słowy, można przypuszczać, że jedna szóstą światowej populacji już ma lub będzie miała implantowany taki bioczyp zmieniający ludzi w nanoroboty.

- Ludzie nigdy nie wyrażą na to zgody. To byłby koniec demokracji!

- Zmusi ich do tego prozaiczna rzeczywistość. Urządzenie to zastąpi paszporty, dowody osobiste, karty kredytowe, pieczętki i prawo jazdy. Będzie w nim można zawrzeć wszystkie dane urzędowe, bankowe, ubezpieczeniowe i zdrowotne. Brak implantu będzie tak dotkliwą niedogodnością, że jego posiadanie stanie się koniecznością. Każdy etap procesu wymiany towarów, od producenta przez sprzedawcę aż do kupca, będzie monitorowany. Bez czipu nie dokonasz żadnego zakupu. Nie przyjmie cię lekarz ani szpital, nie zrealizujesz recepty, nie wsiądziesz do autobusu. Powstanie społeczeństwo maszynowe, zawiadywane centralnie. Jedyną kwestią czasu będzie emitowanie przez wszczepione urządzenie fal radiowych kształtujących ludzkie zachowanie. Wszechobecne oko Bestii będzie miało każdego pod nieustającą kontrolą. Tak powstanie społeczeństwo neoniewolnicze. I co tu ukrywać, o takim obligatoryjnym posiadaniu czipu identyfikacyjnego mówił w niedwuznacznych słowach prezydent Obama. W niezwykle brutalny sposób uzależniał możliwość uczestnictwa w swoim programie zdrowotnym od zgody na implementację. Typowy przykład masońskiego szantażu. Zauważ, że taka procedura w pierwszym rządzie objęłaby najuboższe klasy

społeczne. To diabelski pomysł. Ale Barack Obama jako mahometanin nie musiał słuchać tego, o czym mówią papieże. Ale twardo przez obie swoje kadencje pracował nad wdrożeniem Nowego Porządku Świata. Nie mam żadnej wątpliwości, że gdyby jego stanowisko objęła Hillary Clinton, kontynuowałaby w całej rozciągłości jego linię postępowania. To również zatwardziała masonka.

- Wobec tych faktów, o których mówisz, wszystko, co o przyszłości pisał w *Zwierzęcym folwarku* Orwell, zdaje się naiwną igraszką.

- Nie mam żadnych wątpliwości. Stały monitoring mózgów populacji zapewni rządzącym nieograniczoną władzę. Dążą oni do tego, by ziścić wymyślony przez siebie ideał jednej ludzkości, jednego pieniądza, jednej władzy oraz jednego boga. Na przeszkodzie stoi im tylko własność prywatna, obecny porządek społeczny i religia chrześcijańska, dlatego pragną je zniszczyć. To przerażający obraz, ale niemal na wyciągnięcie ręki. Przewidziano to w trzynastym rozdziale Księgi Objawienia, wersy dziesiąty do osiemnastego, jeśli dobrze pamiętam. Zobacz, jak są aktualne mimo upływu bezmiaru czasu. Brzmia złowrogo, ale prawdziwie: *Nikt nie może kupić ni sprzedać, kto nie ma znamienia - imienia Bestii lub liczby jej imienia. Tu jest [potrzebna] mądrość. Kto ma rozum, niech liczbę Bestii przeliczy: liczba to bowiem człowieka. A liczba jego: sześćset sześćdziesiąt sześć*⁴. To zostało powiedziane setki lat temu, a ziszcza się na naszych oczach obecnie.

- Co to oznacza?

- Moim zdaniem nadejście czasów ostatecznych. Uważam, że dawne objawienia o znamieniu i oczach Bestii stają się przerażająco aktualne. Po obecności znamienia - lub mówiąc językiem współczesnym, czipu - będzie można odróżnić wiernych od niewiernych. Swoich od obcych. Tych, na których można wpłynąć, od tych, którzy są odporni na manipulację. Czysty układ zero-jedynkowy. Łatwy do odczytania przez każdą władzę. Spowoduje to panowanie

nad społeczeństwami przez rząd światowy. Oczywiście bez udziału Kościoła katolickiego.

- To czas pokaże, ale zgadzam się, że wizja Bestii nadciąga. Nie tylko wizja, ale również jej panowanie. Wiesz co, Benedykcie? Mam do ciebie inne ważne pytanie. Może się łączyć z tym, o czym mówiliśmy przed chwilą. Niebawem spodziewam się w Watykanie wizyty Putina. Co ty sądzisz o prezydencie Rosji? W okresie twojego pontyfikatu miałeś z nim jednorazowy bezpośredni kontakt. Zależy mi na twoim zdaniu i twojej intuicji wynikającej z bezpośredniego odbioru, bo ja, mówiąc oględnie, mam na jego temat mieszane uczucia. A mówiąc prawdę, negatywne.

- To doświadczony gracz, a w dodatku sprytny i wyćwiczony. Mnie w trakcie wizyty nieustająco taksował. Mam wprawę w identyfikacji takich osobników, którzy w umyśle mają tysiące szufladek i dążą do zakwalifikowania rozmówcy do określonego rzędu istot przydatnych lub nieprzydatnych. On dokonuje nieustannej selekcji. Ścisły układ zero-jedynkowy. Mnie usiłował sprowokować w zabawny sposób. Za chwilę ci o tym opowiem. Oczywiście, jak to ma w zwyczaju, spóźnił się na wyznaczone spotkanie. I to sporo. Wizytę w związku z tym celowo przenieśliśmy do mojego prywatnego gabinetu, tego samego, z jakiego ty korzystasz do dziś. Wytłumaczyłem mu, że w związku z moim wiekiem o ściśle określonej porze muszę brać leki, stąd wizyta oficjalna z racji zmiany czasu spotkania zmieniła się na prywatną, lecz nie mniej przyjacielską. Jego uwagę przykuła istniejąca nad wejściem do gabinetu łacińska sentencja napisana gotykiem. Przecież ją znasz. W tłumaczeniu brzmi: „Usta narodów mówią językiem swoich kapłanów i kierują ich czynami”. Putin spytał o treść napisu i tłumacz przekazał mu ją w pełnym brzmieniu. Wytrąciło go to z równowagi. Parsknął i powiedział: „W Rosji usta kapłanów milczały od czasu rewolucji aż do Jelcyna, a w Niemczech przez cały okres hitleryzmu. Są kraje, w których taka sytuacja trwa do dziś”. Odpowiedziałem mu, że w Watykanie taki stan, jak na uwiecznionej na murze sentencji,

trwa od ponad dwóch tysięcy lat i będzie się miał bez zmian przez następne stulecia. Nic nie odpowiedział. Wymieniliśmy prezenty, a na zakończenie nieoczekiwanie spytał, czy coś mi wiadomo o ewentualnej interwencji kosmitów w ziemskie plany Kościoła. Nie udzieliłem mu żadnej wiążącej odpowiedzi, mówiąc, że badamy problem. A o cóż mu chodzi teraz? – spytał Franciszek.

– Myślę, że o to samo, ale tym razem przyjeżdża z nim metropolita Moskwy, Cyryl. Ponieważ będzie to spotkanie tak samo państwowe, jak i potencjalnie kanoniczne, twój sekretariat opracował w szczegółach oficjalny plan całej wizyty. Wykluczam swoją obecność podczas niej. Zostaniesz z nim sam, Franciszku. Wiem, że spotkanie zacznie się wcześniej rano, tuż po papieskiej mszy. Ale z takimi dostojnikami jak Putin nigdy nic nie jest wiadome do końca. Przyjdzie, nie przyjdzie, spóźni się lub nie. W ten sposób chce uwidocznić fakt, że z nikim nie musi się liczyć. Ale coś go mocno gniecie, tym bardziej że dowiedziałem się, iż zaproponował rozmowę z tobą w cztery oczy w asyście tłumaczy. A takie spotkania niosą z sobą głównie ryzyko. Myślę, że zanim prezydent Rosji przybędzie do Watykanu, wcześniej nasze służby dowiedzą się czegoś więcej o rzeczywistym celu jego wizyty. Mamy w otoczeniu metropolity Cyryla swojego człowieka. Sekretariat Kurii otrzymał od niego wiadomość, że Putin mocno się czegoś wystraszył, w związku z tym być może dostrzegł, że możemy mieć wspólny problem. Jak widzę, masz co robić i o czym myśleć. A to, że o tym wszystkim wiem, to twoja zasługa, Franciszku, bo nie ograniczyłeś mi dostępu do spraw tajnych w Kurii. Jestem ci za to wdzięczny, bo jestem na bieżąco.

– Jest nie inaczej, niż to było w czasach twojego pontyfikatu, Benedykcie. Niestety, nie lepiej. Może dlatego, że obaj mamy swoje lata i powoli zbliżamy się do końca życia i posługi.

Mimo że dzień był ładny, myśli obu zwierzchników Kościoła były ponure. Liczyli na przebłysk Opatrzności, ta jednak nie chciała nawet mrugnąć. Być może nadal grała sama z sobą w kości, nudząc się

niepomieranie, gdyż z góry znała wynik każdego rzutu. Nawet nie przyszło jej na myśl, że nadszedł czas, w którym zło ujawnia się na Ziemi zupełnie realnie i namacalnie, nie zaś jako abstrakcyjna nieobecność dobra.

Przybity rozmową z Benedyktem Franciszek wrócił do pałacu papieskiego. Czekają go obowiązki – musiał podjąć kilka osobistości i dwie pielgrzymki. W międzyczasie otrzymał wiadomość, że Raul Pintoro odebrał przepustkę. Dyskretnie polecił ochronie, aby zawiadomiła gościa, że będzie go oczekiwać w pomieszczeniach prywatnych bezpośrednio po ostatniej audiencji.

Spotkania z pielgrzymami męczyły go okrutnie. Musiał pozować do zdjęć, ścisnąć dłonie, całować i błogosławić dzieci. Żaden z pątników, widząc przepych władzy papieskiej, nie rozumiał, że z racji wieku – miał już przecież prawie osiemdziesiąt lat – bolą go wszystkie stawy, w pozycji siedzącej dokucza refluks, a zbyt krótkie rękawy odsłaniają wylewy pojawiające się na skórze w wyniku stosowania leków hamujących krzepliwość. Zdrowie, jak to zdrowie, nieustannie się psuje, pomyślał. A praca, jak to praca, w nawale zniewala.

Stojące przed papiestwem zadania spędzały mu sen z powiek. Musiał pilnie skonsultować się z Putinem i Trumpem w sprawie istot pozaziemskich. Obserwatorium astronomiczne w Tucson nadesłało zatrważające dane o możliwości najazdu z kosmosu. Gdy wyeliminuje się z tych relacji wszystko, co niemożliwe, pozostanie czysta prawda. Trzeba ją będzie w odpowiednim czasie przedstawić publicznie tak, aby jakieś głupki nie wpadły w ekstazę i nie dopisały kolejnego rozdziału do Nowego Testamentu.

Po wypełnieniu służbowych obowiązków w salach recepcyjnych Franciszek przeszedł do swoich apartamentów. Traktował je równie bezosobowo jak wszystkie poprzednie. W Watykanie czuł się dobrze jedynie w pomieszczeniach, które zajmował u sióstr. Idąc tam na obiad, dla rozrywki zastanawiał się, czy wydać bullę zakazującą używania w Polsce konfesjonałów. Tamtejsi księża pakują je podobno

do walizki, nawet jadąc na krótki urlop.

Gdy nadszedł Ernesto, ucałował go na przywitanie. Nie widzieli się od czasu, gdy jako kardynał wyjechał na konklawe, które wybrało go papieżem. Wiedział, że wielu purpuratów kierowało się wskazaniem Opatrzności w równym stopniu, jak dyskretnymi darowiznami trafiającymi na ich osobiste konta. Kilkanaście przelewów wykonały także oddziały Mineralvitu. Ernesto nigdy tego nie wykorzystywał, Franciszek ciekaw był więc powodów jego wizyty w Watykanie.

- Naprawdę cieszę się na twój widok - powiedział do starego przyjaciela. - Tylko, broń Boże, nie mów do mnie Wasza Świątobliwość. Tutaj po staremu jestem dla ciebie Jorge, papieżstwo zostawiłem za drzwiami. Dobrze wyglądasz. Co u rodziny?

- Jak zawsze. Jest już dla mnie jasne, że pierwszą połowę życia mają nam zepsuć rodzice, a drugą dzieci. A ty jak się masz? Wyglądasz nieźle.

- Jak widzisz, jakoś się trzymam. Ale poza jasnością myślenia dokucza mi wszystko. Bóg opiekuje się moim zdrowiem tylko od szyi w górę. Resztą władają demony.

- Masz dobrych lekarzy?

- Chyba tak. Niestety, medycyna jest jeszcze w powijakach.

- Wiem o tym równie dobrze, jak ty. Mam nadzieję, że nie bierzesz zbyt długo preparatów Mineralvitu.

- Nie, poprzestaję na lekach, które przesyła mi Dalajlama do Domu Świętej Marty. Tam nieufne zakonnice, zanim mi je wydadzą, próbują na sobie. Chyba z dobrym skutkiem, bo są w pogodnym nastroju. Biorą te pigułki bez umiaru, a po nich bez przerwy gadają. Szczególnie przez telefon. To nie do wiary, ale jeśli każda z nich nie wypowie wieczorem co najmniej dwudziestu tysięcy słów, cierpią na zgagę i bezsenność. Na moje uwagi żartują, że za taką wnikliwą obserwację powinienem dostać Nobla. Ale pewnie jakiś żonaty mnie ubiegnie. Powiedz, Ernesto, co cię do mnie sprowadza?

- Mam sprawę osobistą. Czy to pomieszczenie jest chronione

przed podsłuchem?

- Niestety, nie wiem, jak dobre są nasze zabezpieczenia. Ale jest miejsce, w którym możemy spokojnie porozmawiać. Zaprowadzę cię tam jutro po porannej mszy w bazylice. Powiem mojemu sekretarzowi, aby wskazał ci drogę do zakrystii.

Chwilę powspominali dawne czasy i drogę, którą przekorny los poprowadził ich przez życie. Młodość stanowiła ich wspólny mianownik. Teraz, po upływie lat, widzieli, że choć niekiedy wydawało im się, iż biorą odwet na życiu, w rzeczywistości brali odwet na sobie.

Ernesto wrócił do hotelu. Ponieważ miał wolny wieczór, postanowił poszukać w Internecie danych o Consueli Herrerze Hernandez. Znalazł jej profil na dwóch portalach, ale było tam jedynie kilka zbiorowych zdjęć i wykaz jej prac naukowych. Żadnej wzmianki o rodzinie, żadnych skandali z jej udziałem. Ponieważ ostatnio używała wyłącznie nazwiska panieńskiego, doszedł do wniosku, że się rozwiodła. W oficjalnej bazie danych lokalnego kuratorium oświaty nie znalazł żadnego dziecka noszącego jej nazwisko, mogły jednak uczęszczać do szkół prywatnych. A może nie miała dzieci lub ich nie chciała? Pomyślał przelotnie, że z takich walorów jak jej ktoś zdecydowanie powinien korzystać. Trochę go ta myśl zaniepokoiła. Wiedział jednak, że co ma być, to będzie.

Następnego dnia recepcjonista zbudził go o szóstej rano. Po śniadaniu, które podawano od wpół do siódmej, Ernesto udał się pieszo do Watykanu. Po nocy powietrze było świeże. Lekki wietrzyk wiał w stronę Tybru, nie przynosząc ze sobą smrodu, który w przeciwnym wypadku trudno byłoby wytrzymać. Spokojnym krokiem podążał w stronę Lateranu, posuwając się wzdłuż wysokiego muru oddzielającego Państwo Watykańskie od Włoch. W pewnej chwili wzrok jego przykuł zrobiony sprayem łuszczący się napis, który go szczerze rozbawił: *No boys - no sex*. Kilka kroków dalej nastąpiło rozwinięcie: *No sex - no children*. Następnie: *No children - no school*. I wielki finał: *No school - no problem!* Logice czterowiersza trudno

było coś zarzucić.

Od ponad trzydziestu lat Ernesto nie uczestniczył w mszy świętej i nie miał z tego powodu wyrzutów sumienia. Aż do czasu, gdy ponownie przeczytał notatkę od ojca. *Dekalog jest niekompletnym zbiorem praw podstawowych* – tak się zaczynała, przypomniał sobie o niej teraz, a treść głównego prawa nieoczekiwanie zwróciła jego uwagę. Pierwsze przykazanie, jakie Mojżesz otrzymał na Synaju, brzmiało: *Nie będziesz miał bogów cudzych przede Mną*⁵. Ale co z tymi, którzy stoją „za Nim”? Jeśli treść przykazania była podyktowana mądrością boską, winna brzmieć zgoła inaczej. Między innymi to zadecydowało o jego podróży do Rzymu. Co więcej, chciał się czegoś bliżej dowiedzieć o pominiętym przykazaniu trzecim.

Po cichej mszy papieskiej zaprowadzono go do zakrystii.

– Dobrze, że jesteś, Ernesto – powiedział Jorge. – Udało mi się dziś wymówić od obowiązków publicznych, chwala Bogu. Zrzucę tylko ten ciężki ornat i zmienię buty. Nie masz pojęcia, jak mi dolegają te przeklęte ostrogi piętowe. Gdy mnie nikt nie widzi, noszę zwyczajne adidas. Tych czerwonych półbutów szytych na miarę wcale nie używam. Doprowadzam tym do łez watykańskiego szewca. Poradziłem mu, aby zrobił po pięć par od numeru trzydziestego dziewiątego do czterdziestego piątego. W przyszłości jakiś mój następcą może się w któreś zmieści i z nawiązką pokryje koszty.

Papież odprawił asystę. Zostali sami. Z głębi zwykłej sutanny wyciągnął pęk kluczy.

– Zanim dojdziemy na miejsce, musimy przejść przez kilka zakamarków.

Po dłuższej chwili stanęli przed okazałymi stalowymi drzwiami. Potężne ościeżnice osadzone w litej skale miały prawie metr grubości i z powodzeniem wytrzymałyby ostrzał z działa. Mimo że zawiasy były dobrze naoliwione, musieli użyć sporej siły, aby je otworzyć. Ernesto zauważył ślady napraw.

- Ktoś usiłował się tu włamać? - spytał zdziwiony.

- Tak - odpowiedział papież. - Z tego wejścia w czasie Sacco di Roma korzystał papież Klemens VII. Wszystko ci opowiem po drodze.

Przeszli przez jeszcze dwie pary podobnych drzwi, aż znaleźli się u wejścia do oświetlonego, łagodnie opadającego tunelu.

- Dokąd idziemy? - spytał Ernesto.

- Do Zamku Świętego Anioła. Ten blisko kilometrowy tunel, zwany Passetto di Borgo, służył jako korytarz ewakuacyjny z Watykanu. W najniższej części jest zlokalizowany poniżej dna Tybru. Będziemy szli dobrych kilka minut. Jak pewnie wiesz, Zamek powstał w 139 roku jako grobowiec dla cesarza Hadriana. Potem pochowano w nim także Marka Aureliusza, Karakallę i wielu innych dostojników państwa rzymskiego. W tym okresie fortyfikacja była nie do zdobycia. Wiele stuleci później papież Grzegorz I na jej szczycie umieścił anioła chowającego miecz do pochwy. Był to znak zakończenia epidemii, która w Rzymie pochłonęła tysiące ofiar. Trupów nawet nie chowano. Warstwami wrzucano je do lochów i wież miejskich.

- Chcesz powiedzieć, że to przejście powstało już za czasów cesarzy rzymskich? - spytał zdumiony Ernesto.

- Nie, tunel kazał wykuć dopiero papież Mikołaj III w trzynastym wieku.

- To musiało wymagać ogromnego nakładu środków i pracy. Czy ten wydatek któremuś z papieży się opłacił?

- Raczej nie - odparł Franciszek. - Klemens VII po miesiącu okupacji przez wojska cesarza Karola V został wzięty do niewoli, zapłacił ogromną kontrybucję i stracił szereg miast. W walkach zginęli prawie wszyscy Szwajcarzy. Od tego czasu tylko oni są powoływani do gwardii papieskiej. Część z nich stoi przy bramach. O innych, liczniejszych, publicznie nic nie wiadomo. Są wierni i niezawodni. To dzięki nim Rzym nadal jest Wiecznym Miastem. Niegdyś był to milionowy ośrodek, lecz w okresie średniowiecza wskutek najazdów liczba ludności spadła do dziesięciu tysięcy. Doszło do ruiny tak

mieszkańców, jak i papieżstwa. Nigdy już nie odzyskały one dawnej potęgi.

Szli niespiesznie. Korytarz zwęził się i musieli iść jeden za drugim. Znajdowali się chyba w najniższym miejscu tunelu, bo na kamiennej posadzce stała woda.

- Za chwilę będziemy na miejscu - rzekł papież. - To nieudostępniana do zwiedzania część Zamku. Podobno za czasów Borgiów panujący w nim przepych przekraczał ludzkie wyobrażenia. Takie oszałamiające bogactwo nie było udziałem żadnych monarchów. Z plotkarskich zapisów pochodzących z tamtego okresu wiadomo, że papież Aleksander VI, Borgia, miał troje dzieci z kurtyzaną, w tym córkę Lukrecję. Była kartą przetargową w jego polityce i trzykrotnie wydawał ją za mąż. Pierwszy raz, gdy miała 12 lat. Podobno ojciec był świadkiem jej nocy poślubnej z pierwszym mężem. Ceremonia odbywała się w tym zamku. W oknie jednego z pomieszczeń przeznaczonych dla młodożęńców wywieszono następnego dnia zakrwawione prześcieradło dowodzące, że panna młoda do ślubu była dziewicą. Takich różnych opowieści związanych z tym zamkiem jest mnóstwo.

Przed nimi widniały kolejne zamknięte drzwi, te jednak papież otworzył przyciskiem. Krótki korytarz wyłożony blokami skalnymi doprowadził ich do bramy z masywnych płyt.

Papież zauważył zaciekawione spojrzenie Ernesta.

- Są wykonane z grubych taśm ołowianych i ważą ponad tonę - wyjaśnił. - Podobnie jak ściany i strop. Obecnie otwierają je siłowniki, kiedyś jednak robili to ręcznie wartownicy.

- Czemu mogło to służyć w tak odległych czasach?

- Zamek Świętego Anioła, a szczególnie ta jego część, miał zapewniać bezpieczeństwo papieżowi w razie ataku artyleryjskiego. Podobno pięćdziesięciokilogramowa kula nie była w stanie przebić ścian. Pomieszczenie to ma jednak także nieoceniony walor w czasach dzisiejszych.

- O czym ty mówisz? Przecież to wielusetletnia konstrukcja.

- Putin, z którym tu niedawno rozmawiałem, powiedział, że z racji takiego zabezpieczenia nie można tu do podsłuchu użyć żadnych technik, nawet telepatii. O ludziach, dla których umysłu ściany nie stanowią przeszkody, wiem od dawna od ojca Pio. Wyobraź sobie, że Rosjanie - to znaczy ich FSB! - na Kremlu wykonali dla swojego prezydenta podobny pokój. Ale mów, co nas tu sprowadza!

Dyskutowali długo i poważnie zarówno na tematy bardzo osobiste, jak i dotyczące przyszłości planety. W wyniku tej rozmowy obaj mieli dużo do przemyślenia. Postanowili się spotkać następnego dnia, by ją dokończyć i spróbować znaleźć rozwiązanie trapiących ich problemów.

Franciszka martwiła też inna sprawa. W ostatnim roku SIV donosił o narastającej częstotliwości obserwacji istot pozaziemskich. Według zeznań świadków zarówno ich pojazdy, jak i one same potrafiły zmieniać kształt i wielkość, dokonując groteskowych przemian. Ukazywały się jako smoki, rośliny, przedmioty materialne lub różnobarwne obłoki mgły. Niekiedy ujawniały ludziom swoje prawdziwe, przerażające oblicze. Dlatego też papież postanowił wypytać swego poprzednika o stanowisko Kościoła wobec demonów i o ich prawdziwą naturę. W tej dziedzinie Benedykt XVI był ekspertem. Od kilkudziesięciu lat uchodził za najsilniejszego egzorcystę w Europie.

- Chrześcijaństwo i islam mają na temat demonów podobne zdanie - odpowiedział natychmiast Benedykt. - To istoty duchowe, niegdyś przyobleczone w ciało. Choć wydaje się, że nie dotyka ich upływ czasu, są śmiertelne. Mogą jednak istnieć tysiące lat, dzięki czemu zdobyły niebywałe doświadczenie we wszystkich dziedzinach życia. Skutecznie zwodzą ludzi. Kierują ich ku złu, niekiedy zachowując pozory dobra.

- Tak jak w naukach masońskich?

- Dokładnie. Powiem ci, czego nauczyła mnie moja wieloletnia

praktyka egzorcysty. Demony posiadły umiejętność materializacji. Gdy przybierają formę cielesną, wydzielają różne wonie, a zmysłami władają równie dobrze jak ludzie. W sekundę są w stanie na powrót się zdematerializować. Mogą być obecne, lecz niewidzialne. Jedyną przeszkodą jest dla nich ołów. Boją się go, bo czeluść piekielna, jak głosi tradycja, w którą z rozkazu boskiego są wpychane, stworzona została właśnie z rozgrzanego do czerwoności ołowiu.

- Czy ich władanie nad człowiekiem jest nieograniczone? Czy demon może nawiedzić tylko osobę słabą i wierzącą powierzchownie?

- Choć wiara i umiejętność odróżniania dobra i zła mają znaczenie podstawowe, demon może wejść właściwie w każdego, na przykład podczas snu lub odprawiania rytuałów satanistycznych. W historii Kościoła znane są nawet liczne przypadki wejścia demona w ciało osoby uważanej za świętą.

- Czy takie praktyki jak wróżbiarstwo, chiromancja i tarot dają dostęp do złych duchów?

- Niewątpliwie - potwierdził Benedykt. - Sam wielokrotnie byłem świadkiem sprowadzenia tą drogą demona do umysłu i ciała człowieka.

- W Argentynie tego problemu jakby nie było.

- Na pewno jest, tyle że nierozpoznany. Opętanie często błędnie uznaje się za silny epizod psychotyczny. W rzeczywistości osoby nawiedzone przez demony istotnie różnią się jednak od chorych psychicznie. Symptomatologia jest z gruntu odmienna.

- Czy zetknąłeś się kiedyś osobiście z jakimiś szczególnymi przypadkami?

- Spotkałem kilka osób, których jaźń była całkowicie opanowana przez Szatana. Widzieli oni świat jego oczyma, odbywali podróże galaktyczne, mieli wgląd w świat niematerialny i nabywali wiedzę o sprawach niepojętych. Byli ściśłą jednością z demonem.

- Udało ci się ich ocalić?

- Niestety, wszyscy zginęli mimo moich prób - odpowiedział

smutno Benedykt. - Być może uśmiercał ich sam Szatan, aby nie dali świadectwa prawdzie. Takie przypadki są opisane w *De exorcismis et supplicationibus quibusdam* z 1999 roku, w pozycji *Ryt egzorcyzmów*. To fascynująca lektura.

- Po ziemi chodzą więc jednostki znajdujące się w wyłącznym władaniu Szatana?

- Z pewnością. Moim zdaniem w przeszłości opętał on wielu dostojników NSDAP oraz członków Towarzystw Vril i Thule. Niewątpliwie obejmował również Hitlera, o którego ezoterycznych inklinacjach wiedziano od dawna. W najbliższym gronie chwalił się, że od czasu do czasu Obcy wołają go na rozmowy. Dzięki tym rozmowom jednych kierował ku ludobójstwu, innych - na przykład Hessa - ku mistycyzmowi lub satanizmowi. Obecnie wiele osób o podobnych inklinacjach związanych jest ze światem mediów i filmu. Ich ukochanym miastem jest Hollywood. O Korei nawet nie mówię. Tam opętany jest cały naród wraz ze swym przywódcą.

- Choć demony istnieją od zarania dziejów, nie we wszystkich okresach aktywnie mieszały się w sprawy ziemskie. Gdzie są, gdy się nie ujawniają?

- Tam, gdzie kosmici - odpowiedział bez wahania Benedykt. - To o nich mówią biblijne relacje dotyczące istot o niehumanoidalnym wyglądzie, które przed tysiącleciami władały ziemskimi krainami. Zawsze miały one względem człowieka złe zamiary. Już w Starym Testamencie pisze się o wygubieniu gigantów przez Boga, gdyż doszczętnie pustoszyli Ziemię. Ogromne kości i czaszki tych stworów znajdują się w Secretum Omega. Uważam, że wszystkie te szczątki trzeba udostępnić nauce, aby dać świadectwo prawdzie. Nie powinniśmy w Watykanie niczego ukrywać.

- Rzeczywiście, widziałem te artefakty - przyznał Franciszek. - Kustosz, chyba Carlotti, wspomniał mi wówczas o obsesyjnym wręcz zainteresowaniu Jana Pawła II problemem demonów.

- To właśnie on odkrył, że demony i kosmici to w rzeczywistości te

same istoty. Dzięki temu wiemy, że nie można im ufać, gdy przedstawiają się jako dobrotliwi przybysze i obiecują spełnienie wszelkich pragnień. Kiedyś powiedział mi, że trzeba skłonić głowę przed mądrością dawnych Żydów. W Starym Testamencie czytamy, że za wróżbiarstwo i przyzywanie demonów groziła śmierć przez ukamienowanie. Wiedzano wówczas doskonale, że interwencja sił zła nie może przynieść nic dobrego.

Zapadło milczenie, które po chwili z zatroskanym wyrazem twarzy przerwał Benedykt.

- Franciszku, może to nie najlepsza pora, ale muszę ci powiedzieć, co mi leży na sercu. Widzę, jak z czynnym współudziałem jezuitów rozwija się twój pontyfikat, i odnoszę wrażenie, że źle skończy się to zarówno dla Kościoła, jak i ciebie samego. Twój macierzysty zakon, mówiąc wprost, nie toleruje religii katolickiej. Wprowadza do niej rewolucyjny alternatywizm i zasady zapożyczone z ideologii marksistowskiej. Nie będę mówić o szczegółach, bo dobrze je znasz, ale to postępujące niszczenie doktryny powoduje, że jeden biskup uznaje papieską nieomylność, a drugi dogmaty chrześcijańskie. Wierni nie wiedzą, komu wierzyć. Nie może być dwóch prawd na ten sam temat. W ostatecznym rozrachunku zostaniesz nazwany heretykiem, którego działania w Stolicy Piotrowej spowodowały schizmę. A ta zniszczy Kościół tak, jak to zrobiła reformacja.

- Nie masz racji. Kościół wymaga gruntownych reform. Pochodzę z Ameryki Południowej i wiem, jak dalece nędza gnębi tam ludzi. Ty, który urodziłeś się w bogatych Niemczech, nie masz o tym najmniejszego pojęcia. Nie rozumiesz teologii wyzwolenia. Od lat twoim pragnieniem jest zwołanie soboru. Jeśli do tego kiedyś dojdzie - a mam nadzieję, że tak będzie - prawdopodobnie zostanie on nazwany twoim imieniem. Obaj mielibyśmy tam mnóstwo do zrobienia. Ale nasze wizje Kościoła zawsze były różne. Ja poświęcam się walce z pedofilią, homofobią, homoseksualizmem księży, poniżaniem kobiet i praniem brudnych pieniędzy w Banku Watykańskim. Wrogów mam

mnóstwo, lecz mimo starań nigdzie nie widzę przyjaciół.

- Franciszku! Wszyscy papieże mieli odmienne wizje Kościoła, ale twardo trzymali się doktryny chrześcijańskiej, a w twoim otoczeniu są osoby, które istotne elementy wiary zastępują sprawnością socjologiczną. Publicznie głoszą, że słowa Jezusa dotyczące nierozzerwalności małżeństwa są względne, a Szatan to tylko kolejny papieski wymysł i konstrukt akademicki. Przykro mi o tym mówić, ale twoja adhortacja *Amoris Laetitia* również jest z gruntu kaleka. Każdy wierny wie, że nie można jednocześnie cudzołożyć i być w stanie łaski, tak jak nie można być częściowo w ciąży. Zdumiewające, że nie jest to oczywiste dla papieża i jego zgromadzenia. Następną do rozbioru będzie Ewangelia. Co wówczas pozostanie? Moim zdaniem przerażająca pustka. Ktoś musi ci powiedzieć, że popełniasz błąd i poniesiesz jego konsekwencje.

- Każdy odpowiada za siebie, tak przed ludźmi, jak i przed Bogiem - odpowiedział twardo Franciszek. - Nie zamierzam się z niczego tłumaczyć. Nie muszę. Tak jak ty nie musiałeś.

Rozstali się w dość ponurych nastrojach, rozważając poruszone tego dnia kwestie. Zupełnie inaczej widzieli stojące przed Kościołem zadania. Papież Benedykt za najważniejsze uważał zwołanie nowego soboru, Franciszek natomiast otwarcie Kościoła na wiernych.

ROZDZIAŁ 9

w którym Trump poznaje sekrety Księżycyca, nowe informacje rodzą jednak więcej pytań niż odpowiedzi.

Przechodząc się rano wokół Białego Domu Trump zauważył, że jego polecenia usunięcia ogródka warzywnego Michelle Obamy nie wykonano na czas. Z ziemi wyłaniały się smutne pędy zwiędniętego zielska. Wprawilo go to w zły humor. Ślady po poprzedniej prezydenturze tępił równie starannie jak myśli o Hillary Clinton. Nie ma co udawać, ta masońska suka dała mu popalić jak nikt inny.

Wrócił myślami do żony poprzedniego prezydenta. Musiała być z niej kiedyś niezła laska. W dodatku była świetną prawniczką. Nie miał nic przeciwko dorodnym Murzynkom, póki były młode. Michelle ostatnio jednak mocno przytyła i swoim wielkim tyłkiem zajmowała już chyba obie połowy małżeńskiego łóża. Trump polecił służbom mocno zużytego grata z prezydenckiej sypialni wyrzucić na śmietnik. Nowy materac na ramie typu king size z powodzeniem testował ostatnio z Melanią. Mimo lat współżycia dalej potrafiła z nim zrobić w pościeli takie sztuczki, jak żadna inna. Nawet nastolatka.

Było wpół do dziewiątej, cholernie wczesna godzina, ale w każdy poniedziałek o tej porze odwiedzali go O'Hara i Anderson. Powinni mu dziś doręczyć sprawozdanie o Księżycu.

- Raport jest? - spytał krótko, gdy tylko stanęli przed nim w postawie zasadniczej.

- Oto on - odpowiedział generał.

Prezydent zbliżył kartki do oczu i wrzasnął:

- Co to ma być, do jasnej cholery?

- Wykonałem pańskie polecenie.

- Jakie niby polecenie? - spytał zirytowany Trump, nie rozumiejąc.

- Raport miał być nie dłuższy niż trzy strony, lecz zawierać wszystkie konieczne informacje. Aby spełnić rozkaz, sporządzono go najmniejszą czcionką. W teczce mam też drugą kopię, nieco dłuższą, ale czytelną - dodał szybko, widząc wściekłe spojrzenie prezydenta.

- Okay - uspokoił się Trump. - Czy to tajne dane? Musimy się udać do pokoju mrocznych tajemnic?

- To niewątpliwie raport specjalnego znaczenia, lecz może się pan z nim zapoznać tutaj.

- Tak zrobię. Poczekajcie obok.

Kilkustronicowe sprawozdanie opatrzone było nagłówkiem *Rzecz o Księżycu*.

Najstarsze znane źródła wskazują, że jeszcze kilka tysięcy lat przed naszą erą Ziemia nie miała satelity. Wedle starożytnych astronomów rok miał wówczas jedynie trzysta sześćdziesiąt dni, a pory zasiewu i zbiorów były inne niż obecnie. Kto, w jaki sposób i jakimi siłami sprowadził Księżyc na obecną orbitę, nie wiadomo. Na pewno był tu już na początku historii Sumeru, wiemy bowiem, że obieg Ziemi dookoła Słońca liczył już wówczas trzysta sześćdziesiąt pięć dni. W międzyczasie ówczesni astronomowie dokonywali wielokrotnie zmiany kalendarza.

Księżyc jest zwrócony w stronę Ziemi cały czas jedną stroną. Druga pozostaje dla nas niewidoczna. Obecnie nie ulega wątpliwości, że nasza planetoida ma inną budowę i skład niż Ziemia. Na jego powierzchni znajduje się około pół miliona kraterów o rozpiętości od pięćdziesięciu do dwóch i pół tysiąca kilometrów. Niektóre kratery, zwane spiczastymi, posiadają sferyczne przykrywy różnych rozmiarów, kształtów i kolorów, do których prowadzą drogi dojazdowe. Stan tych obiektów zmienia się nieraz z dnia na dzień, a pod największymi z nich mogą się mieścić całe miasta.

Nauka nie potrafi wyjaśnić, dlaczego wszystkie kratery księżycowe mają tę samą głębokość. Zdaniem niektórych może to dowodzić, że

skorupa księżycowa zbudowana jest z litej warstwy metalu lub innego, nieznanego nam tworzywa, i być może została z zewnątrz obsypana miliardami ton pylistego gruntu, prawdopodobnie wydobytego z jej wnętrza. Zaskoczeniem dla uczonych było, że pył księżycowy ma wszędzie podobną grubość kilku centymetrów. Przed lotami Apollo spodziewano się, że mogą tam być obszary równie piaszczyste jak Sahara.

Zbadane dotąd próbki skał wykazują namagnesowanie, co świadczy o tym, że Księżyc miał niegdyś własne pole magnetyczne. Są one znacznie starsze niż skały ziemskie. Pył księżycowy również jest znacznie późniejszy niż cały Układ Słoneczny, co dowodzi, że przybył z innego miejsca kosmosu. Można sądzić, że nagłe pojawienie się Księżyca na orbicie ziemskiej spowodowało wielki potop skutkujący zagładą mitycznej Atlantydy i zdziesiątkowaniem populacji ludzkiej. A może również zniszczeniem całej ówczesnej cywilizacji.

Od dawna obserwujemy dziwne zdarzenia na Księżycu. Już w 1822 roku astronom Gruithuisen przez teleskop odkrył w jednym z kraterów ruiny miasta. Inni dziewiętnasto- i dwudziestowieczni badacze widzieli lądujące obiekty, ostrosłupy, kapsuły, mosty, obeliski, drogi, ślady pracy ciężkiego sprzętu, wielokilometrowe rampy, wyrobiska wyłożone równo przyciętymi blokami - wszystko świadczące o istnieniu tam cywilizacji.

Wiele budowli jest znacznie większych niż na Ziemi. Przeznaczenia ich nie jesteśmy w stanie odgadnąć. Nasze obserwatoria wielokrotnie dostrzegały na Księżycu i jego orbicie pojazdy latające o średnicy nawet dwudziestu kilometrów, rozwijające niezwykle prędkości i zmieniające kierunek lotu. Na ogół lądowały na jednym z biegunów. Prowadzi to do nieuchronnego wniosku, że są inteligentnie sterowane. Miewają kształt cygar o długości piętnastu kilometrów lub trójkątów o boku dziesięciu kilometrów. Niekiedy zastygają nieruchomo w locie lub dokują przy rampach.

W 1968 roku NASA opublikowała ogólnodostępny Chronologiczny

katalog zdarzeń księżycowych. Ów raport techniczny stwierdza, że odnotowano pięćset siedemdziesiąt dziewięć anomalii w trzystu różnych miejscach na Księżycu, takich jak obiekty o nieznanym przeznaczeniu, chmury - na cieple niebieskim, na którym podobno niemal nie ma atmosfery - oraz silne światła układające się w ciągi geometryczne. Tę wiedzę posiadano od dawna, lecz podano do wiadomości dopiero wtedy, gdy każdy człowiek mógł sobie kupić dobrą lunetę w sklepie z zabawkami. Oczywiście zasadnicza część raportu NASA pozostaje tajna. Wiadomości cedzono powoli i po trochu. Pozornie wszystkie zdjęcia są powszechnie dostępne, lecz te, które mogłyby wzbudzić zainteresowanie, zostały starannie wyretuszowane. Kierownictwo tej firmy wprost zaleca nie odpowiadać na żadne trudne pytania lub udzielać wymijających wyjaśnień. Gdzie jak gdzie, ale w NASA doskonale wiedzą, że poznanie tajników pozaziemskiej cywilizacji zapewnia strategiczną przewagę w polityce i ekonomii.

Wernher von Braun powiedział kiedyś publicznie, że na Księżycu istnieje niewyobrażalna potęga. Nigdy nie zdradził szczegółów ani źródła swych informacji.

Twierdzi się, że Księżyc jest pusty w środku - tymczasem nauka nie zna żadnych innych ciał niebieskich, które nie byłyby lite. Wyjątkiem mogą być satelity Marsa, Dejmos i Fobos, co znaczy odpowiednio „groza” i „strach”, lecz nie ma pewności co do ich naturalnego pochodzenia. Zdaniem wybitnego astronoma Carla Sagana w przestrzeni kosmicznej nic, co jest w środku puste, nie może być naturalne. Rosjanie wewnętrzną ekosferę Księżyca obliczają na siedemdziesiąt milionów kilometrów sześciennych, co ich zdaniem również świadczy o tym, że nie ma on budowy litej. Nasze poglądy są więc w tej kwestii takie same.

Podejrzenia te trzeba było zweryfikować. W 1969 roku Apollo 12 z dużej wysokości zrzucił piętnastotonowy, niepotrzebny już człon statku, aby wywołać na Księżycu sztuczne trzęsienie ziemi. Wcześniej

na jego powierzchni umieszczono czułe sejsmografy, które zarejestrowały, że po uderzeniu przez godzinę drgał on jak dzwon. Według niektórych potwierdza to tezę, iż Księżyc ma metalową powłokę i jest wydrążony w środku. Są też tacy, którzy twierdzą, że dawno temu przerobiono go na bazę kosmiczną. Wszystkie te dane wskazują, że Księżyc jest ciałem sztucznym.

W dziewiętnastym i dwudziestym wieku sytuacja człowieka uległa radykalnej zmianie. W czasie stu lat dokonaliśmy niezwykłego postępu, przesiadając się z furmanki do statków kosmicznych. Z chwilą uruchomienia lotów poza stratosferę zwielokrotniła się częstotliwość obserwacji niezidentyfikowanych obiektów latających. Naszym zdaniem nadchodzi czas wielkich zmian. Niebawem dowiemy się, kim jesteśmy i skąd pochodzimy.

Dlaczego Księżyc obraca się z prędkością równą jednej setnej obrotu Ziemi wokół jej osi? Dlaczego jest czterysta razy mniejszy od Słońca i znajduje się dokładnie czterysta razy bliżej Ziemi niż gwiazda? Dlaczego system miar geometrycznych używany w epoce kamiennej idealnie sprawdza się tylko w odniesieniu do Księżyca? Takich pytań są setki, o ile nie tysiące. Niektórzy eksperci z całym przekonaniem twierdzą, że obecność Księżyca na ściśle wyliczonej orbicie, jako niezgodna ze znanymi zasadami astrofizyki i unikalna w całym systemie słonecznym, nie może być przypadkowa.

Odkryć tych nie da się ująć w kategorii ludzkie. Percepcja istot, które stworzyły cywilizację na Księżycu, jest dla nas równie trudna do pojęcia, co fascynująca. Nieznana kultura zastosowała tam niepojmowalne dla nas metody, dysponując niesamowitymi technologiami. Aby przetransportować Księżyc na jego obecną orbitę, musiano użyć olbrzymiej siły i narzędzi niwelujących oddziaływanie grawitacji. Nie znamy ostatecznego celu tego precyzyjnie przeprowadzonego działania.

Wśród naukowców nie ma zgody co do interpretacji tych danych, tak jak geolodzy, archeolodzy i historycy nie są w stanie przedstawić

jednej spójnej wersji naszej historii oraz interpretacji wydarzeń, jakie przez tysiące lat były udziałem ludzkości. Nie mamy pełnej wiedzy nawet o historii Sumeru i Egiptu, nie ma też nikogo, kto mógłby w sposób wiarygodny oddzielić tu prawdę od komentarza. Nawet Biblii istnieje tyle wersji, na ile przetłumaczono ją języków. Prawie nic nie wiemy o przeszłości własnej planety. Jeszcze większą zagadką pozostają dla nas zagadnienia kosmiczne...

Trump dwukrotnie przeczytał raport i wezwał do siebie oficerów.

- Wzięliście to z Internetu?

- Nie. To informacje, jakie z pominięciem NASA udało się nam uzyskać od naukowców różnych dyscyplin. Ale jednolitego stanowiska na te tematy nie ma. Wie pan, to delikatne kwestie dla obowiązujących paradygmatów dotyczących religii, duszy, koncepcji Cuviera, Darwina i tak dalej.

- Dajcie polecenie, aby NASA dostarczyła prezydentowi wszystkie materiały dotyczące programów Gemini i Apollo.

- Wątpię, aby się na to zgodzili - powiedział powoli Anderson.

- Co wy mi tu pieprzycie? - zirytował się Trump.

- Będą utrzymywać, tak jak mówili kilku ostatnim prezydentom, że ujawnienie takich informacji może zagrozić bezpieczeństwu Stanów Zjednoczonych.

- To postraszcicie ich wstrzymaniem subsydiów.

- To też nic nie da. Mecz drużynowy NASA kontra prezydenci przegrali do zera wszyscy pana poprzednicy, pomijając Eisenhowera.

- A on?

- Wiemy tyle, że dał im ostro po dupie. Zagroził im, że złoży im wizytę w asyście wojska. Informacje na ten temat na pewno znajdzie pan w sejfie prezydenckim.

- Jutro do niego zajrzę i oby tak było. Inaczej każę gwardii narodowej rozpędzić całą tę pieprzoną NASA. Nie będę zważał na Kongres.

- No to ma pan impeachment jak w banku.

- Wygrywałem różne starcia. Wygram i to. Chcę, żebyście mi tu donieśli relacje wszystkich astronautów biorących udział w lotach Apollo. Jeśli jacyś jeszcze żyją, chcę ich tu widzieć. Razem z wami, w tym gabinecie. Inaczej zdymisjonuję was obu, a po ceremonii pożegnalnej przypnę każdemu medal do wątroby. Tak, żeby bolało. Możecie odejść.

- Jest jeszcze jedna, równie ważna sprawa - powiedział ostrożnie szef wywiadu. - Chodzi o Koreę Północną. Od wielu lat stanowisko ministerstwa obrony i wywiadu jest takie samo - wszelkie umowy i ustalenia z tym reżimem były, są i będą całkowicie bezowocne. To uzbrojona po zęby rosyjska pięść wymierzona przeciwko Zachodowi i zawiadywana przez paranoika, któremu na niczym nie zależy. Wie, że długo nie pożyje z powodu postępującej gwałtownie cukrzycy. Jego ośrodek nuklearny kończy obecnie prace nad bombą wodorową i jeśli dostanie rozkaz z centrum dowodzenia, niewątpliwie zdetonuje ją nad Pacyfikiem, powodując kataklizm na skalę światową. Koreę Północną i jej ośrodki nuklearne trzeba zniszczyć, póki jeszcze można. W przeciwnym wypadku ona zniszczy nas.

- Wiem o tym. Ale do tego trzeba przekonać większość w Kongresie, co nie będzie proste. ONZ mam w dupie, co zresztą wicie. Czas na Koreę nadchodzi. Powiem wam coś prywatnie. Prawdziwą rozkoszą jest o wielu rzeczach nic nie wiedzieć. Szczególnie o takich rozwiązaniach. Jakiś diabeł mnie podkusił, żeby objąć ten urząd. Dałbym wiele, aby mi się objawił.

- Nie życzę panu tego, bo takie objawienia mają charakter jednorazowy i ostateczny. Zresztą Lucyfer objawia się wyłącznie swoim apologetom, a pan do nich nie należy, bo uwielbia pan tylko siebie.

- To prawda - odpowiedział spokojnie prezydent. - Ale mam pytanie osobiste do szefa wywiadu. Interesuje mnie - jako biznesmena - jaki jest osobisty majątek prezydenta Putina. Czy macie jakieś dane

szacunkowe na ten temat?

- Według oceny mediów wynosi ponad dwieście miliardów dolarów. Ale równie dobrze może wynosić dziesięć razy więcej. Na pewno jest najbogatszym człowiekiem na świecie. Wynika to stąd, że według doktryny istniejącej w Rosji od czasów pierwszych władców cały kraj jest własnością cara, a poszczególni właściciele czegokolwiek są jedynie formalnymi zarządcami. Car może im wszystko zabrać i rozdać innym. Ci z Rosjan, którzy tego nie rozumieją, wpadają w te same sidła, jakie omotały Bieriezowski i Chodorkowski. Stracili wszystko i przebywają za granicą.

Z tego, co wiemy obecnie, wynika, że w osobistym posiadaniu Putina jest ogromna liczba akcji naftowych i gazowych, blisko dwadzieścia luksusowych pałaców zbudowanych w ostatnich latach, przeszło trzydzieści samolotów i helikopterów, około dwudziestu jachtów pełnomorskich motorowych, kolekcje najdroższych zegarków i antyków.

- Trudno z nim będzie konkurować, ale jeśli na tym stanowisku pobędę jak on dwadzieścia lat, to możemy się zmierzyć.

Na tym rozmowa się skończyła. Skromność zawsze przychodziła Trumpowi w sposób naturalny i równie łatwy jak przegryzanie zębami podkładów kolejowych.

ROZDZIAŁ 10

w którym Ernesto zwraca się z prośbą do papieża i wyjawia mu, jaki charakter mają w rzeczywistości działania masonerii.

Ernesto i papież Franciszek kontynuowali rozmowę w ołowianym pokoju w Zamku Świętego Anioła. Dziś stał tam tylko prosty stół i trzy wyściełane krzesła, z przepychu czasów renesansu i panowania Borgiów nie pozostało nic. Powietrze było jednak świeże. Różnica temperatur musiała wyzwalać zjawisko średniowiecznej klimatyzacji.

- Mam poczucie, że mój czas dobiega końca, Jorge - zwierzył się papieżowi Ernesto. - I chciałbym po sobie posprzątać. Należałem do kilku łóż, między innymi Rytu Szkockiego Dawnego i Uznanego. Jestem masonem i chcę się z tego brzemienia uwolnić. Z masonerii oficjalnie wystąpić nie można, to droga tylko w jedną stronę. Ty możesz mi jednak w tym pomóc.

- Mogę - przytaknął Franciszek - i zrobię to. Od czasu, gdy w dziewiętnastym wieku spisano Alta Vendita, wiemy, że tajnym celem masonerii jest zniszczenie Kościoła katolickiego i zastąpienie klasycznej Ewangelii nową, pozbawioną Chrystusa.

- Zgadza się, Jorge. Wielkim mistrzom wyjawiono, że trzecia część wszystkich hierarchów Kościoła katolickiego przynależy do łóż. Nie ma tam już prawdziwych chrześcijan. W co zatem wierzą? W samym Watykanie działają aż trzy loże. Podobno mają zebrania na terenie Rzymu.

- Wiem o tym, podobnie jak wiedzieli moi poprzednicy - pokiwał smutno głową papież. - Próbowano temu przeciwdziałać, wydając encykliki, ale do czasu spisania trzeciej tajemnicy fatimskiej wszystko było w zawieszeniu, a potem zaczęło brakować czasu i środków. Kolejni papieże usiłowali rozpędzić masońskie ugrupowania działające

w samym Watykanie. Zwolennikiem radykalnego wydalenia ich z organizmu Kościoła był Jan Paweł I, który postanowił wszystkich masonów z Kurii Rzymskiej porozsyłać na peryferie, możliwie najdalej od Rzymu. Być może właśnie dlatego jego pontyfikat trwał tak krótko, a okoliczności zgonu budziły podejrzenia. Uważam, że zamordowano go, aby zniechęcić jego następców do podążania tą samą drogą. I się udało.

- Jestem tego samego zdania. Dużo się o tym mówiło w najwyższych kręgach masońskich. Okoliczności śmierci Jana Pawła I były wprost przerażające. W poczuciu bezkarności i ku przestrodze sprawcy pozostawili po sobie wyraźne znaki. Zbrodni dokonano w trzydziestym trzecim dniu jego pontyfikatu, co jest liczbą o szczególnym znaczeniu dla masonerii.

- Zmarłego papieża znaleziono w łóżku z papierami w ręku - dodał Franciszek. - Już dzień wcześniej wiedziano, że będzie on przygotowywać dokumenty do dymisji wielu urzędników watykańskich. Prawie od razu po jego zgonie z sypialni papieskiej zabrał je kardynał Villot. Nie odzyskano ich do dzisiaj. Na pytania, co się z nimi stało, odpowiadał, że nie ma pojęcia. Rzekomo w tym samym dniu zaginęły w niewytłumaczalnych okolicznościach z jego osobistej kancelarii. Nie wiadomo również, dlaczego nie wykonano rutynowej sekcji zwłok. Do dzisiaj nie sporządzono też świadectwa lekarskiego stwierdzającego przyczynę śmierci papieża. Nie przeprowadzono badania żadnych płynów ustrojowych ani nie dokonano analiz toksykologicznych. Pospiesznie w czasie dwunastu godzin ciało zmumifikowano. Wszystko to wskazywało, że jakimś niezwykle wpływowym siłom zależało na usunięciu Jana Pawła I i zniszczeniu dowodów.

Ernesto pokiwał głową i słuchał dalej tego, o czym mówił Franciszek.

- Mam w swoim otoczeniu zakonnicę blisko spowinowaconą z siostrą Vincenzą Taffarel, która w dniu śmierci Jana Pawła I pełniła

funkcję jego osobistej pielęgniarki. W najgłębszym zaufaniu wyjawiała swojej krewnej, że nie ma wątpliwości, iż papieża otruto. Podobno o swoich przypuszczeniach dotyczących udziału w zbrodni watykańskiej mafii związanej z masońską lożą P2 powiedziała Janowi Pawłowi II. To ona jako pierwsza po śmierci papieża widziała w jego rękach listy hierarchów, których zamierzał natychmiast usunąć z Kurii Rzymskiej i Banku Watykańskiego.

- Ekstrapolując, w związku z tymi wydarzeniami mam do ciebie, Ernesto, osobistą prośbę - zwrócił się z powagą do przyjaciela Franciszek. - Chcę cię uczynić wykonawcą mojego testamentu. Z treścią tego dokumentu zapoznasz się po mojej śmierci. Jest tam uwaga, że moje ciało ma być poddane sekcji zwłok i wszelkim rutynowym badaniom. Tutaj, w Rzymie, w takiej sprawie nie ufam nikomu, a ty dysponujesz odpowiednimi środkami, aby zapewnić, że moje żądania zostaną spełnione. W Kurii są one powszechnie znane, ale co się stanie, jak nie będzie mnie, Franciszka, już wśród żywych, nie wiadomo.

- Oczywiście, takiej prośbie się nie odmawia - odparł poruszony Ernesto. - Widzę, że w tym świętym mieście wiesz smutne życie. Spiski, koterie, oszczerstwa, pomówienia, groźby zamachów, którym musisz stawiać czoła właściwie sam. Ale wspominałeś o tajemnicy fatimskiej. O co właściwie chodziło? Słyszałem różne pogłoski, między innymi o wojnie i zagładzie gatunku ludzkiego, jak i o tym, że ostatni papież znajdzie się we władaniu Szatana.

- Ostatnie proroctwo mówi o apostazji na szczycie hierarchii watykańskiej, usunięciu Chrystusa z liturgii i kulcie Lucyfera - odpowiedział Franciszek.

- To się zgadza - potwierdził cicho Ernesto. - Masoneria przygotowuje się do ostatecznego zamachu na papieżstwo. W czasie najbliższych dziesięciu lat zamierza spenetrować i uzależnić od siebie najwyższe urzędy Watykanu tak, aby samodzielnie wybrały właściwego papieża i liberalną hierarchię.

- To cel w pełni osiągalny. Głosi się hasło, że dawna wiara się zdezaktualizowała w obecnych czasach. A to oczywiście wymaga zaprowadzenia nowej teologii.

Zapadło milczenie. Po chwili Ernesto powiedział:

- Jak pewnie wiesz, Jorge, procedury mianowania członków na wyższe stopnie masońskie, od trzydziestego do trzydziestego trzeciego, nie są jasne, wiadomo jednak, że kandydat na trzydziesty trzeci stopień w uroczystej ceremonii depcze w piachu tiarę papieską. Ale nie te teatralne rytuały mają zasadnicze znaczenie.

- Czyżby w dwudziestym i dwudziestym pierwszym wieku satanistyczna otoczka masonerii uległa zmianom?

- Istotnie. To właśnie skłoniło mnie do przyjazdu i uzyskania rozgrzeszenia. Mój czas dobiega końca. Po śmierci ojca znalazłem krótki list, w którym przypomina mi on o wadze pierwszego przykazania. Długo miałem względem niego wątpliwości. Uważam, że powinno brzmieć inaczej: *Nie będziesz miał bogów innych poza Mną*⁶. A nie przede mną. Na kamiennych tablicach, które Żydzi otrzymali na Synaju, zapewne tak było. Słowa „poza Mną” są tutaj decydujące. Mówią o Bogu jedynym i wyłącznym. Wykluczają politeizm, kult Lucyfera i wszystkich innych, którzy mogą być „za Nim” i „przed Nim” lub obok. Bóg na taką nielogiczność nie mógłby sobie pozwolić. Poza tym w piśmie mojego ojca była adnotacja o obecności w Biblii trzeciego przykazania, dotycząca zakazu sporządzania przez ludzi jego wyobrażeń. Tego Kościół katolicki nigdy nie przestrzegał, a zasada ta jest fundamentalna w judaizmie i islamie. Ale to, co dla mnie najbardziej interesujące, to akapit mówiący o obecności istot żyjących na Ziemi głęboko pod podziemnymi wodami. Czyżby Jahwe, dając na Synaju Żydom tablice z przykazaniami, wiedział coś o istotach żyjących w krainach podziemnych i podwodnych? Czy wiesz, Franciszku, jaka jest wykładnia Kościoła na ten temat?

- Nie, ale zapytam o to Benedykta. W takich sprawach nikt nie

orientuje się lepiej od niego.

- Zostawmy więc ten temat. Muszę podzielić się z tobą innymi, przerażającymi wieściami. Wysłuchaj mnie, Jorge.

- Mów - powiedział papież i utkwiał w Erneście uważne spojrzenie.

- Jakiś czas temu otrzymałem zawiadomienie o szczególnej uroczystości, w której mieli wziąć udział wielcy magowie i mistrzowie wszystkich łóz Argentyny. To niesłychanie rzadkie wydarzenie toczące się w wielkiej celebrze. Miejscem spotkania nie była oficjalna siedziba żadnej ze znanych mi łóz, a samotna hacjenda położona daleko od miasta. Spodziewałem się, że nastąpi tam coś niezwykłego, że ujawni się jakiś wyższy szczebel organizacji, którego istnienie jedynie podejrzewałem.

Członkowie każdego zgromadzenia plotkują i masoni nie są tu wyjątkiem. Wspominają swych dawnych współbraci, którzy zniknęli w niejasnych okolicznościach, nagłe zgony i nieoczekiwane pogrzeby. Pewien człowiek, który brał wcześniej udział w podobnym misterium, w zaufaniu zdradził mi, że wybiera się wówczas jednego kandydata na wyższy stopień. Na wstępie uczestnicy otrzymują kielich wody zapomnienia, zwanej wodą z rzeki Lete. Potem, czekając w kręgu wtajemniczonych, wypijają kolejny. Później odbywają podróż kosmiczną, której towarzyszą przerażające wizje. Opowiadał tak dokładnie i szczegółowo, że zorientowałem się, iż w istocie brał udział w seansie narkotycznym związanym z zażyciem peyotlu. Żaden z moich współbraci nie wiedział, że ukończyłem technikum chemiczne. Wiedziałem, że specjaliści od alkaloidów roślinnych w Mineralvicie będą w stanie sporządzić dla mnie antidotum neutralizujące wpływ peyotlu. Nalałem je do piersiówki, zabrałem ze sobą i wypilem w samochodzie na chwilę przed wejściem na salę.

Sanktuarium wykuto w litej skale i obudowano dla niepoznaki hacjendą. W środku naliczyłem trzynaście kamiennych krzeseł. Obiekt ten mógł pamiętać czasy Majów. Na środku znajdował się ołtarz z wyrytymi znakami masońskimi, zwieńczony posągami

przedstawiającym wyprostowanego węża przebitego strzałą, trzymającego jabłko w pysku. Naczelnym mag miał na głowie kaptur zakrywający twarz. W ręku trzymał akacjową gałązkę. Kazał nam wypić wodę zapomnienia rozlaną do kamiennych kielichów. Skądś dobiegała psychodeliczna muzyka. Wszystkie krzesła były zajęte. Środek halucynogeny wkrótce zaczął działać. Z początku uczestnicy kiwali się na boki, potem zaczęli wydawać okrzyki i wyciągać ręce ku czemuś, co widzieli jedynie oni. Nie chcąc się zdradzić, robiłem to samo.

Apogeum uroczystości nastąpiło w chwili, gdy na ołtarzu pojawiła się zielona postać. W powietrzu chodziła od adepta do adepta, chwytając ich głowy w uścisk. Główny mag krzyknął wówczas: „Bóg Lucyfer przyszedł do nas, bracia! Czujcie go jako waszego Pana”. Trwało to nie dłużej niż kilka minut. Wiedziałem, że odurzeni peyotlem wizję holograficzną wezmą za żywą prawdę. Do końca życia będą wierzyli, że doznali objawienia, podobnie jak żydowscy prorocy czy święci katoliccy przeżywający mistyczne epifanie. Misterium miało się ku końcowi. Kapłan rozlał do kielichów napój zwany przez niego somą. Zgromadzeni zaczęli odzyskiwać zmysły. Byli tak poważni, jakby byli świadkami prawdziwego cudu i doznali rzeczywistego nawrócenia. Mag oznajmił, że wybrany adept dopuszczony zostanie do wyższego kręgu masonerii, a jego kontakty z Lucyferem i jego ziemskimi przedstawicielami staną się bardziej regularne. Takich bezpośrednich sług Księcia Piekieł jest na kuli ziemskiej kilkuset. W nagrodę obiecuje im i ich rodzinom długie życie w zdrowiu oraz miejsce na innej planecie w wypadku globalnego kataklizmu.

Na koniec na dużym ekranie wyświetlono profesjonalnie przygotowany film z życia obcej cywilizacji z okolicy Aldebarana. Musiał go wykonać geniusz filmowy. To, co widziałem, wydawało się niemal namacalne, prawdziwe, cudowne. Kolosalne wrażenie wywarł na mnie fragment ukazujący teren planety z wyglądu podobnej do Ziemi, na którym stała wyniosła konstrukcja o wymyślnym kształcie,

wysoka na kilkadziesiąt metrów i otoczona setkami ruchomych chwytaków różnej wielkości. Na stertę obok niej pojazdami gąsienicowymi dostarczano metal, szmaty, plastik i inny złom. Chwytały wyjmowały z niej małe fragmenty, wprowadzały do wnętrza konstrukcji, rozbierały na cząstki, a następnie, niczym gigantyczna drukarka przestrzenna, w szalonym tempie, atom po atomie, budowały obiekty do złudzenia przypominające obserwowane przez nas niezidentyfikowane pojazdy latające. Nic się tam nie marnowało, był to stuprocentowy recykling na poziomie atomowym. Obraz ten w oczywisty sposób urągał mojej wiedzy. Wiedziałem, że uczestniczę w szczegółowo zaplanowanym oszustwie. Moją uwagę przykuły nie tyle rekwizyty, uczestnicy i procedura psychomanipulacji, lecz główny reżyser tego spektaklu. To on decydował o kolejności wydarzeń, animował całą grę pozorów. Musiał należeć do bardzo wysokiego szczebla masonerii. Tacy ludzie mogą zaspokajać wszelkie swoje ziemskie pragnienia. Mają najpiękniejsze wyspy, najdłuższe jachty, najcudowniejsze kobiety, najwspanialsze majątności. Ale mają także największe marzenia. Jedni pragną długiego życia w zdrowym ciele, inni dotarcia na obcą planetę, zapisania się w historii naszego globu i konkurowania w niej o pierwsze miejsce z takimi odkrywcami jak Kolumb, Magellan czy Drake. Do realizacji takiego celu są konieczne ogromne nakłady finansowe i doskonała organizacja. Z tych względów unikalny w skali ludzkości program zwiadu kosmicznego może zrealizować jedynie światowe mocarstwo lub masoneria. Współczesny Kościół jest na to po prostu zbyt słaby i za biedny.

Tu dochodzimy do sedna mojej wizyty. Podczas uroczystości, gdy wszyscy prócz mnie byli odurzeni peyotlem, do sali weszło kilka istot. Jestem pewien, że byli to Reptilianie. Zmienili nam kieliszki i przestawili akcesoria na ołtarzu. Mag na chwilę zdjął wtedy kaptur i dostrzegłem gadzi pysk z oczyma jaszczura. Obawiam się, że wniosek może być tylko jeden. My, ludzie, mamy służyć obcej rasie.

Franciszek wyglądał na wstrząśniętego.

- Nie znałem głębi satanizmu tych rytuałów - powiedział, wzdrygając się. - To pierwsza relacja pochodząca od osoby, której mogę w pełni ufać. Rozmawiałem niedawno o tym problemie z Benedyktem i doszliśmy do wniosku, że masoneria pozornie zrównuje ze sobą wszystkie religie. Taki relatywizm filozoficzny pociąga za sobą relatywizm moralny. Żadna reguła nie ma boskiego początku, można ją więc swobodnie i dowolnie przekraczać. Człowiek staje się jedynym bogiem i sędzią w sprawie swoich uczynków. To prowadzi do pełnego hedonizmu, w którym nic nie jest zabronione. To czysta gnoza lucyferyczna. Spektakl, w jakim uczestniczyłeś, miał charakter nie tyle demoniczny, co arymaniczny. Ale powiedz mi, Ernesto, skąd w dwudziestym pierwszym wieku masoneria czerpie środki na swoje potrzeby?

- Składki są niskie, a darowizny też nie utrzymałyby łóż - przyznał Ernesto. - Podstawą są nieuczciwe umowy na wykonywanie robót publicznych. Tu dochody idą w miliardy dolarów. Uznaniowy procent jest na ogół dobrowolnie wpłacany na jawne lub tajne konta łóż. Ale mam dla ciebie, Jorge, coś więcej. Z wielkim trudem - mniejsza, jaką drogą - uzyskałem pewien dokument dotyczący istot pozaziemskich. Nie mam wątpliwości, że jest oryginalny. Mam go z sobą na laptopie. Chciałbym, żebyś się z nim zapoznał.

- Wiesz, mam na to za słabe oczy. Może wydrukujesz go na mojej drukarce?

- Żaden problem. Zrobimy to po powrocie do twoich pomieszczeń w Watykanie.

Papież rytualnym gestem rozgrzeszył Ernesta, przyjmując go ponownie na łono Kościoła katolickiego. Ich rozmowa wypełniła istotne luki w informacjach na temat masonerii i istot pozaziemskich, jakie przez ostatnie kilka lat trafiały do niego z różnych źródeł. Patriarcha moskiewski Cyryl na ich ostatnim spotkaniu mówił, że rzesze pustelników rosyjskich w cerkwiach zapowiadają nadejście Antychrysta, Lucyfera i Sądu Ostatecznego. Powoływał się na wieści

od patriarchy Konstantynopola, a ten na panikę, jaka wybuchła na górze Athos. Podobno planował się tam udać, aby egzorcyzmować trzech mnichów ciężko opętanych przez demony, którzy mówili w nikomu nieznanym języku i kreślili dziwne, niczego nieprzypominające znaki. Pochodzili oni z prostych domów, nie mieli wyższego wykształcenia i od lat pełnili w zgromadzeniu najprostsze funkcje gospodarcze. Ktoś mądrzejszy niż reszta nagrał ich zachowanie na taśmy wideo. Okazało się, że język, jakim się porozumiewali, to sumeryjski. Wszystkie nagrania udostępniono ekspertowi, który uznał, że mówią oni o rychłym nadejściu boga Anu. Było to imię powszechnie używane pięć tysięcy lat temu w Dwurzeczu. Stanowiło tam synonim Lucyfera.

Informacje, jakie z tygodnia na tydzień spływały do papieża Franciszka, były oszałamiające. Nie ulegało wątpliwości, że za jego pontyfikatu obce siły rozpoczęły natarcie nie tylko na papieństwo czy religię katolicką, ale również na cały gatunek ludzki. Niektóre szczegóły pozostawały niejasne. Patriarcha Cyryl po spotkaniu z papieżem na Kubie w 2016 roku w niewiadomym celu udał się do małego kościółka na Antarktydzie. Po wizycie wygłosił bełkotliwy komunikat o kontynencie bez broni i jego szczególnej wartości dla cywilizacji ludzkiej. W pobliskiej Argentynie nic o tym nie wiadomo. Pogłoski mówiły również, że miesiąc później w tym samym miejscu pojawił się prezydent Obama. Drewnianą cerkiewką wielkości małej chatki pasterskiej rzekomo postawili rosyjscy polarnicy. Jaki cel miała wizyta obu dostojników na tym zapomnianym przez Boga kontynencie? Musi to sprawdzić SIV. Na rozwiązanie oczekuje też zagadka kompleksu ukrytego w rumuńskich górach Bucegi. Postanowił wysłać tam Ernesta, dając mu papieskie pełnomocnictwo oraz list polecający do arcybiskupa Bukaresztu.

Wrócili tą samą drogą, zamykając za sobą ciężkie drzwi.

- Muszę naszą rozmowę przemyśleć - odezwał się Franciszek, gdy dotarli do jego apartamentów na Lateranie. - To nie są informacje,

z których wnioski można wyciągnąć w jednej chwili. Ale mówiłeś o dokumencie, który chcesz mi pozostawić. Tu jest drukarka.

- Zaraz się tym zajmę.

- Doskonale. Ernesto, zapraszam cię jutro na kolację do Domu Świętej Marty. Co prawda to tylko dwa pokoje, ale będę u siebie. Są tam zakonnice, które przyjechały ze mną z Argentyny. Jesteśmy sobie całkowicie oddani. Dlatego umrę wśród nich, a nie w asyście jakiegoś żującego gumę papieskiego kamerdynera, który sam może być masonem, noszącym w pierścieniu szybko działającą truciznę. Tam również dam ci mój testament, sporządzony tak, by nikt nie mógł kwestionować jego autentyczności. Wydrukowałeś już te dokumenty?

- Tak, są gotowe. To tylko kilka stron. Opierają się na różnych źródłach, starych przekazach, channelingach i osobistych relacjach wiarygodnych osób. To aktualne kompendium wiedzy, jaką dysponuje na temat Obcych masoneria.

Papież wziął kartki do ręki. Na pierwszej widniał tytuł *Rasy istot pozaziemskich przebywających na Ziemi. Dane na rok 2017*. Postanowił zapoznać się z nimi później.

ROZDZIAŁ 11

w którym Michaił poznaje sekrety programu Apollo i dowiaduje się, jaki wpływ na los cywilizacji ziemskich miała nieznana astronomom planeta Układu Słonecznego.

Podczas sesji implantacji wiedzy kosmologicznej dla Michaiła stało się jasne, że w polityce rosyjskiej istnieją dwa obiegi informacji – jeden przeznaczony dla kompleksu wojskowo-obronnego, a drugi dla prezydenta. Putin o tym pierwszym nie miał zapewne zielonego pojęcia. Michaił zastanawiał się nie nad tym, kto i kiedy, ale dlaczego podjął decyzję, aby pewne dane zatajać przed prezydentem. Wniosek był jasny. Decydentem musiał być ten, kto miał władzę nakierowania fal radiowych i promieniowania elektromagnetycznego nawet na siedzibę każdego obywatela Rosji. W ten sposób bez dokonywania eksterminacji mógłby sam decydować o losach kraju.

Michaił zastanawiał się, czy o swoich wnioskach poinformować natychmiast Putina. Postanowił jednak problem najpierw dogłębnie przemyśleć. Po manipulacjach i psychospomaganiu jego iloraz inteligencji wykroczył daleko poza znane normy. Zaczynał odczuwać bezpośredni związek z kosmosem. Nie był już po prostu Rosjaninem, Europejczykiem czy Ziemianinem.

Gdy wrócił do domu po pierwszej sesji implantacji, poczuł delikatne pieczenie w łydce. Nie pamiętał, by się uderzył lub skaleczył. Pod przezroczystym mikroopatunkiem odkrył zasklepioną milimetrową ranę. W tym samym miejscu palcami wyczuł stwardnienie długości około trzech milimetrów. Przypomniawszy sobie, że kupił kiedyś czujnik wysokiej czułości, żeby sprawdzić przebieg przewodów w ścianach. Przyłożył go do ranki i usłyszał cichutki sygnał dźwiękowy świadczący o obecności metalu. Gdy znajdował się

w stanie uśpienia, musieli mu wszczepić czip monitorujący. Trochę go to rozbawiło. Doprawdy, mogli mu o tym powiedzieć wprost. Gdyby chcieli mu na trzy miesiące założyć obrożę śledzącą, też by to zrozumiał. Taka praca. Widocznie komuś zależało jednak na tym, aby zrobić to dyskretnie. Oczywiście słyszał o takich urządzeniach i znał ich słabe strony. Prawie wszystkie wyłączały się w polu magnetycznym. Michaił się uśmiechnął. Nieoczekiwanie na podorędziu, na drzwiach lodówki, miał środek zaradczy.

Gdy po czternastu dniach zakończono procedurę implantacji danych, Michaił zaczął wykonywać swoje właściwe zadanie. Zaczął od analizy danych o wieloletnim rosyjskim programie księżycowym Łuna. Kosztował on kraj miliardy rubli, nie mniej niż amerykański program Apollo. Wyścig prowadziły z pełnym zaparciem obie strony. Nie zważano na koszty ani katastrofy, w których śmierć poniosło wielu kosmonautów.

Prawdziwą tragedią był dla Rosjan fakt, że kapsuła Apollo 11 wraz z dwoma astronautami wylądowała na Księżycu kilka godzin wcześniej niż Łuna 15. Triumf jednej strony oznaczał klęskę propagandową drugiej. Co gorsza, rosyjska sonda rozbiła się, nie zrealizowawszy programu. Tymczasem Armstrong i Aldrin odbyli pierwszy kilkusetmetrowy spacer po powierzchni Księżyca i bezpiecznie wrócili na Ziemię, zabierając ze sobą dwadzieścia kilogramów skał księżycowych.

Spośród czterdziestu pięciu sond, które w latach 1958-1976 wystrzelono z Bajkonuru, tylko osiem wylądowało na Księżycu, a jedynie trzy powróciły na Ziemię z próbkami skalnymi, ważącymi zaledwie od pięćdziesięciu do stu pięćdziesięciu gramów. Najdroższy na świecie słoiczek kruszywa. Fiasko programu Łuna miało wiele przyczyn. Rosyjskie sondy zestrzeliwane były przez nieznane siły, ich silniki były zbyt słabe, a przywieziony materiał okazał się właściwie bez znaczenia. Nie udało się potwierdzić założenia o wysokim stężeniu helu i trytu w materii księżycowej. Zasoby ropy i gazu na Syberii

kurczyły się i Rosjanie liczyli, że pierwiastki te będzie można wykorzystać w programie energetyki jądrowej. Zyski byłyby wyższe niż przy tradycyjnym pozyskiwaniu uranu. Rosyjski program kosmiczny zakończył się więc całkowitą porażką, a Federalna Agencja Kosmiczna znalazła się w stanie permanentnej zapaści.

Pozostałe zamierzenia rosyjskich władz miały raczej futurystyczny charakter. W 2006 roku zatwierdzono wznowienie lotów na Księżyc w celu dalszej eksploracji jego powierzchni. W ramach programu Łunnyj Poligon planowano założenie tam zautomatyzowanej bazy wyposażonej w liczne moduły stacjonarne i pojazdy samobieżne. W dalszej przyszłości planowano zbudować habitaty dla ludzi. Tymczasem przez ostatnie czterdzieści jeden lat nie wystrzelono w stronę Księżyca ani jednej rakiety. W rzeczywistości plany te nie były nawet warte papieru, na którym sporządzano dokumentację.

Uwagę Michaiła zwróciła informacja internetowa nijakiego Rutledge'a podającego się za astronautę. Umieścił w sieci powszechnie dostępną informację o tajnej misji Apollo 20, w ramach której w 1979 roku rosyjski kosmonauta Leonow wraz z astronautą amerykańskim wylądowali na niewidocznej stronie Księżyca. Wcześniej rosyjskie sondy odkryły tam pojazd o długości trzech i pół kilometra i wysokości pięciuset metrów. O obiekcie tym wiedzieli także Amerykanie. Związane wspólnym interesem obie strony nawiązały współpracę. Rosjanie podali dokładną lokalizację statku, a Amerykanie udostępnili ostatnią ze swych rakiet z serii Saturn. Breżniew osobiście polecił Leonowowi odszukać wewnątrz statku preparat o nazwie ormus. Cierpiał na szybko postępującą demencję i jedynej nadziei upatrywał w tym cudownym leku. Niczego takiego jednak nie znaleziono.

Po wylądowaniu astronauta w kabinie dowodzenia odkryli dwie różnopłciowe istoty humanoidalne – zapewne pilotów – podłączone do urządzeń reanimacyjnych. Leonow na licznych fotografiach i filmach uwiecznił sam obiekt, jego wnętrze oraz znalezione ciała, materiały te

znajdowały się w ujawnionych przez Rutledge'a plikach internetowych. Zapewne duplikaty były także w posiadaniu Roskosmosu, a ci mieli całkowicie nieprzenikalny system ochrony danych dotyczących tego tematu. Wszystko to dowodziło jednak, że Rosja komunikowała się ze Stanami Zjednoczonymi w sprawach lotów kosmicznych nawet w okresie najbardziej napiętych stosunków. Współpraca ponad podziałami. Znakiem tamtych czasów było, że rosyjski udział w misji Apollo służył realizacji pragnień jednego człowieka.

Michaił zrozumiał, że stosunki międzyplanetarne, przynajmniej na razie, nie będą się układały według zasad Dekalogu. Łatwo było odróżnić dobro od zła, ale znacznie trudniej wybrać mniejsze zło. Raporty o broni elektromagnetycznej oraz rosyjskich lotach kosmicznych dały mu do myślenia. Gdyby ktoś zaczął go przekonywać o moralnych zasadach, którymi kierują się przywódcy światowych mocarstw, rozśmieszyłby go do łez.

Uświadomił sobie istnienie pewnego wątku pobocznego, niepowiązanego bezpośrednio z wyprawami kosmicznymi. Pochodzące z lat 1917-2000 akta przechowywane w archiwach na Łubiance przegrano w ostatnich latach na czytniki elektroniczne. Uwagę Michaiła przykuł raport śledczy z 1929 roku z przesłuchania Blumkina, sowieckiego oficera wywiadu i funkcjonariusza organu bezpieczeństwa, który organizował zamachy na Bażanowa i inne osoby przebywające na emigracji.

Z nakazu partyjnego w 1925 roku mianowano go dowódcą wyprawy do Tybetu. Jej głównym zadaniem było, poza propagowaniem socjalistycznej rewolucji, odkrycie nowej broni i nieznanych, pradawnych technologii, o których istnieniu w klasztorach lamów donosiły akta wywiadu carskiego. Na Łubiance zachowała się jedynie część protokołów z przesłuchań Blumkina oraz teczka zawierająca kilkaset wykonanych przez niego zdjęć, mało ważnych raportów finansowych oraz opisów geograficznych.

Nakaz jego aresztowania wydano po osobistym poleceniu Stalina przy aprobacie Mierkułowa, członka CzK. Uwięzienie tak wysokiego urzędnika tajnych służb za podejrzenie szpiegostwa wywołało wzburzenie na szczycie władzy radzieckiej. W tym okresie każdego można było jednak podejrzewać o działania na szkodę państwa. Akt oskarżenia był kruchy i niczym niemal niepodbudowany – ot, ktoś coś powiedział, ktoś coś przypuszczał. Ale to wystarczało, aby uruchomić aparat represji.

Prawdziwy powód aresztowania Blumkina nie był znany. Sensacyjne okazały się jednak zachowane jego zeznania dotyczące wyprawy do Tybetu, gdzie za murami klasztorów zachowały się tajemnice i artefakty zamierzchłych kultur. W prowadzonych od niepamiętnych czasów zapisach lamów znajdowały się wzmianki o istnieniu na Ziemi kolejnych pięciu cywilizacji – obecnej i czterech wcześniejszych, które uległy zagładzie w wyniku działania tego samego mechanizmu. Po orbicie słonecznej wędruje planeta nazywana Nibiru lub Marduk, o masie trzy razy większej od masy Ziemi, obracająca się w przeciwnym kierunku niż pozostałe planety Układu Słonecznego. Regularnie co kilka tysięcy lat zbliża się ona do naszego globu, a wówczas w wyniku silnego oddziaływania grawitacyjnego dochodzi na nim do klęsk żywiołowych. W co czwartym cyklu Nibiru, nadchodząca od strony Oceanu Spokojnego, wywoływała falę tsunami o wysokości do czterech kilometrów. Według Tybetańczyków tak właśnie było dwanaście tysięcy lat temu. Wydarzenie to znamy jako biblijny potop. Mechanizm ten znano już w starożytności, mówią o nim kalendarze babiloński i hinduski. Blumkin twierdził też, że najwyżsi lamowie zapewniali go, iż jedna z zaginionych cywilizacji pod lodami Antarktydy pozostawiła rozwijające niesłychane prędkości statki powietrzne oraz broń mogącą niszczyć całe miasta.

Wstrząsające było to, iż mimo tortur więzień uparcie głosił, że Ziemia jest pusta w środku, a w jej wnętrzu, zwanym Agartha, żyją dwie różne rasy – Draconianie i Anunnaki. Mają oni wiele ukrytych

kanałów komunikacji z powierzchnią. Lamowie pokazali mu korytarze biegnące daleko w głąb Ziemi oraz pozostawiony przez dawne cywilizacje ogromny obiekt przypominający dwa połączone metalowe talerze. Mnisi nie potrafili ich otworzyć ani uruchomić.

Blumkin twierdził, że lamowie w najbliższych dziesięcioleciach oczekują wystąpienia ostatecznego kataklizmu. Powódź zetrze wówczas na drobny miał całą obecną cywilizację. Nikt nie ocaleje. Pojawienie się Nibiru wypchnie z głębin Ziemi miliardy metrów sześciennych wody, która wyleje się przez otwór na biegunie północnym, łącząc się z wodą oceanów, i jako gigantyczna fala wielokrotnie wokół obiegnie świat.

W 1929 roku Blumkina za szpiegostwo dla obcego wywiadu skazano na śmierć. Jego pisemne wnioski o umożliwienie złożenia zeznań osobiście przed Stalinem pozostały nierozpatrzone. Wyrok przez rozstrzelanie wykonano na Łubiance.

Akta te trzynaście lat później przeglądał Ławrientij Beria, szef NKWD, i umieścił je w zbiorze dokumentów ściśle tajnych i potencjalnie ważnych w przyszłości. Na wielu stronach znajdowały się jego parafki i pytania do śledczych. Minęło kolejnych dwadzieścia lat, zanim ktoś zeznania te połączył z dokumentem GRU z 1958 roku. Beria nie żył już wówczas od pięciu lat, ale praca archiwistów trwała.

Kolejny dokument stanowił kopię raportu z tajnego przesłuchania admirała Byrda przez komisję Kongresu Stanów Zjednoczonych. Była to perełka pracy wywiadowczej rosyjskiej agentury. Informacje o Antarktydzie, jakie przedstawił komisji Byrd, były o wiele lat spóźnione względem wiedzy niemieckiego Ahnenerbe i Rosjan. Wszystkie mocarstwa uczestniczące w drugiej wojnie światowej brały udział w tym samym wyścigu technologicznym. Wiedziały, że pod Antarktydą znajdują się przedpotopowe artefakty i broń, że żyją tam uciekinierzy z hitlerowskich Niemiec i że rasa aryjska podpisała pakt z zamieszkującymi Ziemię Obcymi.

Do protokołów z przesłuchań Blumkina nieoczekiwanie dołączono

oryginały akt Wehrmachtu zabrane z siedziby głównej Kriegsmarine, które znaleziono w Berlinie w kwaterze admirała Dönitza już w pierwszym dniu po ustaniu działań wojennych. Zawierały one mapy Nowej Szwabii przeznaczone jedynie dla specjalnie wyselekcjonowanych U-Bootów, na których zaznaczono miejsca dogodnie do cumowania oraz koryta spływu podlodowcowych rzek stanowiących drogi w głąb kontynentu. Na akcie kapitulacji III Rzeszy podano, że dotyczy działań zbrojnych na terenie Europy. Tymczasem zdaniem Berii teren Nowej Szwabii dotyczy innego kontynentu, który w aspekcie prawnym pozostaje nadal niemiecki. Walka zbrojna może być tam prowadzona bez ograniczeń.

Zagadkowa stylistyka Dönitza nie zaniepokoiła aliantów. Dla nich temat Antarktydy w owym okresie nie istniał. Inaczej niż dla Berii. W aktach nie było odpowiedzi Stalina. Być może Beria omówił z nim ten problem osobiście lub dokumenty na ten temat zaginęły.

Do tej samej teczki włożono luzem fotografię wykonaną w 1945 roku w Berlinie przez NKWD. Przedstawiała ona pomieszczenie, w którym znaleziono dwunastu martwych tybetańskich lamów z młynkami modlitewnymi w rękach. Podpis na odwrocie głosił, że popełnili zbiorowe samobójstwo przed zajęciem miasta przez Rosjan. Nieznane były powody przyjazdu mnichów do Niemiec ani oczekiwania, jakie miały wobec nich władze Rzeszy.

Ostatni dokument, pochodzący ze stycznia 1953 roku, sporządzony odręcznym pismem Berii i skierowany do jego zastępcy, był znacznie ciekawszy: *Ustalić źródło, na podstawie którego towarzysz Stalin od zakończenia wojny uważa, że Hitler żyje na Antarktydzie lub w Argentynie. Sekretarz Generalny twierdzi, że ma dowody na to, iż czaszka mężczyzny znaleziona na terenie ogrodów Nowej Kancelarii Rzeszy w Berlinie nie należy do Führera, lecz do jego sobowtóra. Odpowiedź głosiła: Informacja nie pochodzi z naszych zasobów wywiadowczych. Wiemy, że takim podejrzeniem Generalissimus dzielił się parokrotnie z wodzami wojsk*

sprzymierzonych. Dotarły do nas pogłoski, że wiadomość tę otrzymał w 1946 roku od mnichów z góry Athos. Postaramy się to sprawdzić. Mamy tam informatora. We wczesnych latach osiemdziesiątych innym charakterem pisma napisano: Nasz agent na górze Athos został zdekonspirowany i uśmiercony.

Ktoś na Łubiance, zapewne jakiś ekspert do spraw segregacji danych specjalizujący się w historii działań wywiadowczych, połączył te dokumenty w jedną całość i włączył do folderu zatytułowanego *Nowe bronie przeciwnika*. Nadal objęte były klauzulą najwyższej tajności.

Michaił musiał wiele przemyśleć, zanim o swoich wnioskach będzie mógł powiedzieć Putinowi.

ROZDZIAŁ 12

w którym Franciszek ponownie odwiedza Bibliotekę Watykańską, gdzie zapoznaje się z dwoma ważnymi dokumentami.

Po rozmowie z Ernestem papież Franciszek postanowił jeszcze raz odwiedzić tajny dział Biblioteki Watykańskiej. Ten sam zasuszony kustosz Carlotti, nieodmiennie przypominający starego puszczyka w spróchniałym gnieździe, siedział za biurkiem otoczony stosem książek i teczek w okładkach introligatorskich opatrzonych naklejkami z sygnaturą. Na widok gościa w białej sutannie zerwał się na nogi i skłonił z głębokim szacunkiem, strzepując z rękawów ślady kurzu. Jego nieco gamoniowatemu wyrazowi twarzy przeczyły bystro patrzące oczy. Ten człowiek widział i wiedział więcej niż inni. Był jednym z filarów Watykanu.

- Usiądź, Carlotti - zwrócił się do niego papież. - Wspominałeś, że twoja rodzina pracuje tu od ponad dwustu lat, czy tak?

- Zgadza się - potwierdził żywo Carlotti. - Mam nadzieję, że Wasza Świątobliwość zgodzi się, aby w przyszłości stanowisko to objął mój najmłodszy syn. Ja sam niebawem odchodzę na emeryturę.

- Carlotti są częścią Watykanu, tak jak Gwardia Szwajcarska. - Franciszek skłonił głowę. - Mam do ciebie sprawę.

- Jestem do usług.

- Czy wiadomo ci, aby papież Pius XII polecił sporządzenie jakiegoś tajnego raportu do Secretum Omega?

- Tak. Mówił mi o tym ojciec. Watykan huczał wówczas od plotek.

- Co się stało? - spytał zaciekawiony papież.

- Ojciec Święty stracił przytomność w czasie wizyty, jaką złożył mu wtedy biskup McIntyre. Wcześniej coś podobnego miało miejsce

podczas jego rozmowy z Galeazzem Ciano.

- Musiano mu przekazać jakieś wstrząsające wieści.

- Wiem jedynie, że po tym spotkaniu Pius XII polecił przeanalizować archiwalia z ostatnich czterystu lat. Była to jego zdaniem sprawa ogromnej wagi, ale mój ojciec, związany przysięgą, niczego więcej nie ujawnił. Po dwuletniej pracy powiedział jedynie, że sporządził streszczenie dotyczące tajemnicy równie wielkiej jak wydarzenia w Fatimie. Znajduje się ono teraz w dziale dostępnym tylko papieżom. Z księgi odwiedzin wynika, że ze sprawozdaniem zaznajomili się wszyscy następcy Piusa XII. Jan Paweł II przestudiował je w 1992 roku, a Benedykt XVI tuż przed abdykacją.

- Teraz kolej na mnie - powiedział z westchnieniem Franciszek. - Gdzie je znajdę?

- Rząd trzydziesty drugi, dział D, pozycja sto czterdziesta szósta i, jak widzę, sto czterdziesta siódma. Może lepiej zapiszę zamiary na kartce. Otworzę drzwi, ale dalej już Wasza Świątobliwość musi sobie poradzić sam.

Franciszek przeszedł do następnego pomieszczenia. Odsunął zasuwę, przyłożył pierścień we właściwe miejsce i mocno nacisnął. Wszystko zadziało bez zarzutu. Po prawej w rzędach piętrzyły się setki dokumentów w sztywnych okładkach. W dziale trzydziestym drugim papież odszukał obie pozycje. Pierwsza, licząca około stu pięćdziesięciu stron, nosiła tytuł Indeks zawiadomień z kurii i parafii europejskich o niezidentyfikowanych obiektach latających zaobserwowanych do roku 1949. Sporządzono z polecenia papieża Piusa XII. Otworzył na chybił trafił opracowanie i przeczytał fragment:

Liwiusz donosi o trzydziestu niezwykłych zjawiskach niebieskich z okresu panowania rzymskiego. Jego kontynuator z czwartego wieku, Juliusz Obsequens, mówi o kolejnych sześćdziesięciu. Pliniusz Starszy pisze o dwudziestu sześciu, a Lycosthenes o pięćdziesięciu dziewięciu dziwnych obiektach latających i unoszących się bezgłośnie

w powietrzu.

W traktacie De Divinatione Cyceron zapisał: «Ileż to razy polecał nasz Senat sędziom prawa, aby skonsultowali Księżę Sybilli, kiedy pojawiają się trzy słońca lub trzy księżycy i kiedy spostrzeże się płonący ogień na niebie. Lub tamtego razu, kiedy w nocy wzeszło słońce i słyhać było wielki łoskot w niebie, a firmament zdawał się pękać, podczas gdy obserwowano się te dziwne kule»⁷.

W 312 roku Konstantyn I, cesarz rzymski, przed bitwą z Maksencjuszem przy moście Mulwijskim ujrzał na niebie nieruchomy krzyż, z którego biło światło. Obok ukazał się napis en touto nika, co w języku greckim oznacza „pod tym znakiem zwyciężysz”. Wódz nie znał greki, ale kilka lat później chrześcijaństwo stało się religią obowiązującą. Sam przyjął chrzest dopiero na łożu śmierci.

W Annales Laurissenses, kronice wydarzeń z ósmego i dziewiątego wieku, znajdują się dwa rysunki obiektów w kształcie krzyża, jakie Karol Wielki widział na niebie w czasie oblężenia saskiego zamku Siegburg.

W Neue vollkommene Thüringische Chronica czytamy: «Anno Domini 1543 dnia 4 maja w Sessenhausen o godzinie czwartej po południu pojawiła się gwiazda wielkości kamienia młyńskiego, z którego wyleciał ognisty smok wprost do płynącej wody, którą wypił, a potem przeleciał nad polem jęczmiennym i na szerokości piętnastu stóp spalił cały plon. W końcu wzleciał do góry i zniknął, wraz z gwiazdą»⁸.

W kwietniu 1561 roku nad Norymbergą doszło do wojny pojazdów najróżniejszych form – kul, cylindrów, krzyży, strzał – i kolorów – czerwonych, pomarańczowych, białych i niebieskich. Starcie na oczach wielu ludzi trwało godzinę. Część pojazdów została zniszczona i spadła na Ziemię. Niejaki Hans Glaser, naoczny świadek tych wydarzeń, uwiecznił na zachowanej do czasów obecnych rycinie obraz powietrznej walki. Podobnego kształtu obiekty w 1566 roku widziano

nad Bazyleą. Donosiła o tym lokalna prasa.

Do raportu załączono relację biskupa McIntyre'a ze spotkania prezydenta Trumana z kosmitami oraz kopię paktu Greata Tready.

Franciszek przekartkował sprawozdanie. Jego zawartość odpowiadała tytułowi. Było jasne, że Kościół o istnieniu kosmitów wiedział od kilkuset lat i nie zrobił w tej sprawie nic. Nie znaleziono żadnego przekonującego wytłumaczenia, które mogłoby uchronić religię chrześcijańską przed szkodami, jakie wyrządziłoby upowszechnienie tej informacji. Postanowił zaznajomić się z drugim dokumentem, zatytułowanym Charakterystyka przebywających na Ziemi obcych istot ze szczególnym uwzględnieniem ich nastawienia do jej mieszkańców. Otwierał je wstęp:

Przeanalizowane materiały pochodzą z lat 1540-1949, z pisemnych relacji osób zaprzysiężonych w kuriach biskupich, które zdaniem raportujących hierarchów cechowała nieposzlakowana uczciwość, prawość oraz rzetelność i w momencie ich składania były w pełni władz umysłowych. Zostały one poddane zabezpieczającemu egzorcyzmowi, u żadnej nie stwierdzono cech opętania ani choroby psychicznej. Jedyłą przesłanką dokonania zgłoszeń była wiara w ich cudowny bądź nadprzyrodzony charakter oraz chęć umocnienia podwalin chrześcijaństwa. Na końcu opracowania zamieszczono indeks szczegółowy raportów z poszczególnych kurii.

Papież zauważył, że pod względem treści i stylistyki tekst ten przypominał dokument, który dopiero co otrzymał od Ernesta. Stanowił swego rodzaju robocze kompendium ras pozaziemskich. Raport Ernesta był jednak o kilkadziesiąt lat późniejszy i zawierał dane lokalizacyjne, których tu nie było. Franciszek wznowił lekturę:

W naszym sektorze galaktyki dominują humanoidy rasy Evadamic

oraz jaszczurowaci Draconianie. Ci drudzy nie posiadają duszy indywidualnej, ale zbiorową. Umysł także mają zbiorowy, bez znamion indywidualizmu, co stanowi cechę społeczności pasożytów. Nieustannie dążą oni do poszerzania swej przestrzeni życiowej. Rasy humanoidalne i jaszczurowate, które określa się odpowiednio jako aniołów i upadłych aniołów, od niepamiętnych czasów pozostają w stanie konfliktu. Zamieszkują obszar naziemny, podziemny i pozaziemski. Ziemia i Układ Słoneczny są dla nich miejscami o znaczeniu strategicznym. Poszczególne rasy zawiązują zwalczające się wzajemnie przymierza.

Wiemy o trzech takich sojuszach. Pierwszym z nich jest Federacja, obejmująca systemy Wega, Taygeta, Tau Ceti, Wolf 424, Procion, alfa Centauri oraz zeta Reticuli. Jej członkowie są nastawieni pokojowo, a większość z nich to humanoidy. Drugim jest Imperium, obejmujące systemy alfa Draconis, Izar, Rigel, Bellatrix, alfa Ursae Minoris oraz Nemesis. Jego członkowie – w większości jaszczurowaci – kierują się filozofią pasożytnictwa i agresji. Trzeci znamy jako Korporację. Obejmuje ona przede wszystkim nasz Układ Słoneczny oraz systemy Syriusza, Arktura, Aldebarana, Altaira, Centaura i Gwiazdy Barnarda. Do jej członków należą zarówno humanoidy, jak i jaszczurowaci. Przejawiają oni postawy od umiarkowanego interwencjonizmu do skrajnego pasożytnictwa.

Jedną z grup Obcych na Ziemi stanowią istoty zdolne do przyjmowania ludzkiej postaci, które z ukrycia kształtują naszą rzeczywistość polityczną. Są to przede wszystkim masoni najwyższych stopni. Tworzą oni tajną międzynarodową społeczność, zarządzają podziemnymi bazami i dysponują technologią umożliwiającą podróże międzyplanetarne. Poniższa lista stanowi niekompletny wykaz ras istot pozaziemskich aktualnie przebywających na Ziemi:

1. Plejadianie: humanoidalni blondyni zamieszkujący głównie gromadę Plejad i okoliczne systemy gwiazdne, które skolonizowali, gdy zostali zmuszeni do opuszczenia gwiazdozbioru Lutni z powodu

inwazji jaszczurowatych z alfa Draconis. Ich rodzima planeta, Terra, jest podobna do Ziemi. Plejadanie podróżują metodą skoków czasoprzestrzennych i twierdzą, że technologicznie wyprzedzają nas o trzy tysiące lat ziemskich.

2. Lyrianie: przypuszczalnie mieszkańcy Lutni. Twierdzą, że podobnie jak Plejadanie pochodzą od humanoidów z Terry. Z Lutni kilka tysięcy lat ziemskich temu wyparli ich jaszczurowaci. Masowo zbiegli wówczas do Plejad i gwiazdozbioru Byka. Obszar ten może okazać się polem walki humanoidów i jaszczurowatych.

3. Telożanie: wysocy humanoidalni blondyni zamieszkujący podziemną sieć kolonii w Północnej Karolinie. Podobno stworzyli na Zachodzie sieć podziemno-podwodną i dysponują flotą okrętów podwodnych. Często uważani za Lemurian, mieszkańców mitycznej krainy zatopionej około dwunastu tysięcy lat temu, w istocie pochodzą ze starożytnego kontynentu Elam-Mu, niegdyś położonego na Oceanie Spokojnym. Ich nazwa, od greckiego telos, ma sugerować, że działają, mając na względzie osiągnięcie „najwyższego celu”. Pozostają w duchowej łączności z Kolektywem Asztar.

4. Pomarańczowi: genetycznie zmodyfikowana hybryda humanoidów i jaszczurowatych. Podobni do człowieka, lecz posiadają także cechy gadzie. Zamieszkują głównie południową Newadę. Prawdopodobne powiązania z Gwiazdą Barnarda.

5. Kameleony: jaszczurowaci upodabniający się do ludzi dzięki użyciu holograficznych modyfikatorów wyglądu zewnętrznego i soczewek kontaktowych maskujących pionowe źrenice. Mają podziemne bazy w wielu miejscach na Ziemi. Zaangażowani w kilka programów infiltrujących. Planują cichą inwazję na społeczności ziemskiej w celu zdobycia przestrzeni życiowej.

6. Solarianie: humanoidalni mieszkańcy Układu Słonecznego. Twierdzą, że pochodzą od starożytnych Terran. Zbudowali podziemne bazy na naszej oraz innych planetach Układu Słonecznego oraz księżycach Jowisza i Saturna.

7. *Iguanoidzi*: niscy jaszczurowaci, mierzący od stu dwudziestu do stu pięćdziesięciu centymetrów. Gadzie twarze ukrywają pod obszernymi kapturami. Darzą nienawiścią ludzi i słabszych jaszczurowatych, na przykład Szaraków. Używają czarnej magii, by przejąć kontrolę nad umysłami ofiar. Wydają się stanowić kastę kapłanów.

8. *Ummici*: humanoidy o urodzie skandynawskiej pochodzące z obszaru Wolf 424. Mają wspólny rodowód z Lyrianami i Plejadianami, a ich siedzibą jest planeta Ummo w gwiazdozbiornie Lutni. Współpracują z humanoidami z Wegi.

9. *Retikulanie*: prawdopodobnie największa i najważniejsza grupa jaszczurowatych, trudniąca się niewoleniem i wyzyskiem ludzi i humanoidów. Z gwiazdozbiornie Reticulum pochodzi najwięcej Szaraków i jaszczurowatych. Od wielu stuleci prowadzą na Ziemi badania genetyczne mające na celu stworzenie jednej rasy. Ich głównymi bazami są satelity Marsa - Deimos i Fobos.

10. *Syriuszanie*: tworzą rdzeń Kolektywu Asztar, w ramach którego humanoidy, jaszczurowaci, Szaraki i hybrydy współpracują z cybernetycznymi ludźmi. W przeszłości prowadzili wojnę z Imperium. Starożytny spór dotyczył panowania nad dwudziestoma jeden systemami gwiazdnymi, w tym Układem Słonecznym i Ziemią jako oazą wody, minerałów i materiału genetycznego. W ostatnich czasach w wyniku działań Imperium naruszona została jedność społeczności Asztar. Wiele humanoidów przeszło na stronę Federacji, a jaszczurowatych na stronę Imperium. Pozostali członkowie Kolektywu nadal współpracują w górskich bazach pod Utah i w pobliżu Denver w Kolorado w oparciu o wspólny elektroniczny umysł łączący ich społeczność w jeden system przetwarzania danych dzięki implantom informacyjnym.

11. *Lewiatany*: jaszczurowaci, stwory z natury wodne. Ich kończyny znajdują się w zaniku. Do manipulacji rasą ludzi używają swoich znacznych mocy psychicznych i magicznych.

12. Anunnaki: giganci o wzroście do dwunastu stóp, pochodzący ze związków tak zwanych bogów i Ziemianek. Dawno temu zajmowali tereny Dwurzecza, Synaju i rumuńskich Karpat. Przypuszcza się, że żyli na Ziemi 400 000 lat.

13. Szaraki: inteligentne, małe jaszczurze humanoidy o wzroście od stu do stu trzydziestu pięciu centymetrów i skórze w różnych odcieniach szarości. Podlegają jaszczurowatym jako kasta niższa. Przejawiają silny instynkt grabieżcy i agresora. Niewrażliwi na cierpienie, które zadają. Jak wszyscy jaszczurowaci odżywiają się zagrabioną energią życiową zwierząt oraz pobieranymi „płynnymi białkami”, czyli płynami ustrojowymi ważnymi dla życia organizmów ziemskich, które wchłaniają przez skórę. Masowo wszczepiają ludziom implanty indoktrynująco-identyfikujące. Nad wyraz bezwzględne i oszukańcze, używają wszelkich metod, aby osiągnąć swoje cele. To one najczęściej pilotują obserwowane pojazdy pozaziemskie.

14. Hybrydy: naturalna hybryda humanoidów z jaszczurowatymi jest niemożliwa, ale od trzech i pół tysiąca lat prowadzi się próby nad stworzeniem sztucznej krzyżówki ludzi i Szaraków lub jaszczurowatych. Utrudnieniem jest fakt, że człowiek posiada indywidualną duszę, której brakuje u jaszczurowatych. W wyniku eksperymentów genetycznych z wszczepianiem duszy powstały tak zwane osobniki Hu-Brid (hybryda posiadająca ludzką duszę) i Re-Brid (hybryda bez ludzkiej duszy).

15. Syntetyki: biosyntetyczne jednostki budowane po części z narządów zwierząt i ludzi. Osadzają się w nich między innymi osobnicy z poziomów ponadfizycznych, aby mieć możliwość działania w świecie fizycznym.

16. Eva-borgi: cybernetyczne formy kontrolowane przez humanoidy albo humanoidy zmienione chirurgicznie do takiego stopnia, że stały się cyborgami, choć jeszcze zachowują duszę.

17. Draco-borgi: cybernetyczne formy kontrolowane przez jaszczurowatych. Infiltrują społeczność ludzką, wyróżnia ich jednak

brak odcisków palców i sztuczne umiejscowienie części ciała.

18. Agarthianie: żyją w systemach pieczar rozciągających się pod pustynią Gobi i Himalajami. W dalekiej przeszłości na terenie obecnej Mongolii wojowniczy mnisi weszli do jaskiń i przepędzili Agarthian, ostatnio odzyskują oni jednak tereny, z których zostali wyparci. W czasach drugiej wojny światowej utrzymywali kontakty z nazistowskim Towarzystwem Thule.

19. Cetanie: pochodzące z Tau Ceti masywne humanoidy z wyglądu przypominające mieszkańców obszaru Morza Śródziemnego, mają jednak bardziej spiczaste uszy, większe nosy i krótkie włosy. Zawarli przymierze z układem Ran i Plejadami.

Franciszek z ciężkim westchnieniem odłożył dokument. Jeden gatunek ludzki musiał się obecnie zmierzyć z dwiema kosmicznymi frakcjami, z których każda posiadała własną historię stworzenia, ideologię, religię i prawo. Mimo że Kościół i masoneria dysponowały tymi samymi informacjami na temat Obcych i ich polityki względem Ziemiaków – polityki panów względem niewolników – zupełnie inaczej zapatrywały się na ich koegzystencję. Papież pomyślał z goryczą, że znacznie ważniejsza od listy ras istot pozaziemskich byłaby informacja o sposobie nawiązania z nimi łączności. Przypuszczał, że Watykan prowadził z nimi w przeszłości dialog, lecz jak dotąd nie natrafił na żadne wzmianki o kontaktach poprzednich papieży z kosmitami. Sprawa była jednak poważna i nie można było po prostu zamieść jej pod dywan. Jakies dokumenty na ten temat znajdowały się na pewno w Secretum Omega. Przy następnej wizycie musi koniecznie zapytać o to Carlottiego. Archiwista znakomicie czuł powiewy historii i zawsze wiedział, na jakim czubku igły siedzi diabeł.

Zarówno *Indeks*, jak i *Charakterystyka* dotyczyły obserwacji poczynionych na przestrzeni wieluset lat i świadczyły o bezradności kolejnych papieży. W każdym razie stało się jasne, czemu Pius XII stracił przytomność po rewelacjach biskupa McIntyre'a.

Franciszek nie zadawał sobie dalszych pytań. Bał się odpowiedzi. Parafrazując słowa prezydenta Jeffersona, pomyślał, że drzewo wiary od czasu do czasu trzeba podlewać krwią. Obecny konflikt miał jednak zasięg planetarny i można było przypuszczać, że zbierze większe żniwo.

ROZDZIAŁ 13

w którym Trump poznaje informacje na temat tajnych lotów Apollo, a Anderson przygotowuje się do operacji specjalnej w Rwandzie.

Do Gabinetu Ovalnego jak co poniedziałek weszli generał O'Hara i szef wywiadu Anderson. Ten ostatni, trzymając w rękach plik dokumentów, zbliżył się do prezydenckiego biurka i położył na blacie krótkie sprawozdanie dotyczące lotów Apollo. Większość zawartych w nim informacji znajdowała się w obiegu publicznym. Prezydent przejrzał je szybko, nie zwracając uwagi na nazwiska astronautów. I tak wszystkich by nie zapamiętał.

- A co z misjami osiemnastą, dziewiętnastą i dwudziestą? - spytał.
- Jest tu tylko napisane, że były to tajne misje wojskowe.

- O tym możemy porozmawiać w pokoju mrocznych tajemnic - odpowiedział Anderson.

Zjechali windą do podziemi. Uwagę Trumpa zwróciła wisząca na jednej ze ścian marmurowa tablica, na której wyryto długi tekst. Ze zdumieniem dostrzegł, że jego autorem był prezydent Kennedy.

- Kto kazał zamontować tu tę tablicę? - spytał Andersona.

- Carter. Miało to być *memento* dla prezydentów i innych najwyższych postawionych osób w państwie. Znał ten tekst na pamięć i często go cytował.

Gdy Trump podszedł bliżej, czujnik ruchu spowodował podświetlenie tablicy. Wyryte zdania pochodziły z przemówienia, jakie Kennedy wygłosił w 1961 roku:

Samo słowo «tajność» jest w wolnym i otwartym społeczeństwie odpychające. Jako naród sprzeciwialiśmy się tajnym stowarzyszeniom,

tajnym przysięgom i tajnym spotkaniom. Już dawno stwierdziliśmy, że utajnianie istotnych faktów jest daleko bardziej ryzykowne niż ich wyjawienie. Istnieje zagrożenie, że ochrona kraju zostanie powierzona ludziom, którzy wprowadzą bezwzględną cenzurę. Nie zamierzam na to pozwolić. Żaden z przedstawicieli mojej administracji, niezależnie od rangi, nie uzyska pozwolenia na ukrywanie faktów, tuszowanie omyłek. Tak być musi, ponieważ naszym przeciwnikiem jest monolityczna, bezlitosna konspiracja nieustannie dążąca do poszerzania swoich wpływów poprzez infiltrację, bezlitosną grę interesów, podstawianie kandydatów, zastraszanie i ograniczanie swobody decyzji. Wykorzystuje ona zasoby ludzkie i materialne, środki wojskowe, dyplomatyczne, wywiadowcze, ekonomiczne i naukowe, aby kształtować los narodów i cały świat przemienić w maszynę ucisku. Dlatego ludzie muszą mieć nieskrępowany dostęp do informacji. Z wyjątkiem wąskiego obszaru kluczowego dla bezpieczeństwa kraju unikanie kontrowersji między władzą a obywatelami poprzez zatajanie prawdy jest zbrodnią⁹.

Teraz wiem, dlaczego Kennedy musiał zginąć, pomyślał Trump. Na tym stanowisku nikt nie może być tak nieskończenie naiwny. Żeby zrealizować swoje plany, musiałby rządzić nie z gabinetu w Białym Domu, a z poligonu wojskowego. A i tam nie byłby całkowicie bezpieczny. Miał chyba więcej wrogów niż jakikolwiek inny prezydent. Zdarł z najsilniejszymi - własnym wywiadem i tajnymi służbami, prywatnymi bankami, masonerią, korporacjami i wszystkimi, którzy prowadzili czarne operacje poza budżetem. W dodatku nakazał drukowanie dolarów bez pośrednictwa Rezerwy Federalnej, co znacznie obcięło jej zyski. W odpowiedzi amerykańskie potęgi zrobiły, co musiały. Tak, by wykrycie bezpośrednich sprawców okazało się niemożliwe.

Jeszcze przed wyborami do biura Trumpa trafiło anonimowe

sprawozdanie, z którego dowiedział się, że ponad stu świadków i biegłych przesłuchiwanym w sprawie śmierci Kennedy'ego zginęło w wypadkach. Czy miało to być ostrzeżenie?

Prezydent oderwał wzrok od tablicy i wolnym krokiem ruszył w stronę pokoju mrocznych tajemnic.

- Panie prezydencie - odezwał się Anderson, gdy usiedli w wygodnych fotelach. - Jak pan wie, wyścig kosmiczny z Rosją zainicjował właśnie prezydent Kennedy, a zakończył Reagan. Pierwsze lądowanie Apollo miało szczególny charakter. O wszystkim przeczyta pan w tym raporcie. - Położył na stole teczkę. - Niektóre informacje na pewno już do pana dotarły. Przed flagą amerykańską w grunt wbito masoński sztandar z dwugłowym, czarno-białym orłem. Stąd komunikat: „Orzeł wylądował”. Masonami byli astronauta biorący udział w wyprawie Apollo 11, pracownicy NASA, a także kierownik programu. Dokładnie w trzydziestej trzeciej minucie po wylądowaniu na powierzchni Księżyca przeprowadzono masoński rytuał. Nazwa programu księżycowego - Apollo - także nie jest przypadkowa. Tego greckiego boga Biblia utożsamia z Szatanem.

My, pracujący w wywiadzie, dobrze znamy słowa ojca KGB, Kalinina, który powiedział, że gdzie wydaje się, że miały miejsce dwa przypadki, tam mamy do czynienia z zaplanowanym działaniem. W wypadku misji Apollo była ich cała seria. Daje to podstawy do wyciągnięcia wniosku, że jej sens ideologiczny był zupełnie inny, niż sądził nasz rząd. Za pieniądze amerykańskiego podatnika sukces osiągnęła tajna organizacja. Oczywiście Aldrin i Armstrong zrealizowali również oficjalne założenia, między innymi pozostawiając na powierzchni Księżyca tabliczki z nazwiskami ówczesnych prezydentów, upamiętniając ich historyczny lot. Wraz z nimi zostawili jednak także numer telefonu do prezydenta Stanów Zjednoczonych i częstotliwość radiową, na której można nawiązać kontakt z główną bazą NASA. Na długo przed lądowaniem musieli wiedzieć, że na Księżycu mieszkają inteligentne istoty, które dane te będą w stanie

wykorzystać. Tuż po locie z niewiadomych powodów cała załoga Apollo 11 podała się do dymisji. Przez długi czas wszyscy astronauci milczeli jak zakłęci. Później popełniali różne niedyskrecje, ale nie takie, aby można im było wytoczyć postępowanie dyscyplinarne. Nie ulega wątpliwości, że byli związani przysięgą milczenia.

Dziesięć lat po wstrzymaniu lotów kilku astronautów, którzy lądowali na Księżycu, było przesłuchiwanym w Kongresie. Oświadczyli, że widzieli tam obiekty i statki, które wyprzedzają amerykańskie zarówno pod względem technologii, jak i rozmiarów. Ich zdaniem istoty tam przebywające dały im wyraźny sygnał, że ludzie nie mają czego szukać na Księżycu. Wszystkie załogi Apollo meldowały o towarzyszących niezidentyfikowanych pojazdach. Nie zachowywały się wobec nich agresywnie, ale ich postawę trudno uznać jednoznacznie za przyjazną. Naszym zdaniem sprawdzały nasze możliwości.

W przestrzeni kosmicznej wykonuje się liczne wysokiej rozdzielczości fotografie. Zdjęcia, jakie na Marsie zrobił łazik Curiosity, są szczegółowe w wysokiej technologii i powszechnie dostępne. Tymczasem zdjęcia Księżyca są stukrotnie mniej precyzyjne. NASA musi mieć ważny powód, by dokonywać takiej cenzury.

- Zanim naślę na NASA Gwardię Narodową, chcę w cztery oczy porozmawiać z którymś z astronautów biorących udział w lotach Apollo - powiedział prezydent.

- Większość z nich już nie żyje, pozostali są w bardzo podeszłym wieku - odpowiedział Anderson. - Został tylko jeden, którego nie zniszczyła jeszcze miażdżca ani Alzheimer. William Rutledge, dowódca tajnej wyprawy Apollo 20.

- Z Przylądka Canaveral?

- Z bazy Vandenberg. Wszelkie dostępne nam informacje na ten temat znajdzie pan w tym tajnym raporcie. - Anderson położył przed prezydentem kolejną teczkę.

- Macie przyprowadzić tego Rutledge'a do mnie, do Białego

Domu.

- To nie będzie proste. Od lat mieszka w Rwandzie i nie rusza się stamtąd nawet o krok.

- Jeśli trzeba, przeprowadźcie operację specjalną. Zaangażujcie wojsko, wywiad, wszystkich. Muszę mieć naocznego świadka - powiedział twardo Trump. - A ci astronauta, którzy pozostali w kraju?

- Niestety, to niezbyt wiarygodni starcy. Niektórzy nawet nie pamiętają własnego nazwiska. Ale Rutledge jest nadal w świetnej formie. Zabawia się zamieszczaniem w Internecie filmików o locie Apollo 20. Chce przejść do historii lotów kosmicznych.

- To zapewnijcie go, że prezydent Stanów Zjednoczonych gwarantuje mu nie tylko bezpieczeństwo, ale i medal. Jakiś z tych lepszych.

Anderson skłonił głowę i pozostawił Trumpa wraz z raportami w pokoju mrocznych tajemnic.

- I co? - zagadnął O'Hare, gdy wychodzili z Białego Domu. - Jeszcze dobrze nie przyspawał dupy do fotela, a już szarpie nas za jaja. Nasz obecny prezydent, jeśli ma jakieś zahamowania, to chyba tylko zdarza mu się to przy oddawaniu moczu. Przynajmniej rozumie, co przerost prostaty potrafi zrobić z człowiekiem. Nie wiem, jak to jest u niego, ale w moim wypadku to paskudztwo wyznacza mi teraz trasy spacerów - westchnął. - Ale zanim się wysikam, muszę sprawdzić, czy mamy w tej Rwandzie jakiegoś rezydenta. Podobno tak tam wieje, że psy latają w powietrzu.

- Może i tak, ale naszego problemu to nie rozwiąże - powiedział poważnie generał. - A Rutledge'a musimy najpierw zlokalizować. Co mu się tak spieszyło do tej niestabilnej afrykańskiej dziury?

- Dobre pytanie. Sprawdzę, co o nim wiemy. Ale jakim cudem opinia publiczna nie dowiedziała się o tajnych lotach Apollo? Przecież każdy start rakiety kosmicznej obserwuje tłum ludzi. Huk jest pod niebiosa, bucha ogień. Trudno to przeoczyć.

- To były loty wojskowe - odparł O'Hara. - Wszystko wyglądało

tak, jakby rakiety miały po prostu wynieść na orbitę satelity komunikacyjne. W centrum dowodzenia urlopowano cały personel cywilny, pozostało jedynie wojsko. Załogę przeprowadzono do kabiny nocą. Zadbano o wszystkie szczegóły.

- Rozumiem, że skoro szukamy tego Rutledge'a, to wyprawa zakończyła się sukcesem?

- I tak, i nie. Statek, jaki mieli tam za zadanie przeszukać, jest ogromny i może być równie stary jak Księżyc. Nadaje się tylko na złom, a prace badawcze mogłyby potrwać kilkadziesiąt lat. Ale najważniejsze jest coś innego. Astronautów po prostu stamtąd przepędzono. Podobno byli pod ostrzałem i cudem dotarli do kabiny powrotnej na orbicie Księżyca. Ocaliły ich nasze satelity telekomunikacyjne, wysyłając w ich stronę fale radiowe niskiej częstotliwości, które odstraszyły napastników.

- Co miał o tym do powiedzenia Rutledge?

- W tym rzecz, że nic. Po powrocie sprawiał wrażenie skończonego schizofrenika. Kilka razy lądował w szpitalach psychiatrycznych dla weteranów. W końcu wszyscy stracili nim zainteresowanie, Księżyc przestał być modny, a Rutledge, bardzo godziwie wynagrodzony, na długo osiadł w Lalibeli w Etiopii. Tam odnalazł Boga. Coś w nim wtedy się zmieniło, ożenił się z niejaką Ellis i oboje przenieśli się do Rwandy. Teraz żyje sam, a co się dzieje z nią, nie wiem. Od piętnastu lat prawie nic o nich nie słyhać. Sprawdziłem, że jego emerytura trafia dalej do Etiopii i ktoś tam ją odbiera.

- A ten Rosjanin, Leonow?

- Podobno zmarł gdzieś w Rosji. Z nikim nigdy nie rozmawiał na temat misji Apollo 20 i nie był potem za granicą. Zaraz po wylądowaniu na morzu zabrano go helikopterem na rosyjski lotniskowiec.

Pożegnali się bez szczególnej poufałości. Anderson wsiadł do służbowego auta. Po dwudziestu minutach szofer wysadził go pod budynkiem sprawiającym wrażenie zwykłego biurowca. Na

dwudziestym piętrze w jednej z fikcyjnych firm znajdowała się jednak wewnętrzna winda prowadząca na ostatnie, ściśle strzeżone piętro. Była to cywilno-wojskowa placówka oficjalnie zajmująca się biotechnologią, a w rzeczywistości tak zwanym zdalnym wywiadem. Jego człowiek, Ben Carthwright, na czarnych projektach zarabiał tam naprawdę dużą kasę.

- Dzień dobry, Ben - powitał go Anderson. - Jak tam żona?

- Odeszła. I dobrze. Teraz mogę poświęcić się pracy. Zresztą na zamówienie jest sporo wolnych małolatek. Do wyboru, do koloru. Wystarczy pogrzebać w Internecie i znaleźć taką, która ci odpowiada.

- Mam do ciebie ważną sprawę, a ty jak zawsze o babach. Jest takie pilne zlecenie, że trzeba ustalić miejsce pobytu naszego byłego astronauty, Johna Rutledge'a, w Rwandzie.

- Dziecinnie proste. Echelon, nasze Wielkie Ucho, śledzi wszystkie rozmowy na świecie. Wystarczy kilka kliknięć, a system samoczynnie go zidentyfikuje.

- A ten twój Swan, najlepszy telepata, dalej dla ciebie pracuje? Będzie się nim można posłużyć?

- Jeśli dostanie dokładne współrzędne geograficzne, przeczesze dla ciebie każde miejsce na świecie.

- Właśnie o to mi chodzi. Niech sprawdzi, czy Rutledge ma tam jakąś ochronę.

- Policzy nawet oczka w siatce ogrodzeniowej i podejrzy elektroniczny kod dostępu do domu.

- Świetnie. Na kiedy będziesz dla mnie miał te dane?

- Daj mi trzy dni. Czy to operacja specjalna?

Anderson pokiwał głową.

- Pod nadzorem prezydenckim.

- Masz zasrane życie, mimo że jesteś szefem największej organizacji na świecie. No, może GRU jest większe. Mówię ci, kolego, o naszych najwspanialszych osiągnięciach świat nigdy się nie dowie. Taka paskudna robota, gwarantująca dożywotnią anonimowość. Ale

mam do ciebie pytanie. Wiem, że masz stały kontakt z Trumpem. Czy twoim zdaniem on myśli o tym, co mówi? Czy też mówi o tym, o czym nie myśli? Ja sądzę, że u niego są to procesy toczące się równolegle. Chyba że nie mówi tego, o czym myśli, i nie myśli, o czym mówi.

- Ja nie plotkuję na temat naszego prezydenta. Wiem tyle, że ma świadomość tego, co się rozgrywa na wielu frontach. Wie o tym, że Hitler nie miał telewizji, a Stalin Internetu, i dlatego musieli prowadzić realne wojny. Jako pierwszy zauważył ten fenomen Putin i walki orężne zamienił na wojny hybrydowe, grożąc całemu światu. Usiłował spacyfikować nasze wybory, a po drodze zaszantażować Trumpa, ale mu się nie udało. I spasował. Ale widzę, Ben, że dziś masz dzień proroczy. Weź się do roboty, dobrze ci to zrobi!

Kilka dni potem Anderson otrzymał namiary na Rutledge'a. Astronauta mieszkał w dużym domu u podnóża najwyższej, ponadczterokilometrowej góry w Rwandzie. Do budynku otoczonego podwójnym płotem pod napięciem i nieudolną murzyńską ochroną prowadziła polna droga wysadzona karłowatymi drzewkami i linia telefoniczna. Sprawdzono wszystkie połączenia. Nie było ich wiele. Rutledge kontaktował się tylko ze swoimi lekarzami i dalekimi krewnymi w Stanach.

W jego siedzibie odbędzie się niebawem akcja specjalna podobna do tej, w jakiej uczestniczyli Obama i Hillary Clinton przy zabójstwie bin Ladena w Pakistanie, pomyślał Anderson. Trzeba będzie tylko przekierować kilka satelitów szpiegowskich z orbity, tak aby zasięg ich kamer obejmował całą operację. Dostarczenie przesyłki do Białego Domu będzie dziecięcą igraszką. W skład zespołu uderzeniowego musi wejść także lekarz z aparaturą medyczną. Rutledge jest dobrze po siedemdziesiątce i niech coś mu się przytrafi po drodze, a ten pieprzony Trump rzeczywiście przypnie im orderki do wątroby. A jeszcze kilka miesięcy temu wydawał się równie przewidywalny jak sracz dla hydraulika.

ROZDZIAŁ 14

w którym Franciszek wyjawia Ernestowi, co wie o sekretnej komnacie w górach Bucegi, a Ernesto prosi go o pomoc w prywatnej sprawie.

Ernesto stanął przed drzwiami Domu Świętej Marty i nadusił przycisk domofonu. Otworzyła mu rośła zakonnica w wykrochmalonym stroju.

- Jestem siostra Wiktoria - przedstawiła się. - Jego Świątobliwość oczekuje pana na kolacji. Zawsze posilamy się wspólnie, to taka nasza domowa tradycja. Proszę za mną.

Weszli do skromnego refektarza, w którym stał nakryty stół.

- Nadchodzi dziewiętnasta - powiedziała Wiktoria. - Papież nigdy się nie spóźnia. Na ogół jest głodny i wcześniej kładzie się spać, ale po staremu, jak w Buenos Aires, wstaje o piątej i idzie odprawić poranną mszę. Usługuję mu już dwadzieścia lat, więc wiem, co mówię. Wcześniej gotował sobie sam. Marny z niego kucharz, wciąż miał zgagę.

Widać było, że jest dumna ze swoich powinności i z tego, że może z Franciszkiem obcować na co dzień.

Prostą kolację przyrządzono ze świeżych lokalnych produktów, wino podano jednak nie włoskie, a argentyńskie. Papież był w świetnym humorze. Przy stole opowiedział argentyński dowcip krążący od kilku dni po Watykanie, który zasłyszał od swojego szofera.

- Pewien fryzjer z Buenos Aires w trakcie strzyżenia doradzał Pablowi, jak powinien spędzić wolny czas w okresie zimy: „Jedź do Włoch. Pogoda murowana, ceny spadły. Dziewczyny są przepiękne i nogi mają do samej szyi. Nie ma teraz nawet szczególnych kolejek do naszego ukochanego papieża. Zresztą Argentyńczycy mają pierwszeństwo”. Pablo pojechał. W Rzymie cały czas padało.

Dziewczyny siedziały w domu, a ceny przyprawiły o ból głowy. Na wizytę u papieża trzeba było czekać dwa miesiące. Po powrocie wrócił do fryzjera, który od razu zapytał, jak minął mu czas w Rzymie. „Wszystko było dokładnie tak, jak mówiłeś – odpowiedział Pablo. – Pogoda piękna, ceny spadły, dziewczęta śliczne. No i ta audiencja... Wzruszająca. Papież długo patrzył mi w oczy. Ukląknęłam...”. Pablo zamilkł. „I co, i co?”, pyta zaciekawiony fryzjer. „Długo trzymał mi rękę na głowie, aż nagle, zamiast mnie pobłogosławić, powiedział: «A któż to, synu, tak okropnie cię ostrzygł?»”.

Żart wszystkich rozbawił.

Po kolacji papież zaprosił Ernesta do swojego gabinetu i rzekł:

- Byłem dziś w Bibliotece Watykańskiej i myślę, że odkryłem tam najważniejszą rzecz w historii papieżstwa. Nie siląc się na interpretacje, powiem ci, co mi w tej sprawie wiadomo. Będę potrzebował twojej pomocy.

- W Kurii Rzymskiej jest przecież mnóstwo ludzi oddanych Kościołowi, mających w sprawach Stolicy Apostolskiej większe rozeznanie niż ja.

- Nie jestem tego taki pewien. Nie mogę ufać ich spojrzeniom ani słowom. Pozorną nadzieję daje Biblia, która mówi *Poznacie ich po ich owocach*¹⁰, ale nie mogę czekać, kiedy na jaw wyjdą wszystkie konsekwencje ich działań. Tak naprawdę nie mam z kim pracować.

- Chyba nie czujesz się tu za dobrze, Jorge – zauważył Ernesto.

- Papież jest rozpaczliwie samotny. Mam sprawę, o której wie niewiele osób. Są to wiadomości z kilku źródeł, w dodatku nie mam pewności co do ich rzetelności. Kilka lat temu amerykański samolot z unikalnym wyposażeniem geodetekcyjnym odkrył, że szczyt Bucegi w rumuńskich Karpatach jest pusty w środku. Podejrzewano, że jest to formacja sztucznie wydrążona. Zrobiono badania specjalistycznym sprzętem i wykryto przestrzeń wewnętrzną o idealnych proporcjach, wypaloną nieznanym narzędziem. Miała sto pięćdziesiąt metrów

średnicy i trzydzieści wysokości. Amerykanie nie mieli wątpliwości, że nie jest to formacja naturalna. Uzyskali zgodę na przeprowadzenie badań. Do wnętrza prowadził pięćdziesięciometrowy podziemny korytarz zwieńczony bramą usadzoną w litej skale. Próby jej otwarcia spełzły na niczym. Chroniło ją pole siłowe, które natychmiast niszczyło wszystkie sprzęty. Kilka osób, które podeszły zbyt blisko, zmarło z powodu zatrzymania krążenia, niektóre udało się uratować.

Amerykanom z pomocą przyszli Rumuni. Mieli w swoich szeregach człowieka, Cezara Brada, o niesłychanych zdolnościach mediumistycznych i prekognicyjnych. Podobno skutecznie leczył ludzi, przeprowadzając niezwykle, eksperymentalne zabiegi. Ten Brad od lat pracuje dla rumuńskiego wywiadu. Jeszcze w czasach Ceaușescu przeszedł długotrwałe szkolenie pod okiem Chińczyków. Zlecono mu rozpoznanie tej niezwyklej zapory energetycznej. Nie był w stanie jej wyłączyć, ale dopasowując do niej swoją wewnętrzną wibrację, miejscowo zniwelował jej wpływ. Wystarczyło to, by mógł wejść do środka, zabierając ze sobą jednego człowieka. Tak też się stało.

Wnętrze obiektu okazało się zdumiewająco jasne. Wygładzone ściany zdawały się bić wewnętrznym blaskiem. Przypominały spiek ceramiczny niezwyklej twardości i opierały się wszelkim próbom wiercenia. Podłogę wyłożono grubymi granitowymi płytami zespolonymi z sobą w niezwykle precyzyjny sposób. Jedynie rysunek szlifu powierzchni pozwalał na ich zróżnicowanie. Linie cięcia krawędzi nie były widoczne. Obok ścian bocznych stało po pięć stołów wysokich na około dwa metry i pokrytych siateczką z przezroczystego tworzywa. Przeciągnięcie ręki nad każdym z nich wywoływało na ekranie holograficzne projekcje z dziedziny biologii, genetyki, religii, wysokiej rozdzielczości obrazy pozaziemskich roślin i zwierząt, a nawet sceny z historii Ziemi, w tym obrazujące wydarzenia ze Starego i Nowego Testamentu. Nie muszę ci mówić, jakie znaczenie dla mnie jako papieża miałyby takie zapisy z okresu życia Chrystusa.

Na środku sali znajdowało się coś w rodzaju pulpitu. Stał tam

podest, a na nim przezroczysty, przykryty daszkiem czterometrowy walec. Wchodziło się na niego po kilku stopniach wysokości około pięćdziesięciu centymetrów. Korzystające z nich istoty musiały być dwukrotnie wyższe od człowieka. Słowem, giganci. Może to bez znaczenia, ale w pobliżu Bucegi odkryto kilkakrotnie kości takich istot. Wysunięto przypuszczenie, że walec służył jako kabina łączności mentalnej. Ani jego, ani wielu innych urządzeń nie udało się uruchomić.

Powiedziano mi też, że z sali głównej odchodzą trzy korytarze - lewy podobno ma prowadzić do Egiptu, prawy do Tybetu, ten z boczną odnogą do bliżej nieznanego obiektu na terenie pustyni Gobi, a środkowy w głąb Ziemi, do podziemnej krainy Agarthy.

Rumuni na znalezisku od razu położyli łapę, ale z ich możliwościami technologicznymi nie mieli co marzyć o przeprowadzeniu gruntownych badań. Zwietrzyli swoją szansę i udostępnili grootę Amerykanom. Codziennie wpuszczali tam jedną osobę, zawsze w asyście Brada. Taki układ bardzo utrudnia prowadzenie prac, ale lepszego rozwiązania do tej pory nie znaleziono. W zamian za zgodę na badania Rumunia błyskawicznie weszła do NATO, uzyskała gwarancje w sprawie Mołdawii i Naddniestrza, dwadzieścia samolotów F-16 i nie wiadomo co jeszcze. Watykan w tej sytuacji całkowicie zlekceważono.

Być może najważniejszym odkryciem w Bucegi była pokryta niezrozumiałymi napisami amfora zawierająca biały proszek. Badania wykazały, że to złoto jednoatomowe. Według legendy specyfik ten, zwany ormusem, ma wpływ regeneracyjny na wszystkie komórki ciała. Zażywali go Adam, Noe, Henoch i inni starotestamentowi protoplaści, dzięki czemu żyli blisko tysiąc lat. Jest o nim mowa w niektórych starych pismach alchemicznych. Bez powodzenia szukał go Jan Paweł II w Secretum Omega. Złota takiego nie da się otrzymać w warunkach ziemskich. Współcześnie sądzi się, że jednoatomowe pierwiastki z grupy platynowców, jeśli w ogóle istnieją, mają przekształcone

orbity.

Ale to nie koniec. Sam fakt wejścia do komnaty w Bucegi spowodował aktywację innego, mniejszego, podobnego obiektu, położonego w okolicy Bagdadu. Amerykanie wiedzieli o jego istnieniu od lat, ale nie byli w stanie pokonać chroniącego go pola siłowego. Pilnuje go ekipa marines. Równoczesna aktywizacja tej komnaty spowodowała z kolei przesłanie do Bucegi hologramu Chrystusa. Czy w końcu się do tej bagdadzkiej komory dostano, i co tam znaleziono, nie wiem.

Niewiele więcej mogę na ten temat powiedzieć. Nawet te informacje, o których mówię, pochodzą z niepewnych źródeł. Trochę o Bucegi wspominał Obama, ale unikał szerszych wyjaśnień. Trump milczy, jeśli w ogóle o niej wie. Odkrycie komnaty ma kolosalne znaczenie nie tylko dla religii, ale i całej cywilizacji ludzkiej. Problem w tym, że wyraźnie wiąże się z istotami pozaziemskimi.

Prywatne rumuńskie stacje telewizyjne nadały kilka mniej lub bardziej sensownych programów na ten temat, wydano także parę książek. Jeden z autorów, przyjaciel Brada, podobno był w środku, ale do obiegu publicznego nie przeniknęło żadne zdjęcie, żaden film czy *dementi*. Publicznie nigdy nie wypowiedział się w tej sprawie ani Brad, ani generał służb specjalnych Obadea, który nadzorował prace Amerykanów. Któryś z nich po zapoznaniu się z projekcjami rzekomo powiedział, że historia naszej cywilizacji jest z gruntu fałszywa.

Wielkie zainteresowanie tajemnicami Bucegi przejawili także masoni. Bariera informacyjna Rumunów miała gdzieś szczelinę, przez którą prześlizgnął się niejaki Massini, podający się za wysłannika watykańskiego. W dodatku działającego z upoważnienia Kurii Rzymskiej. Nie mam żadnych wątpliwości, że wszedł w posiadanie upoważnień papieskich nielegalnie. Miał doskonale podrobione dokumenty. Może nawet były autentyczne i otrzymał je od kogoś będącego w zмовie z masonerią, ale bez wiedzy papieża. Nie wiadomo, skąd tak dużo wiedział o tym, co znajduje się wewnątrz

komnaty. Usiłował podejść Brada, na szczęście bez powodzenia. Szczególnie interesował go ten biały proszek złota. On sam – lub jego mocodawca – jeśli prawdą jest informacja o działaniu ormusu, chciał sobie zapewnić nieśmiertelność albo tysiąc lat życia, a tym samym uniezależnić się od wyższego piętra tajnego sprzysiężenia, aby zostać bytem międzyplanetarnym. A może i popatrzeć z bliska na Lucyfera?

Wszystko to, co wiem, pozwoliło mi inaczej spojrzeć na ostatnie słowa Jana Pawła II. Podobno zanim wydał ostatnie tchnienie, powiedział: „Chwała Bogu, że to nie będę ja”. To właśnie on otrzymał pierwsze wiadomości o Bucegi. Jeśli w istocie znajdują się tam zapisy z całej historii ludzkości i życia Chrystusa, to wszystko jasne. To samo mógł powiedzieć Benedykt XVI. Te wydarzenia, jak powiedział Cyryl, już nie wieszczą, a wprost oznajmniają nadejście Lucyfera. Tylko, do cholery, dlaczego to wszystko padło właśnie na mnie?

Mimo starań ani ja, ani nasz wywiad nie uzyskaliśmy szczegółowych informacji. Nie dowiedzieliśmy się o zawartości Bucegi niczego więcej. Nie odpowiedziano również na nasze pytania lub udzielano wymijających sformułowań, głównie mówiących o tym, że badania trwają, a ich stan nie pozwala na formułowanie ostatecznych wniosków. Dlatego chciałbym, żebyś nawiązał kontakt z tamtejszą diecezją. Dam ci pismo do lokalnego arcybiskupa. Obiecaj mu w moim imieniu biret kardynalski, jeśli uzyska informacje o tym, co naprawdę nas interesuje. To dla nas sprawa najważniejsza. – Papież przerwał, wyraźnie zmęczony. – Nawet nie wiesz, Ernesto, ile bym dał, aby Bóg powołał mnie do siebie dziś w nocy. Na tym cholernym stanowisku ja, Argentyńczyk, nie mogę pójść na mecz piłki nożnej, przejść się po mieście, spotkać się ze zwykłymi ludźmi. Mówię ci, samotność papieża jest straszna.

– Rozumiem, że to sprawa niezwyklej wagi. Do Bukaresztu polecę zatem już jutro. Muszę tylko kupić bilet – powiedział Ernesto.

– Siostra Wiktoria wszystko załatwi – zapewnił go papież. – Nie masz pojęcia, jaką siłę oddziaływania mają w Watykanie zakony

żeńskie. Zaraz wydam polecenie, żeby powiadomiono archidiecezję rumuńską, jakim rejsem przylatujesz.

- Jorge, zanim się pożegnamy, chciałbym jeszcze czymś się z tobą podzielić. Może będziesz umiał mi pomóc. W drodze do Rzymu poznałem pewną kobietę. To była jedna z tych niespodzianek życiowych, które przychodzą całkowicie niespodziewanie. Zrobiła na mnie niesamowite wrażenie. Chciałbym, żeby to był tylko szczęśliwy zbieg okoliczności.

- Chcesz ją sprawdzić? - domyślił się papież. - Siostra Wiktoria bez trudu się z tym upora. Pójdę po nią. Na pewno czuwa, dopóki nie zgaszę u siebie światła.

Po chwili oboje weszli do gabinetu.

- W Watykanie cuda zdarzają się wielokrotnie rzadziej niż oszustwa i manipulacje - powiedziała ostrożnie siostra Wiktoria. - Proszę opowiedzieć mi o tej nieznanym. Jak się przedstawiła?

- Consuela Herrera Hernandez. Ma niebawem podjąć pracę w Muzeum Narodowym w Rzymie. Zrobiłem jej parę zdjęć i nagrałem filmik. - Ernesto podał jej telefon. - Kilka jej zdjęć jest też w Internecie.

- Obejrzę je na dużym ekranie i poszperam trochę głębiej - powiedziała i wyszła do innego pomieszczenia.

Wróciła po dłuższej chwili i z zatroskanym wyrazem twarzy powiedziała:

- Mam wrażenie, że pańska znajoma i ta z Internetu to dwie różne osoby. W zgromadzeniu mamy siostrę, która przed ślubami kończyła kryminalistykę. Jest Włoszką i ma tutaj duże znajomości. Powiem jej o tym. Za kilka dni wszystko się wyjaśni.

ROZDZIAŁ 15

w którym Michaił spotyka się z profesorem Szablewem, odkrywa, w jaki sposób zmiany w kodzie genetycznym mogą łączyć ich obszary naukowych zainteresowań, i poznaje pewną bardzo szczególną osobę.

Po zakończeniu zabiegów implantacji Michaił spotkał się z profesorem Szablewem, uznanym autorytetem naukowym i zawodowym, który w Moskwie cieszył się powszechnym szacunkiem. Wiadomo było o jego nieprzejednanym stanowisku w kwestii badań, jakie inne instytuty prowadziły w psychuszkach, gdzie prano mózgi tak dysydentom, jak i więźniom skazywanym za drobne przestępstwa. Był wysokim, przystojnym mężczyzną o przenikliwym spojrzeniu i spokojnym wyrazie twarzy. Ubrany w śnieżnobiały kitel oczekiwał na Michaiła w swoim gabinecie. Na widok gościa wstał zza biurka i powiedział:

- Zapewne ma pan wiele pytań, szczególnie o skutki naszych działań. Zapewniam, że nie wpłyną one na pańskie zdrowie. Ani fizyczne, ani psychiczne - dodał.

- To absolutnie pewne? - spytał ostro Michaił.

- Tak. Proszę usiąść, wszystko panu wyjaśnię - powiedział Szablew, wskazując Michaiłowi miejsce po drugiej stronie biurka. - Nie wykonujemy żadnych zabiegów na mózgowiu. Nie korzystamy z radiacji ani magnetyzacji, lecz ze sterowanej telepatii. Widzi pan, istnieje inna droga poznawania rzeczywistości niż ta uznawana powszechnie za naukową - metafizyczna. W odróżnieniu od pierwszej, kosztownej, uciążliwej i żmudnej, wyraźnie biegnie ona na skróty. Tesla, Maxwell, Newton, Gödel, Hoyle - wszyscy oni uważali, że świata nie da się wyjaśnić, opierając się jedynie na zamkniętym układzie prawd logicznych. Nie muszę mówić, że nie był to sąd popularny.

- Czy mam przez to rozumieć, że cała procedura implantacji polegała po prostu na włożeniu mi do głowy esencji myślenia innych osób za pomocą telepatii?

- Nie do końca. Musieliśmy przygotować pański organizm do przyjęcia tak olbrzymiej ilości informacji. Pracowaliśmy nad tym wiele lat i w toku długotrwałych badań mojego instytutu z populacji wyłoniliśmy sawantów, ludzi o szczególnych zdolnościach kojarzenia, zapamiętywania i odtwarzania danych. Odkryliśmy u nich specyficzne białka kodujące procesy pamięciowe. U zwykłych ludzi są one blokowane, uczynniają się jedynie w nocy, w pewnej fazie snu. Wyizolowaliśmy je i podaliśmy panu. Działają przez trzy, cztery miesiące, po czym dochodzi do ich samoczynnej dezaktywacji. Dzięki nim informacje z kart pamięci, które przekazywaliśmy techniką podprogową, pański mózg przyjmował jak piasek wodę.

- Jeśli dobrze rozumiem, zabieg ten miał więc dwoisty charakter - z jednej strony elektroniczny przekaz danych do mojego mózgu i podanie zmodyfikowanego białka pamięciowego, z drugiej wzmocnienie tych sygnałów przy użyciu telepatii. Równocześnie zastosowano metodę naukową i metafizyczną. Czy tak, panie profesorze?

- Mniej więcej. Powiedziałbym, że po prostu wykorzystujemy tutaj możliwości, jakie daje nam natura. - Szablew uśmiechnął się lekko. - Z racji pełnionej w instytucie funkcji wykonuję jednak również inne zadania. Z osobistego polecenia naszego prezydenta otrzymuję najważniejsze tajne raporty dotyczące nowoczesnych technik kontroli umysłu. Mam je ocenić, odgrywając rolę adwokata diabła. Dla mnie osobiście instytucjonalna kontrola umysłu jest czymś przerażającym. Inaczej patrzą na to wojsko i wywiad.

- Ma pan całkowitą rację - zgodził się Michaił. - Teraz mam jednak inne pytanie, dla mnie fundamentalne. Czy obecnie, po zintegrowaniu mojego mózgu z bazą danych, jestem już człowiekiem li tylko z definicji? Czy stanowią nowy gatunek?

- Powiedziałbym, że jest pan istotą z pogranicza, ale stan ten będzie krótkotrwały. Jak mówiłem, po kilku miesiącach wróci pan do swoich podstawowych zasobów pamięci. Ale ja, panie Wołkow, chciałbym wrócić do tematu kontroli umysłu. Muszę znaleźć sojusznika w dobrej sprawie i mam nadzieję, że będzie to pan. Jest pan w stanie zrozumieć wagę problemu i ma pan bezpośredni kontakt z prezydentem Rosji, co jest dla mnie bardzo ważne. Proszę przeczytać sprawozdanie, jakie otrzymałem dziś od wywiadu. - Szablew wręczył Michaiłowi cienką teczkę. - Uprawnia pana do tego pańskie świadectwo pełnego bezpieczeństwa. Zobacz pan, jak daleko poszły badania będące w istocie czystą pseudonauką. Ich pomysłodawcy łudzą się, że ich odkrycia nie zwrócą się przeciwko nim samym, są jednak w błędzie. Będę apelował, aby badania te zakończyć, a wyniki zniszczyć.

- Chwalebny zamiar, ale z gruntu naiwny - powiedział Michaił, rozkładając ręce. - Bo, panie profesorze, wszelkie wynalazki, także zbrodnicze, znajdują zainteresowanie i zastosowanie u konkurencji.

- To prawda - przyznał Szablew. - Dlatego zakaz powinna wydać ONZ. Proszę to przeczytać, zabierze to panu tylko chwilę. Muszę na parę minut wyjść. Kilka dni temu w wypadku samochodowym zginął jeden z moich pracowników i personel chce się zebrać na chwilę pamięci. Mam wygłosić mowę pożegnalną. Niedługo wrócę.

Raport pochodził od GRU. Nie był długi. Opisywał zjawiska określone zbiorczo jako „psychoaktywność sygnałów umożliwiających wprowadzanie do mózgu kodów wewnętrznych, emocji i myśli”. Poniżej znajdowała się adnotacja: *Technologia badań nad kontrolą umysłu objęta jest w wielu krajach najwyższą klauzulą tajności w historii.* Ciekawe, ile wie na ten temat prezydent Rosji, pomyślał Michaił. Zaczął czytać.

W latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku odkryto zjawisko transu radarowego, w który wpadali ludzie zatrudniani przy obsłudze

aparatury wojskowej. Stwierdzono, jakie częstotliwości wywołują tego typu trans, i zaczęto je stosować do wywoływania stanu hipnotycznego, często równoległe emitując impulsy świetlne. Dzięki tym eksperymentalnym działaniom stworzono doskonały synchronizator fal mózgowych, który umożliwił przeprogramowywanie pojedynczych osób, a nawet całych grup. Siłę synchronizatora można było zwiększyć, używając promieniowania mikrofalowego. Dało to doskonałe rezultaty, pozwalające w znacznym stopniu wyeliminować klasyczne szpiegostwo i zastąpić je telepatią. We wszystkich krajach konkurujących ze sobą na arenie międzynarodowej prowadzono intensywne prace nad takimi zjawiskami jak wolna od zakłóceń i niezależna od źródeł energii łączność między formacjami bojowymi a centrum dowodzenia, telepatyczny podsłuch i śledzenie, telepatyczna kontrola i zakłócanie komunikacji przeciwnika, telehipnoza jednostek w kręgach decyzyjnych przeciwnika, telepatyczne oddziaływanie na duże grupy ludności i wywoływanie poczucia zagrożenia, lęku i buntu, zdalne sterowanie własnymi agentami i ich monitorowanie w trakcie akcji oraz przeprogramowywanie obcych agentów.

Cele te wielokrotnie osiągnięto, nie jest to literacka fikcja. Stwierdzono, że szybkość przebiegu informacji na drodze telepatycznej wynosi od pięciu tysięcznych do jednej dziesiątej bita na sekundę, a znaczne wzmocnienie tresujące fale mózgowie następuje przy częstotliwości od czterystu dwudziestu pięciu do czterystu pięćdziesięciu megaherców. Odległość nadawcy od odbiorcy nie wpływa na szybkość ani jakość przekazu. Ponieważ komunikat dochodzi do odbiorcy z chwilą jego nadania, wydaje się, że impulsy telepatyczne poruszają się poza zrozumiałym światem czasoprzestrzennym.

Trzy kolejne strony uściślały temat. Tekst zamykała konkluzja:

W Stanach Zjednoczonych, Chinach, Indiach i Wielkiej Brytanii testuje się metody zabijania na odległość, zmieniania torów myślowych przeciwnika, rozbijania mentalnego elit, zdalnego niewolenia i wymazywania ludzkiej pamięci. Nasze organy rządowe nie mogą pozwolić, aby Rosja pozostała bezczynna, gdyż dalszy postęp obcych mocarstw w tym obszarze groziłby jej bezpieczeństwu.

Michaił nie wątpił, że tego typu badania prowadzono również w Rosji. Przypomniawszy sobie wizytę na Kremlu w pomieszczeniu chroniącym przed podsłuchem telepatycznym. Putin powiedział, że podobne zabezpieczenia mają też inni światowi decydenci. Wszystko, co wiedział o kontroli umysłu i sposobach wpływania na zachowania społeczne, składało się na prawdziwie dystopijny obraz.

Chwilę później Szablew powrócił do gabinetu. Usiadł za biurkiem i spojrzał uważnie na Michaiła.

- Proszę powiedzieć, jaką techniką ochronną uniemożliwił nam pan pełną penetrację pańskiego umysłu?

Michaił spodziewał się tego pytania. Chronił swoją jaźń dzięki zastosowaniu wschodnich technik relaksacyjnych - oddychania naprzemiennego, medytacji Mer-Ka-Ba i wykonywania mudr. Pozwalało mu to wytworzyć pole chroniące wszystkie czakry, pozostawiając w umyśle jedynie małe okienko, wystarczające dla celów implantacji. Takich rzeczy nie zdradza się jednak nikomu, kto jest choćby najluźniej powiązany z FSB. A Szablew, czy tego chciał, czy nie, był.

- Myślałem o szachach i strategiach obronnych - skłamał Michaił.
- Ale przez większość czasu spałem. Nie wiem, co się ze mną wtedy działo.

- Ciekawe. Muszę to sobie zanotować - odpowiedział profesor, patrząc na niego badawczo. - Skoro już tu pan jest, chciałbym z panem porozmawiać jak naukowiec z naukowcem. Jakimi właściwie zagadnieniami się pan zajmuje?

- Zmianami w zapisie elektroencefalograficznym mózgu w rezonansie Schumanna.

- Nic o tym nie wiem, a jako psychiatra chyba powinienem.

- To niszowy temat, a powinien być upubliczniony. Pokróćce wyjaśnię, o co chodzi. Rezonans Schumanna to zjawisko powstawania zmian w elektromagnetycznej częstotliwości Ziemi. Do tej pory wynosiła ona siedem i osiemdziesiąt trzy setne herca, czyli mniej więcej tyle, co częstotliwość fal mózgowych alfa. Ten rezonans stabilizuje procesy umysłowe, działa harmonizująco i uspokajająco. W ostatnim czasie z nieznanых powodów puls Ziemi uległ blisko dwukrotnemu zwiększeniu, do szesnastu i pół herca. Moim zdaniem zmiana ta spowodowała równoległe przyspieszenie aktywności wszystkich form biologicznych, w tym ludzi.

Wiadomo, że wielokrotności tej liczby - trzydzieści trzy, sześćdziesiąt sześć, sto trzydzieści dwa, dwieście sześćdziesiąt cztery - to liczby harmoniczne dla jednego z tak zwanych tonów solfeżowych, wynoszącego pięćset dwadzieścia osiem herców. Właśnie ta ostatnia częstotliwość ma właściwości naprawiania uszkodzonego DNA. Wysnułem na tej podstawie przypuszczenie, że zmiany w polu magnetycznym Ziemi mogą samoczynnie wywoływać zmiany w ludzkim DNA. Innymi słowy, Ziemia sama z siebie może wpływać na pracę mózgu istot żywych, co może skutkować powstaniem nowych gatunków. Nie można wykluczyć, że taki proces miał już wielokrotnie miejsce. Pod wpływem zmian pulsu Ziemi równoległe zmieniał się rodzaj ludzki, wcale nie na przestrzeni milionów, a zaledwie tysięcy lat.

- Potwierdzenie pańskiej hipotezy obaliłoby teorię Darwina - zauważył Szablew. - Odkrył pan niezwykle ciekawy temat i po publikacji będzie pan miał mnóstwo przeciwników.

- To prawda - uśmiechnął się Michaił. - Wiąże się to niejako z pytaniem, które chciałbym panu zadać jako psychiatrze. Jak może pan wytłumaczyć fakt, że pod względem intelektualnym

i osobowościowym różnię się całkowicie od moich rodziców i rodzeństwa? Istnieje co prawda pewne podobieństwo fizyczne, ale na tym koniec. Moja rodzina nadal żyje na wsi i pracuje na roli. To porządni ludzie, ześrodkowani na problemach, które rozumieją. Moja matka była oborową w kołchozie i znała jedynie pieśni cerkiewne, a ojca traktorzystę interesuje tylko piłka nożna. W domu nie było książek ani gazet. Grać w szachy nauczyłem się z audycji w kołchozowym radiu, jak miałem cztery lata. Mistrzem świata zostałem w dwudziestym drugim roku życia. Matematykę i geometrię od zawsze pojmowałem, że tak powiem, intuicyjnie. Od razu znam wynik skomplikowanych działań, od ręki sporządzam wykresy i schematy najbardziej złożonych brył geometrycznych, w szachach jestem w stanie przewidzieć ruchy przeciwnika. Moje rodzeństwo nie wykazuje podobnych zdolności. Utrzymuję z nimi kontakt, ale świat widzą ze swojej perspektywy. Mojej nie rozumieją.

- To niesłychanie złożony temat, wobec którego nie ma w środowisku naukowym jednolitego stanowiska - odparł Szablew. - O istnieniu takich ludzi wiemy od kilkuset lat. Nazywamy ich - jak już mówiłem - sawantami. Na ogół wykazują oni niezwykle zdolności w jednej tylko dziedzinie, w innych zaś są mocno ograniczeni, aż do granic autystycznych. Bardzo rzadko pojawiają się jednostki takie jak pan, panie Wołkow. Unikalne zdolności klasycznych sawantów dotyczą przede wszystkim zapamiętywania słownictwa, ciągów liczb i obrazów z fotograficzną wręcz precyzją. Ich mózg rejestruje i przechowuje niesamowite ilości danych, zwykle nie mają oni jednak żadnych zdolności twórczych. Wciąż badamy to zjawisko. Mój temat, podobnie jak pański, jest noblowski.

Odpowiedź na pańskie pytanie chyba można znaleźć w pismach bramińskich. Buddyści wierzą, że w każdym pokoleniu na świat przychodzą awatary, ludzie obdarzeni unikalnymi zdolnościami widzenia poprzez czas i przestrzeń. Są wśród nich naukowcy, pisarze, filozofowie. Ogromna większość nie ma poczucia tego, jak silny wpływ

wywiera na społeczeństwo. Czasami skutki ich działań stają się widoczne dopiero wraz z upływem czasu. Innym wyjaśnieniem jest reinkarnacja. Tak zwane stare dusze muszą pozostawić po sobie coś wiekopomnego. Być może pan, panie Wołkow, akurat zamyka własne koło transmigracji. Więcej na ten temat można się dowiedzieć od tybetańskich lamów.

Szablew opowiedział także Michaiłowi o swoich wrażeniach z ostatniego wyjazdu do Pekinu na sympozjum naukowe poświęcone problematyce tak zwanych dzieci indygo. Przedstawiony tam oficjalny raport chińskiego Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego informował, że z ponadmiliardowej populacji wyłania się dzieci o unikalnych zdolnościach poznawczych, charakteryzujące się fioletową aurą. Szkoły mają obowiązek informować o nich przedstawiciele rządowych. Dzieci takie kieruje się do specjalnych placówek na nauczanie indywidualne. Umieszczane są w doskonałych warunkach, a rodzice mogą je odwiedzać bez przeszkód. Powszechnie wiadomo, że otwarto przed nimi drzwi do ogromnej kariery. Główną ich cechą jest kompatybilność ich mózgow z komputerami i łatwość transmisji danych z urządzeniami elektronicznymi. Chińczycy badają ich DNA z uwagi na możliwość dokonywania się w nim zmian sekwencji. Nie wiadomo, jaki czynnik mógłby odpowiadać za zmiany w kodzie genetycznym i nagłą masowość tego zjawiska. W Państwie Środka takich dzieci jest blisko sto tysięcy.

Na sympozjum w Pekinie rozważano także kwestię dziedziczenia takich cech. Wysłunięto przypuszczenie, że na oczach ludzi rodzi się zupełnie nowa rasa, przejawiająca inne upodobania i zdolności, zasadniczo różniące ją od „starego społeczeństwa”, w tym rodziców i wychowawców. Potwierdzenie i ujawnienie tych informacji miałyby znaczenie przełomowe. Zdaniem autorytetów odkrycie nagłych zmian w sekwencjach DNA oznaczałoby, że cały rozwój człowieka myślącego można sprowadzić do kilkunastu tysięcy lat. Nie można przy tym wykluczyć, że modyfikacje te są dziełem sił pozaziemskich.

Obaj rozmówcy wiedzieli, że zagadnienie zmian w kodzie genetycznym człowieka i tworzenia się nowego gatunku może stanowić wspólny mianownik łączący zjawisko rezonansu Schumanna i dzieci indygo. W ten sposób z dwóch odrębnych hipotez rodziła się jedna. Byli krok bliżej do uzyskania dowodu naukowego.

Michaił pożegnał się z Szablewem i postanowił udać się do domu. W drodze odebrał telefon od Nataszy. Była zachwycona wakacjami w Soczi, na które wysłał ją, zanim rozpoczął seanse implantacji w instytucie. Morze było ciepłe, a warunki w hotelu znakomite. Córki były w siódmym niebie, uczyły się windsurfingu i zupełnie dobrze im to wychodziło. Trochę narzekała na jedzenie, ale restauracyjne nigdy jej nie smakowało. Spytała nieśmiało, czy jest szansa na przedłużenie ich pobytu, tak żeby ona zakończyła cykl rehabilitacji w spa, a dziewczynki program żeglarski. Michaił opłacił im hotel na kolejne trzy tygodnie. Po okresie posuchy finansowej należał im się wypoczynek, tym razem na miarę marzeń.

Ich małżeństwo stało się ostatnio równie spokojne, co nudne, i Michaił zaczynał mieć ochotę na męsko-damską przygodę. Koledzy z pracy mówili mu o Havana Club, lokalu rozrywkowym w centrum Moskwy, do którego przychodziły różne grube ryby, od biznesmenów, przez mafijnych bonzów, na agentach policyjnych kończąc. Przeważającą część bywalców stanowiła jednak złota młodzież, machająca platynowymi kartami kredytowymi i nie licząca się z nikim i niczym. Sankcje nałożone przez Zachód spowodowały, że najdziksze pragnienia zaspokajano właśnie w Havana Club. Występowały tu międzynarodowe gwiazdy, słynne zespoły i wokaliści, zatrudniano najlepszych światowych szefów kuchni. Poziom usług był równie imponujący jak ceny.

Wieczorem Michaił ubrał się w zakupiony niedawno zachodni garnitur i taksówką pojechał na miejsce, gdzie drzwi otworzył mu portier w liberii. Zajął wolny stolik i zamówił drinka, spoglądając na parkiet, na którym tańczyło już kilka par. Ochrona, choć niewidoczna,

musiała być skuteczna, bo żaden z gości nie sprawiał wrażenia żyjącego poza prawem. Żadnych byczych karków czy panienek o kurewskiej proveniencji. Mężczyźni w idealnie skrojonych garniturach byli eleganccy, a dziewczyny ubrane były w suknie od najlepszych projektantów i ustrojone drogą biżuterią. Wszystkie o nienaganych figurach i modnie uczesane, po dyskretnych zabiegach kosmetycznych albo tak młode, że nie musiały z nich nawet korzystać. Zapach pieniędzy czuć było już przed drzwiami Havana Club.

Michaił wypił drinka i zamówił dużą porcję czarnego kawioru, który podano w wydrążonym kawałku lodu. Na osobnym talerzyku dołączono pieczywo własnego wypieku ze sporym kawałkiem świeżego masła. Gdy nakładał na chleb pierwszą łyżeczkę ikry z jesiotra, ktoś wylał mu na marynarkę i spodnie szampana. Czuł jego specyficzny zapach. Podniósł wzrok i dostrzegł skonsternowaną młodą dziewczynę.

- Strasznie pana przepraszam, potknęłam się o nogę stolika i stało się, co się stało. - Rozłożyła bezradnie ręce. - Głupio się czuję. Naprawdę nie chciałam!

Do stolika szybko podszedł kelner.

- Z szampanem często tak się zdarza - powiedział uspokajająco. - Na szczęście nie zostawia plam. Na zapleczu mamy suszarkę, za kilka minut nie będzie najmniejszego śladu.

Miał rację. Gdy Michaił wrócił do stolika, zastał przy nim nieznaną.

- Mogę tu z panem chwilę posiedzieć? - spytała po prostu.

- Nie mam nic przeciwko. Mój garnitur doprowadzono do porządku, więc nie musi mieć pani wyrzutów sumienia.

- Przecież to może się przytrafić każdemu. A usiadłam tu dlatego, że jakiś gość zaczął się do mnie przystawiać. Nie miałam na to ochoty. Odczepił się ode mnie, myśląc, że jesteśmy razem.

- Istotnie, jesteśmy razem z powodu rozlanego szampana - zaśmiał

się Michaił. – Co pani na to, żebym zamówił ten sam gatunek i dodatkową porcję kawioru?

– Chętnie – powiedziała radośnie. – Mam na imię Wiera.

Kieliszek zamienił się w butelkę, butelka w dwie. Po północy zaczęli tańczyć. Dziewczyna była młodziutka, wyglądała pięknie i zachowywała się uroczo. Było już koło czwartej, gdy powiedziała:

– Mieszkam niedaleko. Chyba mnie odprowadzisz?

Odprowadził. Mieszkała na chronionym osiedlu. Lekko się chwiała, więc pomógł jej otworzyć drzwi. Apartament urządzony był bogato, lecz bez finezji. W dużej łazience panował nieludzki bałagan. Kosmetyki najlepszych marek leżały porozrzucane we wszystkich kątach. Michaił umył twarz i ręce, zdjął marynarkę i wrócił do salonu.

– Wyjątkowo mi z tobą dobrze – powiedziała mu dziewczyna. – Jesteś sporo starszy ode mnie, ale to fajnie. O, widzę, że masz tatuaże. Tylko na rękach? Pokaż mi wszystkie.

– Dobrze, ale tylko jeśli ty pokażesz mi swoje.

Wykonała jeden ruch ręką i została jedynie w łańcuszku na szyi.

– Nie mam żadnego, możesz sprawdzić. – Zachichotała i przytuliła się do niego.

Nie miał nic przeciwko. Zignorował rodzące się w nim poczucie winy. Dziewczyna pokazała, co potrafi. Nie miało to końca, a właściwie było nieustającym początkiem. Spytał, czy nie obawia się ciąży. Powiedziała, że taka możliwość nie wchodzi w rachubę. Była nienasycona, a doświadczenie miała takie, jakby latami pracowała w najbardziej wyrafinowanych burdelach Azji Pacyficznej. Mógł się o tym przekonać, gdy w czasie kolejnych dni używała wymyślnych technik i akcesoriów. Spotykali się codziennie.

– Będę z tobą, bo dzień po dniu chyba się w tobie zakochuję – powiedziała mu po tygodniu. – Czekałam na to od dawna. Nie wierzyłam, że mi się to przytrafi. W łóżku jesteś cudowny. Nikt nie może być lepszy. Zrobiłeś coś takiego, że stale cię pragnę.

Nie pytała go o nic, on także zadowalał się tym, co jest. Nie

interesowały go żadne odpowiedzi. Istotne, że nie jest nimfomanką, że rodzi się w niej nowe uczucie, że jest im razem tak dobrze, jak nigdy wcześniej.

Któregoś dnia, gdy rzucił marynarkę na fotel, z kieszeni wypadła mu karta kredytowa. Wiera podniosła ją z podłogi.

- Mam taką samą, popatrz - powiedziała i pokazała mu własną.

W tym momencie Michaił wszystko zrozumiał. Wiedział, że do wydania takiej karty było uprawnione jedynie GRU i FSB. Nic nie powiedział. Zdał się na czas i los.

Kilka dni później z budki telefonicznej zadzwonił do Grigorija i umówił się z nim na spotkanie. Aby mieć pewność, że rozmowa pozostanie tylko między nimi, mocnym plastrem przykleił do łydki magnes zdjęty z lodówki, wyłączając w ten sposób implantowany czip. Przyjaciel opowiedział mu o spotkaniu papieża Franciszka z patriarchą Cyrylem, do którego po blisko tysiącu lat lodowatych stosunków między obydwojema wyznaniem doszło niedawno na Kubie. Grigorij pełnił funkcję tłumacza. Rozmowa hierarchów od początku układała się źle. Cyryl zarzucał Franciszkowi wprowadzanie do chrześcijaństwa postulatów marksistowskich i ultraliberalnych. W ZSRR, mówił, takie rozwiązania testowano przez osiemdziesiąt lat z jednoznacznie negatywnym skutkiem. Większość przemian, jakie wprowadza do doktryny chrześcijańskiej papież, zakrawa na herezję i doprowadzi do schizmy w Kościele katolickim. Moskwa w swojej negatywnej opinii na ten temat nie jest odosobniona. Podobny pogląd mają inne wyznania. Papiestwo od dłuższego czasu podąża drogą, która może okazać się zgubna tak dla religii, jak i Europy. Spowoduje całkowitą marginalizację Watykanu oraz oddanie steru władzy w ręce masonów. Gdy do tego dojdzie, mówił Cyryl, Rosja pozostanie jedyną wyspą prawdziwej wiary na oceanie ateizmu, otoczoną wrogami ideologicznymi. Nowy Porządek Świata pozbawi papieża jakiegokolwiek znaczenia. Rozwiązaniem, jak wielokrotnie mówił Benedykt XVI, może być zwołanie nowego soboru powszechnego,

w którym rolę do odegrania będzie miał także Kościół wschodni.

Franciszek uzasadniał swoje decyzje dążeniem do urzeczywistnienia teologii wyzwolenia i otoczenia przez Kościół opieką grup dotychczas z niego wykluczonych, w tym gejów, lesbijki, transwestytów, a nawet rozwiedzionych.

- Solą wyznania chrześcijańskiego nie są geje, lesbijki czy przemienicy, lecz zwykli ludzie - odpowiedział twardo Cyryl. - Prawdy wiary muszą być jednoznaczne, a rozwiązania proponowane przez obecnego Ojca Kościoła i namiestnika Boga na Ziemi są wysoce ambiwalentne i dokonują niszczących wyłomów w doktrynie. My na takie rozwiązania nie wyrażamy zgody. Dlatego w wieloletniej historii prawosławia nie było reformacji ani większych schizm.

Na temat istot pozaziemskich hierarchowie dwóch największych wyznań chrześcijańskich również mieli całkowicie odmienne poglądy. Dla Michaiła zasadnicze znaczenie miała jednak wyjawiona przez Cyryla informacja, że Kościół prawosławny nieprzerwanie od ponad tysiąca lat utrzymuje kontakt z kosmitami. Grigorij, który musiał spieszenie udać się na spotkanie z patriarchą moskiewskim, obiecał, że więcej na ten temat powie mu przy następnym spotkaniu.

Na podstawie wszystkiego, czego się w ostatnich tygodniach dowiedział, Michaił usiłował wyciągnąć na tyle precyzyjne wnioski, aby zbliżającej się rozmowie z Putinem nadać odpowiednią wagę. Nie ulegało wątpliwości, że problem, w jaki go wplątano, miał wymiar galaktyczny. Informacje, jakimi podzielił się z nim Grigorij, dowodziły istnienia w Rosji kanału komunikacji z Obcymi niezależnego od GRU i FSB, z którego korzystała zapewne nie tylko Cerkiew, ale i prezydent. Fakt, że do rozwiązania problemu Putin powołał właśnie jego, oznaczał, iż czegoś się wystraszył. Być może Obcy żądali od niego czegoś, czego nie mógł lub nie chciał im zapewnić. Niewątpliwie w tle jest groźba agresji. Bez bliższych informacji ze źródła, czyli szczerzej rozmowy z prezydentem Rosji, dalsze rozważania miałyby jedynie charakter probabilistyczny. A nie o to chodziło i nie po to jego,

Michaiła, włączono do rozważań.

Aby rozwiać pewne wątpliwości, postanowił pojechać do instytutu i z pomocą profesora Szablewa wczytać dane dotyczące obsługi tak zwanej walizki prezydenckiej. Pamiętał, że Miedwiediew ni z tego, ni z owego przyznał kiedyś publicznie, że nosi tam klucz do rozmów z kosmitami. Wówczas wzięto to za żart, czy jednak na pewno słusznie? Ubrał się i zbiegł po schodach. Wychodząc z klatki, zauważył, że jego ładę z przodu i tyłu blokują dwa samochody. Z jednego z nich wysiadł pozbawiony karku mięśniak.

- Generał Rogozin pana oczekuje - oznajmił Michaiłowi.

Jakby poufale ujął go pod ramię, otworzył drzwi auta i gestem nakazał, aby wsiadł.

- To, co ci teraz powiem, mówię trochę dla dobra służby, a trochę prywatnie - powiedział Rogozin, nie patrząc na niego. - Wiera... wiesz, o kim mówię... to moja córka i dobrze jej życzę. Dlatego dziś wysłałem ją do Magadanu. To daleko, sama stamtąd nie wróci. Podobno przypadki chodzą po ludziach, ale uważaj, żeby nie było kolejnych. Dobrze ci radzę. Bo ona, ty i ja jesteśmy tu tylko po to, by służyć Rosji. Możesz odejść.

ROZDZIAŁ 16

w którym dwóch papieży omawia uniwersalne problemy filozoficzne i palące sprawy współczesnego świata.

Do Ogrodów Watykańskich dochodził metaliczny szcęk uzbrojenia wymaszerowującej z koszar Gwardii Szwajcarskiej. O piątej rano wśród drzew śpiewem budziły się ptaki. Na tym zielonym skrawku terenu, jedynym w ciasno zabudowanym Rzymie, było ich mnóstwo. Franciszek lubił tu przychodzić, bo kontrast żywej natury i klasycystycznych budynków przynosił mu ulgę i dawał energię potrzebną do stawienia czoła czekającym go zadaniom. A było o czym myśleć. Ucieszył się na widok zbliżającej się do niego drobnej postaci w białej sutannie, jak zwykle patrzącej pod nogi. Benedykt XVI przywitał go serdecznie i usiadł obok niego na ławce.

- Z uwagą przeczytałem twoją, Jorge, encyklikę *Laudato si'* - powiedział, patrząc mu w oczy. - Masz rację, mówiąc, że Bóg po nas Ziemi nie posprząta. Musimy to zrobić sami. Słusznie napisałeś też, że kto nie zna historii, skazany jest na to, by ją powtarzać. Niestety, Franciszku, w całej rozciągłości dotyczy to właśnie ciebie. Towarzystwo Jezusowe raz już uległo kasacie, a gdy ponownie się odrodziło, nie zmieniło wcale zasad postępowania. Jego rozwiązanie rozważał Jan Paweł II, a i ja, gdy sprawowałem funkcję papieża, opowiadałem się za tym z uwagi na wygłaszane przezeń marksistowskie treści i relatywizm. Niestety, w zliberalizowanym Watykanie byłem w mniejszości. Między innymi dlatego zrezygnowałem.

- W kwestiach takich jak wiara nie ma jednej prawdy - odpowiedział papież. - Musi się ona zmieniać wraz ze światem, a ten jest dziś zupełnie inny niż chociażby pięćdziesiąt lat temu. Nie

zgadzam się ze wszystkimi propozycjami mojego zakonu i tłumię co bardziej wywrotowe. Ty, Benedykcie, również nie masz jednak monopolu na prawdę. W Secretum Omega zapoznałem się z punktami, jakie należy twoim zdaniem omówić na nowym soborze. Są znacznie bardziej rewolucyjne niż wszystko, co głoszą jezuici. Twoje przypuszczenia o roli istot pozaziemskich w historii naszej planety stwarzają konflikt ideologiczny i naruszają kanon Księgi Rodzaju. Mimo to zdecydowanie byłbym za ich wprowadzeniem do obrad nowego soboru. W Kościele chodzi o prawdę. To także jedna z zasad jezuickich. W tej sprawie moglibyśmy współpracować, jako dwaj papieże mielibyśmy kolosalną siłę oddziaływania. Obaj jesteśmy już, niestety, wiekowi, ale jeśli nie zrobimy tego my sami, następny papież może już mieć inną wizję Kościoła.

Wróćmy jednak do ochrony środowiska. Tak jak powiedziałaś, nie mamy wyboru. Osiem miliardów ludzi je, wydała i śmieci, każdy potrzebuje energii, ropy i gazu. Ziemia jest na skraju wydolności. Z nowych opracowań wynika, że obecnie na jednego człowieka przypada tylko trochę ponad pół hektara gruntu nadającego się pod uprawę. Jeśli zmiany klimatyczne pójdą dalej, północna Afryka spustynnieje, a ludność zacznie masowo migrować tam, gdzie jej zdaniem jest wszystkiego w nadmiarze - czyli do nas. Tym w większości prostym ludziom wydaje się, że Europejczycy dniami i nocami myślą tylko o tym, by rozdawać swój dobytek i kupować murzyńskie rzeźby. Dlatego trzeba dotrzeć do nas. Przeżyć. Wszystko jedno, jak i za jaką cenę. Ponurym paradoksem jest, że pod Saharą znajdują się ogromne pokłady wody. Jej wydobycie to tylko kwestia nakładów finansowych i ożywienia północnej Afryki na nowo. Ale co z tego, że od dawna powszechnie o tym wiadomo, jeśli nie przekłada się to na żadne sensowne działanie?

- Jeśli nic nie zrobimy, uciekinierzy przyjdą do nas - zgodził się Benedykt. - To oczywiste, nie mają innego wyboru. Niebawem będą to nie tysiące, jak dotąd, lecz miliony. Stosunki społeczne ulegną

wówczas w Europie gwałtownej zmianie. Nieustannie rozmyślam o tych problemach. Dzielące nas różnice dotyczące religii, wykształcenia, tradycji, roli kobiety czy relacji rodzinnych są fundamentalne. Na sercu leży mi również ochrona integralności rasowej Europy. Demografia naszego kontynentu doprowadza mnie do rozpacz. W chwili obecnej białych jest na świecie tylko jedenaście procent. Za czterdzieści lat, według najbardziej optymistycznych prognoz, będzie nas o kilka procent mniej. Przeglądałem prasę, która zajmuje się tymi zagadnieniami. Mówi ona, że w krajach Zachodu stosunek mahometan do reszty mieszkańców, poczynając od Hiszpanii, Portugalii, po Niemcy, Norwegię, Szwecję na koniec 2017 roku sięga dwudziestu procent. Wyobraź sobie, co się stanie, jeśli parlamenty tych krajów wyrażą zgodę na łączenie rodzin. Może nieoczekiwanie pojawić się po pięć żon u wielu uciekinierów i emigrantów, ze stosowną liczbą dzieci. Islam to religia walcząca, od wieków stosująca taktykę zajmowania terenów przez zasiedzenie. Zwiększenie imigracji muzułmanów przy kolosalnej dzietności zwiększy niepomiaralnie siłę ich oddziaływania, co może się skończyć wyparciem chrześcijaństwa z Europy.

- Przyszłość - jak zwykle - jest nieodgadniona, ale jest pytanie, jak ten problem rozwiązać. Muszą o tym zdecydować politycy, ale obawiam się, że obecnie sytuacja całkowicie wymknęła się spod kontroli. To nie jest sprawa dla papieża. Jak długo się da, powinniśmy milczeć, ale jak ponure echo dźwięczą mi słowa Henry'ego Kissingera o konieczności redukcji ludności naszego globu o sześćdziesiąt procent. Jeszcze dalej poszedł Bill Gates, mówiąc o osiemdziesięciu procentach i dowodząc, że w chwili obecnej doszło już do kryzysowego przeładunku globu.

- Do takiej sytuacji i rozważań by nie doszło, gdyby ludziom zapewniono dostęp do darmowej energii krążącej w eterze - zauważył Franciszek.

- To prawda. Niestety, na przeszkodzie stanął biznes. To właśnie

na jego zamówienie powstała teoria względności, a nagła śmierć dotknęła wielu przeciwników Einsteina, wśród nich takie postacie światowej fizyki jak Drude, Minkowski, Ritz, Poincaré, Friedmann i Schwarzschild, którzy zgodnie potwierdzili istnienie wiatru eteru.

- Nie tyle biznes, co ponadnarodowe masońskie lobby - wtrącił papież - którego celem było utrzymanie imperiów rodzin naftowych. Śmierć jest najprostszym sposobem rozwiązywania ludzkich problemów, równie skutecznym wobec niepokornych naukowców i przeludnienia. Idealny - ich zdaniem - byłby jakiś nowy wirus. Swoich się przecież zaszczepi.

- Zresztą Bóg ich rozpozna. Ameryka wybiję Meksyk, Arabia Saudyjska Iran, Irak i Syrię. Rosjanie - Czeczenów i Gruzinów, a najchętniej również Polaków. Chiny wezmą się za Indie albo odwrotnie. A Korea za wszystkich bez wyjątku.

- Istnieje jeszcze inna teoria dotycząca problemu uchodźców - powiedział ostrożnie Franciszek. - Może wydawać się nieracjonalna, ale ja po przemyśleniach już tak nie sędzę. Wśród moich doradców i współpracowników coraz częściej brzmią głosy, że masoneria perfidnie posługuje się Watykanem do zniszczenia Kościoła. Wykorzystuje chrześcijańskie miłosierdzie, by otworzyć islamowi drogę do Europy. Podobną próbę podejmowano już dwukrotnie. Za pierwszym razem, w piętnastym wieku, Frankowie po dwustu latach walk wygnali Arabów do Afryki. Za drugim Turcy ponieśli klęskę pod Wiedniem. Trzecia próba zagarnięcia odbywa się na naszych oczach. Nadejście takich wydarzeń już w zeszłym wieku przewidywała wybitna dziennikarka Oriana Fallaci, wówczas jednak nikt nie zważał na jej słowa. Dziś dźwięczą one w moich uszach. Ostrzegła, że na nasze ziemie przybędą nie uchodźcy, lecz przede wszystkim emigranci ekonomiczni, a wśród nich misjonarze wojującego islamu i terroryści. Głównego najazdu na Europę dokonają młodzi mężczyźni w wieku poborowym. Ktoś ze szczytów finansjery masońskiej, najwyższego kręgu decyzyjnego Rothschilda, Rockefellera czy Sorosa, nasz

zadeklarowany przeciwnik, gruntownie przeanalizował sytuację i znalazł genialny sposób na rozbrojenie Europy i wiary katolickiej. Bez armii, bez taborów, używając wytrychu w postaci chrześcijańskiego miłosierdzia.

- Przypomina mi się *Sztuka wojenna* chińskiego generała Sun Zi, w której pisał, że najwyższą formą sztuki wojennej jest zaatakowanie strategii przeciwnika. W tym wypadku odbywa się to poprzez wykoślawienie idei miłosierdzia i wykorzystanie jej do własnych egoistycznych celów. W takiej sytuacji jesteśmy bezsilni, nie możemy bowiem działać wbrew wyznawanym zasadom. - Benedykt zamilkł na chwilę. - Ale my nie rozwiążemy tego problemu. Do tego jest ONZ i politycy. Dlatego nie widzę sensu, abyśmy dalej o tym rozmawiali. Mam inną kwestię, którą chciałbym z tobą omówić, bo co innego od dawna chodzi mi po głowie. Mogę o tym z tobą chwilę porozmawiać?

- Oczywiście, mów.

- Byłem na cyklu spotkań dla uczonych z całego świata, poświęconych metafizycznej drodze poznania prawdy, alternatywnej względem czysto naukowej... - zaczął Benedykt, lecz Franciszek od razu mu przerwał:

- Myślisz pewnie o starotestamentowych prorokach? - domyślił się.

- Przede wszystkim - przytaknął Benedykt. - Ojcowie Kościoła uczynili niewybaczalny błąd, odrzucając Księgę Henocha. Jako natchnioną włączył ją do swego kanonu tylko Kościół koptyjski.

- Tam, na północy Afryki, na wzmianki o kosmitach ludzie wzruszają tylko ramionami. Koptowie sami twierdzą, że siódmy patriarcha odbywał podróże do gwiazd. A co na ten temat mówi Biblia? - spytał Franciszek.

- Na Stary Testament składa się osiemnaście ksiąg prorockich, w których bez ogródek pisze się o widzeniu sfer niebiańskich, zwiastowaniu, nawiedzeniu i objawieniu. Tam też, w księdze Ezechiela, w rozdziale dwudziestym ósmym, jest warta uwagi

wzmianka o tym, że bunt w sferach niebiańskich i rokosz Lucyfera były związane z boskim zamiarem przyjscia na ziemię Chrystusa. Nastąpił podział świata anielskiego na zwolenników zbuntowanego anioła i wierne Stwórcy służby niebiańskie, co doprowadziło do wojny Lucyfera z archaniołem Michałem. Walki były straszliwe, o ich zakończeniu i klęsce Lucyfera przesądziła osobista interwencja boska. Tyle mówi antyczny prorok, ale już ci wcześniej o tym wspominałem.

My obecnie nie mamy określeń takich zjawisk jak jasnowidzenie, telepatia czy prekognicja, i dalej nie potrafimy ich wyjaśnić. Jednakże wiemy, że istnieją. Mimo postępu nauki ludzki umysł pozostaje zagadką. Nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę, ale współczesne badania społeczności Aborygenów pokazują, że ta wyizolowana grupa etniczna postrzega czas zupełnie inaczej niż my. Nie w sposób liniowy, lecz jako jezioro, po którym można się poruszać w każdym kierunku. Pozwala im to łączyć się telepatycznie z członkami plemienia i rodziny. Mimo dzielącej ich odległości, bez telefonów komórkowych i Internetu, wiedzą o sobie wszystko, są obecni przy narodzinach potomków i śmierci bliskich. Myśmy tę zdolność w znacznym stopniu utracili. Ale starotestamentowi prorocy ją posiadali.

- Wśród nas też znajdują się jednak jednostki, które mają ten dar - zauważył Franciszek.

- To prawda - przyznał Benedykt. - Prezydent Clinton mówił mi kiedyś, że jego rodak, człowiek nazwiskiem Swan, uczestniczył w seansie telepatycznym, podczas którego opisywał parametry fizyczne powierzchni Jowisza, w tym zjawiska takie jak wiatry, burze, tornada, układy chmur i kolor gruntu. Scharakteryzował jego aurę magnetyczną i wiele innych własności. Trzy lata później sonda Pioneer przesłała na Ziemię zdjęcia Jowisza potwierdzające jego słowa.

- Widziałem jakiś program telewizyjny na ten temat - przypomniał sobie Franciszek - i szczerze powiem, że zjawisko to mnie zaciekało. Zamówiłem zestaw filmów o telepatii. Pokazywano tam między innymi seans nagrany w kapsule Apollo, w czasie którego astronauta Mitchell

losowo wybierał rysunki różnych przedmiotów, a na Ziemi odgadywał je rosyjski telepata Łomsadze. Jego odpowiedzi były w ponad osiemdziesięciu procentach trafne, co daleko wykracza poza błąd statystyczny.

- Jakby tego było mało - dodał Benedykt - Łomsadze nie znał angielskiego, a Mitchell rosyjskiego. Na tej podstawie wysunięto wniosek, że porozumiewali się drogą czysto mentalną. Taki sposób kontaktu może być *lingua franca* całego kosmosu. Telepata widział nawet - z odległości ponad trzystu tysięcy kilometrów - jak Mitchellowi na podłogę kapsuły spadł jakiś przedmiot, co znaczy, że w ich kontakcie miała udział nie tylko świadomość, ale i zmysły. Ale pozwól, Jorge, że opowiem ci o pewnym szczególnym zdarzeniu w mojej karierze egzorcysty. Słuchaj uważnie. Kiedy byłem jeszcze arcybiskupem w Niemczech, spotkałem zakonnicę, która przejawiała podobne właściwości jak święta Faustyna. Urodziła się w prostej wiejskiej rodzinie w Bawarii. Na tle rówieśników od początku wyróżniały ją cechy albinotyczne i niespotykane fiołkowe oczy. W młodości rodzice i nauczyciele nie potrafili sobie z nią poradzić, nieoczekiwanie wpadała bowiem w stan transu. Mówiła wówczas w nieznanym języku, ale odpowiadała na pytania po niemiecku. Przeprowadzono ją do mnie, abym ją egzorcyzmował, nie odniosłem jednak wrażenia, by była opętana. Reagowała normalnie na krzyż i wodę święconą. Z pełnym przekonaniem twierdziła, że w poprzednim wcieleniu była mężczyzną, pilotem samolotu bojowego na Marsie. Używała określeń technicznych, których nie mogła znać. Poleciałem nagrywać ją w tym stanie, po czym dałem taśmy do przesłuchania profesorowi awioniki z Getyngi. Potwierdził, że jej wypowiedzi świadczą, iż posiada wiedzę osoby z doświadczeniem w pilotażu pojazdów o napędzie dotąd niestosowanym na Ziemi. Sporządzono dla niej listę pytań, na które bez trudu udzieliła spójnych i logicznych odpowiedzi. Wyobraź sobie, że nadal w transie kontaktuje się z istotami ze swojej planety. Historia Anny Marii, bo tak się ona

nazywa, może w istocie stanowić ważne świadectwo w sprawie reinkarnacji – a tej, jak wiesz, Kościół jak dotąd nie uznaje.

Na moje polecenie zrobiono jej szereg badań, w tym badanie tomokomputerowe głowy. Okazało się, że ktoś, nie wiadomo kiedy i po co, implantował jej do mózgu dwa czujniki. Wyobraź sobie, prostej dziewczynie ze wsi. Chyba ma w nich zakodowane przeszłe istnienia, a może pod wpływem jakiegoś impulsu przypominają jej o tym, co niegdyś przeżyła. Obecnie przebywa w Trewirze, gdzie jest zwykłą służebnicą, tamtejszy proboszcz wie jednak, że jest pod szczególną opieką Watykanu. Niektóre kobiety ze zgromadzenia uważają ją za na wpół świętą, inne za nienormalną. Ale nie dzieje się jej żadna krzywda. Kontaktujemy się wzajemnie tylko listownie. Przydzieliłem jej dwóch księży lingwistów i poleciłem opracować słownik marsjańskoniemiecki. W przyszłości na pewno się przyda. Od dawna usiłuję wyjaśnić te zdarzenia, mające w równym stopniu naturę racjonalną, jak i metafizyczną. U nas ta zakonnica znalazła się, że tak powiem, dość przypadkowo, chyba że Opatrzność – albo jakaś inna siła – specjalnie postawiła ją na naszej drodze. Co ciekawe, Anna Maria uparcie twierdzi, że w Rosji żyje jej brat, Borys, który ma podobne zdolności. Był o nim nawet program w prywatnej petersburskiej telewizji. Mogę ją w każdej chwili ściągnąć do Watykanu, jej zgromadzenie ma w Rzymie filię i jest tam sporo zakonnicek z Niemiec. Porozmawiam o tym z metropolitą Cyrylem, może uda nam się zaaranżować spotkanie tego rodzeństwa.

Franciszek, wysłuchawszy uważnie opowieści, powiedział:

- Przywodzi mi to na myśl inne zjawisko. Myślę o prekognicji długookresowej, jak chociażby prorocstwo o upadku Babilonu, przepowiednia ojca Pio o wyborze Wojtyły na papieża czy drugi sen Józefa, po którym udał się z Marią i Jezusem do Egiptu. Zresztą w Biblii mnóstwo jest takich przykładów. Ale i w życiu codziennym każdy z nas doświadcza przeblysków jasnowidzenia. Nieraz widzę, jak siostra Wiktoria załamuje ręce na sam widok widelca w moim ręku,

a chwilę potem jedzenie spada mi na sutannę.

Roześmiali się oboje.

- Pożyczyłem ci niedawno pewien szczególny tekst, który wywarł na mnie głębokie wrażenie - przypomniał Franciszkowi Benedykt. - Odkrył on przede mną bezmiar zagadnień, których wcześniej nie byłem świadomy. W czasach obecnej zawieruchy w życiu duchowym nie są to może kwestie najwyższej wagi, ale mnie przez całe życie interesowała filozofia i socjologia nauki i wiary. Mówię oczywiście o *Księdze Urantii*. Udało ci się z nią zapoznać?

- Nie skończyłem jej jeszcze czytać, ale przyznaję, że stanowi poważną alternatywę dla Starego i Nowego Testamentu - odparł Franciszek. - Uwagę moją zwrócił pomysł, że po śmierci dusza ludzka udaje się do szeregu światów-mieszkań, gdzie przechodzi proces edukacji i doskonalenia. Nie istnieje tam instytucja wiekuistego potępienia. Zamiast tego wprowadza się pozytywny element nieustannego rozwoju z pomocą Dostrajaczy Myśli, czyli duchów z wyższych poziomów. To bardzo pociągająca filozofia.

- A do tego niesłuchanie niebezpieczna z punktu widzenia kanonicznego - zauważył Benedykt. - Nie ma w niej Sądu Ostatecznego ani piekła i nieba, nie ma jednego Jezusa, lecz wielu Synów Bożych.

- W naszym kanonie dobry Bóg daje nam tylko jedną szansę, by dobrze przepracować życie. Czy ty to uważasz za sprawiedliwe? - spytał z goryczą Franciszek.

- Naprawdę nie wiem - westchnął ciężko Benedykt, rozkładając rękę. - *Księga Urantii* mówi o idealnym porządku kosmicznym, którym wiele bytów na różnych poziomach rozwoju zawiaduje od czasów jego stworzenia, wykonując zadania powierzone im przez Boga. Po prostu pracują, mając na względzie dobro wszechświata. Uważam, że to wspaniałe. Jak powiedziałaś, osiągnięcie raju jest możliwe, lecz wymaga ciężkiej pracy na kolejnych szczeblach pośmiertnej egzystencji, doskonalenia swojej osobowości, charakteru i intelektu.

Nie wystarczy nie grzeszyć w życiu doczesnym. Tak pojęty rozwój duszy musi łączyć się z równoważnym rozwojem międzywymiarowych tendencji wspólnotowych, a jego ostatecznym rezultatem jest zrozumienie działania wszechświata. Przyznaj, że to wersja znacznie bogatsza od tej, o której uczymy w Kościele.

- Wróćmy lepiej do rzeczywistości, bo czas ucieka - powiedział Franciszek, uśmiechając się lekko. - Mam wystarczająco dużo zmartwień tu i teraz. Musiałem na grunt katolicki przyjąć anglikańskich księży z żonami i dziećmi. Nie mam pewności, jaki powinien być mój następny krok. Stale się modlę, ale nie przynosi mi to ulgi. Jako jezuita muszę myśleć o przyszłości. Kanon religii trzeba uwspółcześnić i zacząć stare prawdy wyjaśniać nowymi terminami. Nowy sobór mógłby w tym pomóc.

- Jak sobie to wyobrażasz? - spytał Benedykt.

- Watykan musi ogłosić fakt istnienia istot pozaziemskich i przedstawić je jako naszych starszych braci w wierze. Inaczej zrobi to za nas masoneria.

- Zgadza się.

- Nie należy z tym zwlekać - dodał Franciszek. - Mam podejrzenia, że masoneria przygotowuje się do wykonania ostatecznego ruchu. Wyobraź sobie kilkudziesięciotysięczną rzeszę pątników na Placu Świętego Piotra. Ni stąd, ni zowąd na całym nieboskłonie zaczyna się rozgrywać niesamowity holograficzny spektakl. Tłum pada na kolana, na własne oczy widząc nadejście Pana i zapowiedź końca świata. Mała postać w białej szacie w oknie domu papieskiego przestaje się liczyć. Stary Bóg umarł, nowy się pojawił. Zapadnie ciemność, a ludzie wpadną w panikę i rozpacz. Siła, która odsłoni Słońce, będzie siłą boską. Podobny w mniejszej skali scenariusz sto lat temu przećwiczano w Fatimie, a później w Medjugorje. Dokładnie to zbadaliśmy. Nie były to żadne cuda, tylko właśnie pokazy holograficzne. Miliony wiernych padły ofiarą złudzenia.

- Uważasz, że jest obecnie możliwe wyświetlenie podobnego

widowiska na całym niebie?

- Oczywiście - odparł bez wahania Franciszek. - To tylko kwestia odpowiedniego sprzętu. Jedynym problemem jest zanieczyszczenie atmosfery i zasilanie. Takie projekcje zniszczą Kościół, jaki znamy. Papiestwo zostanie zastąpione przez Nowy Porządek Świata.

- Wielu wyczuwa związane z tym zagrożenie. Istnieje obawa, że Nowy Porządek Świata - jeśli już nie zrobił tego wcześniej - obecnie podejmie współpracę z istotami pozaziemskimi i wesprze je w dążeniu do przejęcia pełnej kontroli nad Ziemią. Nie wykluczam, że w tej grze chodzi o likwidację człowieka, jej największego szkodnika.

- Powiem ci tyle, cierpieć będą wszyscy. Ale nie musimy tego rozumieć. Nie na darmo wśród autorytetów kanonicznych mówi się, że jeśli się w czymś nie zgadzasz z Bogiem, należy zmienić swoje myślenie. Bóg nie musi tego robić.

- Sposób myślenia już dawno zmienili masoni - zauważył Benedykt. - Dążą do zupełnie innych celów niż Kościół i spodziewają się nie wiadomo jakich korzyści.

- Liczą na to, że Obcy ich wynagrodzą, zapewniając im długowieczność - wyjaśnił Franciszek. - Tak jak było w wypadku pierwszych patriarchów, którzy żyli po tysiąc lat.

- Po prostu wierzą, że wszystko pójdzie po ich myśli, nie mając żadnej gwarancji? - spytał z niedowierzaniem Benedykt.

- Są takie przesłanki, ale nie ma dowodów. Z jednej strony na naszych oczach dokonuje się zdumiewający postęp nauki i medycyny, z drugiej postępuje rozkład religii. Poza islamem, oczywiście.

- Część odkryć zwraca się jednak przeciwko człowiekowi. Maszyny odebrały pracę milionom ludzi. Informacja pierwszy raz w historii wyprzedziła rzeczywistość. Internet zastąpił wiedzę, telefony - pismo, algorytmy - myślenie, a programy graficzne - rysunek. Mało kto czyta książki, większość przerzuca w sieci banalne informacje i nie potrafi obliczyć prostych działań matematycznych bez kalkulatora. Prawie nikt nie pisze listów. Moje zakonnice jeżdżą autobusami i mówią, że

przeważająca część pasażerów w czasie podróży komunikuje się z innymi przez komórki. Na ogół wymieniają się SMS-ami. Nie ma już gwaru rozmów, który był kiedyś czymś naturalnym. Wcale nie tak dawno na spotkaniach związków twórczych i kół naukowych prowadzono publiczne dyskusje. Teraz się mailuje. Komputer zastępuje przyjaciół. Konsekwencją jest izolacja i samotność.

- Też odnoszę takie wrażenie - przytaknął smutno Franciszek. - Dla ludzi i Kościoła nadchodzą trudne czasy, może nawet ostateczne. Coraz więcej trafia do mnie doniesień o wizjach i nawiedzeniach. Lawinowo wzrasta liczba osób opętanych, egzorcyci pracują całą dobę. Ludzie widzą cudowne znaki na szybach i w korze drzew. Co dzień w nowym miejscu objawia się Matka Boża. W przeszłości takie wydarzenia zapowiadały nieszczęścia i katastrofy, epidemie i pomory. Potrzebny nam nowy prorok. Tylko gdzie go szukać?

- Zdaniem masonów był nim Jakub de Molay, niestety, z rozkazu inkwizycji spalony na stosie - wtrącił sucho Benedykt. - Dokładnie przestudiowałem akta z jego procesu. Sprawa do dziś jest co najmniej dwuznaczna. W gruncie rzeczy królowi Francji chodziło o zagarnięcie skarbu templariuszy, papieżowi zaś o wytępienie schizmy przywiezionej z Jerozolimy przez templariuszy. Zginęło wtedy mnóstwo niewinnych ludzi. Mimo starań skarbu nie znaleziono, lucyferyzm zaś zszedł do podziemia i, jak wiesz, obecnie ma się całkiem dobrze.

- Nie tylko ma się dobrze, ale realizuje założony dawno temu plan. Pierwszy atak masoński nastąpił z chwilą ujawnienia tez Lutera i reformacji. Zniszczył dotychczasowe kryteria rozumu, drugie natarcie to hitleryzm i stalinizm zabijające u ludzi wolę. Trzecie zwanie trwa obecnie. Chodzi w nim o to, aby zniewolić lub usunąć człowiecze uczucia, zamieniając je na papkę internetową. Moim zdaniem sytuacja Kościoła jest przerażająca. Jako papież uważam, że powinniśmy skierować nasze wołania o pomoc w kosmos, bo Bóg nam na razie nie odpowiada. Wiemy, że na innych planetach

prawdopodobnie żyją życzliwe nam rasy. Niektóre odwiedzają nas od tysięcy lat, ukazały się oczom Mojżesza, faraonom i królom Sumeru. Przecież wiesz, przeglądałeś w Secretum Omega te same sprawozdania, co ja. Myślę, że kapsuły czasu w Gizie i Tybecie zostawili nam przedstawiciele rasy Evadamic. Wielce prawdopodobne, że oni również pozostawili w Bucegi centrum łączności w razie ostatecznego zagrożenia. Trzeba z niego skorzystać.

- Słyszałem o tym. Nie ma pewności, czy uda się stamtąd nawiązać połączenie, ale powinno się podjąć taką próbę. Ale najważniejsze w Bucegi są relacje o historii Ziemi, naszych losach, poprzednich cywilizacjach i ziemskich wędrówkach Chrystusa.

- Skoro już o nich mowa, muszę ci coś powiedzieć - ożywił się Franciszek. - SIV otrzymał niedawno propozycję zakupu kilku fotografii z tajnej wizyty Obamy w ubiegłym roku na Antarktydzie. Miesiąc wcześniej w tym samym miejscu nieoczekiwanie pojawił się - nie uwierzysz kto - patriarcha Moskwy, Cyryl.

- Na Antarktydzie? - spytał zdumiony Benedykt. - Jaki cel miały te wizyty?

- W tym szkopuł, że nie wiemy. Metropolita z towarzyszem, zapewne tłumaczem, ponad godzinę przebywali w małym pasterskim kościółku nad brzegiem morza. Była to zwykła, drewniana, pozbijana gwoździami chata. Żadnych niespodzianek, mały ołtarz i dwie ławki, jedno wejście, bez zaplecza. Obama w tym samym miejscu spędził miesiąc później prawie dwie godziny. Zdjęcia zaoferował nam jego ochroniarz, dla którego była to ostatnia podróż służbowa. Od dawna znajdował się w kręgu zainteresowania SIV. Oczywiście je kupiliśmy. Uwiecznił na nich wnętrze kościółka i moment wchodzenia i wychodzenia Obamy. Sama podróż prezydenta też była co najmniej dziwaczna. Ze Stanów samolotem dalekiego zasięgu udał się na lotniskowiec „Ronald Reagan”, a stamtąd helikopterem dalekiego zasięgu na Antarktydę i z powrotem. Towarzyszyły mu jedynie dwie osoby z ochrony i pilot. Było to absolutne złamanie wszelkich

rządowych zasad bezpieczeństwa. Przy tak marnej obstawie i w tak odludnym miejscu prezydent USA mógł przecież zostać porwany, najwyraźniej jednak na to nie zważał. Musiała to być sprawa najwyższej wagi. Departament Stanu na ten temat milczał. Co o tym sądzisz?

- Sprawa jest istotnie bezprecedensowa - przyznał Benedykt. - Dwie tak wysoko postawione osoby w miejscu opuszczonym przez ludzi i przez Boga... To nie może być przypadek. Nasuwa się podejrzenie, że ktoś zażądał od nich spotkania w tym właśnie miejscu. Zapewniono bezpieczeństwo i dyskrecję wszystkim stronom.

- Moje źródła donoszą, że może się tam znajdować podziemna baza obcej rasy. SIV wykrył, że obiekt jest całą dobę pilnie strzeżony. Kilku naszych wywiadowców, którzy usiłowali zbliżyć się do kościółka, zniknęło bez śladu. Filmował ich z odległości inny zespół, z drugiej linii. Na jednym fragmencie nagrania jeszcze ich widać, na drugim jakby rozplynęli się w powietrzu. Do dziś nie wiadomo, jak do tego doszło, co się z nimi stało i czy żyją.

- Wygląda na to, że Cyryla i Obamę wezwano na dywanik - zasugerował Benedykt. - Możemy tylko mieć nadzieję, że ich rozmowy nie dotyczyły groźby zwarcia siłowego.

- Jeszcze wcześniej, w czasie wojny w Korei, taką możliwość przewidział generał MacArthur. Prezydent Truman był tak tym wstrząśnięty, że zdjął go z dowodzenia.

- A sam podpisał pakt Greata Tready.

- Niestety - westchnął Franciszek - za technologię wojskową sprzedał własną cywilizację. Tchnął nowe życie w masonerię i uzależnił urząd prezydenta Stanów od akcjonariuszy banków, korporacji i kompleksu wojskowego. Teraz oni rządzą światem, a prezydent jedynie reprezentuje ich interesy.

- Cytowałeś kiedyś Baumana, mówiąc o wspólnej trosce o rodzaj ludzki - przypomniał sobie Benedykt. - Znam jego prace. W jednej z nich słusznie pisze, że w jądrze sfery intymnej każdego człowieka,

którego nigdy nikomu nie ujawnia, jest lęk egzystencjalny. Myślę, że podobny odczuwa Obama, Cyryl, Putin i Trump – i my oboje. To lęk tak samo o siebie, jak i o ludzkość. Powinniśmy się z nimi spotkać, póki nie jest za późno.

- Ale mam tu dla ciebie informację, jaką nasz wywiad SIV zgromadził po rocznej analizie prezydentury Trumpa. Nie jest dla mnie żadną tajemnicą, bo podobnie myślą chyba wszystkie wolne i poważne media i wywiadownie świata.

- Chętnie się z tym raportem zapoznam.

- Mam tu kopię, którą wziąłem specjalnie dla ciebie. Podejdz, siądziemy na tej ustronnej ławce i będziesz mógł spokojnie przeczytać zawartość.

Tekst istotnie nie był długi, ale jego wnioski były miazdzące.

Ratzinger spokojnie rozpoczął czytanie:

- Nasz wywiad SIV w Waszyngtonie i w Białym Domu oraz wszelkie źródła osobowe są zgodne co do tego, że roczna obserwacja prezydentury Donalda Trumpa pozwala w 2018 roku na szereg uogólnień o ogromnym stopniu pewności. Jest to niewątpliwie najgorsza prezydentura od początku XX wieku. Stanowisko objął człowiek całkowicie do niej nieprzygotowany. Jego sztab wyborczy rekomendował go przede wszystkim jako giganta budowlanego, który stworzy nowe oferty pracy dla ludzi z ubogich stanów oraz jako właściciela znakomicie zlokalizowanych nieruchomości. To miało posłużyć utrwaleniu opinii o nim w sytuacji, gdyby przegrał wybory prezydenckie. Paradoksem jest, że jego komitet wyborczy zauważył istnienie dużego elektoratu, którym byli biedni biali mężczyźni ze środkowych stanów. Trump mówił do nich językiem podobnym do tego, jakiego używają między sobą do komunikacji w przydrożnych barach i pubach. W efekcie prezydenturę USA objął ignorant o niskim ilorazie inteligencji, kierujący się intuicją i uprzedzeniami zamiast wiedzy. Jest całkowicie nieprzewidywalny zarówno dla siebie, jak i otoczenia. Praktycznie komunikuje się ze światem zewnętrznym za

pomocą tweetów, zawierających treści nieprzemyślane i powierzchowne. Dokonuje nieustannych zmian w administracji, powołując na stanowiska ludzi o coraz mniejszym autorytecie. Obecnie jest otoczony piątką doradców, do których należą jego córka, zięć i trzech emerytowanych generałów. Nikt z nich nie ma bladego pojęcia o zagadnieniach geostrategicznych i nie jest osobą o uznanej renomie. Generalnie Trump działa jako całkowicie wolny elektron, robiąc zamieszanie w polityce krajowej i zagranicznej, co między innymi objawia się nieustającym spadkiem wartości dolara amerykańskiego. Może być groźny w skali globalnej z uwagi na kolosalną władzę, jaką posiada, i całkowitą niekompetencję w jej używaniu. Naszym zdaniem prędzej czy później zagraża mu *impeachment*. My, wywiad SIV, mamy całkowitą pewność co do wyartykułowanych wniosków.

- I co ty o tym sądzisz? - spytał Franciszek.

- Mam całkiem podobne zdanie.

- Ja też, ale trzeba się z tą oceną zgodzić i prowadzić dalej swoją grę. Obama to był przy Trumpie partner, na którym można było polegać. Oczywiście w rozsądnych granicach.

- Masz rację. Ale dialog z jego następcą trzeba kontynuować, chociaż uważam, że jego wybór na stanowisko prezydenta USA to dzieło Bestii. Możemy zrobić spotkanie pod pretekstem konferencji klimatycznej w Watykanie, a właściwe rozmowy przeniesiemy do Zamku Świętego Anioła.

ROZDZIAŁ 17

w którym Rutledge zdradza prezydentowi tajemnice lotów Apollo, O'Hara i Anderson przedstawiają swoje stanowisko wobec wrogiego reżimu, Swan pokazuje, co potrafi, a Trump rozpoczyna trening.

Sto osiemdziesiąt metrów pod ziemią, w pokoju mrocznych tajemnic, Trump, szef wywiadu, dowódca połączonych armii i sekretarz stanu na ogromnym ekranie oglądali detonacje amerykańskich rakiet w Syrii. Łup, a potem kolejne pięćdziesiąt dziewięć razy.

- Szkoda, że jedna z tych głowic nie wpadła Asadowi do rozporoka - powiedział Trump. - Dobrze by go połechtła po jajach.

- Panie prezydencie - odezwał się generał - akcja wojskowa w Syrii została zakończona. Cel ataku, czyli hangary, pas startowy i samoloty, wszystko zostało zniszczone. Równolegle przebiega akcja z tym Rutledge'em. Czy chce ją pan zobaczyć? Komandosi są już w Rwandzie i powinni osiągnąć cel za dziesięć minut.

- Włączcie transmisję, może będzie ciekawsza. Tylko zmienię fotel, bo ten ma tak niskie oparcie, że bolą mnie plecy. Co przygotował wywiad?

- Według wszelkich naszych przewidywań akcja w Rwandzie musi wypalić. Z lotniskowca „Dwight D. Eisenhower” wystartowały cztery helikoptery dalekiego zasięgu. W pierwszym i drugim jest po sześciu marines w pełnym rynsztunku bojowym przewidzianym dla akcji specjalnych. Trzeci wiezie personel medyczny, a czwarty zapas paliwa na lot powrotny. Doczepiono dodatkowe zasobniki, bo droga jest daleka. W momencie gdy helikoptery będą przelatywały nad terytorium afrykańskim, nasi technicy wyłączą elektryczność na trasie przelotu. Nie będzie tam prądu przez cały czas akcji. O rzeczywistych

przyczynach zaciemnienia nikt oczywiście wiedzieć nie będzie.

- Co wiemy o ochronie Rutledge'a?

- To autochtoni. Pochowają się lub uciekną. W nocy lulu ich nie chroni.

- Jakie lulu?

- To takie indywidualne pole ochronne, które zapewnia im czarownik plemienia. Chroni ich tylko w dzień, a po zmroku wędruje do krainy przodków, żeby zregenerować siły. Dlatego murzyńskie armie w nocy śpią i nie atakują się wzajemnie.

Na ekranach zobaczyli całkowicie zaciemniony kraj w bezksiężycową noc. Kamery na podczerwień ukazywały jednak różnice temperatur tak dokładnie, jakby teren oświetlony był światłem dziennym. Jeden po drugim nieopodal domu Rutledge'a wylądowały cztery helikoptery, z których wyskoczyli żołnierze. System nie wykrył w pobliżu żadnych istot żywych z wyjątkiem kilku szakali krążących wokół padliny. Dwunastu żołnierzy szybko zmierzało w kierunku ogrodzenia. Na małym wewnętrznym ekranie hełmu każdego z nich migotały parametry stanu fizycznego, takie jak częstość akcji serca i oddechu oraz wysycenie krwi tlenem i dwutlenkiem węgla, monitorowane w trybie ciągłym z helikoptera medycznego. Podwójne ogrodzenie przecięli precyzyjnie i bez przeszkód. Rutledge zasilął je z własnego agregatora i wystarczyło doprowadzić do spięcia, aby dalsza droga stanęła przed nimi otworem. Drzwi wejściowe zamknięte były na prosty zamek. Jeden z żołnierzy otworzył go bezgłośnie. Ruszyli prosto do sypialni.

- Armia Stanów Zjednoczonych - zakomunikował dowódca akcji przecierającemu oczy Rutledge'owi. - Wykonujemy polecenie prezydenta. Proszę się ubrać, pojedzie pan z nami.

- Dokąd?

- Tego dowie się pan później. Proszę nie dotykać broni, bo może się to przykro skończyć.

Na terenach, które opuszczały helikoptery, stopniowo włączano

prąd. Kilka godzin później maszyny w komplecie wylądowały na lotniskowcu.

- Dobra robota - powiedział Trump. - Dajcie mi znać, jak go tu dowiozą. I dostarczcie mi jakiś medal. Odznaczę go w waszej obecności.

Następnego dnia astronautę przywieziono do Białego Domu i zaprowadzono do pokoju mrocznych tajemnic. Po drodze wyjaśniono mu, dlaczego prezydent w tak pilnym trybie wezwał go do siebie.

- Nie mogłem takiej operacji przeprowadzić inaczej, tego wymagało dobro kraju - powiedział prezydent. - Jako oficerowi naszej armii powinno to panu wystarczyć.

- Tak jest, panie prezydencie. Ja jestem od wykonywania rozkazów, pan od ich wydawania.

- Doskonale - powiedział z zadowoleniem Trump. - Mam kilka pytań. Jaki był cel lotów Apollo 19 i 20?

- Pierwszy miał na celu dostarczenie na miejsce narzędzi i sprzętu koniecznych do sforsowania wejścia na statek kosmiczny znajdujący się po niewidocznej stronie Księżyca. Dowiedzieliśmy się o nim od Rosjan, ale potem obiekt ten był wielokrotnie analizowany przez nasze załogi. Celem drugiego lotu było natomiast dostanie się do środka i przeprowadzenie badań. Gdy dotarliśmy na miejsce, okazało się jednak, że śluzy awaryjne tego statku są otwarte. Do środka weszliśmy bez przeszkód. W kilkanaście godzin obeszliliśmy wokół cały pojazd, nagrywając wszystko kamerą. Był ogromny, przynajmniej sześć razy większy niż lotniskowiec, na który mnie wczoraj przewieziono. Wewnątrz panowała atmosfera tlenowa, wytwarzał też własną grawitację. Urządzenia znacznie różniły się od naszych, ich przeznaczenia w większości nie byliśmy w stanie odgadnąć. Część pomieszczeń była zamknięta i nie mogliśmy się do nich dostać. Wreszcie znaleźliśmy kabinę dowodzenia. Przy stanowisku pilota w pozycji pólężącej spoczywała kobieta w cywilnym ubraniu, przypięta w okolicy oczu i ust do urządzeń monitorujących. Choć

w zasadzie niczym się nie różniła od naszych, wydatne brązowe znamię w kształcie stożka na czole nadawało jej wygląd Bestii. Nasze aparaty pomiarowe wykazały u niej śladowe oznaki życia. Drugi pilot, mężczyzna, leżał na fotelu obok, martwy. Funkcje obu tych istot podtrzymywano w sposób sztuczny. Zrobiliśmy zapis video tych pomieszczeń, do których udało nam się wejść, oraz fotografie pisma, jakiego tam używano. Nie miało żadnych ziemskich odpowiedników. Ogrom statku, jego wyposażenie nie dawały się porównywać z niczym, co nam było wcześniej znane. Ale odnieśliśmy wrażenie, że jest potwornie stary. Mimo poszukiwań nie znaleźliśmy żadnego uzbrojenia. Albo go nie było, albo zostało ukryte w niedostępnych dla nas częściach pokładu.

Naszym dodatkowym zadaniem było przetransportowanie tej kobiety na Ziemię. Nie wiem, skąd NASA wiedziała, że ją tam znajdziemy. Ale o tym, że ta istota jest we wnętrzu, ktoś wiedział wcześniej. Odpięliśmy ją od urządzeń, ubraliśmy w skafander, położyliśmy na noszach i wynieśliśmy na zewnątrz. Wtedy stojące na okolicznych wzgórzach statki otworzyły ogień. Byliśmy widoczni jak na dłoni. Trzeba było ratować życie. Teraz myślę, że chcieli nas tylko wystraszyć, bo żaden z nas nie został trafiony. Zostawiliśmy nosze z tą kobietą, przekonani, że je znajdą, bo na tym pustkowiu poza zrujnowanymi budynkami i pojazdami nie było nic. Wpadliśmy do lądownika i odpaliliśmy silniki. Trochę jeszcze do nas postrzelali, jak dolatywaliśmy do modułu geostacjonarnego. Po połączeniu nasza pilot, Ellis, ruszyła z pełną mocą i bez szwanku wylądowaliśmy na Pacyfiku. Potem nas ewakuowano, a Leonowa w tym samym dniu przetransportowano na rosyjski statek.

- Skąd decyzja o opuszczeniu kraju i udaniu się do Rwandy?

- Bałem się o swoje życie. Czepiali się mnie ufolodzy, którzy skądś się o wyprawie dowiedzieli. Ni stąd, ni zowąd pojawiali się podejrzani dziennikarze i nieznajomi powołujący się na wysokie umocowania w rządzie. Parę razy mi grożono. Rząd USA godziwie mnie

wynagrodził za milczenie na temat tego lotu, złożyłem przysięgę. Chciałem mieć spokój.

- Astronauta, który do końca życia mógł oczekiwać od władz Stanów spełniania wszelkich żądań, zdecydował się na ucieczkę tylko z tych powodów? - spytał z niedowierzaniem Trump. - To się nie trzyma kupy.

- To nie wszystko, panie prezydencie - przyznał Rutledge. - Wśród astronautów rozeszła się wiadomość, że w tajnym londyńskim studio słynny reżyser, Stanley Kubrick, nakręcił film z fikcyjnego lądowania Amerykanów na Księżycu. Zlecenie osobiście wydał prezydent Nixon w tym celu, aby za wszelką cenę zapewnić Ameryce propagandowe zwycięstwo w wyścigu kosmicznym z Rosją. Po pesymistycznych wcześniejszych prognozach NASA założył bowiem, że nie uda im się wrócić na Ziemię. Planował nawet ogłoszenie żałoby narodowej. Nagrał na wszelki wypadek komunikat, w którym mówił, że dzięki odwadze i poświęceniu astronautów, których ciała z racji awarii sprzętu na zawsze pozostaną na Księżycu, Amerykanie dokonali wiekopomnego wyczynu, jako pierwsi na świecie lądując na innym globie. Taki wynik i tak stanowiłby dla jego prezydentury wymierne osiągnięcie. Lot Apollo 11 nieoczekiwanie dla niego zakończył się jednak pełnym sukcesem.

Kiedy wiadomość o stworzeniu kompromitującego filmu, jednoznacznie obnażającego dwulicowość władz Stanów, przeniknęła na zewnątrz, CIA, podobno na zlecenie prezydenta, zlikwidowała całą ekipę filmową, między innymi jednego z moich przyjaciół. Poza Kubrickiem nie ocalał dosłownie nikt. Tuż przed śmiercią reżyser do wszystkiego się przyznał. Widziałem nagranie, w którym mówił o tym bezpośrednio do kamery. Jego relację potwierdzili Haig, Kissinger, McNamara i inni. CIA skądś się dowiedziała, że mój przyjaciel, kierownik zdjęć u Kubricka, coś mi o tym filmie mógł powiedzieć. Nie chciałem być następny. Dlatego zdecydowaliśmy się z żoną opuścić Stany. Nie chcieliśmy żyć w takim kraju!

- Czy to prawda? - spytał Trump szefa wywiadu.

- Samym faktem trudno zaprzeczyć - przyznał Anderson. - Są, jakie są. Ale powinien pan wiedzieć, Rutledge, że Nixon zamierzał odwołać akcję CIA. Niestety, było już za późno. Wszystko zostało zbyt szybko i dokładnie pozamiatane.

- Był jeszcze jeden powód mojego wyjazdu do Afryki - powiedział powoli Rutledge. - Czy mogę mówić otwarcie?

- Po to tu pan jest - odrzekł prezydent. - O co chodzi?

- Środowisko astronautów było i jest w centrum uwagi wywiadu, mediów, fanatyków, paranoików, twórców teorii spiskowych i ruchów dążących do ujawnienia faktu istnienia pozaziemskiej inteligencji. Razem wzięci stanowią znaczną i wpływową siłę. W wyniku ich działań dowiadujemy się, często przypadkowo, o sprawach, które nie miałyby szans wypłynąć formalnie. Mnie i moich kolegów wielokrotnie indagowano o naszą wiedzę o zamiarach Obcych. Podpuszczano nas, niby ujawniano jakieś informacje, podrzucano dokumenty, próbowano na nas wpływać sugestiami. Odnosiłem również wrażenie, że usiłowano wykorzystywać technikę kontroli umysłu. Te zmasowane działania zmierzały do udowodnienia dwu tez. Po pierwsze, że ataku jedenastego września na World Trade Center dokonali nie islamiści, a istoty pozaziemskie. A po drugie, przekonania przerażonej populacji, że rządy są w rozsypce i jedynie nadejście Nowego Porządku Świata jest w stanie zapobiec katastrofie i zaprowadzić ład.

Ale to nie wszystko. W najwyższych kręgach tajnych służb mówiło się, że atak na WTC był jedynie operacją maskującą. Głównym celem był Pentagon, a właściwie jego dział rachunkowości. Wybuch spowodował zniszczenie dokumentacji, która mogła zaświadczyć o kradzieży publicznych pieniędzy w kwocie około biliona dolarów. Powstała gigantyczna dziura w budżecie, o której Amerykańscy podatnicy do dziś nie mają pojęcia. Sabotażu dokonano akurat pod koniec pięcioletniego okresu rozliczeniowego Departamentu Obrony. Cała dokumentacja księgową oraz umowy i rachunki, w tym dotyczące

czarnych operacji, uległy zniszczeniu. To największy w dziejach zamach na publiczne pieniądze. Ten, kto je przejął, bez przeszkód mógłby wywołać trzecią, a nawet czwartą wojnę światową.

W kręgach, w których się obracałem, mówiono po cichu, że to nie samolot pasażerski uderzył w gmach Pentagonu, panie prezydencie, lecz ultranowoczesny pocisk kierowany przez pozaziemską sztuczną inteligencję przy czynnym współdziałaniu światowej masonerii. Nie znaleziono żadnych ciał, najmniejszego śladu bagażu rzekomych pasażerów ani szczątków wraku samolotu. Powstały w ścianach budynku otwór wlotowy był idealnie okrągły, jakby wypalony. Ten pocisk nie miał kabiny dowodzenia ani skrzydeł. Leciał z taką szybkością, że nie uchwyciły tego kamery wideo, których wokół Pentagonu jest mnóstwo. Taki incydent nie ma precedensu w historii lotnictwa i do dnia dzisiejszego nie został wyjaśniony. Ktoś musiał tę akcję od początku do końca, czyli aż do zniszczenia dowodów, detalicznie zaplanować. A zrabowane wówczas środki w zupełności wystarczą na dokończenie każdej rozpoczętej operacji. W tym załogowych lotów na Marsa i wprowadzenia Nowego Porządku Świata. Nie ukrywam, że nie chcę tu mieszkać. Chcę wrócić do Rwandy i tam dokonać żywota.

- Czy on wie, o czym mówi? - spytał Trump szefa wywiadu i generała.

- To jedna z równoprawnych teorii, które badamy od siedemnastu lat - przyznał Anderson. - Ale prawdy możemy nigdy nie poznać.

- Wróćmy zatem do sprawy - zniecierpliwiał się Trump. - Dlaczego wybrano pana do programu Apollo?

- Dobór załogi do lotu w kosmos zawsze następuje w ostatniej chwili. Nie znam wszystkich kryteriów, ale na pewno uwzględnia się parametry psychofizyczne i dyspozycyjność. Odbyłem trzyletni program szkoleniowy i kurs pilotażu w West Point. Wiem, że jednym z warunków był całkowity brak przekonań religijnych. NASA odkryła, że osoby wierzące po pobycie w kosmosie popadają w mistycyzm. A do

wykonania tego zadania potrzebna była chłodna głowa.

- Czy wiadomo coś panu o istotach zamieszkujących Księżyc?

- Właściwie nic. Oprócz tych dwojga, których znaleźliśmy na statku, na własne oczy żadnych nie widziałem. Ale niewątpliwie tam są. W trakcie lotów orbitalnych widzieliśmy ogromne budowle i maszyny o nieznanym przeznaczeniu, w tym pojazdy gąsienicowe i kroczące, wykonujące prace terenowe. Używają ich do wznoszenia konstrukcji z materiałów o niezwyklej wytrzymałości. Są większe niż cokolwiek, co mamy na Ziemi. Tak zwany most O'Neilla ma dwadzieścia kilometrów rozpiętości między przęsłami. Wieże o nieznannej konstrukcji, jakie stoją na gruncie, widziałem na własne oczy, mają wysokość Himalajów.

- Co było tam dla pana największym zaskoczeniem?

- Chyba wrota prowadzące w głąb Księżyca - powiedział Rutledge po chwili zastanowienia. - Miały około pięciu kilometrów szerokości oraz dwa i pół wysokości. Wiemy, że są używane, bo raz widzieliśmy je otwarte, a raz zamknięte. Moim zdaniem regulowały ruch w podziemnym hangarze dla olbrzymich pojazdów. Odniosłem wrażenie, że cały Księżyc to gigantyczny port pasażerski i przeładunkowy. Cywilizacja, która nim zawiaduje, czerpie z tego zapewne kolosalne zyski. Moi koledzy z wypraw Gemini i Apollo widzieli też pojazdy lecące z Księżyca w stronę Ziemi, coś na kształt wycieczek turystycznych. Ta analogia może jest niedoskonała, ale nasuwała się sama. Wstrząsające było też dla mnie odkrycie, że po niewidocznej stronie Księżyca jest atmosfera. Zaobserwowane tam chmury świadczyły o obecności wody i powietrza, a zatem podstawowych warunków do życia biologicznego.

- Czy widoczna i niewidoczna strona Księżyca wykazują istotne różnice?

- Zdecydowanie - potwierdził Rutledge. - Strona niewidoczna z Ziemi jest wysoce zurbanizowana. Są tam miasta, mosty i drogi, nocą wszystkie zabudowania są dobrze oświetlone. Ale zasadniczy

ruch odbywa się pod powierzchnią. Wszystkie obiekty przykryte są ogromnymi kopułami z przezroczystych tworzyw. Życie toczy się pod nimi, ale nie wiemy, na czym polega. Przed nami ani NASA, ani Roskosmos nie dokonywały tam lądowań, ale ze zdjęć wiedzieliśmy o zdumiewających budowlach w regionie Sinus Medii. Jedna z nich, którą nazywamy Odłamkiem, ma wysokość dwóch i pół kilometra, ale to i tak nic w porównaniu z jedenastokilometrową wieżą zwieńczoną dwoma sześcianami o szerokości ponad półtora kilometra. Trzeba pamiętać o proporcjach, panie prezydencie. Z Ziemi Księżyc wydaje się mały, ale jego powierzchnia jest większa niż powierzchnia Stanów, Chin, Europy i Brazylii razem wziętych.

- Co na ten temat wiedział Leonow?

- Na pewno więcej, niż nam powiedziała NASA. Szukał jakiejś substancji dla swojego prezydenta. Niechętnie o tym mówił. Właściwie nic konkretnego nie powiedział. Miał z sobą jakieś czujniki i w gruncie rzeczy każdy z nas robił swoje. Rosjanie wysłali już wcześniej na Księżyc pięćdziesiąt jawnych i dwieście tajnych sond. Ich zdjęcia obu jego stron były daleko dokładniejsze niż nasze.

- Co możesz mi powiedzieć o pojazdach Obcych?

- Z tego, co sam widziałem, większość zalicza się do jednej z dwóch kategorii. Pierwsze to statki pasażerskie wielkości miast, służące do odbywania podróży międzyplanetarnych. Na ogół nie zlatują na powierzchnię Księżyca, tylko orbitują. Drugie to pilotowane przez Szaraki statki zwiadowcze. Są mniejsze, mogą dowolnie zmieniać kształt, a w razie konieczności ulegają pozornej lub rzeczywistej dematerializacji.

- Czy twoim zdaniem Obcy mają względem nas jakieś określone zamiary?

- Być może. Słyszałem, że jednym z postanowień paktu Greata Tready było ujawnienie ich istnienia w przeciągu siedemdziesięciu lat, żadne państwo jednak tego nie uczyniło. Dlatego liczba doniesień o niezidentyfikowanych obiektach latających nieustannie rośnie,

z tego też względu trwa szaleństwo w Watykanie. Jeśli szybko nie znajdzie się ktoś, kto oficjalnie odważy się powiedzieć prawdę, masoni lub Obcy wezmą sprawy w swoje ręce. Na mój rozum dali nam wyraźny sygnał, że nie chcą nas na Księżycu. Ale czego dokładnie oczekują od nas tutaj, na Ziemi, nie wiem. Moim zdaniem mają do nas podobny stosunek, jak my do stada gęsi. Nie zapraszamy ich na pokoje i nie zastanawiamy się nad ich życiem wewnętrznym.

- Rozmawiałeś na te tematy z innymi astronautami?

- Tak, wielokrotnie. Ich obserwacje niczym się nie różniły od moich. Każdy lot Apollo od startu aż do powrotu na Ziemię patrolowały statki Obcych. Gdyby chcieli nas zniszczyć, mogliby to zrobić równie łatwo, jak my zgniatamy puszkę piwa.

- Jak myślisz, dlaczego przyjęli rolę biernego obserwatora?

- To trochę jak w tym dowcipie o Stalinie. Kiedyś w jego obecności kichnęło dziecko. On na to: „Na zdrowie”. A mógł zabić. Myślę, że zależało im na uświadomieniu ludzkości, że w Układzie Słonecznym nie jesteśmy sami, że gdzieś istnieje planetarna hierarchia, z którą musimy się liczyć. Sądzę, że dają nam czas, abyśmy powoli dojrzeliby do tej myśli i wzięli na siebie jej konsekwencje. Ale ja uważam, że jeszcze nie nastał dla nas czas na pełnoprawne partnerstwo.

- Sądzisz, że mogą nas zaatakować?

- Oczywiście. Ale po co? - Rutledge wzruszył ramionami. - Dokładnie wiedzą, co się u nas dzieje. Wystarczy, że poczekają, a będą mogli zasiedlić Ziemię sami albo nową rasą, gdy my wyginieemy z powodu skażenia ziemi, wody i powietrza. O ile wcześniej nie zniszczy nas meteoryt lub kometa. Nie muszą nawet ruszać palcem. Skończymy jak Atlanci, Lemurianie i inne cywilizacje przedpotopowe.

Trump wstał i podał astronautce rękę.

- Dziękuję panu, Rutledge, i uwalniam pana od odpowiedzialności za wyjawienie nam tych informacji. Ale za tymi drzwiami tajemnica obowiązuje nadal - przestrzegł prezydent. Z rąk O'Hary wziął ozdobne pudełko i wręczył je rozmówcy. - Proszę przyjąć to odznaczenie jako

wyraz wdzięczności za służbę ojczyźnie. W annałach Kongresu oraz wojska znajdzie się stosowny zapis. Jeśli chce pan wrócić do Rwandy, odwiozą tam pana moi ludzie. W Stanach proszę czuć się moim gościem.

Rutledge zasalutował i wyszedł.

- Nie możecie dopuścić, żeby to, co tu usłyszeliśmy, się rozeszło - powiedział Trump. - To wasze zadanie, ale mówię wprost, że jako prezydent nic o tym nie wiem.

- Zrozumiano - odparł tylko O'Hara.

- Słuchajcie, czy podobnej akcji jak z Rutledge'em nie można by przeprowadzić z tym pieprzonym Kim Dzong Unem?

- Według naszych symulacji nie da rady w taki sposób usunąć go ze sceny politycznej. - Generał pokręcił głową. - Jest idealnie chroniony. Porusza się tylko specjalnie do tego celu zaprojektowanymi pancernymi pociągami i samochodami w kawalkadzie podobnych pojazdów, które otaczają go ze wszystkich stron. Nie lata helikopterami ani samolotami i nie jeździ za granicę. Poza poligonami wojskowymi nie przebywa na terenie otwartym, a gdy jest to absolutnie konieczne, umieszcza się go za ogromnym ekranem ze szkła pancernego. Ale wiemy, że na publicznych uroczystościach najczęściej zastępują go sobowtóry. On sam unika wszelkich spotkań dyplomatycznych. Jada tylko owoce i warzywa ze swoich własnych ogrodów, i tylko te, które sam wskaże. Jego kucharze i służby są pod nieustannym nadzorem kamer. Jedzenie testowane jest na obecność różnych trucizn. Wszystkie posiłki podaje się najpierw innym ludziom, kotom i psom, a próbki przechowuje przez trzy miesiące. Kim to skończony paranoik. Ale w rzeczywistości nie zależy mu na życiu. Od lat walczy z cukrzycą insulinozależną i od chińskich lekarzy wie, że jego dni są policzone. Kocha jedynie władzę, jedzenie i seks, nasze źródła donoszą jednak, że ten ostatni zupełnie mu nie wychodzi. Wciąż przybiera na wadze, dlatego bardzo rzadko pokazuje się publicznie. Ale jego wygląd i tak nie ma żadnego znaczenia. Koreańczycy głęboko

wierzą, że żyją w najlepszym i najbardziej sprawiedliwym ustroju świata i tych źle pojętych wartości będą bronić do grobowej deski. Rodzą się dla Kima, żyją dla Kima, głodują dla Kima i umierają dla Kima.

Niestety, w takiej sytuacji pozostaje nam albo kulawa dyplomacja, która nie daje żadnych wymiernych skutków, albo atak. Wojsko opowiada się za tym drugim rozwiązaniem. Operację trzeba przeprowadzić jak najszybciej, aby Korea zdążyła wystrzelić jak najmniej pocisków. Kim na pewno nie cofnie się przed użyciem broni nuklearnej. Jego ośrodki zbrojeniowe i naukowe nieustannie się rozwijają. Widać to po zwiększających się dystansach koreańskich rakiet, które obecnie przenoszą już ładunki na odległość powyżej trzech tysięcy kilometrów. Nie możemy temu przeciwdziałać. Nie mamy w jego zakładach zbrojeniowych nawet jednego agenta. Nie wiemy też, jakich zapalników używa, a tym samym - czy nasza ultranowoczesna broń elektromagnetyczna będzie je w stanie dezaktywować. Możemy to sprawdzić jedynie eksperymentalnie. Od niedawna jesteśmy do takiego testu przygotowani. Na wodach międzynarodowych w pobliżu wybrzeża Korei znajduje się nasza jednostka. Z chwilą, gdy wystrzelią następną raketę balistyczną, spowodujemy jej awarię. Najlepiej nad ich własnym terytorium. Oni wezmą to za defekt techniczny, a my będziemy wiedzieli, jaką technologią dysponują. Wiem od Andersona, że wywiad ma takie samo zdanie na temat możliwości zlikwidowania reżimu komunistycznego. Nie widzimy innego wyjścia niż atak.

- Duża moc płynie z dobrze opowiedzianej historii - powiedział Trump. - Jak zwykle i po staremu namawiacie prezydenta do wojny - westchnął prezydent. - A ja mam wątpliwości. Nie podoba mi się, że Korea Południowa czeka na nasz ruch, a sama nie robi nic, by chociaż połowicznie rozwiązać swój problem. Niech ewakuują Seul i zrobią pierwszy krok, bez oglądania się na Stany. Powtarzam. Nie wykluczam starcia zbrojnego z Kimem, bo to szantażysta stojący na czele

opresyjnego państwa. Ale musimy też stawić czoła masonom i kosmitom. Nie mogę walczyć na kilka frontów. Tym bardziej teraz, gdy sekretarz stanu uważa, że dla dobra mojej prezydentury należy niepowodzenia z Kimem jak najszybciej przykryć operacją maskującą. Opinia powszechna i media są rozjuszony, że niczego nie robimy w Korei poza jałowymi demonstracjami naszych lotniskowców. Ostatni raz powtarzam wam, że wojny z Koreą Północną na razie nie będzie. Zmuszę tego Kima do układów poprzez sankcje i pokaz siły. Nie mam wątpliwości, że prędzej czy później będzie musiał się ugiąć.

Moja decyzja na razie jest ostateczna. Trzeba szybko wyciągnąć z lamusa moją prezydencką obietnicę przeniesienia ambasady USA do Jerozolimy, a tę w Tel Awiwie rozebrać. Ambasador mi mówił, że więcej w niej jest podsłuchów niż kabli elektrycznych. Na mocy moich kompetencji nie muszę o zgodę na taką operację pytać tych podstarzałych dupków z Kongresu. Poza tym, jak najpilniej trzeba ograniczyć Korei Północnej dostęp do ropy. I postawić w tej sprawie ONZ pod ścianą. Jeśli znam się na życiu, takie rozwiązanie skutkuje bardziej radykalnie niż użycie waszych nowych technologii wojennych, z tą orbitalną bronią kinetyczną.

- Uważam, że wszystko, co pan prezydent powiedział, to świetny pomysł - rzekł Anderson. - Nie jest to serwilizm z mojej strony. Są uzasadnienia historyczne dla dokonania takiego kroku. Przecież to Żydzi zbudowali Jerozolimę. Przed nimi była tam tylko pustynia. Faktem jest, że setki lat później Arabowie zbudowali na ruinach Drugiej Świątyni Meczet na Skale, jednakże narusza to wcześniejsze podstawowe prawa właścicielskie. To tak, jakby na ruinach waszyngtońskiego Kapitolu postawić pagodę. Żydzi nigdy nie zrzekli się praw do tego terenu uważanego przez nich za sacrum ani nikt ich nie pytał o zgodę na budowę religijnego obiektu muzułmańskiego w samym sercu judaizmu. Wszystkie strony potencjalnego konfliktu dostaną amoku z chwilą przeniesienia ambasady USA do Jerozolimy. Żydzi oszaleją ze szczęścia, Palestyńczycy z nienawiści. Trzeba całą

akcję przeprowadzić spektakularnie, bo Syria już została zajęta przez Rosjan. Ponieśliśmy tam porażkę.

- Mam podobny pogląd do waszego - powiedział O'Hara. - Izrael jest ostatnim przyczółkiem białego człowieka w tym rejonie świata. Dalej na wschodzie są tylko inne rasy. Zdecydowanie nam wrogie. I nie wchodząc w żadne eufemizmy, wyrzneliby nas tępym nożem do ostatniego, gdyby tylko mogli. Bez patrzenia, skąd pochodzimy i jakim językiem mówimy. Teraz chcą opanować Europę. Jako zawodowy wojskowy uważam, że uciekinierzy i emigranci w UE to zaciężne wojsko, któremu potrzebna jest jedynie broń, bo kwalifikacje bojowe zdobyli już wcześniej. Jeśli teraz ogłosimy w mediach, że przenosimy ambasadę do Jerozolimy, będzie to jednoznaczny dowód, na kim nam naprawdę zależy w tym rejonie świata. Nie ulega też dla mnie wątpliwości, że taka jest nasza racja stanu i najgłębszy interes Ameryki.

Na zakończenie spotkania polecono Sekretariatowi Stanu, aby upublicznił decyzję prezydenta.

Wywołała ona wrzenie w światowych mediach. Kilka osób w tym samym dniu zginęło w zamieszkach, kilkadziesiąt było rannych, reszta żyjąca w Izraelu i Państwie Palestyńskim skłóciła się do końca. Jeśli w ogóle w tej kwestii istniało jeszcze jakiegokolwiek zapętlenie, bo nawet najstarsi rabini widzieli w niej jedynie same węzły.

Tej nocy Trump nie mógł spać. Chodził w kółko po sypialni w piżamie i kapciach, rozmyślając nad problemami, przed którymi stał rodzaj ludzki i on sam, prezydent światowego mocarstwa. Żałował, że nie ma z nim Melanii. Byłaby najlepszym antidotum na ponure myśli. Ostatnie dwadzieścia cztery godziny były wyczerpujące, a zapowiadało się, że w najbliższym czasie będzie jeszcze gorzej.

Następnego dnia o poranku spotkał się z Andersonem w Gabinetcie Ovalnym.

- Panie prezydencie, rozpoczniemy dziś szkolenie z technik psi - oznajmił szef wywiadu. - Wiem, że podobnie jak pańscy poprzednicy

jest pan sceptyczny. Dlatego sprowadziłem Prince'a, naszego najlepszego telepatę dalekiego zasięgu. Jeśli pan pozwoli, tytułem wstępu zrobimy mały eksperyment. Warunki będzie pan mógł narzucić sam.

Do gabinetu wprowadzono człowieka w wieku około czterdziestu lat, ubranego po cywilnemu, o przenikliwym spojrzeniu i niezwyklej barwie oczu.

- Co pan potrafi? - spytał Trump.

- Mogę sięgnąć umysłem, gdzie tylko pan zechce. Potrzebuję jedynie dwóch minut, żeby się skoncentrować i wprowadzić w odpowiedni stan świadomości.

- Proszę zaczynać i dać mi znać, gdy będzie pan gotowy.

- Już, panie prezydencie - powiedział Prince po dłuższej chwili.

- Doskonale. Niech mi pan powie, gdzie jest teraz moja żona.

- Z koleżanką na ławce koło jeziora w Central Parku - odpowiedział niemal natychmiast Prince.

Trump wziął do ręki telefon i wybrał numer Melanii. Potwierdziła słowa Prince'a, ale to nie rozwiało jego wątpliwości. Niewykluczone przecież, że była śledzona.

- Słuchaj, Melanio, masz przy sobie jakieś banknoty czy tylko kartę kredytową? - spytał żonę.

- Jedno i drugie. Kupiłam ci kolejny czerwony krawat i...

- Słuchaj uważnie i zrób, co ci powiem - przerwał jej Trump. - Na chybił trafił wyjmij z portfela jeden z banknotów i zasłoń ręką numer seryjny tak, żeby nikt nie mógł go odczytać. Jaki banknot trzyma w ręku moja żona i jaki jest jego numer seryjny? - zwrócił się do Prince'a.

Odpowiedź padła szybko. Trump powtórzył test z innym banknotem. Wszystko się zgadzało. Wiedział, że nie może to być przypadek. Najwyraźniej prezydent skądś znał teorię chaosu i prawa wielkich liczb. Podziękował Prince'owi i polecił go odwiedzić tam, dokąd sobie życzy. Aby dać mu wyraz swojego zadowolenia, wręczył mu

zaproszenie dla dwóch osób na majowy bal w Białym Domu. Telepata uśmiechnął się i powiedział:

- Żona z radości trzy dni nie będzie mogła spać, a jej koleżanki z klubu golfowego zzielenieją z zazdrości. Dziękuję, panie prezydencie. To zaszczyt dla mojej rodziny.

Trump nacisnął guzik interkomu i polecił sekretarzowi, by wyprowadził Prince'a i posłał po szefa wywiadu. Po zastanowieniu zażyczył też sobie, żeby kuchnia dostarczyła mu średnio wysmażony argentyński stek, frytki i Châteauneuf-du-Pape rocznik 1965. Oraz oczywiście pepsi. Był wszak patriotą.

- Od jutra możecie mnie tresować jak psa - powiedział, gdy drzwi gabinetu się otworzyły i ukazał się w nich Anderson. - Jaki jest program?

- Musi pan zrozumieć zasady łączności psi i ich wagę dla podstawowych interesów kraju. W pomieszczeniu na dole profesor Jacobson wygłosi panu dwugodzinny wykład. To nasz najlepszy ekspert. Może nie na świecie, bo znakomitych mają także Chińczycy, Hindusi i Rosjanie, którzy opanowali sztukę telekinetyki. Ale jest wybitny w swoim fachu i otrzymał od nas wysoki budżet na badania. Oczywiście Kongres o niczym nie wie.

- Czyli znając te informacje i nie ujawniając ich, popełniam przestępstwo?

- Istotnie - odparł Anderson. - Ale to samo dotyczy wszystkich prezydentów od Eisenhowera. Sama procedura przeżyje zarówno pana, jak i pana następcę. Bez obaw.

- Ten Prince robi wrażenie - przyznał Trump. - Nie mógłby śledzić Kima?

- To jedno z jego zadań. Niewiele nam to jednak daje, bo za nic nie można go nauczyć koreańskiego. I choć zawsze wiemy, gdzie Kim jest, nie mamy tam nikogo, kto mógłby go raz na zawsze unieszkodliwić. Ale Prince przekazuje nam też inne, bezcenne wprost informacje. Dzięki niemu znamy dokładne położenie silosów i koreańskich fabryk

uzbrojenia. Przy użyciu średnich pocisków nuklearnych moglibyśmy je zlikwidować w czasie jednego natarcia.

- To niech ten Prince zajrzy tam do środka - zirytował się prezydent. - Mógłby przecież podpatrzeć ich technologie, szczególnie te zapłoniki.

- Zapalniki, panie prezydencie. Próbowałem, ale Kim wszystkie je umieścił głęboko w podziemiach kopalń, w wyrobiskach pouranowych. Nawet Prince nie jest w stanie tam zajrzeć.

Gdy po południu Anderson wraz z O'Harą opuszczał Biały Dom, zagadnął go w taki sposób:

- Wyrabia się szybciej niż Obama, co? Ten długo miał opory moralne. A Trump nie boi się nowych technologii i ma swój spryt. Wiesz, że dwa dni po zaprzysiężeniu zlecił ekspertom przeskanowanie umysłu Putina? Zobaczysz, jeszcze nas wszystkich zaskoczy. Nie zdziwię się, gdy po tej kadencji zostanie następnym Dalajlamą, jeśli tylko wcześniej Kongres nie postawi go w stan oskarżenia. Jest nieobliczalny, a do tego zarozumiały. Pewnie nawet fiut staje mu do środka.

- Może i tak - zgodził się generał. - Ale słuchaj, Anderson. Powiem ci coś na temat fiutów. Wybacz, ale sam ten temat zacząłeś. Długie czerwone krawaty, jakie od zawsze nosisz, były krzykiem mody, gdy psychologowie orzekli, że współgrają ze sporą fujarką. Ale teraz psychologia behawioralna pokazuje, że kobiety poznały się na tej maskaradzie i wiedzą, że to sygnał świadczący o małym, pomarszczonym ptaszku. Kup sobie nowy krawat, taki ze strzałkami w górę i w dół. Twoje panienki z sekretariatu zaczną sikać w majtki, zobaczysz.

Następnego dnia do Białego Domu przyjechał profesor Jacobson. Trump kazał sobie wcześniej przynieść jego akta. Jego osiągnięcia przedstawiały się rzeczywiście imponująco. Lista dotychczas pełnionych oficjalnych i nieoficjalnych funkcji nie miała końca, podobnie jak wykaz operacji na jawnych i tajnych kontaktach bankowych.

Trump z wykładu zrobił notatki, które wieczorem czytał jeszcze raz w swojej sypialni.

MKUltra - program mający na celu tworzenie morderców i samobójców poprzez pranie mózgów i zaszczepianie ludziom nowej osobowości. Postępowanie takich jednostek może wydawać się niewytłumaczalne - mogą zabić, nie wiedząc dlaczego (vide Oswald i zabójstwo Kennedy'ego).

Jasnowidzenie - postrzeganie obiektów i wydarzeń bez udziału zmysłów. Ma miejsce w stanach zmienionej świadomości, snu, medytacji lub transu. Istotne narzędzie w pracy wywiadu. Rodzajem jasnowidzenia jest prekognicja - wizja wydarzenia przed jego nastąpieniem. Jedno i drugie występuje niekiedy spontanicznie. Przy zastosowaniu odpowiedniego oprzyrządowania i szkolenia występujące naturalnie wizje można wyostrzyć i wzmocnić.

Telepatia - zdalne postrzeganie dające możliwość połączenia między umysłami. Telepatia kryzysowa - przekaz informacji o śmierci lub śmiertelnym zagrożeniu, biegnący do odbiorcy z prędkością większą niż prędkość światła. Badania nad tym zjawiskiem mają w Rosji ponadstuletnią tradycję. Tamtejsi uczeni stwierdzili zbieżność zapisu sygnału EEG u nadawcy i odbiorcy treści telepatycznych. Telepatia jest zapewne najczęstszą formą komunikacji wewnątrzgatunkowej i międzygatunkowej. Ekranowanie nie wpływa na jakość przekazu.

Psychokineza - zdolność panowania umysłu nad materią.

Teoria kwantowa, która dobrze opisuje świat materialny, całkowicie pominęła siły umysłu. Badania CIA i wielu amerykańskich uniwersytetów zajmujących się zjawiskami psi dowodzą, że przestrzeń kosmiczna nie jest pusta. Cały wszechświat i wszystko, co żyje w wodzie, powietrzu i glebie, wypełnia energia próżni, mająca charakter fal stojących. Zdaniem ekspertów oznacza to, że wszystkie istoty ziemskie łączy wspólna, globalna świadomość, będąca bankiem

informacji. Można ją monitorować i w razie zmian raportować o zagrożeniu (vide atak na World Trade Center). W związku z tym przypuszcza się także, że wszechświat ma formę hipersfery i stanowi hologram ogromnych rozmiarów, do którego nasz umysł ma swobodny dostęp na drodze rezonansu. Zjawiska psi wchodzą do fizyki jako element przestrzeni wielowymiarowej.

Wiedząc więcej o takich zagadnieniach, Trump nie zgodził się na trening psi. Lubił ryzyko, ale nie aż takie. Następnego dnia zażądał krótkiego raportu o eksperymentach z telepatią prowadzonych w przestrzeni kosmicznej i na terenie Rosji oraz technikach materializacji i dematerializacji. Z tym drugim były jednak problemy. Dane na ten temat już dawno zebrano w ramach czarnych projektów, ale założenia logistyczne nie pozwalały ich ujawnić, a po zmianie ekipy rządzącej nie było wiadomo, kto mógłby wydać na to zgodę. Klasyczne zapętlenie decyzyjne, jak zwykle w tajnych służbach. Trump był wściekły. Żeby go udobruchać, Anderson i O'Hara postanowili skupić się na innym ważnym dla niego problemie – Kim Dzong Unie.

- To, o czym teraz powiem – zaczął Anderson – to pewne nasze niepotwierdzone podejrzania. Wiemy, że Rosjanie od kilkadziesiątu lat prowadzą prace nad odpowiednikiem naszego programu HAARP. Zbudowali kompleksy anten pozahoryzontalnych w Moskwie, Krasnojarsku i Czarnobylu. Jeden z takich obiektów, chyba najmniejszy, postawili blisko granicy z Koreą Północną. W latach dziewięćdziesiątych uruchomili go tylko parę razy, ale od dwudziestu lat nadają z niego w miarę regularnie, zawsze w stronę Pjongjangu, skąd poprzez kolejne nadajniki sygnał rozlewa się na cały kraj.

- Jaki mają w tym cel? – spytał O'Hara.

- Sęk w tym, że nie wiemy. Ale zaobserwowaliśmy pewne regularności. Po emisji sygnału w niektórych, zawsze tych samych oknach rosyjskiej ambasady zapalają się światła, a nasze satelity stwierdziły, że na prywatne apartamenty Kim Dzong Una w pałacu

prezydenckim kierowane jest wówczas szerokie spektrum fal elektromagnetycznych. Zdarzają się też nieregularne emisje nocne. Wiesz przecież, jakie to wywołuje skutki.

- Wiecie, co to za przekaz?

- Niestety - pokręcił głową Anderson. - Sam sygnał radiowy jest nie do odkodowania, bo ma zmienną częstotliwość, a zawartość emisji tym bardziej. Nasi analitycy twierdzą, że Rosjanie mogą rozwiązywać w ten sposób swoje problemy z Kimem.

- To by znaczyło, że Moskwa ma tego paranoika w garści. Zrobi, co zechcą, używając do tego własnej armii.

- Tak właśnie podejrzewamy - potwierdził Anderson. - Po ostatniej aferze z Hillary Clinton nasi hakerzy zainteresowali się tematem. Odwalili kawał dobrej roboty. Nie wiemy jeszcze wszystkiego, ale coś na pewno jest na rzeczy.

- Jeśli to prawda, to Kim może nas sobie straszyć, ale nie zdetonuje ładunku nuklearnego w pobliżu granicy z Rosją. To daje nam silną kartę przetargową w rozmowach ze wszystkimi partnerami w tym rejonie.

- Wyślij tam Princa'a, niech telepatycznie powęszy na miejscu - zasugerował Anderson. - I uruchom najlepszych psychologów i behawiorystów, może uda się im określić, jak te emisje wpływają na zachowanie Kima. Musimy wiedzieć, o co w tym chodzi.

- No i masz - westchnął O'Hara. - Kolejny raz Rosjanie wodzą nas za nos. Nasz wywiad od dawna wymaga całkowitej reorganizacji, bo nie służy państwu tak, jak trzeba. Ale jeśli twoja teoria się potwierdzi, może to być najważniejsza informacja, jaką zdobyliśmy w tym roku.

- Wiesz, co jeszcze przychodzi na myśl? - spytał Anderson. - Ten system może być pierwszym przykładem masowej kontroli umysłu w praktyce.

- Myślisz, że przez tyle lat Rosjanie w Korei Północnej mogli stworzyć społeczeństwo zdalnie sterowane? - spytał wstrząśnięty O'Hara.

- Nie inaczej. Zastanów się nad tym. Koreańczycy mimo straszliwych warunków są całkowicie podlegli władzy. Albo zostali odmóżdzeni, albo czynnie uczestniczą w tym programie.

- Jeśli masz rację, jest to największe wynaturzenie w historii ludzkiej cywilizacji i najpilniejszy problem naszego rządu, razem z tym zagrożeniem z kosmosu. Będziemy mieli czym grillować Rosjan przez dziesiątki lat.

- Niewolnictwo, jakie znamy z przeszłości, to przy tym bajka dla grzecznych dzieci. Nie wyobrażam sobie wystarczającej kary za takie działania.

- Ja też nie. A jeszcze wczoraj myślałem, że nic nas już nie zaskoczy. Myliłem się. Cholernie się myliłem.

ROZDZIAŁ 18

w którym Ernesto odwiedza Bukareszt, gdzie Cezar Brad ujawnia mu pewne sekrety komnaty w Bucegi, przekonuje Andresa Tezarro o swojej lojalności i dowiaduje się, że pewna kobieta nie jest tym, za kogo się podaje.

Następnego dnia rano Ernesto odleciał do Bukaresztu. Z lotniska samochód z oznaczeniami kurii metropolitalnej zawiózł go do siedziby archidiecezji, gdzie oczekiwał go arcybiskup.

- Witam czcigodnego wysłannika Ojca Kościoła - pozdrowił gościa.
- Czego Watykan oczekuje od biednej Rumunii?

Tak postawione pytanie wskazywało, w jakich kryteriach metropolita postrzega układ sił.

- Bliższych informacji o komnacie w górach Bucegi - odparł twardo Ernesto.

- Z Rumunów był tam tylko telepata Brad i generał Obadea. Ja sam wiem o niej bardzo niewiele - powiedział przepaszająco arcybiskup.

- To sprawa niezwykle ważna dla Kościoła - odrzekł Ernesto, patrząc na niego znacząco. - Papież Franciszek powiedział, że jeśli z pomocą tutejszej archidiecezji zostanie ona rozwiązana po jego myśli, eksceleńcja otrzyma biret kardynalski.

- Powinienem był otrzymać go już wcześniej, gdy przekazałem do Watykanu pierwsze tajne informacje o Bucegi. Wtedy wiedziało o tym tylko kilka osób. Dokumenty na ten temat od rządu Rumunii też wpłynęły do Watykanu tylko w wyniku moich intensywnych starań.

Ernesto zignorował jego wyrzuty.

- Papież chciałby też spotkać się w Rzymie z patriarchą Rumunii - ciągnął. - To wyznanie dominujące w tym rejonie Karpat, czy tak?

- Tak, zgadza się. Mam dobre, a nawet bardzo dobre relacje z tutejszą Cerkwią. Wiem też, że nasz patriarcha utrzymuje kontakt z Bradem.

- Czy uda się ekscelencji umówić mnie dziś z nimi na spotkanie? - spytał Ernesto. - Mogłoby ono wiele wyjaśnić.

Arcybiskup stanął na wysokości zadania. Wieczorem w apartamentach kurii prawosławnej odbył się elegancki obiad, podczas którego omawiano głównie problemy Mołdawii i Naddniestrza. Po deserze Ernesto poprosił Brada o rozmowę na osobności.

Zaczął od komplementu.

- Słyszałem o panu wiele dobrego - odezwał się, gdy usiedli w niewielkim saloniku - ale o Bucegi mam raczej mętne pojęcie. Trochę opowiedział mi na ten temat papież Franciszek na podstawie informacji, jakie otrzymał od pańskiego rządu. Dane na ten temat są jednak dość wybiórcze i papież ma pewne pytania. Dlatego mnie tu wysłał.

- Wiedziałem, że dojdzie do tego spotkania. Powinien pan wiedzieć, że pańskim śladem podąża zaprzysięgły mason, nijaki signore Massini. Miałem na ten temat kilka niepokojących wizji. Wie o tym, że jest pan w Bukareszcie, i będzie dążył do osobistego spotkania. Ma wrogie zamiary. To zły człowiek, powiązany z różnymi tajnymi sprzysiężeniami i Grupą Bilderberg. Swego czasu usiłował mnie przekupić, potem porwać. Na szczęście potrafiłem temu zapobiec. Do Bukaresztu przybędzie jako Argentyńczyk nazwiskiem Andrea Tezarro.

- Dziękuję za ostrzeżenie - odpowiedział Ernesto. - Wydaje mi się, że znam go z zamkniętych posiedzeń pewnego zgromadzenia.

- To zawodowy morderca. Używa długopisu z trucizną pozyskiwaną z japońskiej ryby fugu. Jest sto razy mocniejsza niż cyjanek.

- W podobny sposób, ukłuciem parasola, zabito mojego ojca, lecz

rodzaju trucizny nie wykryto. Ale to nie dlatego tu jestem. Papież obawia się, że ujawnienie tajemnic komnaty w Bucegi może nadwątlić wiarę członków Kościoła. Dlatego interesują go zwłaszcza odkryte tam projekcje holograficzne z życia Chrystusa.

- Niestety, jakaś wewnętrzna blokada sprawia, że to, co widziałem, mogę w szczegółach ujawnić tylko dwóm osobom na świecie, papieżowi w Zamku Świętego Anioła i przeorowi na górze Athos. Ojciec Święty może być jednak spokojny. Chrystus z pewnością był Bogiem, który przyjął ciało ludzkie dla naszego zbawienia. Czy Watykan interesuje coś jeszcze?

- Owszem - potwierdził Ernesto. - Wszystko, co dotyczy natury i historii człowieka.

- O tym mogę powiedzieć nieco więcej. Nad jednym ze stołów w komnacie udało się nam wywołać trójwymiarową holograficzną projekcję łańcucha DNA człowieka i szeregu istot pozaziemskich, hybryd, zwierząt i roślin. Niektóre dawały możliwość krzyżowania, inne - na przykład liczne rasy pasożytnicze, w tym Draconianie - nie. W poszczególnych polach na blacie pokazywał się też organizm osoby, która zainicjowała uruchomienie projekcji, w widoku molekularnym, a nawet atomowym. Obrazom towarzyszyły długie opisy sporządzone pismem przypominającym znaki klinowe, które dotąd nie zostało odczytane.

Naszym oczom ukazywały się także projekcje układów planetarnych i łączących je dróg. Przeznaczenia wielu urządzeń w Bucegi dotąd nie znamy, nie rozpracowaliśmy też systemu oświetlenia ani zasilania. W sali głównej, która ma trzysta, a nie, jak się czasem mówi, sto pięćdziesiąt metrów średnicy, jest jasno jak w dzień, a siła energii ochronnej broniącej wejścia jest ogromna. Mimo upływu tysięcy lat system ten działa bez zarzutu i w jakiś sposób łączy się z podobnymi stacjami w okolicach Bagdadu, pustyni Gobi i egipskiego Sfinksa. Z sali odchodzą trzy korytarze, które także są sektorowo oświetlane. W prawym znajdują się owalne pojazdy

z czterema ergonomicznymi siedzeniami, lecz bez kół. Nie wiem, jak się poruszają, może magnetycznie albo na podciśnienie, ale Amerykanie z nich korzystali. Chyba największą zagadką jest proszek w amforze. Podobno jest to złoto jednoatomowe. Amerykanom pozwoliliśmy na zbadanie ułamka zawartości. Uważają, że jest ono możliwe do uzyskania jedynie w warunkach kosmicznych. Ma wpływać na odmładzanie ciała i usuwanie chorób. Musi mieć jakąś szczególną właściwość, jeśli umieszczono je w Bucegi, a w dodatku było przedmiotem pożądania tego Massiniego. Ale skąd wiedział, że tam się ono znajduje, to zagadka. Moim zdaniem jego wiedza na ten temat to inny obieg informacji, być może pozaziemski.

Obecnie w Bucegi nie toczą się żadne prace. Teren jest zamknięty, ogrodzony i pilnowany przez marines. Do środka można wejść wyłącznie ze mną i za zgodą mojego kolegi z ministerstwa spraw wewnętrznych. W środku nie można robić zdjęć ani kręcić filmów. Kamery i aparaty odwiedzający zostawiają przed bramą główną. Sprawdzamy ich urządzeniami tak czułymi, że są w stanie zanalizować metal w składzie plomb stomatologicznych. Moim zdaniem komnata w Bucegi stanowi bibliotekę wszechrzeczy. To dla naszego gatunku wielka szansa, ale i zagrożenie, dlatego konieczne są procedury bezpieczeństwa. Reżim, który wejdzie w wyłączne posiadanie zgromadzonej tam wiedzy i będzie umiał ją wykorzystać, niepodzielnie zapanuje nad światem. Nie jestem w stanie zrozumieć i opisać wszystkiego, co tam widziałem. Po prostu brak mi właściwych pojęć.

Brad nie chciał lub nie mógł powiedzieć nic więcej. Jego obietnica złożenia pełnej relacji w Watykanie musiała na razie wystarczyć. Ernesto pożegnał się z gospodarzem i polecił odwieźć się do centrum miasta. W Bukareszcie był pierwszy raz. W małym sklepiku kupił kieszonkowy przewodnik, z którym podążał od punktu do punktu, porównując opisy z rzeczywistością. Miasto miejscami przypominało Paryż, było jednak straszliwie zeszpecone zabudową z okresu realnego socjalizmu.

Wieczorem w przygodnym bistro zjadł dobrze wysmażony stek z kartoflami i udał się do hotelu. Zastanowiły go słowa Brada o Massinim. Czy o zmianie nazwiska dowiedział się sam, czy od swoich służb? Wszystko jedno, pomyślał. Jego przybycie może zapowiadać jakieś nieszczęście. Będzie musiał uważać. Dobrze się stało, że już w Argentynie dokładnie po sobie posprzątał i w jego życiu nie było już żadnych niespodzianek – poza Consuelą. Kupił przez Internet bilet powrotny do Rzymu i położył się spać.

Rano Massini – czy też Tezzaro – był pierwszym gościem na hotelowym śniadaniu. Ernesto od razu go zauważył. Rzeczywiście, znał go pod innym nazwiskiem z posiedzeń najwyższego stopnia łoży argentyńskiej. Na jego widok Tezzaro wstał i podszedł do jego stolika.

- Słuchaj, przyjacielu – zwrócił się do Ernesta głosem przyzwyczajonym do wydawania rozkazów. – Jestem tu na polecenie łoży. Musimy pogadać o pewnych ważnych dla ciebie i dla mnie sprawach.

- Oczywiście – powiedział spokojnie Ernesto. – Ale najpierw zjem jajecznicę i parówki oraz wypiję kawę.

Po śniadaniu Tezzaro chciał zaprosić go do swojego pokoju, Ernesto zdecydowanie się jednak sprzeciwił. Wiedział, że najbezpieczniejszym miejscem do rozmowy będzie stolik vis-à-vis recepcji w holu głównym, w polu widzenia obsługi i kamer.

- O co więc chodzi? – zapytał, siadając.

- Nasi zwierzchnicy mają wątpliwości co do twojej lojalności.

- Ach tak? – udał zdziwionego Ernesto. – Na jakiej podstawie?

- Byłeś gościem papieża w jego mieszkaniu w Domu Świętej Marty.

- Uczestniczyłem również w mszy, którą Ojciec Święty odprawiał we własnej kaplicy. Nie muszę się z niczego tłumaczyć, bo Jorgego znam od czternastego roku życia. Razem chodziliśmy do szkoły podstawowej i technikum. Udzielił mi ślubu, ochrzcił moje dzieci. Jak był arcybiskupem Buenos Aires, często się widywaliśmy, ale nasze

ostatnie spotkanie było pierwszym od czasu jego wyboru na stanowisko papieża.

Ernesto zauważył, że Tezzaro nerwowo bawi się długopisem. Pomyślał, że zastanawia się, czy go użyć. Chcąc ułatwić mu decyzję, kontynuował:

- Do Jorgego pojechałem nie tylko z wizytą przyjacielską, miałem do niego również interes. Moja firma rozpoczyna właśnie produkcję nowego leku odmładzającego. Nazwaliśmy go ormusem, to taki termin ze starych przepisów alchemicznych. Zawiera złoto.

- Złoto... jednoatomowe? - spytał Tezzaro.

- Nie wiem, o czym mówisz. Ale prawdę mówiąc, złota jest tam tyle, co w farbie na naklejce. Zabrałem ze sobą sto opakowań, część dałem papieżowi, a resztę jego zakonnikom. Za trzy dni o ormusem będą mówić wszystkie służebnice Watykanu, za dwa tygodnie Europa, a potem cały świat. Do Bukaresztu przyleciałem właśnie w tej sprawie. Rumunia jest tania, więc tutaj rozpocząłem produkcję, a tutejszy episkopat ma mi pomóc w reklamie. Oczywiście nie za darmo. To wszystko. Wiesz, nie rozumiem podejrzliwości łoży względem ludzi w moim wieku, na moim stanowisku i z moim kapitałem - westchnął, udając dotkniętego. - Pamiętaj, zdradziłem ci tajemnicę przedsiębiorstwa, więc jak wypaplesz coś do mediów wcześniej niż za czternaście dni, moi prawnicy zgłoszą się do ciebie po wysokie zadośćuczynienie.

Tezzaro schował długopis do kieszeni marynarki i spytał:

- Kiedy wyjeżdżasz?

- Dzisiaj po obiedzie. Jutro w Rzymie spotkam się z Jorgem i podziękuję mu za pomoc. Przed wyjazdem pokręcę się jeszcze po okolicy z przewodnikiem. Wiedziałaś, że ten kraj należy do Unii? Ja nie. Potem załatwię jeszcze parę spraw biznesowych i wrócę do Buenos Aires. Wiesz, poznałem ostatnio niezwykłą kobietę. Samotność trochę mi dokucza, bez leków nie mogę zasnąć. A ty?

Chwilę pociągnęli jeszcze bezprzedmiotową już rozmowę, po czym

Ernesto wrócił do swojego pokoju, gdzie odebrał telefon z lotniska. Okazało się, że lot do Rzymu został odwołany z powodu strajków. Chciał zadzwonić do Consueli, ale nie znalazł jej numeru. Musiał go przypadkiem skasować, a może zrobiła to siostra Wiktoria. Do Rzymu przybył dopiero dwa dni później. Z lotniska taksówką pojechał do Domu Świętej Marty.

- Dobrze, że pan jest - powiedziała siostra Wiktoria, otworzywszy mu drzwi. - Papież prosił, aby poczekał pan u nas, aż po południu wróci z Castel Gandolfo. Mamy wygodne pokoje gościnne. Kawa czy drugie śniadanie? - spytała.

- Tylko kawa, biała. Dziękuję.

Wskazała mu drogę do refektarza, dodając:

- Walizkę proszę zostawić tutaj. Służba zanieś ją do pańskiego pokoju.

Ciekaw był, czy udało jej się dowiedzieć czegoś o jego pięknej znajomej. Na wieści nie musiał długo czekać. Gdy tylko podała mu filiżankę, wzięła się pod boki i powiedziała:

- W co też się pan wpakował? Consuela Herrero Hernandez rzeczywiście istnieje i pracuje w Muzeum Narodowym w Buenos Aires, ale przez ostatnie miesiące nie opuszczała Argentyny. Nadal przebywa w stolicy, jest mężatką. Zdjęcia, które oglądał pan w Internecie, już zniknęły. Zostało tylko jedno, na którym zupełnie nie przypomina kobiety z pana zdjęć. Przy powiększeniu wyraźnie to widać, ale na małym ekranie telefonu komórkowego mogło być nie do wychwycenia.

- A numer telefonu, jaki mi podała?

- To zwykła karta, można taką kupić w każdym kiosku na lotnisku. Dzwoniła na niego jedna z moich koleżanek z fikcyjną ofertą sprzedaży. Połączenie było lokalne, a to znaczy, że ta kobieta jest nadal w Rzymie. Ktoś próbował pana wrobić. Dalej to już pańska sprawa.

Dalej? Nie będzie żadnego dalej, pomyślał Ernesto. Po siedemdziesiątce mężczyźni stają się dla młodych kobiet niewidoczni,

nawet jeśli noszą czerwone krawaty, chyba że mają okazałe konto lub są w stanie popchnąć naprzód ich karierę. Zrozumiał, że spotkanie w saloniku na lotnisku nie było przypadkowe. Prawdopodobnie był śledzony już od dawna, a ktoś założył, że można go złapać na wabik pięknej kobiety. Przeszkolono ją z zagadnień, które mogły go zainteresować. Po sprawdzeniu listy jego zakupów na eBayu z ostatnich kilku lat zapoznano ją z katalogami antycznych przedmiotów z cyny i autorami opracowań. Takie szkolenie to kilka miesięcy pracy, a do akcji musiała być gotowa w każdej chwili. Przecież on sam swój bilet kupił dopiero na lotnisku. Stąd rzekoma utrata bagażu osobistego. Gdzieś po drodze dostarczono jej pewnie paszport, a resztę potrzebnych rzeczy dosłano kolejnym lotem. Na lotnisku w Rzymie rozstali się na początku holu wyjściowego. Powiedziała, że idzie do biura zagubionego bagażu, mówiła też, że z parkingu przed lotniskiem ktoś ma ją odebrać.

Wszystko układało się w logiczną całość. Sprawdzał go zwierzchni szczebel masonerii. Dalej możliwy był tylko ruch w górę, to znaczy na wyższy szczebel, lub w dół, do piachu. Ten Tezzaro czy też signore Massini złoży sprawozdanie z ich rozmowy, a jednym z kryteriów prawdziwości słów Ernesta będzie promocja w mediach preparatu złota. Natychmiast wydał polecenie zaprzestania testów nad nowym roślinnym specyfikiem Mineralvitu, dodania do niego ułamka miligrama złota koloidalnego i rozpoczęcia produkcji. Naklejkę polecił wyłocić tak, aby rzucała się w oczy, i dać do mediów ogłoszenie o stworzeniu rewolucyjnego preparatu o działaniu rewitalizacyjnym.

W trakcie kolacji Ernesto opowiedział papieżowi o swojej wizycie w Rumunii. Franciszek nie wykluczał, że w obliczu tych wiadomości sam odbędzie spotkanie z arcybiskupem Bukaresztu i patriarchą Rumunii, a Brada zaprosi do Watykanu na osobistą rozmowę w Zamku Świętego Anioła.

- Jestem już dzisiejszym dniem zmęczony - powiedział - ale zanim pójdę spać, jestem ci winien odpowiedź na pytanie o pierwsze

przykazanie. Nie będziesz nią jednak zachwycony. Benedykt powiedział, że dopóki Żydzi nie odnajdą Arki Przymierza na Wzgórzu Świątynnym w Jerozolimie i nie wyciągną z niej kamiennych tablic, ich jednoznaczna treść pozostanie zagadką. Dodał jeszcze, że jako przewodniczący Kongregacji Nauki Wiary badał sprawę usunięcia z Dekalogu jednego z przykazań, zakazującego ludziom sporządzania jakichkolwiek wyobrażeń Boga, które w Biblii jest wyraźnie wymienione. Benedykt uważa, że to Ojcowie Kościoła, kierując się doraźnym interesem politycznym, doprowadzili do tego zamieszania. Odkręcenie tego teraz graniczy z niemożliwością. Nie udało się to jemu i kolejny jego następca też nie da sobie z tym rady. Różne pomyłki w treści Biblii są dziełem między innymi świętego Hieronima. Myślę, że zostaną na wieki.

Rano Ernesta odwieziono na lotnisko. Tym razem sąsiedni fotel w klasie biznesowej jumbo jeta pozostał pusty. Poczuł, że zamknął już wszystkie swoje sprawy. Wiedział, że dla niego powoli nadchodzi czas ostateczny. Ale odzyskał spokój.

ROZDZIAŁ 19

w którym zapoznajemy się z tajnym raportem Michaiła na temat przekazów o stworzeniu świata i człowieka z różnych kręgów kulturowych, kataklizmów i ataków nuklearnych, które dotknęły Ziemię w przeszłości, oraz zagrożeń dla rodzaju ludzkiego ze strony planetoid Fobos i Dejmos.

Wielce szanowny Panie Prezydencie,

początkowo byłem zaskoczony tematami, które polecił mi Pan opracować, lecz im więcej zdobywałem o nich wiedzy, tym bardziej wydawało się to uzasadnione. Zrozumiałem, że prawie każdy człowiek najdalszą historię naszej cywilizacji wiąże ze zbitką dwóch faktów – wyjściem Hebrajczyków z Egiptu oraz wielkim potopem. Mało kto zdaje sobie sprawę, że wydarzenia te oddziela od siebie bezmiar niemal dziesięciu tysięcy lat. Z kolei od czasów Mojżeszowych i wędrówki po Synaju do czasów obecnych minęło jedynie trzy i pół tysiąca lat, co przy poprzedniej różnicy stanowi zaledwie skromną przechadzkę w czasie.

Przekonanie, że w istocie miały miejsce takie, a nie inne wydarzenia, żyli tacy, a nie inni bohaterowie i tworzyli określeni mistrzowie pióra i pędzla, kształtuje naszą tożsamość i stanowi dla nas punkt odniesienia. Arystoteles miał rację, twierdząc, że prawdą jest powiedzieć o tym, co jest, że jest, a o tym, czego nie ma, że tego nie ma. Ale interpretacja tych faktów może już sprawiać trudności. Do źródeł zawsze wkradają się mistyfikacje, gdyż kronikarze, służąc nie tylko prawdzie, ale i władcom, nie są obiektywni. To odwieczny problem historii i niniejszy tekst nie jest od niego wolny.

Po przestudiowaniu udostępnionych mi dokumentów mogę stwierdzić, że oficjalna wersja historii naszej cywilizacji nie ma wiele

wspólnego z prawdą. Nie sięgamy myślą dalej niż do dziesiątego – piętnastego wieku przed naszą erą, jakby wcześniej nie było nic. Jakby wcześniej istniała pustka niewypełniona niczym. Tymczasem w różnych okresach na Ziemi żyło już sześć wcześniejszych różnych cywilizacji. Wszystkie wznosiły budowle, wydawały na świat dzieci i tworzyły zapisy mówiące o ich rozwoju, osiągnięciach i pragnieniach. Pozostałości z tych okresów zostały jednak zniszczone prawie doszczętnie w wyniku globalnych katastrof. Poza nielicznymi budowlami z kamienia innych szczątków materialnych właściwie nie mamy. Pozostały w zasadzie tylko mity.

Współcześnie wyznaje się dwie teorie odnośnie do pochodzenia człowieka – darwinistyczną, o której nie będę mówił, i biblijną. Ta głosi, że pierwsi ludzie, Adam i Ewa, nie mieli rodziców i byli bezpośrednim dziełem Stwórcy, a dzieło stworzenia ujmuje całość naszej egzystencji w siedmiu dniach. Warto dla porównania zaznajomić się z sumeryjską wersją Księgi Rodzaju, o wiele stuleci wyprzedzającą Stary Testament. Bóg tak przemawia tam do Ziemi:

Niech wody spod nieba zbiorą się w jedno miejsce

Niech ukaze się suchy ląd i błękit czystego powietrza

Niech Księżyc odda innym tablicę przeznaczeń

Niech po chwili wszystko się stanie

Potem zaś, kładąc czaszkę Ziemi na przeznaczone w przestrzeni miejsce

Podniósł z jej czoła wysokie góry, otworzył źródła, wypuścił potoki

Z oczu wydobył nurty, zasiedlając je żywymi istotami

U sutek ukształtował szczyty skalne, oddając je ptactwu wszelkiemu

W najlepszych miejscach wywiercił głębokie otwory studzienne na wodę

Niech wyda ziemia najpierw trawę

Oraz zboża, które z nasion rodzą nasiona

Niech wyda drzewa owocowe wszelkie
Które będą rozwijać owoce według rodzaju swego¹¹

Melodia tworzenia świata jest tu zupełnie inna niż w Biblii. Może to ważne, a może nie - ale uważam, że jeśli od Boga otrzymaliśmy rozum i wolną wolę, możemy tak samo kwestionować darwinizm, jak i porównywać Księgę Rodzaju z pismami z innych kręgów kulturowych. Są one o kilkadziesiąt, a niekiedy kilkaset wieków starsze i mówią o rozwoju człowieka na przestrzeni dziesiątków tysięcy lat, od początkowej, prymitywnej formy hominida aż do w pełni ukształtowanego osobnika z gatunku Homo sapiens.

W tym momencie napotykamy opór materii. Jakie źródła należy przyjąć za prawdziwe i jak je interpretować? Z czym powinniśmy się identyfikować, z jakimi wydarzeniami i postaciami czuć wspólnotę? Odróżnienie prawdy od postprawdy jest tu trudne albo wręcz niemożliwe. Z tych względów pominę wszelkie mity, których są tysiące, i skupię się na tych kilku źródłach, których rodowód historyczny raczej nie budzi wątpliwości - Wedach, księgach tybetańskich, egipskich i sumeryjskich, pismach Majów i Indian Hopi oraz Biblii.

Wedy mówią o najwcześniejszej cywilizacji, pochodzącej z planety Ingard w gwiazdozbiornie Lwa, na której panowały warunki podobne do ziemskich. W zamierzchłych czasach, sto pięćdziesiąt tysięcy lat temu, na naszym globie awaryjnie wylądował ich statek kosmiczny, który opuściła grupa około dwóch tysięcy istot. Przybysze ci zwali się Ariami, mieli blond włosy, białą skórę i niebieskie oczy. Ponieważ przez kolejne sześćdziesiąt tysięcy lat nękały ich różne katastrofy naturalne, zdecydowali o emigracji w różne części ówczesnej Ziemi. Na terenie Azji założyli kompleks miast nad brzegami Irtysza, Jeniseju, Leny i Obu. Na bezkresnej Syberii stworzyli ogromną sieć kanałów, po których ślad pozostał do dziś. Później rozpoczęli ekspansję na

południe. Ich słynny wódz, Rama, toczył wiele wojen z mieszkającymi w Indiach czarnoskórymi Drawidami.

W owym okresie powstały najwcześniejsze pisma aryjskie, zwane Harati, a później Rigweda i Wisznu Purana. Mówią one o najdawniejszych dziejach Indii. O istnieniu podobnych dokumentów donosi też Rosyjski Kościół Prawosławny, bezdyskusyjnie zaświadczając o autentyczności tak zwanych Wed Słowiańskich, według których Aryjczycy są protoplastami Rosjan, a Ruś stanowi prawdziwą kolebkę białego człowieka.

Rigweda dzieli historię naszej planety na cztery trwające wieleset tysięcy lat okresy – złoty, srebrny, brązowy oraz żelazny. Niestety, nie mówi nic o wydarzeniach toczących się wcześniej ani o historii stworzenia człowieka. W innych zapisach wedyjskich jest wzmianka o sprowadzeniu ludzi czarnych z gwiazdozbioru Smoka, żółtych z konstelacji Wielkiej Niedźwiedzicy i czerwonych z gwiazdozbioru Wężownika oraz o osadzeniu ich na różnych kontynentach.

Przekazy tybetańskie pochodzące między innymi od Dalajlamy mówią o tym, że Ziemia powstała dwa miliardy trzysta cztery miliony lat temu, lecz nie precyzują okresu pojawienia się na niej człowieka. Jedna ze świętych ksiąg tybetańskich ma być jeszcze starsza niż nasza planeta i ma zawierać wiedzę pochodzącą sprzed pięciu miliardów lat. Podobno u tego, kto ją trzyma w ręku, zmienia rytm fal mózgowych, wprowadzając go w stan medytacji, w którym może nawiązać kontakt telepatyczny z kolebką rasy ludzkiej w kosmosie. Znajduje się tam wzmianka o tym, że istoty z kosmosu odwiedzały Ziemię w przeszłości, aby wytępić wynaturzone formy życia. O podobnym wyniszczeniu mówią pisma sumeryjskie, hetyckie i hebrajskie, przypisując to dzieło odpowiednio bogu Anu, Belowi i samemu Jahwe.

Z ksiąg Kandzur i Tandzur wiemy o wielkim potopie, który zdziesiątkował ówczesną ludność. Z trzystu dwudziestu milionów Chińczyków pozostało około dwóch milionów, a zabytki wcześniejszych cywilizacji uległy całkowitemu zniszczeniu. Na oczach

tych, którzy przeżyli, gwałtowne ruchy tektoniczne kształtowały łańcuch Himalajów. Ludzie oniemieli na widok potęgi przyrody. Znana im rzeczywistość przestała istnieć. Ziemia drżała. To, co niegdyś było na górze, zapadało się w głębiny, a z dna dawnych oceanów wyłaniały się nowe szczyty. Do dzisiaj na górach w rejonie Langtang, Annapurny i Mount Everestu można znaleźć skamieliny ślimaków morskich. Rzeki Azji zmieniły bieg, tworząc nowe koryta, a tereny rolnicze zostały zalane przez wody mórz. Miliony ludzi stuleciami kanalizowały w Chinach i Indiach wnętrze swojego terytorium, doprowadzając je do obecnego stanu.

Według hieroglificznych pism starożytnego Egiptu bogowie przybyli na Ziemię z Pasa Oriona i Syriusza. Oficjalna wersja historii uczy nas, że przeddynastyczni władcy panowali nad Nilem jedynie przez okres trzech tysięcy ośmiuset lat, lecz papirus turyński mówi o trzydziestu sześciu tysiącach dwustu latach, Egipcjanin Manethon w trzytomowym dziele *Aegyptiaca* pisze o rządach bogów i półbogów trwających odpowiednio trzynaście tysięcy dziewięćset i jedenaście tysięcy lat. Później, do czasów ptolemejskich, miało panować trzydzieści jeden dynastii przez okres czterech tysięcy lat. Dzieło Manethona zaginęło, ale jego fragmenty do swoich opracowań włączył między innymi Józef Flawiusz. Uważał je za prawdziwe i korespondujące z innymi zapisami historycznymi.

Po wielkim potopie w Egipcie osiedlili się uchodźcy z innych rejonów świata, jak też mieszkańcy Atlantydy, tworząc na kontynencie afrykańskim wspaniałą kulturę. Mówi się, że na okres pomiędzy ośmioma a pięcioma tysiącami lat przypadał w Egipcie wiek złoty. Pałace zamieszkiwała wówczas rasa innych, wyższych istot o wydłużonych głowach i członkach, określanych mianem potomków Horusa, na terenach rolniczych żyła zaś prymitywna ludność, nieróżniąca się od okolicznych ludów. Rasa Horusa wyginęła lub odleciała w kosmos. Pozostały po niej w Egipcie, Włoszech i Peru czaszki o innym układzie płatów kostnych i pojemności mózgu

o połowę większej niż u współczesnego człowieka. Gatunek ten nazwano *Homo capensis*, nie ma jednak wątpliwości, że jest to rasa pozaziemska posiadająca inny kod DNA. Najwybitniejszym przedstawicielem tego gatunku był faraon Echnaton. Zostały po nim liczne wyobrażenia eksponujące wydłużony kształt jego czaszki, dalece odmienny od ludzkiej.

Później w Egipcie panowali faraonowie z dynastii ziemskich, wybierani przez kapłanów, strażników przekazu pozostawionego na Ziemi przez ród Horusa. Zнали oni rytuały, dzięki którym ze zwykłego człowieka byli w stanie uczynić telepatę mogącego nawiązać łączność z gwiazdnymi ojcami. Faraon pełnił funkcję królowej pszczół w ziemskim ulu i swoistego pasa transmisyjnego. Stanowił zabezpieczenie dla pozaziemskiej kontroli. Podwójna tiara oraz berło i bat spełniały to samo zadanie, co hełmy i anteny wykorzystywane obecnie w treningach synchronizacji fal mózgu.

Świadectwa kolejnych cywilizacji dotyczące historii Ziemi, w tym Atlantydy i Egiptu, wraz z artefaktami materialnymi staraniem faraonów i kapłanów umieszczono w Labiryncie - ogromnym, wielopoziomowym sanktuarium zbudowanym z wielotonowych ciosanych bloków granitu. Dla wyznawców oficjalnej religii państwa egipskiego pełniło ono podobną funkcję, jak obecnie Watykan dla chrześcijan. Choć jego dokładną lokalizację znamy z opisu Herodota, najwybitniejszego historyka starożytności, który zwiedzał Labirynt i w swoich pismach zawsze starannie oddzielał wszystko, co sam widział, od tego, co zasłyszał, do dziś tego obiektu nie odnaleziono. Historyk albo pomylił miejsce, albo sanktuarium pochłonęły piaski Sahary, albo też jako należące do sacrum przeniesiono je do innej, niekoniecznie ziemskiej lokalizacji.

Wiadomo również, że w okresie pomiędzy pięcioma tysiącami a półtora tysiąca lat przed naszą erą na terenie Egiptu, kraju Hetytów i Sumeru z ludźmi współistniało wiele hybryd. Odpisy prastarych pism greckich wspominają o minotaurach, meduzach, cyklopach,

centaurach, harpiach i sfinksach. Ich wyobrażenia widzimy w rzeźbie, ceramice i malarstwie jaskiniowym. Hybrydy o cechach ludzi, zwierząt i ptaków można obecnie obejrzyć na płaskorzeźbach ceramicznych ze świątyni bogini Isztar w Muzeum Egipskim w Berlinie. Widać na nich maskary prowadzone na powrozach przez służbę królewską. W swoim dziele Manethon pisał, że Egipcjanie wytępili wszystkie hybrydy, ale z uwagi na ich boskie pochodzenie szczątki zamknęli w Serapeum - ogromnym, istniejącym do dziś podziemnym grobowcu. Odkryto tam granitowe sarkofagi, z których każdy waży około stu ton, a w ich wnętrzu zalane masą drobno potłuczone kości. Istnienie hybryd może świadczyć o przeprowadzaniu eksperymentów na kodzie genetycznym człowieka i mieszaniu go z DNA innych gatunków. Istoty, jakie wówczas stworzono, okazały się niedoskonałe, niemniej były dziełem bogów i należało to pochodzenie uszanować. Jakaś rasa wyższa, doskonale zorganizowana, potrafiła tego dokonać w odpowiednich warunkach laboratoryjnych.

O Sumerze wiemy dużo, lecz nie wszystko. Przytaczam w oryginale początek starobabilońskiego poematu Enuma elisz, mówiącego o powstaniu układu słonecznego, jego budowie i stworzeniu człowieka:

Gdy na wysokościach niebo nie miało imienia
Niżej twardy grunt nie był jeszcze nazwany
Było tylko Słońce sprawca pierwotnego poczęcia
Które zrodziło wpierw Merkurego i Tiamat
Potem całą resztę planet Układu
Chociaż na samym początku wszystko było wymieszane

*

Żadna trzcina nie znała jeszcze formy
Żadne bagno nie miało swojego oblicza

Nikt nie nosił imienia na nikim nie ciążył los
W prądach wód rodziły się lokalne planety

*

Zanim wzrosły i zyskały ostateczny rozmiar
Saturn i Jowisz prześcigali się w wielkości
A gdy rozciągnęły się dni i pomnożyły lata
Powstał Uran dostojny pierworodny piękny
A za nim jego bagienny brat bliźniak Neptun

*

Ludzie w owych czasach pradawnych
Nie znali chleba do jedzenia
Nie znali szat do okrycia
Chodzili na rękach i nogach
Trawę jedli wprost ustami jak owce
A wodę pili z rowów¹²

Uwagę zwraca głębia narracji tego dzieła, powstałego wieleset lat przed Starym Testamentem. Z przekazów sumeryjskich wiemy też o istotach określanych jako Anunnaki - „ci, którzy przybyli z kosmosu”. Wielce prawdopodobne, że to właśnie im zawdzięczamy stworzenie obecnego człowieka. Na licznych kamiennych płaskorzeźbach przedstawiani są jako trzy razy wyżsi od człowieka. Na Ziemię przybyli około czterystu tysięcy lat temu, podobno w poszukiwaniu złota. Znacznie później, aby ułatwić sobie pracę, na zamkniętym terenie na prakontynencie Gondwana postanowili zrealizować program hybrydyzacji ludzi. Stwierdzili, że dla ich celów najlepiej rokuje jeden z ówczesnych gatunków hominidów. Program genetyczny trwał przez tysiąclecia, a jego rezultat ostateczny znamy. Przypuszcza się, że w schyłkowym okresie swojego pobytu na Ziemi

Anunnaki podzielili się na cztery grupy. Na ich czele stanęli w Europie i Azji Oannes, Enki, Baal i Szamasz, w Afryce Ra, Enlil, Ozyrys, Ptah i Set, w obu Amerykach Quetzalcoatl i Wirakocza, a w Azji Brahma, Śiwa i Amaterasu. W dwudziestym drugim wieku przed naszą erą opuścili Ziemię, pozostawiając ludziom setki tak zwanych spraw pierwszych – wszelkie informacje konieczne dla rozwoju umysłowości i nauki. Nikt nie dał człowiekowi więcej.

Sumerowie swoje dzieje opisali na stu tysiącach odkrytych tabliczek klinowych, spośród których odczytano dotychczas jedynie dwadzieścia tysięcy. Wiadomo, że od naszych rodziców gwiazdnych otrzymali w spadku pełną wiedzę o naszym układzie planetarnym. Pozostawili dla nas czytelny zapis naszego Układu Słonecznego, wedle którego w jego skład wchodzi dwanaście planet – w tym macierzysta planeta Anunnaków, Marduk, zwana również Nibiru. Wiedzieli wszystko o wielkim potopie, odrodzeniu rasy ludzkiej, wcześniejszych kolizjach globów, o otoczonej dwudziestokilometrową warstwą lodu planetce Luna, która spadła na Ziemię, wywołując drugą ogólnoziemską powódź, pasie planetoid powstałym wskutek rozbicia Faetona i pojawieniu się na orbicie Ziemi około pięciu tysięcy lat przed naszą erą Księżyca, który całkowicie zmienił warunki panujące na naszej planecie, wydłużając rok o całe pięć dni, tak że trzeba było wielokrotnie zmieniać kalendarze i pory zasiewów oraz zbiorów. Jeden z eposów akadyjskich mówi również o tym, że odbywali podróże kosmiczne:

A ziemia stała się płaska jak ciasto
Rozległe morze przypominało koszyk na chleb
Wówczas orzeł Szamasz rzekł: Etanie
Przyjrzyj się, człowieku, ziemia zniknęła
Gdy spojrzałem wokół, nigdzie jej nie było
Nie chcę się wznosić do nieba, przyjacielu

Wstrzymaj lot, chcę wrócić na ziemię¹³

Kodeksy Majów także zawierają informacje astronomiczne i religijne. Na temat przeznaczenia piramid w Meksyku, niestety, nic nie wiemy. Na świecie istnieje aż kilkaset podobnych obiektów różnej wielkości, w środowiskach naukowych otacza je jednak kompletna cisza. Niewiele mamy też danych o kulturach przedinkaskich. Ich największe miasto - Tiahuanaco, co w tłumaczeniu oznacza kolebkę bogów - może liczyć nawet dziewiętnaście tysięcy lat i być najstarszym obiektem na Ziemi, pochodzącym jeszcze z okresu przed wielkim potopem. Wedle wszystkich legend obu Ameryk bogowie, którzy przyszli na Ziemię z kosmosu, mieli wygląd w pełni ludzki. Na ogół byli to brodaci, jasnowłosi mężczyźni o białej skórze i niebieskich oczach.

Pisma Indian Hopi jednoznacznie mówią, że ludzie współcześni są wynikiem inżynierii genetycznej. Ich lud ocalał dzięki temu, że przed potopem przeszedł z Atlantydy podmorskim korytarzem do Ameryki Północnej. Jego członkowie byli również świadkami zatrzymania wód morza, czyli podobnego cudu, jaki wydarzył się Izraelitom w czasie przechodzenia przez Morze Trzciny. W tej wędrówce asystowali im pradawni bogowie, z którymi nadal utrzymują kontakt. Według relacji pochodzących od tego plemienia Indianki rodziły dzieci ze związków z bogami. Po ukończeniu szóstego roku życia odbierano je matkom, a ojcowie zabierali je do nieba. Jeśli to prawda, gdzieś w kosmosie żyje rasa mająca ziemskie pochodzenie.

W porównaniu z powyższymi tekstami Stary Testament powstał dość niedawno - jego najstarszy fragment datuje się na dwunasty wiek przed naszą erą. Wspomina się w nim o korzystaniu ze starszych źródeł, takich jak Księga Wojen Jahwe, Księga Jaszera czy Księga Adama. Siedem pierwszych wersów Księgi Rodzaju uważa się za streszczenie dzieł przedpotopowych. Niestety, wszystkie one zaginęły.

Biblia jako bezcenne dzieło historyczne zachowała prawie niezmienną treść do naszych czasów, choć poszczególne jej wersje różnią się od siebie w zależności od okresu wydania i języka.

Ona również mówi o hybrydach ludzi i zwierząt – które miały być tak rozpowszechnione w okolicach Morza Martwego, że Jahwe zesłał z nieba ogień na Sodomę i Gomorę, by je wygubić – oraz o potworach, takich jak Lewiatan i Behemot, i trzech ostatnich przedstawicielach rodu gigantów, czyli o królu Baszanu o imieniu Og, Goliacie oraz człowieku z plemienia Rafa, który miał po sześć palców u każdej dłoni i stopy. Apokryficzna Apokalipsa Barucha także wspomina o gigantach o wzroście około pięciu metrów, będących owocem zmieszania rasy kosmicznej z ziemskimi kobietami. Czaszki takich istot odnajdujemy w różnych miejscach Europy i Azji.

Według Biblii czasy stworzenia i wielki potop dzieli od siebie tylko kilka tysięcy lat. Opisana tam linia protoplastów różniła się od okolicznych ras – byli to mężczyźni o jasnej skórze i niebieskich oczach, wszyscy urodzeni z nieznanymi rodzicami w asyście aniołów. Za życia dokonywali cudów i wiekopomnych czynów, a po śmierci zabrano ich do nieba. Żaden z nich nie był Hebrajczykiem. Ich włączenie do narodu żydowskiego było zabiegiem czysto politycznym Mojżesza, który w ten sposób chciał zapewnić Żydom boski rodowód uzasadniający ich przywódczą rolę jako narodu wybranego. Równie zasadnie my, Europejczycy, moglibyśmy za przodków naszego gatunku przyjąć ród czarowników plemiennych z Afryki Środkowej.

Jednym z protoplastów był Henoch. Matuzalemowi pozostawił liczne pisma, w których zawarł swoją wiedzę kosmologiczną. Księga Henocha, będąca stanowczo najstarszym, bo przedpotopowym dziełem pisanym naszej obecnej cywilizacji, została przez Kościół katolicki wyłączona z kanonu Biblii. Jej pełną wersję odkryto zupełnie przypadkowo dopiero w 1773 roku w Piśmie Świętym Kościoła koptyjskiego. Opisuje ona lot kosmiczny Henocha, jego bytowanie tam z istotami o umiejętnościach zasadniczo różnych od naszych

i oglądanie Pana w niebiosach wśród wielbiących go chórów cherubinów i serafinów. Był to zaszczyt, jakiego w katolickim paradygmacie wiary żaden śmiertelnik nie byłby godny dostąpić.

Księga Henocha jest jednym z wielu starożytnych źródeł wiedzy kosmologicznej. Dokładne szczegóły mające znaczenie astronomiczne, matematyczne i techniczne jej autor przekazał swojemu synowi Noemu. Jednakże większość z tych zapisów nie mogła być zrozumiała aż do czasów obecnych. Z rozmaitych przekazów wiemy, że nasi dalecy przodkowie znali co najmniej pięćdziesiąt różnych cykli astronomicznych dotyczących ciał niebieskich, których przy ówczesnym poziomie rozwoju technologicznego nie mogli zobaczyć – Urana, Neptuna, Plutona, podwójnej gwiazdy Syriusza, a wreszcie i Nibiru. Wiedzę tę udostępniono im, aby mogli stworzyć podstawy znajomości wszechświata. Ich niesamowicie skomplikowane kalendarze, obejmujące wiele tysięcy dni, opierały się na wielokrotności cykli Merkurego, Wenus, Marsa i Jowisza. Zagadką jest kalendarz Manuata, obejmujący nieprawdopodobny okres ponad trzystu milionów lat – czasu, kiedy Wenus nie wchodziła jeszcze w skład Układu Słonecznego, a na nocnym niebie nie było Księżyca.

Znana była również tak zwana złota liczba – osiemdziesiąt dziewięć tysięcy sto pięćdziesiąt pięć, umożliwiająca wykreślanie pięciokątów foremnych, oraz ułamki osiemdziesiąt siedem trzydziestych drugich, będący podstawą logarytmów naturalnych. Bramini, którym powierzono wiedzę o tych liczbach, mieli ją zapamiętać i we właściwym czasie przekazać dalej, lecz nie mogli jej rozumieć.

Dopiero niedawno fizycy nuklearni zrozumieli sens starożytnego szeregu $2 + 8 + 20 + 50 + 82 + 126 = 288$, oznaczającego liczbę protonów lub neutronów koniecznych do zabezpieczenia równowagi jądrowej, a także $2 + 8 + 18 + 32 + 50 + 72 + 98$, co daje łączną liczbę elektronów potrzebnych do zapewnienia równowagi atomowej. Starożytni posługiwali się świętymi liczbami dwa tysiące dwieście

sześćdziesiąt osiem, dwa tysiące pięćset dziewięćdziesiąt dwa i trzydzieści sześć tysięcy dwieście osiemdziesiąt osiem, które stosuje współczesna atomistyka.

Tysiące lat przed naszą erą wyliczono też wartość tak zwanej konstanty z Niniwy, wynoszącą sto dziewięćdziesiąt pięć trylionów dziewięćset pięćdziesiąt pięć miliardów dwieście milionów, która to liczba w sekundach daje dwa miliardy dwieście sześćdziesiąt osiem milionów dni, a więc dwadzieścia pięć tysięcy osiemset dziewięćdziesiąt lat, czyli tyle, ile wynosi pełny obrót osi Ziemi wokół bieguna ekliptyki. Komu i po co było to wówczas potrzebne? Hebrajczycy do mierzenia czasu jeszcze trzy tysiące lat temu stosowali nieprawdopodobną wielkość - dziesięć dwieście dwudziestych ósmych sekundy. Na tej podstawie wyliczyli prędkość światła i odległość Ziemi od Księżyca oraz od Słońca. My wyliczyliśmy je metodą radarową dopiero w połowie ubiegłego wieku, wtedy też odkryliśmy istnienie Plutona.

Po powrocie Henocha z trwającej sześćdziesiąt dni podróży w kosmos jego wnuki, na skutek dylatacji czasu, były starsze od niego. Księga jego imienia stanowi zapis wiedzy o astronomii, matematyce i technologii pojazdów międzygwiazdnych, jaką miał przekazać kolejnym pokoleniom. Choć nie jest to dzieło religijne, wspomina się tam, że już siedemset lat przed wielkim potopem Noego uprzedzili o nim cherubini. Potem to właśnie oni - a nie ludzie - pomogli mu w budowie arki. Nie można wykluczyć, że zalanie Ziemi wodą powodziową miało uchronić ją przed długotrwałymi skutkami skażenia promieniotwórczego będącego skutkiem walk ówczesnych władców. Fale potopu przykryły wszystkie lądy grubą warstwą mułu. Jedne kontynenty zapadły się w głąb litosfery, wyłoniły się nowe. Powstała nowa mapa Ziemi, zdrowej i nieskażonej. Co więcej, w pismach Henocha jest pierwsza wzmianka o pozostaniu na Ziemi dwustu upadłych aniołów, zwolenników Lucyfera, których Bóg za karę skazał na dożywotnie bytowanie na naszym globie, aż do dnia Sądu

Ostatecznego. Autor podaje dokładnie ich imiona i rodzaj posiadanych przez nich różnorodnych specjalizacji. Część swojej wiedzy dobrej i złej przekazali ówczesnym ludziom. Po wylądowaniu nawiązali stosunki seksualne z kobietami ziemskimi, a ostatecznym owocem ich związku jest człowiek współczesny łączący cechy lucyferiańskie z ziemskimi. W ten sposób powstał nowy gatunek człowieka.

W kulturze antycznej istnieje około stu relacji dotyczących globalnego potopu, pochodzących z każdego zakątka Ziemi. Kosmetyczne różnice – w imionach ocalałych bohaterów i działaniach, które pozwoliły im przeżyć – tylko uwydatniają łączące je podobieństwa. Wszystkie opisują wystąpienie globalnej katastrofy, podczas której wody niebios i ziemi zetknęły się ze sobą, na długo zakrywając szczyty najwyższych gór. Jeśli ja mogłem poznać te zapisy, znaczy to, że mogłaby je także uwzględnić nauka. Czemu tego nie robi? Oto kolejne pytanie dziejowe o nowy paradygmat naszego istnienia, na które odpowiedź wskazuje łacińska formuła *cui prodest*.

Nie wiemy, jak wyglądała Ziemia za czasów poprzednich cywilizacji. Dawne pisma mówią, że niegdyś była planetą bezkresnych wód, z których później wyłoniła się na powierzchnię leżąca w głębi skorupy ziemskiej masa zwanego pojedynczego kontynentu. Bliżej nieznanego czynnika, może uderzenie meteoru lub ruch płyt tektonicznych, spowodował pęknięcie ówczesnej skorupy ziemskiej. Erupcja rozsadziła kontynent na wiele fragmentów, a podziemna woda trysnęła aż do stratosfery. Po przeminieciu fali tsunami poziom mórz ustalił się o sto pięćdziesiąt metrów wyżej niż wcześniej. Nadmiar wód później ponownie zstąpił do podziemnych komór i jest tam do tej pory. Objętość zawartej tam wody jest czterokrotnie większa niż wszystkich ziemskich oceanów. W odmętach potopu zniknęły mityczne krainy, między innymi Elam-mu i Poseidia, pozostawiając po sobie jedynie legendy. Zatonęły pradawne miasta położone w dorzeczach rzek, takie jak Dwarka. W głębinach oceanu do dziś znajduje się kamienny most komunikujący południe Indii ze Sri Lanką. Dopiero niedawno odkryto

te podmorskie ruiny. Podobne znaleziska znajdują się w pobliżu wysp japońskich. Są to ogromne miasta o powierzchni dużego pola golfowego zbudowane z gigantycznych megalitów. Wykonanie tych budowli pod względem użytych technik jest analogiczne do konstrukcji piramid egipskich. Autorzy obu tych obiektów są nieznani i na pewno nie są związani z obecną cywilizacją ziemską.

Po wielkim potopie miało miejsce jeszcze kilka powodzi o mniejszym zasięgu, między innymi potopy Deukaliona i Ogygesa, które zniszczyły Grecję i zmieniły kształt kontynentu europejskiego. O tych cyklicznych katastrofach żywiołowych opowiadał Solonowi arcykapłan w świątyni Neith w Egipcie, dodając, że przy życiu pozostawiały one jedynie prostych ludzi, którzy nie potrafili słów zamieniać w litery.

Nie ulega wątpliwości, że klęski opisane w biblijnej Księdze Wyjścia językiem z tamtego okresu również nastąpiły. Doszło do nich w wyniku zetknięcia naszej planety z kometą, która zniszczyła Ziemię i nadała Wenus jej obecną orbitę. Wody rzek i mórz nabrały krwistej barwy na skutek opadu pyłu. Ziemia rozgrzała się do granic topliwości i zagotowały się morza. Z nieba przez wiele dni spadały kamienie. Grunt spustynniał z powodu żaru. Ponieważ w takich warunkach nic, co żywe, nie mogło się ostać, Hebrajczycy podjęli swoją wędrówkę do Ziemi Obiecanej.

Pamięć o tych kataklizmach i lęk przed gniewem bogów przez tysiąclecia kazały ludziom minionych epok z trwogą obserwować ruchy niebios, koniunkcje planet i drogę komet. My o tym zapomnieliśmy, gdyż od trzech i pół tysiąca lat nie występują globalne katastrofy. Obecnie pozornie wszystko działa jednak jak w zegarku – pociągi jeżdżą zgodnie z rozkładem, transatlantyki dopływają do portów o czasie, samoloty startują i lądują na tysiącach lotnisk. Jednakże nadejście globalnej katastrofy podobnej do wcześniejszych spowoduje, że nasza cywilizacja, podobnie jak poprzednie, zginie w mroku dziejów. Pamięci o naszym gatunku nie da się zachować tylko

na komputerach i papierze. Chcąc ją ocalić, musimy dokonać skoku na inną planetę. Na niej koniecznie trzeba zdeponować zapis o naszych losach i dokonaniach.

W historii cywilizacji ziemskich wielokrotnie dochodziło również do wojen nuklearnych, między innymi w Pakistanie, Indiach, Szkocji, obu Amerykach i na Synaju. Jeden z największych ataków miał miejsce w 2024 roku przed naszą erą nad Sodomą i Gomorą. Wybuch całkowicie zniszczył oba miasta Kanaanu, a niesiony przez wiatr radioaktywny pył spadł na Sumer, zanieczyszczając obszar miliona kilometrów kwadratowych. Ludność, która nie zmarła w wyniku skażenia, zmuszona została do masowej migracji. Prastare siedziby cywilizacji sumeryjskiej, miasta Uruk, Eridu, Ur i Nippur, popadły w ruinę. Ucieczką ratowali się także sprawcy kataklizmu. Mówią o tym Lamenty sumeryjskie, w których pobrzmiwa echo tamtych wydarzeń i rozpacz ówczesnych ludzi.

Tak więc wszyscy bogowie uciekli z Uruk
Trzymali się z dala od niego
Uciekli na dalekie równiny
Lub ukryli się w górach
Ninki wielka pani latająca jak ptak
Opuściła Eridu swoje miasto ukochane¹⁴

Sumerowie wyginęli z racji ciężkiego skażenia promieniotwórczego i niespodziewanie zniknęli z kart historii. Nieliczni, którzy przeżyli, rozplynęli się w cywilizacjach amoryckiej i babilońskiej. Nie wiemy, czego dotyczył ten katastrofalny w skutkach spór. Najbardziej prawdopodobne jest, że doszło do starć między klanami ówczesnych władców, nie da się jednak wykluczyć ich konfliktu zbrojnego z inną cywilizacją. Obszar, na którym niegdyś kwitło życie, pracowały kopalnie turkusów, mieściły się oazy i gaje

palmore, do dziś nie nadaje się do życia. Wybuchy zniszczyły całkowicie zaplecze techniczne Anunnaków i port lotniczy na Synaju. Po czterystu tysiącach lat zdecydowali się opuścić Ziemię. W odróżnieniu od odległej Azji zdano sobie sprawę ze skutków stosowania broni nuklearnej. Po gigantycznym wybuchu nad Sodomą i Gomorą w jednym z pism bramińskich, Mausalaparwie, zamieszczono wzmiankę o niszczeniu takiej broni: „Wielce strapiony król nakazał zniszczenie Żelaznego Pioruna na drobny pył i polecił wrzucić go do morza”. Wcześniej w Indiach dochodziło do podobnych walk z użyciem mniejszych ładunków nuklearnych. Pisma hinduskie mówią o licznych miejscach spustoszonych przez broń bogów, która paliła wszystko, co żywe, przed którą nie było ratunku nawet w wodzie. Po kilku godzinach od wybuchu większość istot żywych była martwa, a cała żywność skażona. Jedyne wyjście dla ocalałych była ucieczka. Pod zwalami piachu i gruzu w Mohendžo Daro znaleziono artefakty i kości ludzkie o bardzo wysokim współczynniku napromieniowania oraz pokłady stopionej zielonej krzemionki powstającej w temperaturze powyżej dwóch tysięcy stopni. Istnieją również detaliczne opisy wszystkich faz i skutków wybuchu nuklearnego, bliźniaczo podobne do współczesnych. Załączam jeden z nich, pochodzący z Mahabharaty, poematu z okresu wedyjskiego:

Zjadliwy pocisk naładowany całą mocą wszechświata
Żarząca się bielą kolumna dymu i płomieni
Jasna niby sto tysięcy słońc
Wzniósł się w całej jaskrawości
Ogromny posłaniec śmierci
Zwłoki spłonęły tak, iż nie można ich rozpoznać
Wypadły im włosy i paznokcie
Naczynia gliniane popękały bez powodu¹⁵

Określenie dokładnej daty tego wydarzenia nie jest obecnie możliwe, lecz sam opis wystarcza do wyciągnięcia właściwych wniosków. Nie tylko my poznaliśmy straszliwe skutki broni nuklearnej.

Nic podobnego nie zdarzyło się przez kolejne cztery tysiące lat, aż do Hiroshimy. Może nie było takiej potrzeby. Niewątpliwie z upływem czasu powstała w kosmosie nowa broń, mniej niszcząca, a równie odstraszaająca. Dobrą ilustracją różnicy technologicznej między nami a dawnymi cywilizacjami jest opis z eposu sanskryckiego, Ramajany, dotyczący bitwy, jaką kilka tysięcy lat temu stoczono w przestrzeni kosmicznej. Brały w niej udział statki odporne na łamanie, cięcie i spalenie, słowem – niezniszczalne, które bez ruchu zawisały w powietrzu i stawały się niewidzialne. Porównanie najnowocześniejszej bojowej awioniki między Obcymi a nami może się tylko pogłębiać. Gdyby kosmici chcieli nas wygubić, w każdej chwili mogą użyć swojej technologii, by całkowicie oczyścić Ziemię z wszelkich biologicznych śladów po naszej cywilizacji.

O planetoidach Fobos i Dejmos wiadomo, że jeszcze sto lat temu nie było ich na orbicie Marsa. Dopiero około 1929 roku po raz pierwszy zaobserwowano je przez mocny teleskop. W latach osiemdziesiątych wystrzeliliśmy w ich kierunku dwie sondy. Pierwszą przy lądowaniu zniszczył obcy statek. Pomiar jego cienia zarejestrowanego na powierzchni Marsa pozwolił stwierdzić, że miał on około dwudziestu kilometrów długości. Drugą sondę jakaś siła zepchnęła z założonego toru lotu, zakłócając jej działanie. Komuś w kosmosie zależało na tym, aby nasze sondy nie dokonały zaplanowanych badań. Ten „ktoś” również nie prowadzi z nami żadnej komunikacji. Stephen Hawking, znany angielski astrofizyk, przestrzegał przed kontaktami z nimi. Uważał, że mają na względzie wyłącznie własne egoistyczne interesy, a naszą planetę traktują jako rezerwuar surowcowy, przeznaczony dla własnych potrzeb.

Fobos ma średnicę około dwudziestu kilometrów, Dejmos jest czterokrotnie mniejszy. Parokrotnie widziano opuszczające je pojazdy.

Na ich powierzchni nie ma nic niezwykłego poza pojedynczą strukturą w kształcie graniastopuła. Jej przeznaczenie jest nieznane, lecz z pewnością nie jest to formacja naturalna. Przypuszcza się, że obie planetoidy są obiektami wydrążonymi, muszą więc absorbować skądś energię, aby utrzymać się na orbitach – a to oznacza, że są tam utrzymywane celowo. Należy przyjąć, że to bazy wojskowe wrogich nam istot, które mogły brać udział w zniszczeniu cywilizacji marsjańskiej. Nasi uczeni od lat uparcie ostrzegają, że mogą szykować atak na Ziemię.

Co więcej, cywilizacja obcych istot według różnych informacji od wieluset lat żyje pod powierzchnią Ziemi. W sposób jednoznaczny mówią o tym pisma i relacje Tybetańczyków. Na razie nie wykazuje ona zainteresowania działaniami człowieka, lecz na dłuższą metę nasza obecność na powierzchni planety może stać się dla nich większym problemem niż korzyścią. Ich dotychczasowa obojętność w każdej chwili może się obrócić we wrogość, jeśli zakłócimy warunki ich egzystencji. Dobrym i niedocenionym przykładem była misja admirała Byrda, podczas której ewidentnie doszło do starcia i przegranej armady, jaką USA wysłały na Antarktydę.

Ludzie w czasie ostatnich kilkuset lat stali się pełnoprawnymi gospodarzami naszej planety. Osiągnęli obecny poziom rozwoju nie dzięki szczodropliwości innych istot, lecz w boju z Naturą i drogą ogromnych wyrzeczeń, wykorzystując strzępy wiedzy, jaką zapożyczyli bądź otrzymali od obcych ras. Teraz na złożoną infrastrukturę naszego globu znajdują się chętni z różnych planet. W wypadku kolejnego ataku bądź globalnego kataklizmu będziemy mieć do wyboru dwie drogi – ukrycie się pod litosferą lub w głębi mórz, bądź kolonizację innego globu. O emigrowaniu naszych przodków na inne planety donoszą jedynie legendy i mity. Nie ma żadnych faktów, na których można by oprzeć twierdzenie, że w kosmosie żyją nasi antenaci, trudno więc przyjąć, że gdziekolwiek znajdziemy sojuszników związanych z nami więzami krwi. Tak brzmi wniosek

zdroworozsądkowy. Jednakże trudno przyjąć, że żadna z cywilizacji, jakie na naszej planecie żyły przez kilkadziesiąt tysięcy lat wcześniej niż my, nie dokonywała wówczas udanych prób lotów w kosmos. Są na to dowody w pismach hinduistycznych, łącznie z opisem aparatów latających mogących konkurować z obecnymi raketami i modułami przeznaczonymi do lotów kosmicznych. Jeśli to były cywilizacje na znacznie wyższym poziomie technicznym niż my obecnie, mogły już dawno temu pozostawić na Księżycu i Marsie swoje bazy i zapewne zdeponować tam dorobek własnych dokonań. Jeśli wydarzenia i czas pozwolą, dostaniemy się tam i dowiemy się prawdy o losach naszej planety.

W tym momencie dochodzimy do nieznanego jądra tajemnicy, o której Pan Prezydent musi się dowiedzieć. Nasz agent w USA, Aldrich Ames, przekazał w 1983 roku informację do GRU, że Amerykanie od dawna mają bazy pobytowe na Księżycu i Marsie i utrzymują tam kontakty z rasą pozaziemską, którą określają mianem Nordyków. Dołączył do swojej relacji nie tylko dokumenty, ale również zdjęcia tych obiektów i obcych istot wykradzione z NASA. Była to informacja specjalnego znaczenia przeznaczona wyłącznie dla I Sekretarza Partii. Nigdy do niego nie dotarła. Oryginał tego raportu w nieznanych okolicznościach zaginął i, co zdumiewa, nigdy nie był poszukiwany. Z kolei kopia robocza jakimś zabiegiem demona biurokracji została zapewne przypadkowo przyporządkowana do innego typu bezwartościowych dokumentów. Nie mam żadnej wątpliwości, że ja jestem pierwszym, który po przeszło trzydziestu latach zapoznał się obecnie z jej treścią. Co więcej, żadna z osób z rosyjskiego wywiadu odpowiedzialnych za tak ważną strategicznie sprawę nie pozostała przy życiu dłużej niż rok. Samo usunięcie notatki i zdjęć fotograficznych z akt, eliminacja osób znających tak ważną tajemnicę dowodzi istnienia manipulacji CIA na samym szczycie GRU lub współpracy międzynarodowej masonerii w sprawie mającej charakter geostrategiczny związany z egzopolityką. Uważam, że Pan

Prezydent musi się o tym fakcie dowiedzieć i mieć świadomość, że nasi przeciwnicy mają nad nami znaczną przewagę strategiczną.

Ze wszystkich powyższych względów uważam, że Rosja jest zobowiązana do eksploracji kosmosu i kolonizacji ciał niebieskich w Układzie Słonecznym nawet za cenę sporu z kimkolwiek, w tym z obcymi rasami. Konieczne jest zabezpieczenie pamięci o naszej cywilizacji, aby następcy mogli się z nią identyfikować, znali osiągnięcia i czuli wspólnotę ze swoimi przodkami. Jest to podstawowe zadanie ludzkości. Znając losy poprzednich cywilizacji, musimy wykazać się mądrością i rozwagą. Słusznie zlecił mi Pan sporządzenie tego opracowania, bez zrozumienia przeszłości nie można bowiem kształtować przyszłości. Ale przypuszczam, że całe zadanie, jakie mi Pan zlecił, miało zupełnie inny cel. Postanowił Pan mnie do tego zadania przygotować. Jestem gotowy i mogę się stawić w każdej chwili.

Z szacunkiem

Michaił Wołkow

Informacja ta jeszcze w tym samym dniu została doręczona Putinowi i dokładnie przeczytana.

ROZDZIAŁ 20

w którym Michaił dzieli się swoimi wątpliwościami z Putinem i po raz kolejny przechytrza tajne służby, by odbyć pilną rozmowę z popem Grigorijem, który opowiada mu o ostatnich spotkaniach patriarchy Cyryla.

Michaił po ostatniej wizycie wiedział, że przeciwnik wykonał ruch, który w grze królów nosi nazwę szach. Karta kredytowa Wiery w żadnym wypadku nie mogła być zwykłym zbiegiem okoliczności. Wyglądało na to, że autonomia, o jakiej zapewniał go Putin, jest iluzoryczna. Trzeba na ten ruch zaczepny odpowiedzieć klasyczną roszadą. Wiedział, co robić. Wykonał połączenie na zastrzeżony numer na Kremlu.

Putin przyjął go jeszcze tego samego dnia późnym wieczorem.

- Ciekaw jestem, jakie przynosi mi pan wieści - powiedział.

- Panie prezydencie, ostatnie wydarzenia obudziły we mnie pewne wątpliwości. Choć nie należy to do mojego zadania, czuję się w obowiązku je zgłosić.

Michaił opowiedział o implantacji błędnych plików i o tym, że FSB i GRU celowo nie udostępniają prezydentowi pewnych raportów koniecznych do sprawowania pełnej władzy nad państwem, dotyczących między innymi zawiadowania bronią elektromagnetyczną. Napomknął też o Wierze, mówiąc, że przeciwko samej dziewczynie nic nie ma, ale tym, którzy ją wystawili na przynętę, chętnie zbije mordy.

- Dobrze znam metody naszych służb - powiedział Putin po wysłuchaniu relacji Michaiła. - Zdał pan egzamin, przychodząc z tym do mnie. Gdyby pan tego nie zrobił, byłby pan skończony. Powinien pan wiedzieć, że debiutant, nawet najzdolniejszy, zawsze przegrywa z tak doświadczonymi instytucjami jak GRU i FSB, tak jak młody

lekarz, choć zna najnowszą literaturę, przegrywa ze starszym kolegą, który przyjmuje pacjentów od pięćdziesięciu lat. Ale ta Wiera to istotnie zmartwienie. To ukochana córeczka Rogozina. Najwyraźniej się w panu zakochała i opowiedziała o wszystkim matce. Ta wszystko wyklepała mężowi, a ten się wściekł i kazał ją wywieźć z miasta. Oczywiście o żadnym szantażu z jego strony mowy nie będzie. Sam się niedawno rozwodziłem. Nie życzę tego panu, bo nie jest to przyjemne, ale po jej powrocie możecie zrobić, co chcecie. Rogozina utemperuję sam.

- Dziękuję, panie prezydencie. - Michaił skłonił głowę. - Skąd dowiedział się pan o mnie i Wierze?

- Mam własną tajną służbę, która kontroluje FSB, GRU, mafie, masonów i innych, którzy mogą mi namieszać - odpowiedział prezydent. - Jak dotąd trzymam ich pod kontrolą, ale to wściekłe psy i gdyby tylko umieli się zjednoczyć, toby mnie zagryźli. Czasem któryś zrobi coś głupiego na własną rękę, jak ten Chodorkowski. Taki śmiałek znika na zawsze z obiegu lub znajduje się dla niego kwatery w łagrze o zaostrowym rygorze, gdzieś głęboko w tajdze. Podobno niektórzy nawet stamtąd wychodzą, jak się zmienia władza. Niektórych prawdziwych bandziorów, takich jak Mogilewicz, trzymam na wolności. On działa i utrzymuje porządek w tych obszarach, na których mi raczej nie zależy, ale o których najczęściej się mówi w mediach. Dobrze wie, że jeśli okaże się nielojalny lub zbyt cwany, pójdzie siedzieć. Może sobie szefować mafii, ale tak, żeby to służyło interesom Rosji.

Mogilewicz oddał nam zresztą w zeszłym roku wielką przysługę. GRU tajnymi kanałami dowiedział się, że masoński tercet w składzie Soros, Rockefeller i Rothschild zaplanował obniżkę cen gazu i ropy na rynkach światowych. Groziło to znacznym spadkiem wartości rubla, a nawet niepokojami społecznymi. Rozwiązanie problemu wymyślił właśnie Mogilewicz. Myślę, że wziął je z Ojca chrzestnego. Cała trójca w swoich łózkach znalazła czarnomorskiego delfina rozplatanego

maczetą na pół, wzdłuż kręgosłupa. Na kołdrze pozostawiono odciętą głowę, pokrwawione ostrze i kilka dzieł Lenina. Przy otwartym oknie w folii leżały izraelskie gazety sprzed dwóch dni i bilet autobusowy z Tel Awiwu. Ochroniarzy uśpiono, związano i przykuto do rur centralnego ogrzewania. Niczego nie pamiętali. Wszystkie kamery były wyłączone, system alarmowy nie zadziałał. Takie ostrzeżenie w pełni wystarczyło. Następnego dnia giełda sprzedaży i kupna gazu i ropy nie drgnęły. Tym razem goj pokazał Żydom, gdzie ich miejsce. My w Rosji na takie problemy mamy swoje sprawdzone metody.

- Rozumiem - odpowiedział Michaił.

Rosyjskie służby się nie cackają. Zastanawiał się, czy prezydent celowo opowiedział mu tę historię.

- Panie prezydencie, czy miał pan okazję zapoznania się z moim raportem i odpowiedziami na pytania, jakie mi pan zadał?

- Owszem, dokładnie przestudiowałem wszystko, co pan w nim napisał. To doskonale koresponduje ze Zderzeniem światów Velikovskiego i raportem Roskosmosu o Księżycu, Dejmosie i Fobosie. Wszystko razem układa się w jedną całość i prowadzi do tych samych wniosków, bardzo dla nas niekorzystnych. Coś z tym trzeba będzie zrobić, i to szybko. Kłopot będzie tylko z Cerkwią. Ale zanim do tego dojdzie... sam pan wie. Przetrywamy albo zostaniemy zgubieni. Ale moje nadzieje, jakie upatrywałem w powołaniu pana, sprawdzają się na kilku poziomach ocen. Zmierzają do rozwiązania zupełnie innego problemu. Nie mógłby pan być moim partnerem do dyskusji na ten temat, gdyby wcześniej nie implantowano panu kompletu wiedzy dotyczącej zagadnień kosmicznych. Teraz wyjaśnię, o co chodzi.

Mam dane, aby przypuszczać, że na naszą planetę zostanie niebawem dokonana agresja z kosmosu. Jakie jest pana zdanie na temat tego, jak powinniśmy się wówczas zachować? Nie zwoływałem w tej sprawie żadnego konsylium, bo ranga zagadnienia, jego obszar i tematyka prędzej czy później przeniknęłyby do opinii publicznej, wywołując ogromny niepokój. Jakie decyzje podjąłby pan, będąc na

moim miejscu?

- Bardzo trudne pytanie. Czy w tej sprawie prowadzono z kimkolwiek jakieś negocjacje?

- Nie, żadnych, ale mam przesłanki, aby sądzić, że potencjalny agresor nie jest zainteresowany jakąkolwiek formą współistnienia z ludźmi ani nawet zawarcia kompromisu.

- To niewątpliwie źle rokuje. Zapewne chodzi o opanowanie całej naszej planety i niepodzielne panowanie na niej. Jeśli te istoty nadlatują do nas z głębin kosmosu, to różnice między nimi a nami mogą być kolosalne i niepojmowalne. W każdym znaczeniu, zaczynając od wzorców moralnych i religijnych, wyznawanych zasad i praw, naturze egzystencji, a kończąc na uzbrojeniu. Jeśli jest tak, jak myślę, to pozostaje nam jedynie bierny opór i wiara, że warunki biologiczne naszej planety nie pozwolą na ich bytowanie. Większą nadzieję bym upatrywał w odmienności warunków klimatycznych i działaniu mikroorganizmów niż w naszym uzbrojeniu. Nie mam żadnej wątpliwości, że należy pod ziemią ukryć wybrane jednostki pochodzące z naszego narodu. Myślę o elicie intelektualnej i takich cezurach wieku, aby populacja w nieodgadnionej przyszłości mogła się ponownie odrodzić.

- Z tego, co rozumiem, nawet w przypadku ataku z ich strony proponuje pan wariant biernego oporu, a nie próby przeciwdziałania militarnego. To nie jest zgodne z naszą strategią wojenną i wzorcami, jakie zaczerpnęliśmy z tradycji mongolskiej.

- Można im w ostateczności zademonstrować, czym dysponujemy, ale mam pewność, że mimo usiłowań zachowania tajności mają nas rozpracowanych w najdrobniejszych detalach i znają możliwości przeciwdziałania. Panie prezydencie, różnica technologiczna może wynosić nawet setki lat, a dla wygrania wystarczyłoby pięćdziesiąt. Niech pan porówna wyposażenie bojowe, jakie mamy obecnie, z tym, jakim dysponowaliśmy podczas drugiej wojny światowej. To przepastna różnica. Zresztą jestem przekonany, że nasi przeciwnicy

mają kilka wariantów ewentualnego ataku. Pierwszy to wywołanie globalnego potopu i oczyszczenia powierzchni Ziemi z wszystkich naleciałości obecnej cywilizacji. Potem oni sami zaczynają od początku zasiedlanie kontynentów według własnych wzorców i potrzeb. Drugi to wywołanie na wybranych przez siebie terenach powtórki katastrofy tunguskiej. Trzecia to pandemia połączona z całkowitym wyniszczeniem ludzkości, ale z pozostawieniem wszystkich jej osiągnięć technologicznych i dobytku materialnego. Uważam, że koegzystencja z obcym gatunkiem z naszego punktu widzenia jest możliwa jedynie teoretycznie. Ich przewaga w każdej ze znanych nam dziedzin jest miażdżąca i nie ma tam miejsca na jakiegokolwiek połowiczne rozwiązania. Jeśli nie uratują nas mikroorganizmy, to prędzej czy później agresorzy z kosmosu wybiją nas do ostatniego. Poprawne rozpoznanie przeciwnika – jak to się mówi w wojsku – może nastąpić jedynie bojem.

- Muszę przemyśleć naszą rozmowę.

Prezydent wstał. Michaił zrozumiał, że spotkanie dobiegło końca. Putin uścisnął mu dłoń, odwrócił się i przez boczne drzwi wyszedł do przyległego pomieszczenia. Michaił kątem oka dostrzegł tam łóżko i zwisający z ramy damski różowy szlafrok i stanik. Pomyślał, że to dobrze, że Putin ma w tym ogromnym, ponurym gmachu towarzystwo. Szybko się starzeje i botoks nie wygładza już zupełnie na gładko jego twarzy, nie ma to jednak większego znaczenia. Kolejny raz czuł jednak niepokój, obserwując blichtr pomieszczeń Kremla z wyłoceniami w każdym możliwym miejscu. Odnosił kolejny raz nieodparte wrażenie, że z każdej cegły i spoiny błyskają ku niemu wygłodniałe oczy Bestii.

Spokoju nie dawały mu słowa Putina z pierwszego spotkania, że urząd prezydenta Rosji jest kontrolowany przez siły pozaziemskie. Co więcej, obecnie zachodzi możliwość agresji. Prezydent niebawem będzie musiał przecież podjąć decyzje, które mogą zaważyć na losach całej planety. Na podstawie tysięcy dokumentów Michaił stwierdził też

istnienie w Rosji nieformalnej struktury masońskiej wewnątrz GRU. Napomknął o tym w rozmowie z Putinem, lecz ten powiedział tylko, że na rozwiązanie tego problemu nie nadszedł jeszcze czas. W grę wchodziły jednak olbrzymie pieniądze ze zleceń państwowych, wojskowych i związanych z eksploracją kosmosu. A głodny pieniądź nienawidzi stagnacji. Nieinwestowany niszczy posiadaczy. Sankcje tylko zwiększają jego głód, inflacja pożera zyski, a konkurencja nie czeka.

Nie było wątpliwości, że masoneria była i pozostaje w GRU aktywna. To tam obecnie spotykały się interesy, których za czasów ZSRR nie można było zrealizować. Elity z tamtego okresu przeniknęły do Federacji Rosyjskiej w gronie w zasadzie niezmiennym. Administracja komunistyczna miała hierarchiczną, gangstersko-masońską strukturę. Do absurdu doprowadzono zasadę wielostopniowej tajności i kontroli. W odróżnieniu od FSB, do której zgłaszało się mnóstwo chętnych, GRU nie prowadziło żadnych rekrutacji. Karierę można było tam zrobić tylko z polecenia odgórnego. Zwierzchnik decydował o wszystkim, przy doborze nowych kadr kierując się w szczególności kryteriami negatywnymi – niskim pochodzeniem, najlepiej z marginesu społecznego, brakiem zasad moralnych oraz karierowiczostwem.

W obecnej Rosji współistniały dwa przenikające się systemy – międzynarodowej masonerii i zwykłej mafii. Jej plany zdradził Aleksander Dugin, syn generała GRU, propagując ideę Nowego Porządku Świata i Eurazji rozciągającej się od Uralu aż po Atlantyki. Inspirację czerpał z trzutomowego podręcznika do historii, który z poparciem carycy Katarzyny pod koniec osiemnastego wieku napisał szkolny nauczyciel Fiłatow. A ten dał się ponieść fantazji, po prostu dlatego, że żadnych poważnych źródeł historycznych w Rosji nie było – jedynie diariusze cerkiewne, które prowadził, kto chciał, i pisał, co widział. Ogromni złośliwcy z krajów Europy Środkowej i zachodnich uniwersytetów twierdzą, że w spisanej w oryginale historii Rosji

wyróżnić można cztery zasadnicze okresy: *pierwyj period - byli pisateli, tolko niczewo nie pisali, wtoroj period - byli pisateli, mnogo pisali, no wsio było potieriano, trietij period - Filatow, czetwiertyj period - budiet.*

W dokumentach implantowanych Michaiłowi nic na ten temat nie było powiedziane wprost. Z dużą przesadą, typowo rosyjską ceremonialnością i niesłuchanie pompatycznie przedstawiano ostatnie dwieście lat, w szczególności czasy po rewolucji październikowej. Ale Michaił wychwytywał ukryte znaczenia. Nie ulegało wątpliwości, że tradycyjny układ masoński wraz z rosyjską mafią uczestniczą obecnie w programie Nowego Porządku Świata, łącząc Wschód z Zachodem. To nowe rozdanie rozpoczęło się w okresie Jelcyna. A dokument o tym, że został kawalerem maltańskim, był dostępny w aktach GRU. Taki alians kapitału i nieformalnych połączeń stanowił śmiertelne zagrożenie dla Rosji.

Jeśli ktoś, jak chociażby ten Dugin, ogłaszał się wrogiem Cerkwi, pop Grigorij na pewno będzie o tym coś wiedział. Od trzech lat ze względu na świetną znajomość języków obcych to właśnie on towarzyszył patriarsze Cyryłowi w podróżach międzynarodowych. Metropolita władał jedynie rosyjskim, lecz nie był to w kręgach dyplomatycznych język szczególnie popularny. Problemem dla Michaiła było jedynie to, jak zadbać o anonimowość Grigorija. Ciągłe ukrywanie czipów śledzących w odzieży było syzyfową pracą, a znacznik, który mu wszczepiono w łydkę, raz działał, raz nie. Pozostawała więc obserwacja przez agentów. Stały nadzór wymaga jednak zmian personelu, a zauważył, że funkcjonariuszy widuje wciąż tych samych. Pomyślał, że jeśli codziennie o piątej rano będzie brał udział w mszy w cerkwi, po pewnym czasie dadzą sobie spokój. Jego stara łada na pewno ma zamontowany najnowocześniejszy system GPS i zamiast pilnować jego samego, będą tylko sprawdzać, czy auto parkuje obok cerkwi. Regularny tryb życia śledzonego obiektu z zasady jest dla służb wywiadu zabójczy. Nudzą się i szukają atrakcji.

A w pobliżu cerkwi było kilka sklepów całodobowych, agencji towarzyskich i klubów z tańczącymi panienkami. Było na co popatrzeć i spokojnie się zrelaksować.

Michaił zrobił tak, jak postanowił, i po dwóch tygodniach zdecydował się złożyć Grigorijowi właściwą wizytę. Wiedział, że przyjaciel w środy ma wolne, bo w te dni wielokrotnie odbywali treningi szachowe. Po przybyciu do cerkwi świętego Pimena wmieszał się w tłum. Trafił na odpust i w ciemnym wnętrzu przy ołtarzu jedni przy drugich tłoczyli się ludzie, żeby przed pracą uzyskać błogosławieństwo. Nagle wśród zebranych wywiązało się jakieś zamieszanie. Michaił zatrzymał się na chwilę za jednym z bocznych filarów, po czym spokojnie ruszył znaną sobie drogą do pomieszczenia, gdzie spodziewał się zastać Grigorija. Dopisało mu szczęście.

- Zwykle, gdy pojawiaasz się nieoczekiwanie, przynosisz wiadomości, które zwalają z nóg - powiedział przyjaciel na jego widok.

- Obok jest mały dziedziniec. Tam będziemy mogli spokojnie porozmawiać. Zakładamy, że otwarcie jest szachowe.

- Alechina czy Rilkego?

- Do wyboru. Chodź ze mną, ranek jest ciepły.

Michaił podzielił się z Grigorijem najnowszymi wiadomościami i opowiedział mu o sytuacji, w jakiej się znalazł. Miał nadzieję, że przyjaciel pomoże mu przeanalizować prawdopodobne warianty jej rozwoju.

- Wygląda to mocno podejrzanie, ale nie jest wcale od rzeczy - powiedział Grigorij. - Myślę, że Putina wystraszył patriarcha Cyryl.

- Skąd ten wniosek?

- Wiesz, że w zeszłym roku byłem z nim za granicą jako tłumacz. Z papieżem Franciszkiem rozmawiał o zagrożeniach, jakie stanowią dla chrześcijaństwa ruchy neopogańskie na Wschodzie i Zachodzie. Mówili też dużo o masonerii. Cyryl bez owijania w bawełnę spytał, czy papież wie coś o rychłym nadejściu Lucyfera. Ten wykręcał się od jasnej odpowiedzi. Nie powiedział ani nie, ani tak, ale był głęboko

przejęty tym, że Cerkiew wyraża takie obawy. Na to mu Cyryl wprost napomknął o możliwej agresji z kosmosu. Nie zdradził mu źródła tych informacji, ale ja wiem, skąd je ma.

Nieco wcześniej do Moskwy przyjechał patriarcha Konstantynopola. Nie wiem, o czym rozmawiał z Cyrylem, bo swobodnie porozumiewają się po rosyjsku i nie byłem przy tym spotkaniu potrzebny, ale dwa dni później z niewielką asystą pojechaliśmy do Grecji. Z Aten mały pasażerski samolocik zabrał nas na lotnisko w pobliżu góry Athos. Przeor poinformował Cyryla, że światowa masoneria całe swe nadzieje pokłada w nadejściu i rządach Lucyfera i w tym lokuje wszystkie swe zasoby, a dla Rosji i Stanów oznacza to nadejście czasów ostatecznych. Zdaniem mnichów z góry Athos wówczas zamknie się kolejny epizod historii ludzkiej cywilizacji. Nastąpi kolejne starcie koalicji międzyplanetarnych i możliwa jest agresja na Ziemię. Siły są mniej więcej wyrównane i wynik jest niemożliwy do przewidzenia, wiemy jednak, że wcześniejsze podobne starcia kończyły się zagładą całych planet. Ostatnim razem uciekinierzy z Marsa przybyli na Ziemię. Nauczeni doświadczeniem od tysięcy lat nie opuszczają swych podziemnych i podwodnych siedzib. W tych wydarzeniach nie możemy stać z boku, musimy opowiedzieć się po jednej ze stron.

Podobno mnisi z góry Athos komunikują się ze światem podziemnym, może nawet krainą Agarthy. W historii Kościoła prawosławnego ich słowa zawsze okazywały się prawdziwe, a nawet zbawienne. Na pewno jest tak również w tym wypadku. Różne podania głoszą, że ten autonomiczny półwysep od samego początku był terenem zastrzeżonym i chronionym. Autonomii mnichów nie naruszył nigdy nikt, prócz rycerzy chrześcijańskich w czasie wypraw krzyżowych. Nie zrobili tego ani Turcy, ani Niemcy podczas drugiej wojny światowej. Grabież sprzed wieków do dziś się tam pamięta i wzmaga ona niechęć między Kościołem a Cerkwią.

Była też ta wizyta na Antarktydzie, o której już wiesz. Byliśmy tam

tylko w dwójkę, w tym ja jako figurant, który miał spełniać funkcję ministranta. Pilota i helikopter zostawiliśmy daleko za sobą. Mieliśmy odprawić liturgię Objawienia Pańskiego. W środku kapliczki było cholernie zimno, lecz w pewnym momencie zza ołtarza buchnęło ciepło i pojawił się wysoki jasnowłosy mężczyzna w ubiorze oficerskim przypominającym strój galowy Wehrmachtu. Nie miał płaszcza, a na pagonach miał oznaczenia, których nigdy wcześniej nie widziałem. Gardłowym rosyjskim z twardym niemieckim akcentem powiedział Cyryłowi, żeby poszedł z nim, a mi gestem polecił, bym pozostał na miejscu. Weszli razem za ołtarz i zniknęli, a wraz z nimi ulotniło się ciepło. Z ciekawości zrobiłem kilka kroków w tamtą stronę, chcąc dociec, w jaki sposób oficer pojawiał się i zniknął. Nie było tam jednak śladu żadnego mechanizmu, trochę pozbijanych desek i nic więcej. Cyryl wrócił po godzinie i widać było, że jest wstrząśnięty. Powiedział mi krótko: „Jeśli chcesz żyć, pamiętaj – nigdy cię tu nie było”.

Rozwiązaniu tej zagadki poświęciłem kilka miesięcy, ale o tym opowiem ci innym razem. W tej sprawie jest teraz smród na cały świat. Potem w tym samym miejscu w grudniu 2016 roku pojawił się prezydent Obama. Swoją wizytę na Antarktydzie mętnie uzasadniał „sprawami klimatycznymi i ociepleniem atmosfery”. Zrobił to dopiero wówczas, gdy dowiedziały się o niej media. I w istocie, lód tam w niektórych miejscach topnieje, odsłaniając tajemnicze obiekty. A jeśli Obamie zapaliło się w gaciach, to dla reszty świata nastąpi prawdziwy pożar. Ta wizyta może zapoczątkować bardzo ważne dla naszej planety wydarzenia.

- Jakże? - spytał Michaił.

- Podpisanie kolejnego paktu z kosmitami albo... starcie militarne.

- A wszystkie media o tym milczą. Czyli koło się zamknęło?

- Nie zamknęło, a otworzyło. Pion w ruchu, trzecie pole na wprost, prawy koń za nim.

- Stosowne ruchy odpierające - powiedział Michaił. - Coś ci się rozjaśnia?

- Sytuacja na Wschodzie jest dla mnie klarowna, lecz brakuje mi informacji, co na ten temat wiedzą na Zachodzie.

- Tutaj nie pójdiesz do przodu. To nie jest rozgrywka między Kościołami czy narodami. To coś znacznie większego.

- Chyba masz rację. W historii naszej ludzkiej cywilizacji czegoś takiego chyba jeszcze nie było. Ktoś nieznany chce ukraść nie tyle miasto, państwo czy kontynent - jego plan dotyczy zagarnięcia całej planety. Zagraża to bezpieczeństwu Rosji. Przemyśl to i powiadom jak najszybciej o wszystkim Putina. Cerkiew w tej sprawie ma takie zdanie, jak ci powiedziałem.

Tego samego popołudnia Putin z rozbawieniem wysłuchał raportu Rogozina. Ten cały Wołkow był świetny. Mimo że był pod stałą obserwacją, po raz drugi udało mu się zmylić agentów. W czasie mszy jakaś starsza kobieta upadła na posadzkę, nie dając znaku życia. Zrobiło się straszne zamieszanie, a Wołkow wykorzystał ten moment, żeby się ulotnić. Przyjechało pogotowie i stwierdziło zgon. Zdezorientowany agent bez powodzenia usiłował odnaleźć śledzonego w tłumie. Dopiero jego kolega, który pilnował wyjścia, wyłowił go z gromady osób wychodzących po mszy z cerkwi. Nie ulegało wątpliwości, że nie opuszczał budynku, gdyż system stale namierzał jego pozycję, niemniej agenci uczciwie przyznali, że prawie godzinę był poza ich obserwacją. Rogozin podejrzewał, że nie był to przypadek, a zaplanowana akcja, mocno skonsternowało go jednak logiczne pytanie Putina, czy śmierć kobiety również stanowiła część planu Wołkowa. Prezydent sytuację zbagatelizował.

Po wizycie Rogozina Putin postanowił przejrzeć tygodniowy raport. W Rosji panował spokój. Dysydenci, terroryści i dziennikarze byli namierzeni. Obcą agenturą zajmowali się GRU i KGB. Na ostatniej kartce znajdował się jednak dodatek, który mógł się mu przydać w przyszłości:

Do raportu załączam aktualną listę stopni masońskich - czyli,

mówiąc ich językiem, obediencji - w tak zwanym Rycie Szkockim Dawnym i Uznany. Może się przydać, bo goście Pana Prezydenta mówią czasem o swoich tytułach. Nasze źródło donosi, że mianowanie na niższe stopnie to czysta formalność, ale od trzydziestego w górę towarzyszy im cały ceremoniał i rytuały. Jedynie dwanaście osób z najwyższego kręgu masonerii, których jak dotąd nie jesteśmy jednak w stanie zidentyfikować, ma stały kontakt z istotami pozaziemskimi. Wszystkie rozmowy odbywają w specjalnych pojazdach w przestrzeni kosmicznej lub na Księżycu. Z tego, co wiemy, dla bezpieczeństwa masoneria nie ma na Ziemi żadnej centrali ani archiwów. Jeśli otrzymamy na ten temat nowe informacje, natychmiast przekażę je Panu Prezydentowi.

Szef Federalnej Służby Bezpieczeństwa Federacji Rosyjskiej gen. W. Rogozin

Po południu Putin otrzymał od sekretarza informację, że Michaił Wołkow prosił o kolejne spotkanie w ważnej sprawie. Poleciał powiadomić interesanta, że będzie go oczekiwał następnego dnia od ósmej do wpół do dziewiątej rano.

ROZDZIAŁ 21

w którym Franciszek martwi się wewnętrznymi problemami Watykanu i potęgą światowej finansjery, a także odkrywa prawdę o kontaktach papieża z kosmitami, a Benedykt decyduje się na zawsze opuścić Stolicę Apostolską.

Franciszek i Benedykt po raz kolejny spotkali się w Zamku Świętego Anioła. Czuć tam było duszący o tej porze roku zapach Tybru.

- Nawet gdybym miał trzy razy więcej czasu, ze wszystkim bym nie zdążył. To szaleństwo, pełnić jednocześnie funkcję biskupa Rzymu i papieża - westchnął Franciszek.

- Dobrze o tym wiem - odpowiedział Benedykt. - A tymczasem Kuria Rzymska czeka, aż zrobisz w niej porządek. Trzeba stamtąd wszystkich wyrzucić i zupełnie ją zreformować. Jeden obok drugiego moszczą się tam teraz monsignori Cinquecento. Czyli tacy urzędnicy Kurii, którzy za każde mrugnięcie oczyma liczą sobie minimum pięćset euro.

- Z nimi dam sobie radę, gorzej będzie z Bankiem Watykańskim. Nieustannie przepływają przez niego brudne pieniądze. Rozwiązałem już wszystkie stowarzyszenia i fundacje, które swoje działania opierały na jego kalkulacjach. Pozostawały poza kontrolą tak papieża, jak i państwa włoskiego. Pamiętasz tego księgowego, którego złapano, jak wynosił z Watykanu dwadzieścia milionów euro? Ewangelię mamy upowszechniać drogą ubóstwa, a nie przelewów.

- Oczywiście - zgodził się Benedykt. - Całą tę nieprzejrzystą strukturę zorganizował arcybiskup Marcinkus i do początku tego wieku jedynie on orientował się dokładnie, jak wyglądają watykańskie finanse. Oczywiście więcej od niego wiedział jedynie Rothschild. I co tu ukrywać, to on właśnie ma nas w ręku.

- Nie tylko on i jego watykańscy poplecznicy mają brudy na sumieniu. Casaroli, Villot, Poletti, a obok nich stu dwudziestu jeden biskupów, kardynałów i osób świeckich na wysokich stanowiskach – mimo mojego wyraźnego zakazu wszyscy należeli do włoskiej łoży. I prawdopodobnie nadal należą.

- Ale to nie finanse Watykanu są powodem naszego spotkania – zauważył Benedykt.

- Józefie, w tych najtrudniejszych chyba dla Kościoła czasów jest nas dwóch. Ja lepiej nadaję się do rozwiązań radykalnych, wymagających odwagi i bezceremonialności. Ty masz dużo lepsze rozeznanie w sprawach kanonicznych. Obaj staramy się ze wszystkich sił wybrnąć z trudnej sytuacji, ale może z racji wieku nie traktujmy jej zbyt serio. Jesteśmy starzy i niebawem Bóg powoła nas do siebie. Cieszymy się życiem, jakie nam zostało. Aby uczynić zadość swoim słowom, zapamiętałem dla ciebie nowy żart o naszych konklawe. A może ktoś już ci go powtórzył?

- Nie. Mnie na ogół nie opowiada się anegdot, a szkoda. No, mów.

- Duch Święty wybrał papieża już znacznie wcześniej. Na konklawe Bogu chodziło tylko o to, żeby kardynałowie wybrali tego samego.

Benedykt uśmiechnął się i powiedział:

- A mógł sprawić, żeby było trzech. To by dopiero było.

Zaśmiali się obydwaj.

- Pozwól, Jorge, że odwdzięczę ci się tym samym. Ten żart jest o tobie, zasłyszałem go dziś od kleryków.

- O, to ciekawe!

- Podobno gdy jechałeś do Castel Gandolfo z szoferem, w trakcie jazdy powiedziałeś mu, że masz ochotę sam poprowadzić. Po dłuższych namowach ustąpił. Zamieniliście się miejscami i się zaczęło! Gaz do dechy, raz na prawych kołach, raz na lewych. Palłeś opony, nie patrząc na znaki. Wreszcie zatrzymała cię policja. Do auta podszedł oficer drogówki. Popatrzył przez szybę, zbladł, zachwiał się,

wrócił do radiowozu i zameldował przez radiotelefon: „Szefie, proszę przyjąć moją rezygnację. Po co ja ten pojazd zatrzymałem, po co!!!”. „A kto w nim jechał, szef mafii?”, spytał go zwierzchnik. „Gorzej”, odparł oficer. „To może burmistrz?”. „Nie. Wyżej”. „Poseł?”. „Szefie, wyżej”. „No, do cholery, czyżbyś zatrzymał prezydenta Włoch?”. „Szefie, wyżej”. „Kto może być wyżej?”. „Nie mam pojęcia, ale ten ktoś ma papieża za szofera”.

Obaj długo się śmiali. Franciszek ucieszył się, że tym razem to on będzie mógł opowiedzieć jakiś żart swojemu szoferowi. Po chwili spoważniał i zapytał:

- Powiedz mi, Józefie, jak uważasz, co jest obecnie głównym zadaniem papieżstwa?

- Od czasów apostoła Piotra do dziś problem jest ten sam. Kościół chrześcijański na całym świecie walczy z demonami. To byty całkowicie obiektywne, największy wróg ludzkości. Żyją wśród nas od tysięcy lat. Niektóre z nich, na przykład z grupy Evadamic, posiadają duszę, choć uformowaną inaczej niż u nas. Istoty przekłete, Draconianie, jej nie mają. Przecież o nich czytałeś.

- Tak, oczywiście - potwierdził Franciszek. - Nie wiem jednak, gdzie przebywają.

- Evadamic głównie na Księżycu, a Draconianie w różnych miejscach Układu Słonecznego. W tym, niestety, na Ziemi.

- Widzę, że to chyba najlepiej rozpracowane zjawisko w religii chrześcijańskiej.

- Cóż, walkę z demonami księża, biskupi, kardynałowie i papieże toczą od samego początku, ale przeciwnik jest wyjątkowo ulotny i okrutny. Człowieka nigdy nie spotkało od nich nic dobrego, chętnie za to wyposażają go w broń i narzędzia zniszczenia. Dlatego Biblia wielokrotnie przestrzega nas przed kontaktami z demonami. Ich głównym wrogiem jest jednak sam Jezus Chrystus, a zadaniem przejęcie władzy nad światem i powołanie królestwa Lucyfera.

- Walka toczy się nieprzerwanie od niepamiętnych czasów?

- O, tak - potwierdził żywo Benedykt. - W różnych odsłonach. Jeszcze do niedawna ludzie wierzyli w istnienie demonów, bali się ich, znali sposoby przepędzania. Skutecznie stosowano egzorcyzmy. Dopiero dwudziesty wiek włożył je między bajki, w ich miejsce dając człowiekowi istoty pozaziemskie.

- Stare zło przepoczwarzyło się i w nowej postaci zaczęło się powszechnie objawiać, budząc ciekawość i nadzieję - przytaknął Franciszek. - To owoc usilnych działań masonerii, prowadzonych przy współudziale najwybitniejszych reżyserów i aktorów. Filmy hollywoodzkie przedstawiają kosmitów jako życzliwych wybawców, wplata się w nie elementy magii, kabały i satanizmu. Przepelniona obcymi bytami jest nawet telewizja dziecięca. Niektórzy celebryci publicznie mówią o swojej przynależności do ruchów New Age, Kościoła Szatana, iluminatów, uprawianiu wróżbiarstwa i odprawianiu rytuałów satanistycznych. Ich naiwni naśladowcy nie wiedzą, że tymi metodami gubią swoje dusze. Tak oto kształtuje się charaktery przyszłych pokoleń, które wszystko to traktują jak zabawę, nie przeczuwając nadejścia groźnego zła. Oczywiście o zgubnym wpływie demonów przebranych w szaty kosmitów się nie mówi.

- Niestety - przyznał Benedykt. - Nawet ludzie wykształceni, nie wiedząc, z kim i czym mają do czynienia, wierzą, że kosmici będą w stanie rozwiązać odwieczne problemy naszej cywilizacji. Nie wiedzą, że przyniesie im to jedynie cierpienie.

- Musisz coś w tej sprawie zrobić, Jorge - upomniał papieża Benedykt. - Inaczej zło rozsadzi chrześcijaństwo od środka. To twój obowiązek wobec Boga i ludzi.

- Moim zdaniem największe niebezpieczeństwo czyha teraz gdzie indziej - odparł Franciszek. - Jestem realistą. Dwóm zewnętrznym firmom, prawniczej i finansowej, zleciłem analizę logistyczną działań Banku Watykańskiego z ostatnich siedemdziesięciu lat. To instytucje o nieposzlakowanej opinii, od kilku pokoleń świadczące niejawnie usługi doradcze Watykanowi. Ich raporty celowo utajniał arcybiskup

Marcinkus, do papieży dochodziły więc tylko strzępy informacji. Wnioski z obecnej analizy jednoznacznie wskazują, że na najwyższych piętrach światowego systemu finansowego zawiązano spisek. To tam tkwi główne oko Bestii. Losami całego świata zarządzają instytucje Wall Street i światowe banki komercyjne zawiadywane przez masonerię. Nikt nie może uwolnić się od ich wpływu, nawet my, papieżu. Ich genialny pomysł polega na drukowaniu pieniędzy z niczego, a potem kasowaniu od nich odsetek. To czysto złodziejski system, zaprojektowany tak, aby każdy człowiek całe życie spłacał dług małej garstce bogaczy. Widzisz, Józefie, jak zmieniła się sytuacja z chwilą wprowadzenia papierowego pieniądza niewymienialnego na kruszec? Obecnie trzysta rodzin posiada osiemdziesiąt procent całkowitych zasobów finansowych. Banki, pozostające w rękach masonów, zyskały w ten sposób władzę nad światem.

- Można za to winić zarówno przywódców państw, jak i papieży ubiegłego wieku, którym brakowało przenikliwości, by dostrzec zagrożenie. Jest to temat bardzo ważny i również zasługuje na to, by omówić go na nowym soborze. Trzeba też przyjąć nowe metody działania. Czasy diametralnie się zmieniły, a z nimi i ludzie. Skoro nie wierzą w zbawczą moc kazań z ambony lub książeczki do nabożeństwa, powinniśmy trafiać do nich przez Internet i media. Wierni odchodzą od nauk Chrystusa głoszonych przez księży i jeśli temu nie zaradzimy, to nie islam rozwali chrześcijaństwo. Zrobi to Lucyfer i jego hordy kosmitów.

- Jak najszybciej należy też do kanonu biblijnego włączyć Księgę Henocha. Niech wierni dowiedzą się, że już tysiące lat temu biblijni prorocy latali w kosmos.

- Noe, Henoch, Abraham, Mojżesz i Ezechiel byli wielkimi prorokami, lecz żyli w zamierzchłych czasach. Nie rozumiem, dlaczego przez ostatnie dwa tysiące lat nie objawił się nam ich następca.

- Ja również - westchnął Franciszek. - Nie wiem, czy Bóg nas opuścił, ale jako teolog ze smutkiem obserwuję, jak my opuszczamy

jego. Wiarę w Chrystusa zastępuje wiara w Obcych.

- Co przez to rozumiesz?

- Na naszych oczach masoni stworzyli nową religię, przymioty starego Boga wprost przyznając kosmitom. Zawiera ona wszystkie kluczowe elementy naszej wiary, łącznie z sądem ostatecznym, restytucją człowieka, rajem, ziemią obiecaną i tak dalej. Obcy, rzekomo wypełniając wolę Bożą, ustanowią nowy porządek, eliminując przeciwników. Zaprowadzony zostanie ulubiony model masonerii: jeden Bóg, jeden rząd, jeden naród, jeden pieniądz.

- I jedno wielkie niewolnictwo.

- W którym wszelkie zasoby intelektualne ludzi zostaną sprzęgnięte z komputerami - dokończył Franciszek. - W układzie zero-jedynkowym nie będzie jednak miejsca na moralność i stany takie jak uczciwość, miłość, miłosierdzie, przyzwoitość i wyrozumiałość.

- Co pozostanie?

- Po rozwaleniu podstaw chrześcijaństwa i dogmatów wiary - zabawa we wróżbiarstwo, satanizm, pismo automatyczne, tarot, astrologię, okultyzm i channelingi.

- Może również dość do kontaktów seksualnych z kosmitami i tworzenia nowych hybryd. Kiedyś takie eksperymentalne próby już podejmowano, łączono ludzi z inkubami i sukubami. Powstawały istne potwory, istoty upośledzone i okrutne.

- Słyszałem o tym, widziałem też ich wizerunki - powiedział Franciszek, wzdrygając się. - Jeśli masoni i kosmiczni wyznawcy Lucyfera zrealizują swój plan, spotka nas tragiczny los. Co więcej, mam informację o tym, że bliżej nieznanymi obcy szykują agresję na Ziemię. Dostaję takie sygnały zarówno od naszego wywiadu, jak i od Putina, Obamy, Trumpa i z kilku innych ważnych miejsc, między innymi od patriarchy Moskwy i z góry Athos. A decydenci, którzy mi o tym mówili, to nie są chłopcy handlujący skarpetkami i pietruszką. W dodatku żaden z nich nie bąknął słowa o ewentualnej strategii. Szczerze mówiąc, wątpię, aby taka była.

- Chwała Bogu, że w tej sprawie natchnie papieża jedynie Duch Święty. Uważam, że Kościół jest od praw wiary, a nie od rozwiązań, które w samym założeniu mogą być okrutne i ostateczne. Pamiętam, jak będąc w Argentynie, śmiałem się, gdy Jan Paweł II mówił o wszechwładnej obecności Szatana w życiu ludzi. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że osiemdziesiąt lat temu wziął we władanie całe Niemcy. Teraz to samo spotkało Koreę Północną. O takim powtarzającym się problemie wspominają egzorcyści z każdego okresu historii. Lucyfer nie przynosi nam światła, lecz zagładę. Pismo Święte wyraźnie mówi: *Wam dano poznać tajemnice królestwa niebieskiego, im zaś nie dano. Bo kto ma, temu będzie dodane, i nadmiar mieć będzie; kto zaś nie ma, temu zabiorą również to, co ma. Dlatego mówię do nich w przypowieściach, że otwartymi oczami nie widzą i otwartymi uszami nie słyszą ani nie rozumieją*¹⁶. Zapamiętaj to: Mateusz, rozdział trzynasty, wers jedenasty do trzynastego. Teraz ja, stary duchowny, już wiem, jak gorzka może być wiedza.

Obaj mieli dość dzisiejszej rozmowy. Benedykt udał się do kaplicy na chwilę modlitwy, a Franciszek do Biblioteki Watykańskiej. Postanowił, że mimo obowiązków na chwilę zajrzy do Secretum Omega i spróbuje szczęścia z Carlottim.

- Czy coś ci wiadomo o kontaktach papieży z kosmitami? - spytał go.

- Tak, oczywiście - odparł od razu kustosz.

A to niespodzianka, pomyślał Franciszek.

- Mam akurat do opracowania dwa teksty, które zaplątały się między papierami przeznaczonymi do zniszczenia - kontynuował Carlotti. - Zawsze takie dokumenty na wszelki wypadek ponownie przeglądam. Oba wyglądają na ważne. Muszą pochodzić od kogoś z poprzednich papieży, ale dokładne zidentyfikowanie autora będzie wymagało pracy bez mała śledczej. Pierwszy dotyczy relacji oficera Gwardii Szwajcarskiej, drugi natomiast reinkarnacji, co w zbiorach

papieskich jest ewenementem. Na dzień dzisiejszy oba zakrawają na herezję i jeszcze za czasów mojego ojca zostałyby przeznaczone do działu inkwizycji lub zniszczenia. A jednak przetrwały. Ojciec Święty powinien się z nimi zapoznać i dać mi ostateczne wytyczne.

Carlotti wręczył Franciszkowi zwykłą, nieopatrzoną sygnaturą teczkę, w której znajdowały się dwie kartki zapisane po włosku pismem maszynowym, z adnotacją „do archiwum tajnego”. Papież zaczął czytać.

Zgłosił się dziś do mnie były dowódca Gwardii Szwajcarskiej. Powiedział, że jego życie dobiega końca, ale przed śmiercią chciał mi wyjawić tajemnicę Piusa XII i Jana XXIII. Twierdził, że dwukrotnie był świadkiem ich rozmów z przedstawicielami istot pozaziemskich. Za pierwszym razem od papieża Piusa XII otrzymał polecenie, by pewnym szczególnym gościom wskazać drogę do Papieskiej Akademii Nauk. Na jego oczach Obcy pojawili się nagle w alejce Ogrodów Watykańskich. Doprowadził ich na miejsce i został za drzwiami, gdzie docierały do niego fragmenty rozmowy. Zrozumiał, że mowa była o problemie ewangelizacji. Gdy odprowadził przybyszy tam, skąd przybyli, ci w jednej chwili się zdematerializowali. Z wrażenia żołnierz zemdlął. Po tym zdarzeniu uzyskał od papieża status najwyższego zaufania, awans i ogromną gratyfikację.

Ten sam Szwajcar był także w późniejszych latach świadkiem spotkania Jana XXIII z Obcymi, nie wiedział jednak, czego dotyczyła ich rozmowa. Zeznał, że przybysze byli mężczyznami o białej karnacji, blond włosach i niebieskich oczach. Nosili uniformy z połyskującej tkaniny. Na pewno nie pochodzili z Ziemi, znali jednak język włoski. Po spotkaniu rozplynęli się w powietrzu. Gwardzista złożył przysięgę milczenia, ale uważał, że wydarzenia toczące się obecnie w Kościele zmuszają go do ujawnienia sytuacji urzędującemu papieżowi.

Maszynopis rzeczywiście nie był opatrzony żadnym podpisem.

Widocznie papież, który złożył go do Secretum Omega, uznał go za na tyle ważny i niebezpieczny, że zdecydował się ominąć oficjalny tryb składania dokumentów i nie ujawniać go archiwizacji Świętego Kościoła Rzymskiego. Dla Franciszka było już jasne, że problem kosmitów daleko wyprzedzał jego pontyfikat i od dawien dawna stanowił nieodłączny element papieżstwa. Pomyślał, że dużo musi się zmienić, aby wszystko zostało po staremu.

Drugi maszynopis, jak głosił nagłówek, przedstawiał zadania dla nowego soboru powszechnego.

Zadanie pierwsze - oczyszczenie myśli i słów Chrystusa z późniejszych naleciałości, w tym interpretacji Ojców Kościoła, celem przywrócenia ich pierwotnego znaczenia.

Zadanie drugie - wypracowanie nowego spojrzenia Kościoła na reinkarnację.

Uzasadnienie.

Wiara w reinkarnację była elementem wczesnego chrześcijaństwa. Przez setki lat wierzono, że Jan Chrzciciel był inkarnacją Eliasza. Dopiero Sobór Konstantynopolitański II usunął z Biblii fragmenty mówiące o reinkarnacji. Z perspektywy piętnastu wieków uważam, że trzeba ponownie zbadać problem i zdecydować, czy postąpiono wówczas słusznie.

Poszczególne pytania dla komisji problemowych w temacie drugim:

Czy reinkarnacja jest częścią boskiego planu, obiektywnym systemem Natury, w pełni sensownym i logicznym?

Czy daje odpowiedź na pytania o sens istnienia wszechświata i o to, dlaczego żyjemy, skąd pochodzimy i dokąd udajemy się po śmierci?

Czy dowodzi istnienia Boga i Jego niewzruszonego kierownictwa?

Czy takie kierownictwo eliminuje przypadek z ludzkiej egzystencji?

Czy reinkarnacja jest wynikiem sprawiedliwego indywidualnego sądu?

Czy każde kolejne wcielenie zależy od czynów popełnianych wcześniej?

Czy reinkarnacja stanowi proces doskonalenia świadomości służący uzyskaniu zbawienia, a więc zjednoczenia się z Bogiem?

Czy wiara w jedynego Boga i tak pojętą reinkarnację pozwala odrzucić strach przed śmiercią, cierpieniem i niebytem?

Czy częścią reinkarnacji jest transmigracja, a więc wcielanie się w inne formy życia?

Czy dusza rodzi się wraz z ciałem i wraz z nim umiera? Czy tylko mu towarzyszy, zasilając umysł, i opuszcza je w chwili śmierci?

Najpewniejszą rzeczą w naszym życiu jest właśnie śmierć. Nie ma niczego bardziej oczywistego niż zakończenie egzystencji. Jeśli błędnie pojmujemy śmierć, to tę myśl trzeba przekazać wiernym. W myśl obecnej doktryny moim zdaniem Sąd Ostateczny jest jedynie konstrukcją socjologiczną, lecz przestaje tak być, gdy przyjmie się, że weryfikacja czynów odbywa się indywidualnie zaraz po śmierci. To jednak niezwykle trudne tematy i ich ostateczną wykładnię powinien sformułować nowy sobór.

Któryś z urzędujących wcześniej papieży dostawał od Opatrzności nieustanne napomnienia, pomyślał Franciszek. Zauważył, że na obu maszynopisach litery „e” i „l” wybite były z błędem. Można było sprawdzić w Kurii, kto dokumenty sporządzał na takim samym sprzęcie. Po zastanowieniu dał temu jednak spokój. Na urzeczywistnienie idei nieznanego autora przyjdzie jeszcze czas.

Kilka dni później po południu Franciszek odpoczywał w swoich prywatnych apartamentach w Watykanie, gdy usłyszał ciche pukanie. Drzwi uchyliły się i ukazała się w nich siostra Anastazja, jedna z zakonnicek, które zabrał z sobą z Argentyny.

- O co chodzi? - spytał papież.

- Przyszedł Ratzinger. - Nigdy nie nazywała go papieżem. - Prosi, by go pilnie przyjąć.

- Oczywiście, wprowadź go.

Benedykt wszedł do wnętrza i zauważył, że nic się w nim nie zmieniło od czasu, gdy wcześniej sam z niego korzystał. Te same meble, obrazy, a nawet bibeloty pozostawione w tym gabinecie przez poprzednich papieży.

- Będziesz zaskoczony, ale tobie pierwszemu, Jorge, chciałem powiedzieć, że na zawsze opuszczam Watykan. Mój czas posługi w Rzymie się skończył.

- Dokąd się udajesz? - spytał przejęty papież.

- Jutro porannym samolotem lecę do Kolonii, a stamtąd zabiorą mnie do Trewiru. Będę mieszkał przy katedrze świętego Piotra i tam dokonam żywota.

- Będzie mi brakowało naszych rozmów. Szczególnie tych, w których mieliśmy sprzeczne poglądy. Co jest powodem twojej decyzji?

- Wszystko, co się dzieje w samym Watykanie i wokół niego. Chcę się od tego uwolnić. Po przybyciu do Niemiec wyłączę Internet i przestanę prenumerować „L'Osservatore Romano”. Zamierzam zająć się wyłącznie kontemplacją nauk Chrystusa.

- Możesz to robić w Watykanie. Masz tu pełny dostęp do wszystkich służb i zasobów.

- Nie potrzebuję ich. Moja decyzja jest nieodwołalna. Przeor w Trewirze przygotował dla mnie przy katedrze dwa pomieszczenia obok miejsca, w którym przechowują Świętą Suknię. Podobno jest to tunika, w której w grocie pochowano Chrystusa. Jorge, ja po prostu chcę powrócić do świata, który w pełni rozumiem. Mam nieodparte wrażenie, że uległem całkowitemu wypaleniu i nie jestem w stanie dokonać żadnych normatywnych ocen dla jakichkolwiek ostatecznych celów.

- Nie będę cię odwoził od tej bardzo osobistej decyzji, Józefie. Na

pewno niełatwo było ci ją podjąć. Ale mam do ciebie ostatnie pytanie. W Secretum Omega widziałem zapieczętowaną kopertę z twoją ostatnią wolą oraz poleceniem, aby treść ujawniono po upływie pięćdziesięciu lat od twojej śmierci. Wykonawcą uczyniłeś swoich następców na Stolicy Piotrowej, w tym mnie. Uszanuję twoją decyzję. Ale czy możesz mi zdradzić, cóż takiego chcesz przekazać potomności?

- Mogę, ale tylko tobie i bez szczegółów. Mówię tam o prawdziwej historii Ziemi i kosmosu. Ta, którą znamy, jest z gruntu fałszywa. W oszustwie, niestety, maczał palce Kościół katolicki. Więcej powiedzieć nie mogę. Prawda musi jednak wyjść kiedyś na jaw i wówczas będzie wiadomo, kto o niej powiedział pierwszy. Na tym skończymy dzisiejszą rozmowę. Muszę się jeszcze pożegnać z kilkoma osobami, co mi zajmie czas aż do nocy. Zostawiam ci na stole kartkę z moim numerem telefonu do Trewiru. Zadzwoń, jeśli znajdziesz się w szczególnej potrzebie. Będę szczerze rad, jeśli cię jeszcze kiedyś usłyszę.

Uściskali się na pożegnanie. Na tym skończyło się ich ostatnie spotkanie. Nigdy więcej się nie zobaczyli. Zgodnie z dwutysiącletnią tradycją w Watykanie pozostał jedynie jeden papież.

ROZDZIAŁ 22

w którym potwierdzają się najgorsze obawy Michaiła, Putin wyjawia mu prawdę o programie kontroli umysłu i Kim Dzong Unie oraz wysyła go z misją do Waszyngtonu, a w Zamku Świętego Anioła dochodzi do spotkania na szczycie.

Grigorij czekał na Michaiła przed jego domem. Widząc na zakręcie jego ładę, wszedł do budynku. Po chwili przyjaciel do niego dołączył. Dał mu znak, by nic nie mówił, schylił się i przykleił na łydkę magnes.

- Pogadamy w pralni - powiedział Grigorijowi. - O tej porze nikogo tam nie ma, a w domu na pewno jest podsłuch. Co cię sprowadza?

- Przywożę straszne wieści. Obcy szykują z baz na Fobosie i Dejmosie atak na Ziemię. To pewne. Wróciłem wczoraj z Cyrylem z góry Athos. Mnisi mają tam telepatę, który ma niesłychane umiejętności prekognicyjne i telekinetyczne. Pokazał nam, jak siłą umysłu podnosi głaz o wadze kilkuset kilogramów i wrzuca go do morza. Powiedział nam też, że może go zdematerializować i ponownie złożyć w innym miejscu. Atom do atomu, wiązanie do wiązania. Cyryl chce go zaprowadzić do Putina, żeby osobiście przekazał mu wiadomości o natarciu. Dobrze by było, jakbyś go zapowiedział.

- Oczywiście, zaraz to zrobię - powiedział Michaił i westchnął ciężko. - Tego się właśnie obawiałem. KGB miało kiedyś na górze Athos agenta, ale mnisi już dawno go zdekonspirowali. Zmarł. Podobno wiatr zepchnął go z murów do morza. Ale najpierw przysłał parę raportów o tym telepacie. Czy on włada jakimś innym językiem poza greckim?

- Nie, dlatego ja będę jego tłumaczem. Ale posłuchaj. Na górę Athos przybyliśmy, by egzorcyzmować trzech mnichów. Cyryl wziął ze sobą woreczek z relikwiami świętych prawosławnych. Śmiać mi się

chciało z jego wiary w zbawczą moc wibracji kości zmarłych. Ale ci opętani zachowywali się zupełnie inaczej niż nasi wariaci w ławrach i cerkwiach. Nie przyjmowali posiłków i mówili w obcym języku, podobno po sumeryjsku. Zabiegi Cyryla i patriarchy Konstantynopola nie odniosły skutku. O pomoc zwrócono się do klasztoru świętej Katarzyny i Kościoła koptyjskiego. Pod wpływem ich egzorcyzmu mnisi wypluwali z ust ogromne, poskręcane żelazne gwoździe. Każdego musiało trzymać kilku silnych mężczyzn. Jeden z opętanych przez chwilę lewitował. Wreszcie zły duch Asmodeusz opuścił ich ciała. Nigdy w życiu nie widziałem czegoś równie przerażającego, demonstracji tak potwornej siły zła. Słuchaj, ja się chyba nawróciłem. Tam, na górze Athos, urodził się nowy Grigorij. Zrozumiałem siłę Kościoła wschodniego, jego powiązania oraz wagę współdziałania różnych wyznań w dobrej sprawie.

Zwierzchnik Kościoła koptyjskiego powiedział mi też, że oni budują swoje kościoły i klasztory jedynie w miejscach, w których niegdyś stały świątynie staroegipskie. Wykazują one szczególny magnetyzm. Nazwał to siecią geodezyjną. Oni ją znają od stuleci. Ale są ważniejsze sprawy. Muszę ci powiedzieć, że niepokojące wieści docierają do nas także z samej Rosji. Z lasów wychodzą pustelnicy. Uaktywniła się sekta skopców. Wycinają sobie jadra, żeby nie płodzić dzieci, które zobaczyłyby koniec świata. Wariaci w ławrach czwórkami zanoszą pienia i modły na różnych diapazonach. Słyszałem też, że w Nepalu, na świętej górze Machhapuchhare nieopodal miejscowości Pokhara, na wysokości prawie pięciu tysięcy metrów, otworzyła się brama, z której w nocy bije światło. Od setek lat nikomu nie wolno na nią wchodzić, lecz Dalajlamie zezwolono udać się tam na pielgrzymkę. Podobno do końca roku ma tam przebywać na medytacjach.

- Dobrze, że mi o tym mówisz - powiedział Michaił. - Putin musiał to wszystko poskładać od początku do końca i podejrzewa fatalistyczne rozwiązania. Nie ma innej rady, trzeba się będzie zjednoczyć dla ratowania gatunku.

- Powinieneś też wiedzieć, że nie tylko Cerkiew prawosławna, ale i cały Kościół wschodni jest ogromnie zmartwiony sytuacją w Watykanie.

- A co takiego się tam stało? - spytał Michaił.

- Urzęduje dwóch papieży - wyjaśnił Grigorij. - Wiesz przecież, że nie może być wielu namiestników Boga na Ziemi. Zachodzi pytanie, kto tu jest tak naprawdę kim.

- To ich sprawa, nie nasza.

- Nie masz racji - sprzeciwił się Grigorij. - To problem chrześcijaństwa jako całości. Ale to nie wszystko. Z najwyższych kręgów watykańskich od lat napływają niepokojące wiadomości, nie wiadomo, przez którego z papieży autoryzowane. Watykański teolog i członek wywiadu jezuickiego, *monsignor* Balducci, publicznie obwieszczał, że Obcy istnieją i są naszymi braćmi. Inny jezuita, dyrektor watykańskiego centrum astronomicznego, mówił niedawno, że wkrótce to od Obcych będzie zależeć nasze zbawienie, a sam Jezus jest „gwiazdym dzieckiem”.

- Przecież to jakiś nonsens - obruszył się Michaił. - Całkowicie kłóci się to z zasadami wyznawanymi od dwóch tysięcy lat!

- W sercu świata chrześcijańskiego dochodzi do apostazji - potwierdził Grigorij. - Cerkiew uważa, że takie tezy są bardzo groźne, bo usuwają w cień starego Boga chrześcijan i przecierają szlak dla nowego, który ma zejść do nas z gwiazd. Sądzimy, że SIV i loże masońskie działają wspólnie, ręka w rękę. Zmierzają do przejęcia władzy w Watykanie i stworzenia nowej Ewangelii wokół postaci dawnego, zapomnianego boga Lucyfera. Powiem ci szczerze, że trudno mi się z tym pogodzić. To się nawracam, to jestem bliski apostazji. Z teologicznej perspektywy istnienie życia pozaziemskiego podważa sens, dla którego Chrystus umarł na krzyżu.

- W odróżnieniu od ciebie, Grigorij, jestem agnostykiem - powiedział Michaił - ale słuchając tego, co mówisz, zastanawiam się, czy Kościół świadomie nie opowiada wiernym całkowicie

hipotetycznych historii. Czy nie jest to po prostu szeroko zakrojony program kontroli umysłów.

- W rzeczy samej, o to chodzi. - Grigorij pokiwał głową. - Obecna sytuacja rodzi palące problemy. Trzeba odpowiedzieć na tak fundamentalne pytania jak to, czy zbawienie obejmuje również istoty pozaziemskie, czy są one w ogóle obarczone grzechem pierworodnym, kto kogo powinien ewangelizować i tak dalej.

- Problem będą mieli przede wszystkim chrześcijanie i Żydzi - zauważył Michaił. - Muzułmanie bez oporu uwierzą, że Allah wysłał proroków na różne planety. Buddyści też przyjmą takie rewelacje bez mrugnięcia okiem.

- To, co się teraz dzieje, jest groźniejsze niż jakakolwiek schizma czy reformacja. Podobno GRU wywahał, że masoni będą chcieli powołać się na fakt, iż Bazylikę Świętego Piotra postawiono w miejscu cmentarza, na którym w okresie przedrzymskim chowano kosmitów. Podczas pontyfikatu Jana Pawła II pod fundamentami odnaleziono czaszki, które na pewno nie należały do żadnych znanych istot. Papież kazał je zakopać w tym samym miejscu, tylko głębiej. W podziemiach Watykanu nadal znajdują się bałwany pogańskie, rzeźby Posejda i Meduzy, głowy z symbolami bogini Izydy oraz fresk z wyobrażeniem Lucyfera. To wszystko ma oznaczać, że znajduje się tam święte miejsce pradawnej religii, którą teraz jako lucyferiańską z zapomnienia wydobędą masoni. Stary bóg powróci niebawem do swej siedziby. Oko Bestii łypie na nas z samego serca chrześcijańskiego świata. Trudno o większy dysonans. A co z pierwszym przykazaniem, *nie będziesz miał bogów cudzych przede Mną*¹⁷? Przecież z tego wynika, że Lucyfer zasiadał na Watykanie przed Chrystusem. Czyż nie? W Kościele wschodnim coś takiego byłoby nie do pomyślenia. Cyryl mówił o tym Benedyktowi i Franciszkowi, ale obaj zlekceważyli jego słowa. Ale w porównaniu z atakiem z kosmosu masoni to tylko niedogodność. Musimy zrobić, co

do nas należy. Ja udam się do Cyryła, a ty przekaż to wszystko Putinowi.

- Myślę, że on wie znacznie więcej, niż mówi. Ludzie w GRU to też nasi i jeśli trzeba, są równie sprawni, jak wywiad jezuicki. Dla Rosji i Cerkwi są w stanie wiele poświęcić, choć zamiast „w imię Boże” mówi się tam „dla dobra służby”. Ale trzeba też pamiętać, że Putin prowadzi grę polityczną z Trumpem. Między dwoma takimi samcami alfa prędzej czy później dojdzie do zwania. Trzeciego próbuje udawać Kim Dzong Un, ale tamci zjedzą go na śniadanie. Nasz prezydent jest jednak od obu o klasę lepszy. Wyznaje starą zasadę, że o szczegółach robienia polityki i kielbasy nie mówi się publicznie. Niczego nie ujawnia, po prostu robi. Jak z tymi zielonymi ludzikami na Ukrainie, co się same wyposażyły w cywilnych magazynach w broń i odzież z demobilu. A haubice znalazły po drodze. Bo wszystkiego przecież pilnować nie można.

Pożegnali się. Grigorij korytarzem na ostatnim piętrze przeszedł do ostatniej klatki, zszedł po schodach i pieszo udał się do stacji metra. Michaił odczepił magnes od łydki i połączył się z sekretarzem Putina, który przekazał mu, że wysłano po niego nieoznakowany samochód. Prezydent oczekiwał gościa w gabinecie.

- Przynoszę ważne wieści - powiedział Michaił zamiast powitania.
- Musimy przejść do ołowianego pokoju.

Putin spojrzał na niego poważnie i bez słowa poprowadził go na miejsce. Obaj wiedzieli, że w tym pomieszczeniu rodzi się zarówno nadzieja, jak i okrucieństwa.

Michaił podzielił się z prezydentem wszystkim, co wiedział i czego się domyślał. Dodał, że w obecnej sytuacji geopolitycznej konieczne jest osobiste spotkanie nie tylko z Cyryłem i ekstrasensem z góry Athos, ale również z Trumpem, papieżem i ich najwyższymi doradcami.

- Na naszych wrogów czeka niespodzianka - powiedział Putin, wysłuchawszy Michaiła. - Jesteśmy przygotowani. Rosyjskie siły

zbrojne od początku widziały w Obcych wrogów, a nie zbawców i przyjaciół. Nie zaoferowali nam niczego, co mogłoby służyć poprawie warunków naszego życia. Poskąpili nam swojej wiedzy i osiągnięć. Czegokolwiek dokonują w podziemiach i głębinach mórz, robią to wyłącznie dla własnych celów. A to, co przekazują niezrozumiałymi obrazami w zbroju i channelingami, to cholernie mało.

- Tak jest, panie prezydencie. Niestety, nie udało mi się dowiedzieć niczego o komnacie w Bucegi. To podobno największe odkrycie w historii człowieka, ale na tym trzymają łapę Amerykanie.

- Trump w tej sytuacji, jaka jest obecnie, będzie musiał wszystko wyśpiewać - powiedział Putin. - Ze szczegółami. Zadbam o to.

- Panie prezydencie, czas ucieka - zauważył Michaił. - Proszę wezwać Cyryla i tego telepatę. Spotkanie z Trumpem i papieżem musi być tajne, wiadomość powinien więc dostarczyć goniec. Wszelkie powiadomienia elektroniczne zostaną przechwycone przez hakerów, masonów albo Obcych. Mogę natychmiast pojechać do Waszyngtonu. Potrzebuję tylko paszport dyplomatyczny i pański list napisany na kartce wydartej z okładki, którą ma u siebie Trump. Niewątpliwie on mnie będzie autoryzował. Radziłbym też jeszcze dziś zdymisjonować i odizolować szefów GRU i FSB, a także w miarę możliwości spacyfikować rosyjską masonerię. Mogilewicz zrobi to za pana z największą przyjemnością.

- Niech pan więc od razu jedzie na lotnisko. W ciągu dwóch godzin zostanie tam panu dostarczony paszport i list. I niech pana Bóg prowadzi. Jak pan widzi, zrobiłem się ostatnio religijny - powiedział Putin, jakby rozbawiony. - Czy to wszystko?

- Nie, panie prezydencie. Jest jeszcze sprawa Korei Północnej i Kim Dzong Una. Doszły do mnie pewne niepokojące wiadomości.

- Nie może im pan ufać - powiedział Putin. - Prawdę na ten temat zna wyłącznie prezydent Rosji. Nic o tym nie wie ani FSB, ani GRU, ani żaden wywiad świata. Ale w drodze wyjątku mogę uchylić rąbka tajemnicy. Rosja wymierza w swych wrogów cztery pancerne pięści,

które napawają strachem cały świat. To właśnie Korea Północna, Kaliningrad, a także, od niedawna, Syria i Krym. Dzięki mnie ostatnio historia odzyskała równowagę, bo wcześniej książęta rosyjscy stuleciami na Krymie składali hołdy i pokłony chanom tatarskim. Teraz ich stamtąd przegonimy na zawsze. Ale wracając do pytania, wszyscy sądzą, że na Kim Dzong Una nie da się wpłynąć, ale to nieprawda. Mamy nad nim pełną władzę dzięki programowi kontroli umysłu. Zdecydował o tym zwykły przypadek. Gdy w 2000 roku Kim towarzyszył ojcu w oficjalnej wizycie, zachorował na zapalenie opon mózgowych. Leczyli go wtedy nasi lekarze i prewencyjnie implantowali mu do rdzenia niewielki czip. Ma go do tej pory. Widzisz, ten chłopak jest całkowicie uzależniony od seksu, a jeśli do jego organizmu przez czip nie trafi właściwy sygnał z naszych stacji radiowych, może zapomnieć o wzwodzie. Podobny program uzależniający z powodzeniem stosowaliśmy wcześniej wobec Mao Zedonga. Bez nas nie mógł sobie poradzić z żadną kochanką, nie pomagały kąpiele w Żółtej Rzece, wyciągi z rogu hipopotama ani złoto Ałtaju. Kim też próbował się od nas uniezależnić, stosując inne środki, ale bez skutku.

Problem własny Kim rozwiązuje w sposób państwowy. Dla realizacji swoich celów został powołany specjalny wydział państwowy do spraw prywatnych najjaśniejszego przywódcy. Werbuje najpiękniejsze trzynastolatki wybierane przez ekspertów z wszystkich jednostek administracyjnych państwa. Po sprawdzeniu dziewictwa są oddawane do specjalnych szkół na przeszkolenie ideologiczne i doktrynalne, mające na celu wpojenie im do umysłu, że największym zaszczytem, jaki może je spotkać, jest osobista służba wodzowi i spełnianie każdego jego poleceń. Do jego dyspozycji są oddawane w wieku 17 lat, po ukończeniu szkolenia w stosowaniu skomplikowanych technik erotycznych wyniesionych z najsłynniejszych domów rozpusty w Azji. Po konsumpcji, zazwyczaj jednorazowej, są wydawane za mąż za urzędników państwowych. Dla

ludzi z aparatu władzy największym zaszczytem jest posiadanie kobiety, którą dla dobra państwa rozdziewiczył sam wódz. Ale problem w tym, że nie zawsze może tego dokonać. Wie, że tylko my jesteśmy w stanie temu zaradzić i zrobi dla nas wszystko. Czasem celowo przerywamy emisję sygnału. Wpada wtedy w szal. Wydaje wyroki, nie patrząc, czy skazuje na śmierć własną rodzinę, albo jedzie na poligon i straszy Amerykanów. Pokazaliśmy mu, gdzie jest ręka, która karmi jego popędy. I to na razie wystarcza.

Po drodze do Waszyngtonu niech się pan zapozna z raportem GRU na temat Trumpa. Nasi specjaliści określają go w nim jako nieudacznika i ignoranta, który rządzi swoim krajem w oparciu o niekompetencję i ignorancję. Z tego względu jest skrajnie niebezpieczny, bo równie nieprzewidywalny. Tak samo niezrozumiały dla nas, jak i dla swoich sojuszników. Raport GRU przedstawia tezy niemalże analogiczne do wniosków zawartych w bestsellerze *Ogień i Furia*. Napisał go w tym roku amerykański dziennikarz na podstawie analizy dwustu wywiadów, jakie przeprowadził z pracownikami Białego Domu. Oto ów raport. Niech go pan spokojnie przeczyta w samolocie. Musi pan coś wiedzieć o człowieku, z którym pan się niebawem spotka. Dla mnie wnioski z tego raportu są niebywale cenne, bo wiem, jak mam postępować z człowiekiem, który grozi Rosji. Po prostu trzeba go zniszczyć.

Michaił w oczach Putina dostrzegł znane zielone błyski. Oko Bestii czuwało bezustannie.

Po przybyciu do Waszyngtonu przepustkę do Białego Domu ambasador Rosji załatwił mu od ręki. I bez zbędnych pytań, choć Michaił zażądał, by nie składać raportu o jego przybyciu ani ministerstwu spraw zagranicznych, ani GRU, ani nikomu innemu.

- Jedno słowo chlapiesz nie temu, komu trzeba, i ekspresowo wracasz do Moskwy na przesłuchanie - powiedział. - Żona i dzieci zostaną tutaj. Teraz z polecenia prezydenta Rosji ja tu decyduję, a nie Ławrow czy jacyś generałowie.

Urzędnik zbladł.

Wizyta u Trumpa przebiegła sprawnie. Prezydent zgodził się z Putinem w ocenie sytuacji. zaproponował, by spotkać się za tydzień, w godzinach rannych, i obiecał, że uprzedzi papieża Franciszka o ich przyjeździe, żeby ten mógł zorganizować właściwe warunki do rozmów w gronie jakichś piętnastu osób.

- Z tłumaczami? - domyślił się Michaił. - My ich nie potrzebujemy.

- A my tak - odparł Trump. - Chyba że służyć za nich mogliby wasi ludzie.

- Oczywiście - zapewnił Michaił. - Wszystkie strony mogą zawierzyć ich fachowości. W tej sprawie im mniej świadków, tym lepiej.

Kilka dni później nocą na lotnisku wojskowym w Rzymie wylądowały dwa nieoznakowane samoloty. Pozornie niczym nieróżniące się od cywilnych maszyny zabezpieczone były przed impulsami elektromagnetycznymi oraz wyposażone w centra łączności i akcesoria konieczne do obsługi walizek prezydenckich. Na wypadek ataku atomowego.

Na spotkaniu w Zamku Świętego Anioła otwarcie podzielono się wszystkimi informacjami o Bucegi oraz kontaktach Ziemiaków i ugrupowań masońskich z poszczególnymi rasami kosmitów. W tym momencie wzajemnej szczerości Putin ujawnił obecnym, że Rosja problem Kim Dzong Una potrafi rozwiązać od ręki, aktywując kontrolowaną emisją fali elektromagnetycznej eksplozję genów letalnych w jego mózgu. Papież Franciszek nic nie powiedział, ale dotarło do niego wówczas z całą mocą, że główna siedziba Bestii od zawsze znajdowała się w Moskwie.

Zdecydowano o skierowaniu wszystkich satelitów w stronę kosmosu, o konieczności nieprzerwanej obserwacji Księżyca, Dejmosa i Fobosa, stałej wymianie informacji między telepatami w celu jak najszybszego wychwycenia ewentualnej inwazji, przygotowaniu nowej broni do odparcia ataku, przeniesieniu Anny Marii i telepaty z góry

Athos jako najsilniejszych mediów do klasztoru w Rzymie, gdzie mieli pełnić na zmianę nieustanny dyżur, oraz umieszczeniu Cezara Brada w pobliżu Bucegi, aby w razie zagrożenia nadał sygnał alarmowy. Badania Amerykanów potwierdziły, że komnatę zbudowały istoty nastawione wobec rasy ludzkiej raczej przyjaźnie. Uznano, że w razie ataku należy natychmiast rozwiązać ONZ, NASA i kilka innych organizacji, powiadomić inne kraje o zagrożeniu, wprowadzić stan wyjątkowy i cenzurę, wstrzymać komunikację drogą powietrzną i morską, zablokować międzynarodowe transfery bankowe, zamknąć podziemny kosmodrom w Denver i Kapustin Jarze oraz wydać zakaz zebrań masońskich pod karą natychmiastowego uwięzienia. Na straży prawa miały stanąć gwardie narodowe i wojsko. Postanowiono uruchomić wszelkie znane podziemne bazy, tunele i bunkry, by tam ewakuować ludność i ukryć zasoby cywilizacji. Uczestnicy spotkania wrócili do swoich krajów, starając się - po raz pierwszy w dziejach - działać wspólnie, dla dobra ludzkości.

Putin postanowił, że jeśli przeżyje, całe papierowe archiwum będące tylko zapisem bestialstwa przechowywane w zamontowanym w gabinecie sejfie spopieli w kominku. Zastanawiał się nad tym, czy strach może być jedynym motorem ludzkich działań w sytuacji zagrożenia. Co będzie, jeśli okaże się, że tajne jednostki wojskowe i telepaci są jedyną realną siłą stojącą w obronie Ziemi? Czy organy państwa są w stanie podjąć skuteczną walkę z masonami, czy mógł polegać tylko na Mogilewiczu i jego mafii? Czy rzeczywistość, jaką poznał - choć tylko częściowo - jest ugruntowana w świecie duchowym, a prawda w świecie rzeczywistym, czy też jest odwrotnie?

Teraz i tak nie miało to większego znaczenia. Putin wiedział, że trzeba podjąć ryzyko. Historię piszą zwycięzcy. A on miał asa w rękawie. Sondy Jupiter 1 i Jupiter 2 od kilku miesięcy były w drodze na Marsa. Kazał je dodatkowo wyposażać, tak na wschodni, rosyjski sposób. Masoni i Obcy mogli mu naskoczyć!

ROZDZIAŁ 23

w którym poznajemy możliwości jednego z amerykańskich programów wywiadowczych, a Trump dostaje list wyjaśniający, dlaczego uznano, że największy eksperyment genetyczny w historii zakończył się niepowodzeniem, i przygotowuje się do stawienia czoła tej decyzji.

Prezydent Trump czekał na Andersona w Gabinetcie Owalnym. Dzień wcześniej zakończył lekturę listów, które jego poprzednicy zostawili swoim następcom. Z nich dowiedział się o ściśle tajnych procedurach prezydenckich, o których nie wiedział nawet jego zastępca. Poznał także pewne szczegóły operacji Narodowego Biura Rozpoznania, w skrócie NRO, należącego do „wielkiej piątki” agencji wywiadowczych Stanów Zjednoczonych. Zajmował się on wywiadem kosmicznym, jego rzeczywista siedziba mieściła się w centralnej części Pentagonu, a dane o charakterze pracy zatrudnionych tam osób podlegały nieustannemu szyfrowaniu w oparciu o bardzo wysokie liczby pierwsze. Trump chciał się jednak od Andersona dowiedzieć czegoś więcej o szczególnych osiągnięciach Biura.

- Chcę wiedzieć, co dokładnie potrafi Narodowe Biuro Rozpoznania - powiedział szefowi wywiadu, gdy tylko ten zamknął za sobą drzwi gabinetu.

- Potrafi prawie wszystko, panie prezydencie - odparł z dumą Anderson.

- Jak mam to rozumieć?

- NRO sfotografowało z kosmosu całą Ziemię, metr po metrze, tworząc najbardziej precyzyjną mapę naszego globu. Dzięki temu nasze satelity są w stanie dostrzec najdrobniejszą zmianę na powierzchni. Jeśli pasterz na Syberii przestawił o metr łańcuch, na

którym pasła się jego koza, możemy to wykazać. Wiemy o wszystkim, co robią Rosjanie, Chińczycy czy Hindusi. Zebranie pełnych danych w ramach projektów, takich jak Corona, Gambit czy Hexagon, trwało pięćdziesiąt lat. Obecnie do tych celów wykorzystujemy miniaturowe satelity. Ale to szczegóły techniczne.

- Rozumiem, że w takim razie przeprowadziliśmy kompletną analizę między innymi katastrofy polskiego samolotu w Smoleńsku i malezyjskiego nad Ukrainą.

- Tak jest, panie prezydencie - potwierdził Anderson. - Dysponujemy nagraniami obu lotów od początku do końca, od startu do zniszczenia obu maszyn. Widać na nich nawet chwilę odpalenia haubicy i naszywki na naramiennikach żołnierzy. Mamy też zapisy wszystkich rozmów pasażerów i załogi.

- To potężny materiał dowodowy - zauważył Trump, unosząc brwi.

- I dlatego jego ujawnienie zależy od wyłącznej decyzji prezydenta. Obama tego nie zrobił, choć wiedział wszystko. Gdzie leżały ciała i bagaż, w jakim były stanie i co się z nimi stało.

- To zrozumiałe. Czas na odsłonięcie kart przyjdzie wtedy, gdy będzie to w interesie Stanów, a nie żadnej Polski czy Holandii.

- Tak jest - zgodził się Anderson. - Wie pan oczywiście, że system ochrony danych wymaga pańskiej pisemnej zgody na ujawnienie każdego zdjęcia będącego w posiadaniu NRO.

- Wiem i uważam to za słuszne. Niedawno wydałem zgodę, aby służbom cywilnym udostępniono fotografie ostatniego cyklonu, który spustoszył wybrzeże Stanów. Dzięki nim miały znacznie większe pole manewru. Ale powiedz mi, na jakiej wysokości działają nasze szpiegowskie satelity kosmiczne?

- Ulokowane są na orbitach geostacjonarnych na dwóch wysokościach, czterdziestu tysięcy i siedemdziesięciu pięciu tysięcy kilometrów. Głównym zadaniem tych pierwszych jest podsłuch rozmów telefonicznych. Drugich - obserwacja. Obejmują zasięgiem cały glob i przekazują dane w trybie ciągłym. Jeśli zgubi pan

w ogrodach Białego Domu dwadzieścia pięć centów, my je zajdziemy. To samo dotyczy terrorysty, przemytnika heroiny czy zagubionego na morzu kontenera.

- A satelity na większych wysokościach?

- Służą do obserwacji głębi kosmosu. Dzieją się tam różne zagadkowe rzeczy. Japońska sonda Selene metodą laserową wykryła, że na Księżycu na głębokości dwustu metrów istnieją podziemne struktury, a w nich wąwozy pięćdziesięciokilometrowej długości, w których może być atmosfera i woda. Japończycy donosili, że krótko po tym odkryciu sonda z niewiadomych przyczyn przestała działać. Ale NRO dobrze wie, że żyjąca tam cywilizacja zażarcie broni swojej prywatności i przeciwdziała ziemskim próbom eksploracji.

- Zostawmy Księżyc - powiedział prezydent. - Macie coś na tego Kima?

- Śledzimy wszystkie jego wypowiedzi i ruchy na powierzchni. Wiemy, czy fiuta ma gładkiego, czy pomarszczonego, i czy mocz oddaje strużką, czy porcjami. Ale żeby omawiać ważniejsze sprawy, chowa się w podziemnym ośrodku atomowym. Tam nasz wywiad nie sięga.

- Okay - prezydent był usatysfakcjonowany. - Gdyby NRO zaobserwowało jakieś podejrzanе ruchy w kosmosie, masz mnie natychmiast poinformować. A teraz wracaj do pracy.

Dwa dni, jakie ostatnio były udziałem Trumpa, przekraczały wszelkie wyobrażenia. Zaczęło się od histerycznego telefonu Melanii. Już w okresie, kiedy kandydował na urząd prezydenta, nauczył ją, aby przez telefon i maila nie przekazywała mu żadnych ważnych wiadomości, ponieważ przejmowały je różne służby i dziennikarze. Teraz jednak Melania zadzwoniła z Nowego Jorku bezpośrednio do jego gabinetu w Białym Domu. Z nieskładnych zdań wywnioskował, że coś musiało się stać. Przerwał jej, mówiąc, że rozmowę dokończą w Waszyngtonie, i wysłał po nią helikopter.

Niebawem Melanię wprowadzono do Gabinetu Owalnego. Była

ubrana i uczesana mniej starannie niż zwykle, a wiedział, że zawsze zwraca na takie szczegóły uwagę.

- Co się stało? - spytał ostro. - Coś nie tak z naszym synem?

- Nie, chwała Bogu, z nim wszystko w porządku - uspokoiła go szybko. - Ale...

- No, wszystko będzie dobrze - próbował podnieść ją na duchu Trump. - Opowiedz mi po kolei, co się stało.

- Dziś rano zadzwonił do mnie mój brat Vlado, na ten numer, który zna tylko nasza rodzina. Powiedział, że czeka na mnie w terminalu przylotowym na lotnisku Kennedy'ego. Pojechałam po niego z całą obstawą, ale porozmawialiśmy dopiero w naszym apartamencie na Manhattanie.

- Czego chciał?

- Żebym ci przekazała, że zwierzchnicy Kościołów greckokatolickiego, koptyjskiego i etiopskiego są pewni, że Obcy planują inwazję na Ziemię - powiedziała drżącym głosem.

No tak. On starał się Melanii nie denerwować, a Vlado musiał jej wszystko wypaplać.

- Skąd ma takie wiadomości? - spytał.

- Z góry Athos, gdzie odbył się jakiś synod czy coś takiego. Mam w torebce list, który do ciebie napisał, z niego wszystkiego się dowiesz. Nie otwierałam go, miałam ci go doręczyć do rąk własnych i w największej tajemnicy. Vlado nalegał, żebyś go przeczytał w jakimś specjalnym pomieszczeniu. Jego zdaniem stawką jest wszystko. Nasze życie...

Rozpłakała się.

- Spokojnie, Melanio. A czy Vlado powiedział ci, cóż takiego ja mam z tym zrobić?

- Nie, oni tego nie wiedzą. Władają duszami, a nie raketami i dywizjami. Vlado mówił, że Stany Zjednoczone muszą mieć jakąś strategię na taką ewentualność. Skądś wiedział, że Rosja taką ma. Pewnie od Cyryla.

- Czy Vlado jest jeszcze w Nowym Jorku? - spytał prezydent.

- Nie. - Melania pokręciła głową, ocierając łzy. - Od razu po spotkaniu odleciał do Rzymu na krótkie spotkanie z papieżem. Potem wraca do Grecji.

Trump próbował pokrzepić żonę. Przekonywał ją, że nic takiego się nie dzieje, że wyśle samochód po syna i najbliższy weekend spędzą w Białym Domu. Jego zabiegi odniosły skutek. Uspokojona Melania poszła sprawdzać, czy sypialnię prezydencką wreszcie urządzono w jej guście i czy wywalono stamtąd wszystkie graty po Obamach. Nie wiedziała, że sobotę i niedzielę spędzi samotnie, bo mąż przez dwa dni będzie w NASA.

Trump zjechał do pokoju mrocznych tajemnic. Tam otworzył kopertę i zaczął czytać.

Drogi Donaldzie,

wybacz, że komunikuję się z Tobą za pośrednictwem odręcznego listu, ale nie mogłem w tej sprawie zawierzyć elektronicznie. To nie może wypłynąć na zewnątrz.

Pewnie o tym nie wiesz, ale od pięciu lat pełnię funkcję szefa greckokatolickiego i prawosławnego wywiadu. Cieszy się on tradycją o tysiąc lat dłuższą niż SIV, co dało nam czas na wypracowanie licznych skutecznych technik. Od czasów rozłamu Kościoła na zachodni i wschodni posiadamy też nieprzebrane środki. Łączymy metody wszystkich wywiadów na świecie, w tym Abwehry, GRU, CIA czy Mosadu, z własnymi, którymi z nikim się nie dzielimy.

Teraz do rzeczy. Na górze Athos mamy swojego człowieka. Nie wiadomo do końca, skąd się tam pojawił i kim jest. Wszelkie próby ustalenia jego pochodzenia spęły na niczym. Posługuje się wyłącznie archaicznym językiem rosyjskim, z naszymi autorytetami rozmawia jak równy z równym, zna runy oraz wydarzenia z dalekiej przeszłości Ziemi. Wiedzy tak głębokiej nie mógł uzyskać na żadnym z uniwersytetów. Podejrzewamy, że ktoś kiedyś implantował mu

wszystkie dane z biblioteki wszechrzeczy. On sam twierdzi, że jest istotą pozaziemską, a jego zadaniem jest uświadomienie ludziom szatańskiego planu Draconian. Twierdzi, że telepatia to podstawowa forma komunikacji. Sam wykorzystuje swoje zdolności, by obserwować ruchy Draconian. Na szczęście otacza go jakaś bariera ochronna, która sprawia, że nie są w stanie go wyczuć. W przeciwnym wypadku jako szpieg zostałby natychmiast zlikwidowany. Musisz wiedzieć, Donaldzie, że telepatia to uniwersalny element ziemskiej świadomości, jest jednak bezustannie zakłócana, ponieważ stanowi zagrożenie dla wszelkich tajemnic, zarówno ziemskich, jak i pozaziemskich. Człowiek ten opowiedział nam o zapoczątkowanym w odległej przeszłości łańcuchu zdarzeń, z którego skutkami przyjdzie nam się niebawem zmierzyć.

Około dwustu tysięcy lat temu mieszkańcy jednej z planet obiegających Słońce, Marduka, otrzymali od Federacji Galaktycznej pozwolenie, by w Układzie Słonecznym poszukać planety niezamieszkałej przez istoty obdarzone inteligencją i dokonać na niej zabiegów inżynierii genetycznej mających na celu stworzenie prymitywnego robotnika, który wykonywałby wszelkie polecenia swoich stwórców. Do tej misji wybrano żyjącego wówczas na Ziemi małego hominida, którego poddano długotrwałemu procesowi uszlachetniania genów, aby nadać mu pożądane cechy, między innymi podstawową świadomość, przy zachowaniu możliwości reprodukcji. Program ten trwał blisko pięćdziesiąt tysięcy lat.

Pięć tysięcy lat temu rasa ta - Anunnaki - opuściła Ziemię, pozostawiając na niej władców, których zadaniem było kontrolowanie tak stworzonej populacji. Byli to dynastyczni władcy Sumeru i faraonowie Egiptu. Odprawiając skomplikowane rytuały, do których przeprowadzania i zachowania w niezmiennym kształcie powołano kastę kapłanów, byli oni w stanie nawiązywać więź telepatyczną ze swymi stwórcami. Od nich ludzkość otrzymywała pakiety wiedzy, tak zwane sprawy pierwsze - dotyczące wszystkich dziedzin matematyki,

geometrii, astronomii, medycyny, prawa, religii, historii i wielu innych – które zapewniły jej postęp.

Z bliżej nieznanymi powodami, być może w wyniku walk klanowych lub wojen nuklearnych, Anunnaki przepadły w głębinach wszechświata. W ich miejsce pojawili się na Ziemi nowi władcy, Draconianie. Rasa ta borykała się jednak z poważnym problemem – stała się nieplodna i mimo prowadzenia gruntownych badań jej populacja nieustannie się zmniejszała. Ich naukowcy nabrali przekonania, że jedynym wyjściem był zastrzyk nowych genów. Przedstawili Radzie Galaktycznej program badawczy i poprosili o zgodę na przeprowadzenie eksperymentu z rodzajem ludzkim, który mógłby uratować ich rasę przed wymarciem. Celowo nie podniesiono kwestii, że człowiek otrzymał od Anunnaków pulę genów zbliżoną do grupy Evadamic i wykształcił indywidualną duszę, której brakowało Draconianom. W panującym wówczas w Układzie Słonecznym chaosie nikt nie zwrócił na to uwagi i Rada wydała zgodę na przeprowadzenie doświadczeń.

Tak oto dochodzimy do 1550 roku przed naszą erą, czyli okresu historycznych katastrof związanych z dwukrotnym zderzeniem naszego globu z kometą i wędrowną planetą Wenus. Wydarzenia te dokładnie opisuje biblijna Księga Wyjścia. Wyjątkowy zbieg okoliczności spowodował, że w Egipcie uformowało się jednolite etnicznie plemię Izraelitów, wyznające ściśle określone zasady prawne i żywieniowe. Była to grupa niemal doskonale czysta genetycznie, bez obcych naleciałości, a zatem idealna do przeprowadzenia eksperymentu Draconian. Dali jej oni Boga o imieniu Jahwe oraz niewzruszone nakazy postępowania i – bardzo dwuznacznie – nazwali narodem wybranym.

Jahwe pojawił się na Synaju nie wiadomo skąd i po przeprowadzeniu Żydów do Ziemi Obiecanej równie nieoczekiwanie znikł. Nikomu nie wolno było oglądać jego twarzy ani postaci, nawet Mojżesz w Namiocie Zgromadzenia musiał nakładać sobie przestonę

na oczy. Dlaczego w odróżnieniu od innych bogów Jahwe tak zazdrośnie strzegł swojego oblicza i zabraniał sporządzania swoich wyobrażeń? Odpowiedź jest prosta - było tak, ponieważ sam jego widok wywoływałby u wyznawców panikę. Tak jak inni Draconianie, miał jaszczurzy wygląd i nienaturalną barwę skóry, a obawa przed gadami jest u ludzi zakodowana genetycznie. W dodatku był bogiem okrutnym, zazdrosnym, chciwym i często wykazywał czysto ludzkie pragnienia.

Przez wiele lat, zarówno podczas Exodusu, jak i później, Draconianie porywali w kosmos młode Izraelitki, na których przeprowadzali zabiegi genetyczne służące wzmocnieniu inteligencji, koncentracji i pamięci oraz poczucia odrębności i wyjątkowości, czyli różnicowaniu Żyda od goja. Te zabiegi zakończyły się sukcesem. Kapłański gen Cohena był przekazywany tylko w linii męskiej i obecnie wykrywa się go u trzech do pięciu procent Żydów. Ten fakt jest szczególnie istotny. Weź pod uwagę, iż trzysta obdarowanych - lub obciążonych - nim rodzin kontroluje aż osiemdziesiąt procent światowych zasobów finansowych. Wśród nich są europejskie rody królewskie, familie Rothschildów, Wartburgów, Morganów i Rockefellerów. Ci, którzy cokolwiek o tym wiedzą, milczą, a ci, co mówią, na ogół niczego nie wiedzą. Ale my znamy prawdę. Na szczęście, Donaldzie, ten problem nie dotyczy Ciebie.

W 1550 roku przed naszą erą Draconianie zatwierdzili przed Radą projekt o przydługiej nazwie „Logiczny plan rozwoju świadomości rasy ludzkiej dający możliwość zaspokojenia potrzeb przewidzianych przez Prawa Galaktyczne poprzez nawiązanie pełnego kontaktu intelektualnego, moralnego i reprodukcyjnego z inną rasą bytującą w słonecznym układzie planetarnym w perspektywie trzyipółtysiącletniej”. W jego sens nikt specjalnie nie wnikał. Nawet w naszych kołach akademickich powszechne jest przekonanie, że jeśli tytuł jest długi, to musi być naukowy. Draconianie przewidywali, że na realizację planu potrzebować będą około stu siedemdziesięciu pięciu

pokoleń ziemskich. Na początku tego roku Rada stwierdziła, że ponieśli porażkę.

Dowiedział się o tym właśnie telepata z góry Athos. Pełni on funkcję naszego wywiadowcy w przestrzeni kosmicznej, czyli jest kimś w rodzaju swoistej sondy medialnej. Wykorzystanie potężnych telepatów to jeden z sekretów naszego wywiadu, dzięki któremu Kościół wschodni w dużym stopniu uniknął wojen religijnych, reformacji i rozłamów – pomijając schizmę akacjańską i Focjusza – i dzięki któremu bierzemy udział w grze zupełnie niezauważeni.

Dlaczego Rada uznała tak ważny dla Draconian i ludzkości projekt za całkowicie nieudany? Draconianie popełnili fundamentalny błąd, jego akuszerami od samego początku, od chwili stworzenia Świątyni Jerozolimskiej, czyniąc masonów. W zamian obiecali im sukcesy, bogactwo, zdrowie i władzę nad światem. Szczególnym przywilejem miało być umożliwienie korzystania z zabiegów regeneracyjnych na Księżycu przy zastosowaniu ormusu i ewakuacji wraz z rodzinami w sytuacji zagrożenia katastrofą kosmiczną. W tym celu w Denver zbudowano ogromne podziemne lotnisko. Przywódcom masonerii jaszczurowaci wyświetlają filmy ukazujące szczegółowo kataklizmy, jakie w przeszłości dotknęły Ziemię – wielki potop sprzed dwunastu tysięcy lat, kataklizm Deukaliona sprzed pięciu tysięcy lat, a także powódź Ogygesa sprzed trzech i pół tysiąca lat. Mimo upływu czasu pamięć o tych wydarzeniach pozostaje żywa, obietnice gadzich istot nie miały więc równych sobie.

Ale przywileje nie były za darmo. Dla dobra nowej rasy należało przede wszystkim zlikwidować dotychczasowe religie i wprowadzić kult jednego boga, Lucyfera. Potęga masonerii rośnie od czasu, gdy znaczenie w Watykanie krok po kroku zdobywa zakon jezuicki. Gdy działał wyłącznie w kręgach zakonnych, dokonano jego kasaty, w dziewiętnastym i dwudziestym wieku wypracował jednak nowe metody przenikania do elit. Zakon ten kieruje się zasadą, że cel uświęca środki. Jest to tym bardziej groźne obecnie, gdyż urzędujący

papież Franciszek jest jezuitą i składał przysięgę posłuszeństwa generałom swojego zgromadzenia. To znaczy, że nad obecnym białym papieżem watykańskim zwierzchność sprawuje czarny papież jezuicki, Arturo Sosa Abascal. We wszystkich lożach masońskich świata numerem jeden oznaczona jest jego złowroga postać. Inni to tylko jego podwładni.

Władza tego zakonu wielokrotnie zagrażała porządkowi świata, a także Rosji. Na górze Athos zawsze bacznie się jej przyglądano. W pamięci rosyjskich pokoleń nadal dźwięczą słowa nieodżałowanego metropolity petersburskiego, Jana Ładowskiego, który kilka dziesięcioleci temu w gronie znakomitych osób ze świata cerkwi i dworu carskiego wypowiedział się tak: „Nie wiadomo do końca, kto ją stworzył. Może jezuici, może Żydzi, może ktoś inny. Ale nawet jeśli Protokoły mędrców Syjonu są fałszywe, zostały napisane przez prawdziwego proroka, ponieważ przedstawione w nich plany sprawdzają się w stu procentach. Z wyjątkiem ostatniego punktu – intronizacji światowego króla Lucyfera. Antychrysta”.

Z kręgów masońskich i zakonu jezuitów dochodzą wypowiedzi o relatywności Dekalogu, który ma być jedynie drogowskazem, a nie zbiorem niewzruszonych przykazań. Jeśli słowa spisane na kamiennych tablicach są względne, to i słowa Chrystusa mogą być względne. A za nimi Biblia, dogmat zmartwychwstania i cała religia. Można to nazwać kryptoherezją. Kościół wschodni z takim stanowiskiem się nie zgadza i je ewidentnie potępia, żądając powrotu zasad panujących dwa tysiące lat.

A teraz o celach tajnych sprzysiężeń, które częściowo wymknęły się spod kontroli Draconian – jezuitów, masonów i frankistów. Podstawowym celem jezuitów było zniszczenie protestantyzmu i zdyskredytowanie prawosławia, a następnie wprowadzenie jednej wspólnej religii. Na początek tylko dla człowieka białego. Cel ten nie został na szczęście osiągnięty.

Ambicją masonerii było uzyskanie władzy ekonomicznej nad

światem, głównie poprzez propagowanie satanizmu i kabały. Masoni z dawna mają obsesję na punkcie rytuałów, które uważają za najlepszy sposób na osiągnięcie rezonansu psychicznego i wywieranie wpływu na poziomie podświadomości. Draconianie, chcąc zrealizować własne cele genetyczne, manipulowali w ten sposób masonami. Zakładali, że spowoduje to ścisłe sprzężenie ich gadziej rasy z ludźmi, zbliżenie obu gatunków umożliwiające kontakt na wszystkich poziomach percepcji. Uważali, że eksperyment tworzenia nowego człowieka powinien być prowadzony do skutku, czyli pełnej integracji cech fizycznych i psychicznych. Stawką były dzieci, których mózgom niezapisanym przeszłością można było wpoić własną historię świata i rasy. Przeszczep duszy nie jest jednak możliwy, gdyż nie stanowi ona części ciała. Draconianie, ignorując tę prostą prawdę, nie zauważyli nadchodzącej katastrofy własnego projektu.

Zadaniem frankistów było powszechne wprowadzenie satanizmu. Stanowią oni doprawdy śmiertelną mieszankę żydowsko-jezuicką. Łączą prawie wszystkie negatywne cechy rasowe z regułami zgromadzenia religijnego, grożąc porządkowi każdej cywilizacji.

To ta trójca - jezuici, masoneria i frankiści - odpowiedzialna jest za propagowanie w dziewiętnastym i dwudziestym wieku wszystkich „izmów” - determinizmu, socjalizmu, komunizmu, relatywizmu, modernizmu, formalizmu, genderyzmu i wielu innych. Jednym z ich celów jest też wprowadzenie wspólnego pieniądza, władzy jednego rządu i pełnego oznakowania populacji. Nieoczekiwaną przeszkodą na drodze do jego realizacji stała się zgoda iluminatów na upublicznienie Internetu. Błąd ten został jednak szybko skorygowany poprzez wprowadzenie ścisłej kontroli tego medium. Drugim problemem, który jednak łatwo da się rozwiązać, jest zbyt duża liczba ludzi.

Wiadomości o sytuacji na Ziemi i wynikach eksperymentu genetycznego, a także głęboko utajonym fakcie, że ludzie, w przeciwieństwie do Draconian, mają duszę indywidualną, dotarły wreszcie do Rady Galaktycznej. Nasz człowiek przeniknął do

wiążących konkluzji raportu Rady i twierdzi, że zarzuty pod adresem Draconian i ich popleczników są miażdżące. Program wyrównywania świadomości dwóch odrębnych ras uważa się za odpowiedzialny między innymi za niewolnictwo, noc świętego Bartłomieja, wyniesienie na tron Napoleona, rewolucję francuską i październikową, obie wojny światowe, Holokaust, faszyzm, komunizm i ataki nuklearne.

Drobiazgiem było przy tym, iż w dwudziestym wieku po zagładzie Żydów, Cyganów i Słowian zaprzestano rozważań o okultystycznej naturze hitleryzmu. Przestano zadawać pytania o operację Paperclip i akcję Odessa, co umożliwiło całkowitą bezkarność niemieckich naukowców odpowiadających za śmierć milionów ludzi i stało się podstawą dla utworzenia CIA, NASA i amerykańskiego programu kosmicznego. Trzecia Rzesza nadal ma się w Stanach świetnie, druga wojna światowa wcale nie skończyła się jej klęską. Komunizm spustoszył Rosję. To wszystko stało w jawnej sprzeczności z Prawami Galaktycznymi. Uznano również, że w wyniku działań Draconian ludzie nie tylko nie zwiększyli swoich możliwości duchowych i moralnych, lecz wręcz odwrotnie – ulegli degeneracji i zwyrodnieniu, nie dokonując postępu w niczym poza techniką wojenną. Stąd decyzja o zakończeniu programu, będąca wyrokiem tak dla masonerii, jak i dla ludzkości w ogóle.

A teraz to, co najważniejsze. Wiem, że od początku swojej prezydentury interesujesz się Księżycem. Daj temu spokój. Nasz satelita od wielu tysięcy lat pełni funkcję głównego szpitala planetarnego w Układzie Słonecznym. To genialny twór inżynierów, w pełni sztuczny obiekt o własnym napędzie. O jego lokalizacji na orbicie Ziemi zadecydowało jego strategiczne położenie. Jest to miejsce o szczególnym znaczeniu i starannie chronione. Księżyc nie zagraża Ziemi, nie zakłócaj więc jego spokoju. Leczy się tam ciała i dusze. Jako etap pośredni prowadzi do wyższych pięt Absolutu. Być może w odległej przyszłości będzie służył następnej ziemskiej cywilizacji, bo czas obecnej niebawem się skończy.

Niestety, Donaldzie, nasz glob nie miał szczęścia. Draconianie bezwzględnie muszą zastosować się do postanowień Rady: «Program zmian genetycznych przeprowadzany przez Draconian w czasie stu siedemdziesięciu pięciu pokoleń na gatunku Homo sapiens uznajemy za zakończony, a jego wyniki za jednoznacznie złe. Ludzki materiał biologiczny należy niezwłocznie zniszczyć, a przebieg doświadczenia dokładnie skatalogować, aby posłużył jako gorzka nauka dla wszystkich ras. Ta katastrofa nie może pójść na marne. Proponowane rozwiązanie jest korzystne dla wszystkich stron». Ta decyzja oznacza nasz koniec.

Żegnam Cię i udaję się na górę Athos. W najbliższych dniach pragnę być blisko centrum wydarzeń. Zgodnie z prorocstwem Daniela wszystko, co było i jest, zakończy się w Rosji. Jak zwykle...

*

Nazajutrz w podziemiach Białego Domu odbywało się posiedzenie wojenne.

- Co naprawdę wiemy o tych Obcych i ich pojazdach? - spytał Trump, zwracając się do kilku gości, z których pomocą miał nadzieję rozpracować temat, od którego uciekali wszyscy inni prezydenci Stanów Zjednoczonych.

- Zasady ich działania nie udało się do końca zbadać ani nam, ani Rosjanom, Chińczykom i Hindusom - odpowiedział dyrektor NASA. - Obecnie coraz większą popularność zyskuje teoria o materializacji, dematerializacji oraz telekinezie, czyli procesie, w którym wyróżnia się trzy zasadnicze fazy. Najpierw w trakcie dematerializacji statek przekształca się w substancję podstawową, czyli energię. Następnie energia ta tworzy spójny pakiet, którego przemieszczanie się z jednego miejsca w inne odbywa się tak, jakby stanowił nieprzenikliwy obiekt materialny. W ostatniej fazie energia przekształca się z powrotem w wyjściowe ciało materialne.

Jeśli chodzi o pojazdy, które obserwujemy na niebie, prawdopodobnie pochodzą z Układu Słonecznego. Nasi badacze uważają, że mają trzy tryby pracy. Pierwszy, „bijący”, to typ naprzemienny, w którym urządzenie napędowe pracuje w krańcowo zmiennej amplitudzie. Pojazd jest wówczas doskonale widoczny i strukturą przypomina metal. Można go bezpiecznie dotknąć, bo nie wydziela promieniowania rentgenowskiego, mikrofalowego czy jonizującego. Typ drugi to wir magnetyczny. Pojazd uruchamia linie sił pola magnetycznego, wywołując zjawiska świetlne i jonizację powietrza. Tworzy wokół siebie plazmę i próżnię, co pozwala mu zniwelować opór powietrza. Przebywanie w pobliżu takiego pojazdu jest bardzo niebezpieczne i może mieć poważne skutki dla zdrowia. Typ trzeci to tryb soczewki magnetycznej, w którym silne pole magnetyczne nakierowuje się tak, by powodowało odchylenie wiązki światła. Jeżeli pole magnetyczne jest stałe, obiekt staje się całkowicie niewidoczny, a jeśli zmienne, przyjmuje różne kształty, niekiedy najbardziej dziwaczne i fantazyjne.

Niezbadanym do tej pory fenomenem jest tak zwany promień podnoszący, niwelujący oddziaływanie grawitacyjne oraz umożliwiający lewitowanie i dźwiganie z ziemi przedmiotów. Znane są relacje obserwatorów, którzy widzieli, jak promień taki unosi do wnętrza pojazdów Obcych rozmaite obiekty materialne, ludzi i zwierzęta, a nawet duże maszyny, takie jak helikoptery czy samoloty. Ich piloci mieli wrażenie, jakby jechali windą. Promień ma też niezwykłą właściwość swobodnego przenikania przez przedmioty materialne.

- Kto może wiedzieć o Obcych coś więcej? - spytał prezydent.

- Może ja odpowiem - odparł jeden z gości. - Jestem archeologiem i specjalizuję się w dawnych religiach. Wszystkie znane nauce wierzenia mówiły o bogach, którzy zeszli na Ziemię z kosmosu i nadali ludziom prawa podstawowe. Najwięcej przekazali nam w Sumerze i Egipcie, ale była to wiedza w większości niepisana, przechodząca

z ust do ust. Podobno w przeszłości istniała wersja spisana ludzkiej historii, antyczna „teoria wszystkiego”, zwana Embrą lub Księgą Thota. W jej posiadanie wszedł Kosma Medyceusz Starszy, a potem podobno Napoleon. Nie wiemy, co się z nią stało. Było to najbardziej poszukiwane dzieło w historii człowieka, zawierające podstawową wiedzę o minionych czasach, prawach przyrody i wizjach przyszłości. Przypisywano mu rodowód kosmiczny. Wiedzę na ten temat mogą mieć depozytariusze ukryci u nas od stuleci, zapewne na najwyższym szczeblu masońskim.

Mimo zbieżności wielu danych historycznych pochodzących z różnych krain i ludów, poprzednie cywilizacje pozostawiły nam w spadku jedynie legendy i mity, a nie prawdę w znaczeniu naukowym. Szereg osiągnięć starożytnej kultury materialnej, takich jak budowle megalityczne, Sfinks, piramidy czy podziemne tunele międzykontynentalne, jest do dziś owianych tajemnicą. Tuneli znamy tylko część i wciąż odkrywamy nowe. Przypuszczamy, że miały znaczenie ewakuacyjne lub obronne. Ponieważ prowadzą przez wszystkie kontynenty, można przypuszczać, że zagrożenie, jakiemu chciano przeciwdziałać, było również globalne. Aby wydrążyć taką sieć korytarzy, trzeba było posiadać odpowiedni sprzęt i technologię daleko bardziej zaawansowaną niż obecna. Żadne z urządzeń tamtego okresu nie zachowało się do naszych czasów. Musiały być ogromnych rozmiarów i zbudowane z niezwykłych materiałów. Być może zapadły się w głąb litosfery wraz z kontynentami lub zostały zabrane w kosmos.

Bogowie zstępujący na Ziemię zawsze przedstawiani byli jako istoty kilkakrotnie większe od ludzi. Nie wiemy, czy ich wizerunki odpowiadają rzeczywistości, czy też są symbolicznym przedstawieniem ich rzeczywistego wyglądu. Coś bliższego o nich z pewnością wiedzą Tybetańczycy. Wielokrotnie Obcy lądowali na ich terenie. Wiadomo, że wspólnie spożywali ziemskie posiłki, a zachowywali się swobodnie i przyjaźnie. Z innych źródeł widomo

o co najmniej trzech rodzajach humanoidalnych Obcych, ale nigdy nie obserwowano, w jaki sposób podtrzymywali swój metabolizm. Różnią się rozmiarami i kształtem głowy, brakiem źrenic, budową palców, na których nie ma linii papilarnych, co może dowodzić, że są klonami. Wiadomo również, że niektórzy z nich są obdarzeni zdolnością zmiany wyglądu i nagłego znikania. W wielu wypadkach w sposób nie do odróżnienia przypominali ludzi. Z tego, co wiem, nie ma żadnego skryzalizowanego poglądu na ich temat, lecz wnioski wielu naukowców świadczą jednoznacznie, że mogą to być złe duchy, demony, istoty z piekła lub innego wymiaru. To wszystko, co miałem do powiedzenia.

- Czy jest tu jakiś lekarz, biolog czy inny ekspert od tych kosmitów? Bo ja mam wrażenie, że powinna nas stąd zabrać karetka pogotowia prosto na psychiatrię...

- Panie prezydencie, niech pan się nie denerwuje - odezwał się generał O'Hara. - Gdyby problem był prosty jak przepis na domowego Big Maca, to pańscy poprzednicy, począwszy od Trumana, nie odsuwaliby go od siebie jak czegoś zgniłego. Ponieważ jednak z bezsilności i strachu wszyscy udawali, że go nie ma, teraz to nasz główny front walki. Już za czasów Obamy opracowano w szczególach tak zwaną ujemną zasadę chaosu, wedle której kosmici, zarówno ci ziemscy, jak i planetarni, szykują atak na Ziemię. Mogą mieć jedynie dwa cele. Zniszczenie ludzkości lub zaprowadzenie niewolnictwa i Nowego Porządku Świata pod wodzą Lucyfera.

- Jak można go unieszkodliwić? - spytał rzeczowo Trump.

- Najprawdopodobniej nie jest to w ogóle możliwe. To istota wieczna, która ma boski początek. Stąd problem.

- Ale przecież nie wojuje z nami bezpośrednio - zauważył prezydent.

- Oczywiście. Posługuje się kosmitami i ich ziemskimi pomocnikami. Tych można zniszczyć.

- Rozumiem, że zniszczyć oznacza zabić.

- Tak jest - potwierdził O'Hara. - Rosjanie od lat strzelają do wszystkiego, co w ich przestrzeń powietrzną wlatuje ze stratosfery. Mają działa laserowe, cząstkowe, o zupełnie dobrych parametrach i bardzo skutecznym systemie naprowadzania. Dzięki temu mają znacznie mniej odwiedzin niż my.

- Rozumiem, że nasze służby stale monitorują cały ten problem?

- Oczywiście, panie prezydencie. Działają całą dobę, współpracując z Rosją, Chinami, Indiami i niektórymi krajami Unii Europejskiej, wymieniając informacje o zagrożeniach z kosmosu.

- Och, wymieniają informacje - powiedział z przekąsem Trump. - To odstrasza czy ostrzegamy?

- Jedno i drugie. Obcy wiedzą, że jeśli zbyt się zbliżą do naszych wyrzutni raketowych, nie będzie zmiłuj. I nie było. Kilka ich spodków bezzałogowych strąciliśmy.

- Co wiemy o ich technologii?

- O napędzie w zasadzie wszystko. Na podstawie zestrzelonych pojazdów zbudowaliśmy własne, o podobnych parametrach. Niestety, jeśli chodzi o broń, nie wiemy właściwie nic. Oprócz tego, że potrafią jej użyć. Dowiedzieliśmy się tego podczas ekspedycji admirała Byrda, ale to były inne czasy. Bez trudu niszczyli wtedy nasze tradycyjne samoloty, pozostając poza naszym zasięgiem, ale teraz nie jest dla nich tak różowo. Niestety, nie mamy rozpoznania bojowego, a w takich sprawach ono jest decydujące.

- Jak duże są ich statki? - dopytywał prezydent.

- Bojowe od jednego do dwustu pięćdziesięciu metrów średnicy, transportowe do dwóch i pół kilometra, a międzygalaktyczne nawet do kilkuset kilometrów. Największy problem jest w tym, że nie wiemy, skąd one przybywają, czy są na wyposażeniu jednej, czy wielu ras Obcych, ani jaka rasa nimi dowodzi. Nie wiemy również, czy w skład załóg wchodzi istoty żywe, czy bioroboty.

- Skąd zatem mamy te wszystkie informacje? Gdyby tak wielki obiekt, o jakim mówicie, był w pobliżu, ludzie by go zauważyli.

- Zaobserwowaliśmy je w głębi kosmosu, za Księżycem. Ocena wielkości jest tam zaburzona, ponieważ nie ma układu odniesienia, ale udało nam się ten problem obejść. Dwa lata temu zrobiliśmy test pod pretekstem elektrycznego eksperymentu próżniowego, mającego działać w oparciu o pole magnetyczne Ziemi. W tym celu z wahadłowca wypuszczono fluoryzującą linę o długości dwudziestu kilometrów. Na jej końcu przymocowano generator. Gdy rozwinęła się w całości, odczepiono ją od wahadłowca i cały sprzęt odleciał w kosmos. Linę otoczył rój obiektów i można było wówczas ocenić ich wielkość. Największy z nich, mający około dwóch kilometrów średnicy, widzieli astronauci międzynarodowej stacji kosmicznej. Ostatnie obserwacje kosmosu wykazały ruch pojazdów w okolicach księżyców Marsa i coś nowego, co z ogromnym przyspieszeniem leci do nas od strony Jowisza. To potwierdza, że szykuje się atak.

- Co na to Chiny i Indie?

- Chińczycy zdetonowali swojego satelitę Księżyca. Przynajmniej tak twierdzą. Może zrobili to kosmici.

- Czy to wszystko, co macie do powiedzenia?

- Nie - powiedział generał O'Hara. - Uważam, że jest jeszcze inna, dotąd niepodnoszona kwestia, która w obecnej sytuacji może mieć kluczowe znaczenie. Wywiad wojskowy posiada od blisko sześćdziesięciu lat w pełni autonomiczną jednostkę przeznaczoną do realizacji tajnych projektów. Jest to atrapa jednostki cywilnej formalnie zajmującej się logistyką obrony wybrzeża przed kataklizmami. Są do niej powoływani wyłącznie wojskowi z wielopokoleniową tradycją służby w armii. O jej istnieniu wiedzieli niektórzy prezydenci, ale nie wszyscy. Pominęto na przykład Clintona. George Bush, wtajemniczony w jej sekrety, uważał, że masoneria ściśle współpracuje z kosmitami w celu zagarnięcia władzy i zaprowadzenia Nowego Porządku Świata, poczynając od Stanów. Z tego względu rozkazał zbudować na terenie pustynnego poligonu wojskowego w Nevadzie ośrodek internowania dla dziesięciu tysięcy

osób. On i jego doradcy przewidywali, że mogą się w naszym kraju ujawnić osoby występujące przeciwko podstawowym interesom narodu amerykańskiego. W rachubę brano masonów, kosmitów, zorganizowane grupy gangsterskie oraz międzynarodowe kartele narkotykowe. Wiele lat temu na teren tego poligonu doprowadzono szybką kolej podziemną i bez trudu można tam obecnie dowozić ludzi i zaopatrzenie. Pas stu sześćdziesięciu kilometrów wokół jest całodobowo pilnowany przez drony i patrole, co właściwie wyklucza inwigilację lub ucieczkę inną drogą niż podziemna. Zakaz lotów obejmuje okrąg o średnicy dwustu czterdziestu kilometrów. Nie prowadzą tam żadne drogi dojazdowe, jest jednak zasilanie, klimatyzacja, szpital, sanitariaty, kuchnie, a nawet baseny. Warunki pobytowe są znacznie bardziej komfortowe niż w więzieniu.

Agencja wywiadu, o której mówiłem, posiada doskonale opracowany plan odosobnienia jednostek niebezpiecznych. Jego dyspozycje zostały w pełni przećwiczone, oczywiście na mniejszą skalę. Do uruchomienia pełnej procedury potrzebny jest tylko rozkaz prezydencki. Ponieważ potrzeba podjęcia takich działań może wystąpić nagle, wymagane jest jedynie złożenie podpisu. Dalej zadziałają automatyzmy przewidziane na stan szczególnego zagrożenia. To tylko stopień niżej od stanu wojennego.

- Jaką liczbę osób należy waszym zdaniem internować? - spytał Trump.

- Około sześciu tysięcy, może nieco więcej. Tak mówiono mi w zeszłym roku, ale coś się mogło zmienić.

- A rodziny, kobiety i dzieci?

- Opracowaliśmy system, który sankcje rozłąkowe ograniczy do minimum, ale warunkiem współpracy osadzonych jest ich pełna izolacja od najbliższych. Z tego względu na terenie ośrodka będą przebywali wyłącznie mężczyźni. Kobiety i dzieci znajdą się w innym miejscu, w znacznie bardziej komfortowych warunkach.

- Jakie służby dokonają zatrzymań?

- W każdym stanie mamy około trzystu wyćwiczonych grup trzyosobowych, którym w razie potrzeby pomoże Gwardia Narodowa. Myślę, że nie będzie problemu. Masoni to elita i zwykle przebywają w swoich posiadłościach albo firmach. Znamy ich lokalizacje. Służby lotniskowe i portowe wychwycą wszystkich prócz tych, którzy przebywają za granicą lub na morzu. Nasze procedury gwarantują, że blisko dziewięćdziesiąt pięć procent amerykańskich i międzynarodowych masonów znajdzie się w odosobnieniu w czasie jednej doby. Mamy również mechanizm pozwalający na dwudziestoczwierogodzinne wyłączenie cywilnej telekomunikacji na terenie Stanów. Oczywiście łączność wewnętrzna dla potrzeb wywiadu i wojska zostanie wcześniej przekierowana do naszych autonomicznych centrów telekomunikacyjnych. O sytuacji alarmowej zostaną poinformowani nasi sojusznicy.

- Rozumiem. Niestety, możliwe, że wszystko to okaże się niezbędne - powiedział prezydent. - Wprowadźcie w swoich służbach stan pogotowia. W sytuacji ataku Obcych nie będziemy mogli mieć u siebie wrogów wewnętrznych, którzy z nimi ściśle współpracują. Nieważne, kim są, jakie zajmują stanowisko i ile pieniędzy mają na koncie, ani czy stali kiedyś na czele tego rządu. Żadnych wyjątków! Anderson, co masz na ten temat do powiedzenia?

- O'Hara mówił, że plan internowania masonerii jest tajny. Nie dla wywiadu. A jeśli my go znamy, pewne informacje mogły też przeniknąć do nich. Zawsze znajdą się tacy, którzy pracują dla dwóch stron. Oczywiście wywiad będzie z wojskiem współpracować w każdej kwestii. Ale warunki musimy ustalić na nowo, i to zaraz. W tej sprawie jak chyba nigdy wcześniej może być problem z zachowaniem tajemnicy państwowej. Kiedyś na pewno wycieknie, a wszystko wcześniej trzeba będzie do cna pozamiatać. Dochodzenia senatu będą trwały latami i spełzną na niczym. Jak zwykle. Mam tu coś jeszcze, co obiecałem dostarczyć panu prezydentowi. Jest to opracowanie dotyczące odkryć, jakie nasz wywiad poczynił ostatnio w tym

pradawnym kompleksie naszych przodków w Bucegi i w okolicach Bagdadu. Są to dane robocze, bo mimo kilku lat pracy nasza wizja fizyki uniemożliwia nam pełne zrozumienie tych zjawisk. Jest też film. Zapozna się pan z nim wedle swego uznania i czasu.

- Dobrze. Co jeszcze?

- Panie prezydencie, mamy ogólnonarodowy projekt stanu wojennego, gdyby sytuacja z kosmitami stanęła na ostrzu noża. Na terenie Stanów istnieje ponad sto w pełni wyposażonych baz podziemnych dla dwudziestu pięciu milionów obywateli. Tutaj jest plan ewakuacji oraz listy tych, którzy odbudują kraj. Dziewięćdziesiąt procent stanowią młodzi, zdrowi ludzie obu płci, odpowiednio zróżnicowani pod względem rasy, wykształcenia i umiejętności. Wyróżnikiem był iloraz inteligencji powyżej stu trzydziestu i doskonały stan zdrowia. Większość to tak zwane dzieci indygo o unikalnych zdolnościach percepcyjnych. Pozostałe dziesięć procent to naukowcy z różnych dziedzin z rodzinami. Inaczej nie zgadzali się na ewakuację. Pan prezydent i rząd będą ewakuowani do strefy specjalnej. Możemy we wszystkich tych bazach trzymać ludzi przez dwa lata w pełnej izolacji od świata zewnętrznego. Pańscy poprzednicy starannie o to zadbali. Na szczęście. Dlatego kraj przeżywał kryzys.

- Dwadzieścia pięć milionów ewakuowanych... A co z resztą narodu?

- Normalnie, jak to na wojnie. Po prostu zginą.

ROZDZIAŁ 24

w którym przywódcy całego świata stają ręka w rękę w obronie rodzaju ludzkiego, lecz historia - jak to historia - raz jeszcze się powtarza.

Alarm jako pierwsza podniosła zakonnica o fiołkowych oczach. Benedykt XVI był jeszcze w łóżku, gdy otrzymał telefon od zadyszanej Anny Marii:

- Wystartowali z baz na Dejmosie i Fobosie - niemal krzyczała do słuchawki. - Draconianie, głównie Retikulanie i Szaraki. Ci sami, którzy dawno temu zniszczyli ludność Marsa. Są bezwzględni. Lecą w kierunku Ziemi!

- Ilu? - spytał Benedykt.

- Całe mrowie! Sformowali szyk w kształcie trójkąta równobocznego o boku o długości około stu kilometrów. W środku znajduje się ogromna asteroida. Ma kształt ludzkiej gałki ocznej, nawet ze źrenicą, oznaczoną czarną farbą. Za pomocą pola siłowego utrzymują ją w przestrzeni. Całość widziana z oddali wygląda zupełnie jak Oko Opatrzności, pradawne wojenne godło Lucyfera! Oni zwą je znamieniem Bestii. Kiedy walczyłam z nimi na Marsie, na czołach jeńców wypalali ten znak laserem. Tak oznaczonych czekała zagłada. Innym, przeznaczonym do roli niewolników, tatuowali na czole trzy szóstki. A teraz zamierzają zwieść Ziemian, że zbliża się Mesjasz. Myślą, że w tym oszustwie pomogą im masoni. Ci nieszczęśnicy nie wiedzą, że dla najeźdźców są tak samo bezwartościowi jak reszta ludności Ziemi. Za czternaście dni będą na orbicie Księżyca, gotowi do ataku. Analogiczną strategią posłużyli się, żeby spustoszyć Marsa.

Rozgorączkowana opowiadała mu o szczegółach wizji. Benedykt o wszystkim zawiadomił Cyryła, Trumpa i Putina. Korzystając z tej

informacji, zatelefonował do papieża Franciszka i omalże wykrzyczał:

- Moim zdaniem niebawem wypełni się proroctwo Izajasza o upadku na Ziemię Lucyfera, syna Jutrzenki. Wiele lat temu zapisano to wydarzenie w czternastym rozdziale jego Księgi Proroctw. To zapowiedź końca świata i nadejścia Sądu Ostatecznego.

Drugą informację Benedykt otrzymał z góry Athos. Mnisi potwierdzili relację Anny Marii. Dodali, że bazy Draconian w pobliżu Marsa zostały opuszczone, a wszystkie zamieszkujące je istoty lecą w kierunku Ziemi w statkach transportowych i bojowych. Była to formacja wojskowa z dużymi taborami. Putin polecił, aby sondy rosyjskie Jupiter 1 i Jupiter 2, które niedawno minęły Marsa, zakreśliły na jego orbicie i obrały kurs kolizyjny z planetoidami Dejmos i Fobos.

Trump otrzymał podobne relacje od swojego sztabu. Zamknięto ONZ, NASA, lotniska i banki oraz rozpoczęto ewakuację ludzi do podziemnych baz. Działały jedynie rządowa telewizja, radio oraz siły strategiczne. W kosmos wyleciały samoloty o najnowszym napędzie antygravitacyjnym. Na Ziemi przygotowano działa laserowe i cząstkowe. Obroną Ziemi kierowało wspólne dowództwo. Wszyscy na czas wykonali swoje powinności. Nie znaleziono tylko odpowiedzi na podstawowe pytanie: jak daleko posuną się atakujący - zniszczą planetę czy poprzestaną na eliminacji jej mieszkańców?

Wszelkie próby uzyskania pomocy od ewentualnych sprzymierzeńców kosmicznych okazały się bezskuteczne. Nie udało się nawiązać połączenia alarmowego z baz w Bucegi i w okolicach Bagdadu. Mieszkańcy Księżyca głucho milczeli, mimo pełnej świadomości, że na ich oczach za chwilę zacznie się natarcie na Ziemię.

Czternastego dnia chmura pojazdów pozaziemskich widoczna była z Ziemi zarówno w czasie dnia, jak i w nocy oraz powiększała się z godziny na godzinę. W momencie, gdy oko Bestii znieruchomiało, wiedziano już, że sygnał do natarcia to tylko kwestia czasu. Putin otrzymał wówczas potwierdzenie, że rosyjskie sondy znajdują się

w bezpośrednim pobliżu obu planetoid Marsa. Wydał rozkaz uderzenia z chwilą, gdy kosmici rozpoczną natarcie na Ziemię. Sygnał radiowy dotarł do rosyjskich rakiet prawie równocześnie z atakiem Draconian. Nocne niebo rozświetliły dwie gigantyczne kule wybuchu bomb wodorowych. Bazy Obcych na Fobosie i Dejmosie przestały istnieć. Jak się okazało, rosyjskie metody były skuteczne nie tylko w Rosji.

Draconianie wyłączyli pole siłowe i ważąca setki tysięcy ton asteroida w kształcie ludzkiego oka jakby zerwała się z łańcucha. Ze stale wzrastającą szybkością mknęła ku Ziemi, ku głębinom morskim, aby wywołać tsunami niszczące dorobek cywilizacji ludzkiej. Z Ziemi w kierunku asteroidy wystrzelono dziesiątki rakiet z ładunkiem nuklearnym, kosmici wyłączyli jednak zdalnie zapalniki wszystkich bomb, używając nieznannej technologii. Podobnie bezskuteczne w próżni okazały się gigantyczne emisje fal elektromagnetycznych, jakie wypromieniowano z zespołów anten na terenie Stanów, Chin i Rosji.

Asteroidę wyprzedzała o sto tysięcy kilometrów zabłąkana skała kosmiczna, nieoczekiwany przybysz w samym centrum wydarzeń. Gnała samotnie ku Ziemi, nie będąc w tej sytuacji przedmiotem zainteresowania żadnego rządu, kierując się wprost na skład CIA, w którym przechowywano zapasowe emisje banknotów. Po uderzeniu, które doszczętnie zniszczyło ściany obiektu, z wnętrza wyfrunęły miliony papierowych jednodolarówek z masońskim wydrukiem oka Bestii na szczycie piramidy i zasłały oba brzegi rzek Potomac i Hudson grubym zielonym płaszczem, na którym jaśniała feeria żółtych i zielonych błysków oczu Bestii – do czasu, gdy kilkukilometrowa fala tsunami wciągnęła je w wir, z którego nie uwolniły się już nigdy.

Chwilę później nastąpiło pandemonium.

Ogromny meteoryt uderzył w Rów Filipiński, wyzwalaając trzęsienia ziemi na całym globie. Towarzyszyły im wybuchy naziemnych i podziemnych wulkanów oraz gigantyczna fala, która starła na proch wszystko, co znalazło się między zwrotnikami.

Niektóre kontynenty zapadły się nagle w głąb oceanów. W innym miejscu wyłoniły się nowe. Oś ziemską przechyliła się o dwadzieścia stopni, powodując przemieszczenie skorupy ziemskiej. Zapadła ciemność, której przez trzy dni nie rozświetlał żaden błysk. Cywilizacja rozwijająca się na Ziemi przez ostatnie kilka tysięcy lat przestała istnieć.

EPILOG

Raport Evadamic do Centrali:

Draconianie przypuścili atak na trzecią planetę w Układzie Słonecznym w celu likwidacji nieudanego gatunku, z którym zamierzali się skrzyżować. Doprowadzili do kataklizmu. W wyniku globalnej powodzi zamieszkująca ją ludność prawdopodobnie w całości wyginęła. Spodziewając się ataku z kosmosu, ludzie zniszczyli na Marsie dwie bazy pobytowe gadów, używając w tym celu bomb wodorowych. Po utracie swoich habitatów na Dejmosie i Fobosie Draconianie nie mieli gdzie lądować ani dokąd wracać. W tej sytuacji - zgodnie z Prawami Galaktycznymi - jako rasa agresywna i nigdzie nieosiedlona zostali uznani za kosmicznych rozbójników i wytępieni. Wszechobecne oczy Bestii zamknęły się na zawsze. Problem Lucyfera i jego armii oraz głoszonych przez niego idei został po tysiącach lat rozwiązany.

Odpowiedź przyszła prawie natychmiast:

Zrozumieliśmy. Bierzemy pod uwagę, że jacyś ludzie mimo wszystko mogli ocaleć. Wyświetlcie im na całym nieboskłonie hologram przedstawiający Chrystusa, Mahometa i Buddę. Na pewno rozpoznają swojego. Wiara musi przetrwać.

Gdańsk, 19 marca 2018

- 1) Imię Gerhard jest tu celowo zastosowanym przez Autora elementem fikcji literackiej. Ojciec Aloisa Hitlera (a zarazem dziadek Adolfa Hitlera) w rzeczywistości nazywał się Johann Georg Heidler. Schicklgruber to panińskie nazwisko matki Aloisa (czyli babki Adolfa Hitlera). Wprawdzie przez pewien czas Alois nosił nazwisko Schicklgruber, ale w 1877 roku urzędowo zmienił je na Hitler (przypis red.). ↵
- 2) Wj 20,4–5. ↵
- 3) Ap 12,7–9. ↵
- 4) Ap 13,17–18. ↵
- 5) Wj 20,3. ↵
- 6) Wj 20,3. ↵
- 7) Fragment De divinatione Cyclerona, dzieła niewydanego w Polsce; tłumaczenie własne autora. ↵
- 8) Fragment Neue vollkommene Thüringische Chronica Johanna Binharda, dzieła niewydanego w Polsce; tłumaczenie własne autora. ↵
- 9) Fragment przemówienia prezydenta Johna F. Kennedy'ego z 27 kwietnia 1961 roku, źródło: <https://www.youtube.com/watch?v=hzat1i48N18>, tłumaczenie: www.zbawienie.com (dostęp: 26 czerwca 2018). ↵
- 10) Mt 7,16. ↵
- 11) Fragment pochodzi z książki Zecharii Sitchina Dwunasta planeta. Księga pierwsza kronik ziemi, tłum. Marcin Pisarski. ↵
- 12) Tamże. ↵
- 13) Tamże. ↵
- 14) Tamże. ↵
- 15) Tamże. ↵
- 16) Mt 13,11–13. ↵

17) Wj 20,3. ↵